



DZIEWCZYNA
WE
MGLE

DONATO CARRISI

FILM W KINACH

W odizolowanym od świata górskim miasteczku zaginęła szesnastoletnia dziewczyna. Rodzice są zrozpaczeni, a mieszkańcy – zszokowani. Nie potrafią przyjąć do wiadomości, że porywaczem może być ktoś z nich.

PORYWACZEM... LUB ZABÓJCĄ.

Przybyły na miejsce agent specjalny Vogel nie ma wątpliwości, że tropi mordercę. I że jest to ktoś z miejscowych. Nie interesują go badania kryminalistyczne, odciski palców i ślady DNA. Vogel wykorzystuje media. Bo ludzie nie potrzebują sprawiedliwości – potrzebują spektaklu. A on zapewni im widowiskowe polowanie na potwora. To ryzykowna gra, w której już raz przegrał. Mimo to Vogel typuje podejrzanego i chociaż ma tylko poszlaki, wydaje wyrok i dąży do zniszczenia mu życia. Tak jak robił to już setki razy. Morderca jednak tylko czeka, aż światła reflektorów zostaną skierowane na niego. A Vogel w pewien wieczór opowie swoją historię tylko jednej osobie.

Wkrótce w kinach ekranizacja powieści z Tonim Servillo (*Wielkie piękno*) i Jeanem Reno (*Leon zawodowiec*) w rolach głównych!

**DZIEWCZYNA
WE
MGLE**

DONATO CARRISI

Z włoskiego przełożył
JAN JACKOWICZ



Wydanie elektroniczne

DONATO CARRISI

Włoski pisarz, scenarzysta i dramaturg. Absolwent prawa specjalizujący się w kryminologii. Od 1991 roku współpracuje z telewizją RAI. Jest autorem scenariuszy do kilku bardzo popularnych we Włoszech seriali.

Powieść *Zaklinacz* (2009 r.), debiut literacki Carrisiego, przyniosła mu niesamowity sukces: tłumaczenia na 20 języków, milion sprzedanych egzemplarzy, wysokie i długo utrzymujące się pozycje na listach bestsellerów nie tylko we Włoszech, nagrodę Bancarella, nominację do prestiżowej francuskiej Prix des Lecteurs.

Kolejne powieści – *Trybunał dusz* i *Hipoteza zła* – ugruntowały wysoką pozycję pisarza wśród autorów thrillerów na całym świecie.

W 2018 r. polscy czytelnicy mogą sięgnąć po zekranizowaną powieść Carrisiego *Dziewczyna we mgle*. Carrisi zarówno napisał scenariusz do filmu, jak i go wyreżyserował.

donatocarrisi.it

Tego autora

DZIEWCZYNA WE MGLE

Paenitentiaría Apostolica

TRYBUNAŁ DUSZ

ŁOWCA CIENI

Mila Vasquez

ZAKLINACZ

HIPOTEZA ZŁA

*Dla Antonia,
mojego syna, który jest dla mnie wszystkim*

23 lutego
Sześćdziesiąt dwa dni po zaginięciu

Noc, podczas której wszystko zmieniło się na zawsze, rozpoczęła się od dzwonka telefonu.

Odezwał się o dwudziestej drugiej dwadzieścia. Był poniedziałkowy wieczór, temperatura na dworze spadła do ośmiu stopni poniżej zera i wszystko otulała lodowata mgła. O tej godzinie Flores leżał już obok żony w ciepłym łóżku, oglądając w telewizji stary czarno-biały film gangsterski. Sophia zasnęła jakiś czas temu i nie wydawało się, żeby dzwonek zakłócił jej sen. Nie zauważyła nawet, że mąż wstaje i ubiera się.

Flores wciągnął ocieplane spodnie, golf i ciepłą kurtkę, żeby zabezpieczyć się przed przekłętą mgłą, która zdawała się pochłaniać wszystko co żywe, po czym wyszedł z mieszkania, by się udać do małego szpitala w Avechot, gdzie od dobrych czterdziestu ze swoich sześćdziesięciu dwóch lat pracował jako psychiatra. W ciągu wszystkich tych lat zdarzyło się zaledwie kilka razy, żeby ktoś, a zwłaszcza policja, wyrwał go z łóżka w jakiejś pilnej sprawie. W alpejskim miasteczku, w którym przyszedł na świat i spędził całe życie, po zachodzie słońca nie działo się prawie nic. Wyglądało na to, że na tej wysokości również przestępcy narzucają sobie rygory przyzwoitego trybu życia, które nakazują regularne cowieczne powroty do domu. Dlatego Flores zadał sobie pytanie o powód, dla którego konieczna była jego obecność o tak niezwykłej godzinie.

Policja jedynie poinformowała go przez telefon, że chodzi o człowieka zatrzymanego w związku z wypadkiem drogowym. Nie powiedziano mu nic więcej.

* * *

Po południu przestał padać śnieg, ale wieczorem temperatura spadła. Kiedy Flores wyszedł z domu, przywitała go nienaturalna cisza. Wszystko stało w miejscu, bez najmniejszego ruchu. Wydawało się, że czas także się zatrzymał. Psychiatrę przeszedł pochodzący gdzieś z jego wnętrza dreszcz, niemający nic wspólnego z temperaturą na dworze. Uruchomił starego citroena i przed rozpoczęciem jazdy odczekał chwilę, żeby silnik należycie się podgrzał. Potrzebował odgłosów jego pracy, żeby przerwać monotonię tego groźnego spokoju.

Asfalt pokrywała warstewka lodu, ale do jazdy z prędkością nieprzekraczającą dwudziestu kilometrów na godzinę zmusiła go przede wszystkim mgła. Jechał, trzymając kierownicę mocno obiema rękami, pochylony do przodu

tak, że jego twarz znalazła się parę centymetrów od przedniej szyby, żeby lepiej widzieć drogę. Na szczęście znał trasę tak dobrze, że jego umysł był w stanie wyprzedzać oczy, podpowiadając mu, jak jechać.

Dotarłszy do rozwidlenia dróg, wybrał kierunek prowadzący w stronę centrum miasteczka i właśnie wtedy dostrzegł coś w mlecznym całunnie. Podjechał bliżej i odniósł wrażenie, że wszystko uległo spowolnieniu, niczym we śnie. W głębi białej zawiesiny ukazały się jasne, przerywane błyski. Wydawało się, że wychodzą mu naprzeciw, ale to on posuwał się w ich stronę. Z mgły wyłoniła się ludzka sylwetka. Wykonywała ramionami dziwne, szerokie ruchy. Zbliżywszy się, Flores uświadomił sobie, że to policjant, którego postawiono tu, żeby ostrzegał kierowców nadjeżdżających samochodów, aby zwiększyli ostrożność. Gdy psychiatra przejeżdżał obok niego, obaj wymienili przelotne pozdrowienie. Światła za plecami funkcjonariusza okazały się migaczami na dachu policyjnego auta, a przede wszystkim tylnymi lampami ciemnej limuzyny, która wypadła z drogi i utknęła w rowie.

Niedługo potem Flores dotarł do śródmieścia. Było całkowicie puste.

W gęstej mgle żółtawe światła latarni wyglądały jak miraż. Przejechał przez zamieszkane centrum i w końcu dotarł do celu.

W małym szpitalu w Avechot przywitało go dziwne ożywienie. Gdy tylko przekroczył próg, wyszli mu naprzeciw porucznik miejscowej policji i Rebecca Mayer, młoda prokurator, która w ostatnim okresie zyskała spore uznanie. Wyglądała na zaniepokojoną. Podczas gdy psychiatra ściągał grubą kurtkę, podała mu tożsamość nieoczekiwanego gościa, który trafił tu tej nocy.

– Vogel – rzuciła krótko.

Usłyszawszy to nazwisko, Flores zrozumiał powód aż tak wielkiego zaniepokojenia. Nie wiedział jednak, jaką rolę ma odegrać w tej sprawie, ponieważ to, że tej nocy wszystko zmieni się na zawsze, wciąż pozostawało dla niego tajemnicą.

– Co dokładnie mam zrobić? – spytał.

– Lekarze z pogotowia ratunkowego mówią, że czuje się dobrze, ale reaguje dziwnie. Być może z powodu szoku powypadkowego.

– Tylko że pani nie jest tego pewna, prawda? – Flores najwyraźniej trafił w sedno, bo pani Mayer nie odpowiedziała. – Popadł w katatonię?

– Nie, reaguje na bodźce, lecz okazuje nagłe zmiany nastroju.

– I nie pamięta nic z tego, co mu się przydarzyło – dodał Flores, kończąc to wypytywanie.

– Przypomina sobie wypadek. Ale nas interesuje to, co było wcześniej: koniecznie musimy się dowiedzieć, co wydarzyło się tego wieczoru.

– A zatem, pani zdaniem, on udaje – wyciągnął wniosek psychiatra.

– Obawiam się, że tak. I właśnie w tym punkcie potrzebujemy pańskiej

interwencji, doktorze.

– Czego pani ode mnie oczekuje, pani prokurator?

– Nie ma wystarczających przesłanek, żeby postawić mu jakieś zarzuty, i on o tym wie, dlatego musi mi pan powiedzieć, czy on jest w stanie rozumieć swoje postępowanie i nim kierować.

– A gdyby był, to co pani zamierza z nim zrobić?

– Będę mogła sformułować oskarżenie i zarządzić oficjalne przesłuchanie, nie obawiając się, że później jakiś adwokat zakwestionuje je w sądzie, sięgając po pierwszy lepszy głupi pretekst.

– Ale... Powiedziała pani, że w wypadku nie było ofiar, prawda? Przepraszam, w takim razie o co miałyby go pani oskarżyć?

Prokurator Mayer przez chwilę milczała.

– Zrozumie to pan, gdy znajdzie się pan z nim twarzą w twarz.

* * *

Dziwnego gościa umieszczono w gabinecie psychiatry. Otworzywszy drzwi, Flores natychmiast dostrzegł mężczyznę siedzącego w jednym z dwóch foteli stojących przed zarzuconym papierami biurkiem. Ubrany w ciemny kaszmirowy płaszcz, przygarbiony, chyba nawet nie zauważył, że ktoś wszedł.

Flores powiesił kurtkę na wieszaku i zatarł ręce, ciągle jeszcze zgrabiące z zimna.

– Dobry wieczór – powiedział, kierując się w stronę grzejnika, żeby sprawdzić, czy jest włączony. W rzeczywistości był to jedynie pretekst, żeby znaleźć się twarzą w twarz z mężczyzną i upewnić się co do jego stanu, a przede wszystkim zrozumieć sens tego, co powiedziała Mayer.

Vogel miał pod płaszczem eleganckie ubranie. Granatowy garnitur, szaroniebieski jedwabny krawat z drobnymi kwiatowymi motywami, żółtą chusteczkę w kieszonce marynarki i białą koszulę, której mankiety zapięte były na owalne spinki z różowego złota. Tyko że to ubranie wydawało się zmięte, jakby nosił je od wielu tygodni.

Uniósł na chwilę oczy, nie odpowiadając na powitanie. Potem jego wzrok opadł znowu na dłonie złożone na udach.

Psychiatra zastanawiał się, co za dziwaczny żart losu sprawił, że znaleźli się naprzeciwko siebie.

– Od dawna pan tu jest? – spytał na początek.

– A pan?

Flores skwitował jego odpowiedź śmiechem, ale tamten zachował poważną minę.

– Mniej więcej od czterdziestu lat – odparł. Z biegiem czasu pokój wzbogacał się o różne przedmioty i meble, aż w końcu zamienił się w istną

rupieciarnię. Psychiatra zdawał sobie sprawę, że w oczach kogoś z zewnątrz to wnętrze może się wydać zagracone.

– Widzi pan tę starą kanapę? Odziedziczyłem ją po moim poprzedniku, natomiast biurko wybrałem już sam. – Na jego blacie stały oprawione zdjęcia członków rodziny lekarza.

Vogel sięgnął po jedno z nich i przyjrzał mu się, trzymając je w obu dłoniach. Był na nim Flores otoczony przez swoje liczne potomstwo w letni dzień, w którym urządzili sobie grilla w ogrodzie.

– Piękna rodzina – zauważył z roztargnieniem.

– Trzech synów i jedenaścioro wnucząt. – Flores był bardzo przywiązany do tej fotografii.

Vogel odstawił zdjęcie na miejsce i zaczął się rozglądać. Na ścianach oprócz dyplomu, otrzymanych pochwał i rysunków od wnucząt znajdowały się trofea, z których psychiatra był wyjątkowo dumny.

Uprawiał wędkarstwo sportowe i w jego gabinecie było wiele dobrze wyeksponowanych egzemplarzy wypreparowanych ryb.

– Kiedy tylko mogę, rzucam wszystko i jadę nad jakieś jezioro albo górski strumień – wyjaśnił Flores. – Dzięki temu zawieram na nowo pokój z wszelkim stworzeniem. – W jednym z rogów gabinetu stała szafa z wędkami oraz skrzynka z haczykami, przynętami, linkami, żyłkami i innym wyposażeniem wędkarskim. Z biegiem czasu wnętrze przestało wyglądać jak gabinet psychiatryczny. Zamieniło się w jego prywatną jaskinię, miejsce należące tylko do niego, toteż odczuwał przykrość na myśl o tym, że za kilka miesięcy przejdzie na emeryturę i będzie musiał usunąć to wszystko, zabierając stąd swoje rzeczy.

Do licznych historii, jakie mogłyby opowiedzieć te ściany, teraz doszła jeszcze jedna, dotycząca nieprzewidzianej wizyty w późny zimowy wieczór.

– Wciąż jeszcze nie jestem w stanie uwierzyć, że pan się tu znalazł – przyznał z lekkim zakłopotaniem. – Ja i moja żona tyle razy oglądaliśmy pana w telewizji. Jest pan bardzo znany.

Mężczyzna kiwnął tylko głową. Być może rzeczywiście znajdował się w szoku lub może był doskonałym aktorem.

– Jest pan pewien, że czuje się pan dobrze? – spytał Flores.

– Tak – odparł tamten ledwie słyszalnym szeptem.

Psychiatra odszedł od grzejnika i usiadł za biurkiem, w fotelu, który z biegiem lat dopasował się do jego kształtów.

– Miał pan szczęście, wie pan o tym? Dopiero co przejeżdżałem koło miejsca, w którym zdarzył się wypadek: wypadł pan z drogi po właściwej stronie. Jest tam całkiem głęboki rów, ale po drugiej stronie znajduje się prawdziwy jar.

– Mgła – odparł gość.

– Tak – zgodził się Flores. – Marząca mgła, jakiej nie ogląda się często.

Jazda tutaj zajęła mi dwadzieścia minut, podczas gdy zazwyczaj zajmuje połowę tego czasu. – Następnie oparł łokcie na poręczach fotela i odchylił na jego oparciu. – Jeszcze się sobie nie przedstawiliśmy: nazywam się Auguste Flores i jestem lekarzem. Proszę mi powiedzieć, jak mam się do pana zwracać? Jako do agenta specjalnego czy też po nazwisku?

Mężczyzna chwilę się zastanawiał.

– Niech pan sam wybierze.

– Myślę, że policjant nigdy nie traci swoich dystynkcji, również wtedy, gdy przestaje wykonywać swój zawód. Dlatego pozostaje pan dla mnie agentem specjalnym Voglem.

– Jeśli to panu odpowiada...

W umyśle Floresa kłębiły się dziesiątki pytań, wiedział jednak, że na początek musi wybrać te najbardziej właściwe.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się zobaczyć pana jeszcze w tych stronach, sądziłem, że po tym, co się wydarzyło, już się pan tu nie pojawi. Dlaczego pan tu wrócił?

Agent specjalny Vogel powoli przeciągnął dłońmi po spodniach, tak jakby chciał usunąć z nich nieistniejący pył.

– Nie wiem...

Nie dodał nic więcej i Flores kiwnął tylko głową.

– Rozumiem. Przyjechał pan sam?

– Tak – odparł Vogel, ale po jego minie można było się domyślić, że niezbyt dobrze pojął sens pytania. – Jestem tu sam – potwierdził.

– Czy pańska obecność ma może coś wspólnego ze sprawą zaginionej dziewczyny? – zaryzykował Flores. – Bo jeśli dobrze pamiętam, nie ma pan już żadnego prawa zajmować się tym śledztwem.

Można było odnieść wrażenie, że jego słowa potrafiły jakąś strunę w umyśle mężczyzny, ponieważ zareagował w sposób, który Floresowi wydał się odruchem dumy. W jego głosie pojawiło się zniecierpliwienie.

– Można wiedzieć, dlaczego mnie tu przetrzymujecie? Czego policja chce ode mnie? Dlaczego nie mogę zwyczajnie stąd wyjść?

Psychiatra starał się przywołać całą swoją cierpliwość.

– Agencji specjalny Vogel, miał pan dziś wieczorem wypadek.

– Wiem o tym – odparł gniewnie tamten.

– I podróżował pan sam, zgadza się?

– Właśnie to panu powiedziałem.

Flores otworzył szufladę biurka, wyjął małe lusterko i postawił je przed Voglem, który zdawał się tego nie zauważać.

– I nic się panu nie stało. Wyszedł pan z tego bez szwanku.

– Czuję się dobrze, ile razy będzie mnie pan o to pytał?

Psychiatra pochylił się w jego stronę.

– W takim razie proszę mi wyjaśnić jedną rzecz... Skoro nie ma pan żadnych obrażeń, w takim razie do kogo należy krew, którą ma pan na swoim ubraniu?

Vogel zamilkł nagle, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Zagniewanie wyparowało i jego wzrok spoczął na lusterku, które Flores przed nim trzymał.

Dopiero teraz je zauważył.

Małe czerwone plamki na mankietach białej koszuli. Parę większych na brzuchu. Kilka ciemniejszych, które zlewały się z kolorem garnituru i płaszcza, ale można było dostrzec ich obwódki. Wyglądało to tak, jakby agent specjalny zobaczył je po raz pierwszy. Ale Flores domyślił się natychmiast, że Vogel musiał o nich wiedzieć, ponieważ ani nie zdziwił się zbytnio ich widokiem, ani nie oświadczył od razu, że nie wie, skąd się wzięły.

W jego oczach pojawiło się nowe światło, a stan umysłowego zaburzenia zaczął się rozwiewać tak, jak to się dzieje w przypadku mgły. Tymczasem gęsta mleczna zawiesina wisząca nad światem za oknem gabinetu pozostawała nietknięta.

Dopiero co rozpoczęła się noc, podczas której wszystko zmieniło się na zawsze. Vogel spojrział Floresowi prosto w oczy, nagle w pełni przytomny.

– Ma pan słusność – powiedział. – Myślę, że powinienem to wyjaśnić.

25 grudnia
Dwa dni po zaginięciu

Jodłowe zagajniki schodziły z górskich zboczy niczym regularne wojsko szykujące się do ataku na dolinę. Była ona długa i wąska niczym stara blizna, a jej środkiem na przemian spokojnie i wartko płynęła rzeka o intensywnie zielonej barwie.

Avechot położone było pośrodku tego krajobrazu.

Alpejskie miasteczko odległe kilka kilometrów od granicy. Domy o spadzistych dachach, kościół z dzwonnica, ratusz, posterunek policji, mały szpital. Zespół szkół, kilka barów i stadion z lodowiskiem.

Lasy, dolina, rzeka, miasteczko. Oraz przerażające instalacje kopalni, przypominająca futurystyczną szramę na przeszłości i naturze tych okolic.

Niedaleko centrum, przy drodze krajowej, znajdował się bar serwujący gorące posiłki.

Z jego okna rozciągał się widok na drogę i na stację benzynową. Przejeżdżającym tędy kierowcom rzucał się w oczy neon życzący Wesołych Świąt, jednak z wnętrza lokalu patrzyło się na litery od tyłu, przez co tworzyły ciąg niezrozumiałych hieroglifów.

W środku było ze trzydzieści stołów z niebieską okleiną, niektóre między przegródkami umocowanymi do ściany. Wszystkie były nakryte, ale zajęty był tylko jeden. Stojący na samym środku.

Agent specjalny Vogel jadł samotnie śniadanie złożone z jajecznicy na bekonie. Ubrany był w ciemnoszary garnitur, zgniłozieloną kamizelkę i granatowy krawat; kaszmirowego płaszcza nie zdjął nawet na czas posiłku. Siedział wyprostowany ze wzrokiem wbitym w czarny notes, do którego wpisywał jakieś uwagi eleganckim, srebrnym piórem wiecznym, które co jakiś czas odkładał na stół, żeby unieść do ust widelec z jajecznicą. Wykonywał te gesty na zmianę w dokładnie odmierzonych odstępach czasu, skrupulatnie przestrzegając czegoś w rodzaju wewnętrznego rytmu.

Zza lady wyszedł właściciel lokalu, starszy już człowiek, przepasany zatłuszczonym fartuchem, pod którym miał flanelową koszulę w czerwono-czarną kratę, z podwiniętymi do łokci rękawami. Niósł dzbanek świeżo zaparzonej kawy.

– Niech pan sobie wyobrazi, wcale nie zamierzałem dziś otwierać. Pomyślałem sobie: kto tu przyjdzie z samego rana w Boże Narodzenie? Jeszcze kilka lat temu było tu pełno turystów, całe rodziny z dziećmi... Ale od czasu, jak znaleźli to świecące gówno, wszystko się zmieniło. – Mężczyzna wypowiedział to zdanie tak, jakby opłakiwał szczęśliwą i odległą epokę, która już nie wróci.

Jeszcze nie tak dawno życie w Avechot toczyło się pogodnie i spokojnie. Ludzie żyli tu z turystyki i drobnego rzemiosła. Ale pewnego dnia ktoś spoza miasteczka stwierdził, że pod tymi górami mogą się kryć spore złoża fluorytu.

Rzeczywiście, pomyślał Vogel, starszek ma rację: od tamtej chwili wszystko się zmieniło. Zjawiła się międzynarodowa spółka i kupiła koncesję na tereny znajdujące się nad złożem, płacąc szczerze właścicielom małych działek. Wielu z nich z dnia na dzień stało się bogaczami. A ci, którzy nie mieli szczęścia być posiadaczami którejś z tych działek, zbiednieli nagle, ponieważ zniknęli turyści.

– Być może powinienem się zdecydować na sprzedaż tego biznesu i przejście na emeryturę – ciągnął właściciel lokalu. Potem, kręcąc z poirytowaniem głową, napełnił kawą filiżankę Vogla, chociaż ten go o to nie prosił. – Kiedy zobaczyłem, jak pan tu wchodzi, pomyślałem, że to jeszcze jeden z handlarzy, którzy co jakiś czas próbują mi coś opchnąć po promocyjnej cenie. Potem się domyśliłem... Pan w sprawie tej dziewczyny, prawda? – Niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazał umocowaną do ściany przy wejściu ulotkę.

Wydrukowano na niej zdjęcie rudej, piegowatej roześmianej nastolatki, imię: *Anna Lou*, pytanie: *Widziałeś mnie?* oraz numer telefonu i kilka linijek tekstu.

Vogel zorientował się, że starszek zagląda mu przez ramię, starając się przeczytać jego notatki, więc zamknął zeszyt. Potem odłożył widelec na talerz.

– Zna ją pan? – spytał.

– Znam jej rodzinę. Porządni ludzie. – Mężczyzna odsunął jedno z krzeseł stojących przy stole i usiadł naprzeciwko agenta. – Co, według pana, mogło się jej przydarzyć?

Vogel złożył dłonie pod brodą. Ile razy zadawano mu to pytanie? Zawsze ta sama historia. Wydawali się szczerze zaniepokojeni lub zmuszali się, żeby tak wyglądać, ale w końcu okazywało się, że są tylko ciekawi. Chorobliwie, egoistycznie, nielitościwie ciekawi.

– Dwadzieścia cztery – odparł. Restaurator zdawał się nie pojmować sensu tych słów, ale Vogel nie dał mu czasu na prośbę o wyjaśnienie. – Dwadzieścia cztery godziny to czas, jaki młodzi ludzie, którzy uciekli z domu, wytrzymują z wyłączoną komórką. Potem czują się zmuszeni zadzwonić do jakiegoś kolegi albo sprawdzić, czy mówi się o nich w internecie, i w ten sposób udaje się ich zlokalizować. W każdym razie większość wraca po czterdziestu ośmiu godzinach... Dlatego, jeśli nie spotka ich jakieś nieszczęście i nie zdarzy się wypadek, można powiedzieć, że jeszcze po dwóch dniach od zaginięcia istnieje realna możliwość, że koniec końców sprawy ułożą się jak najlepiej.

Przez chwilę właściciel lokalu wydawał się zbity z tropu.

– A co się dzieje potem? – zapytał w końcu.

– Potem przeważnie wzywają mnie.

Agent specjalny wstał, wsunął rękę do kieszeni i rzucił na stół banknot dwudziestoeuroowy, żeby zapłacić za śniadanie. Potem ruszył do wyjścia, ale zanim przekroczył próg, odwrócił się jeszcze do właściciela baru.

– Niech mnie pan posłucha: proszę nie sprzedawać tego lokalu. Niedługo będzie tu znowu mnóstwo ludzi.

* * *

Na zewnątrz panował chłód, ale niebo było czyste i wszystko pławiło się w jasnym świetle zimowego słońca. Co jakiś czas drogą przejeżdżał tir i podmuchy powietrza targały połami płaszcz Vogla. Agent specjalny stał bez ruchu na dużym placu przed barem obok stacji benzynowej i spoglądał w górę, trzymając obie ręce w kieszeniach płaszcz.

Za jego plecami pojawił się młody mężczyzna około trzydziestki. On także był w garniturze, krawacie i ciemnym płaszczu, ale nie kaszmirowym. Miał jasne włosy uczesane z przedziałką z boku i jasnoniebieskie oczy. Twarz porządnego chłopaka.

– Witam – odezwał się, ale jego przywitanie pozostało bez odpowiedzi. – Nazywam się Borghi i jestem policjantem – dodał mimo to. – Powiedziano mi, że bym przyjechał tu po pana.

Vogel nadal patrzył w niebo, nie zwracając na niego uwagi.

– Odprawa rozpocznie się za pół godziny – oznajmił Borghi. – Są wszyscy, jak pan sobie życzył. – Wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć, co Vogel robi, i spostrzegł, że agent specjalny obserwuje coś na daszku nad dystrybutorem.

Kamerę monitoringu wycelowaną w kierunku drogi.

W końcu Vogel odwrócił się do niego.

– To jedyna droga prowadząca do doliny, prawda?

Borghi nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Tak. Nie ma innego sposobu, żeby się tu dostać albo stąd wydostać. Ta droga ciągnie się przez całą dolinę.

– Dobrze – powiedział Vogel. – W takim razie niech mnie pan zawiezie na jej drugi kraniec.

I szybkim krokiem ruszył w kierunku nieoznakowanej, ciemnej limuzyny, którą przyjechał po niego młody funkcjonariusz. Borghi wahał się przez chwilę, a potem poszedł za nim.

Niebawem zatrzymali się obok przerzuconego przez rzekę mostu, przez który prowadziła droga w głąb doliny. Młody policjant czekał w pobliżu zaparkowanego na poboczu samochodu, natomiast Vogel kilka metrów dalej odgrywał scenę sprzed kilku minut, tym razem przypatrując się kamerze zamontowanej na stojącym przy drodze słupie w celu kontrolowania ruchu.

Kierowcy przejeżdżających obok samochodów trąbili donośnie, ale Vogel nie przejmował się tym i nadal niewzruszenie robił swoje. Czymkolwiek to było, Borghi nie tylko nie rozumiał jego zachowania, ale wręcz wydawało mu się niedorzeczne.

Gdy agent specjalny uznał, że wystarczy, wrócił do pojazdu.

– Jedziemy odwiedzić rodziców tej dziewczyny – powiedział i wszedł do środka, nie czekając na odpowiedź Borghiego, który spojrzał na zegarek i spokojnie zajął znowu miejsce za kierownicą.

* * *

– Anna Lou nigdy nie sprawiała nam kłopotów – zapewniła stanowczo Maria Kastner. Matka dziewczyny była drobną kobietą, z której emanowała jednak wyjątkowa siła. Siedziała na kanapie obok męża, mężczyzny potężnej postury, ale o dobrotliwym wyglądzie. Oboje byli w szlafrokach narzuconych na piżamy i trzymali się za ręce.

Znajdowali się w salonie ich dwupiętrowego domu; w powietrzu unosił się słodkawy zapach gotowanego jedzenia i odświeżacza powietrza, którego Vogel nie znosił. Siedział teraz na wprost nich w fotelu, a Borghi nieco z boku na krześle. Między nimi a parą małżonków stał stolik z filiżankami kawy, która szybko stygła, bo nikt nie zdradzał ochoty, żeby się jej napić.

Pod ubraną świątecznie choinką siedmioletni bliźniacy bawili się dopiero co rozpakowanymi prezentami.

Jedna paczuszka z ładną czerwoną kokardką pozostała nietknięta.

Kobieta uchwyciła na chwilę spojrzenie Vogla.

– Chcieliśmy, żeby dzieci mimo wszystko mogły świętować narodziny Jezusa, również po to, żeby oderwać ich uwagę od tej przykrej sytuacji – powiedziała usprawiedliwiająco.

„Sytuacja” polegała na tym, że ich starsza, szesnastoletnia, córka zaginęła prawie dwa dni temu. Wyszła z domu w zimowe popołudnie, około siedemnastej, na spotkanie w kościele odległym o kilkaset metrów.

Nigdy tam nie dotarła.

Anna Lou miała do pokonania krótką drogę w dzielnicy jednakowych domów jednorodzinnych z ogródkami, gdzie wszyscy znali się od zawsze.

Ale nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

Alarm podniesiono około dziewiętnastej, gdy matka stwierdziła, że córka nie wróciła do domu i ma wyłączoną komórkę. Minęły dwie długie godziny, w czasie których mogło się jej przydarzyć wszystko. Poszukiwania trwały cały wieczór, ale rozsądek podpowiadał, żeby je przerwać i podjąć akcję na nowo, gdy się rozwidni. Ponadto miejscowa policja nie miała środków do prowadzenia śledztwa w całej okolicy.

Na razie nie stawiano żadnych hipotez dotyczących powodów zaginięcia.

Vogel wrócił do milczącej obserwacji rodziców, których oczy już były podkrążone z niewyspania, co w najbliższych tygodniach miało przydać im lat, ale w tym momencie dopiero zaczynało odciskać na nich swój ślad.

– Nasza córka już od wczesnego dzieciństwa zachowywała się zawsze bardzo odpowiedzialnie – ciągnęła kobieta. – Nie wiem, jak to wyrazić... ale nigdy nie musieliśmy się o nią martwić, po prostu wyrosła sama. Pomaga w domu, zajmuje się braćmi. Nauczyciele w szkole są z niej zadowoleni. Od niedawna zaczęła próbować swych sił jako katecheta w naszym bractwie religijnym.

Salonik był skromnie umeblowany. Vogel natychmiast zauważył, że znajduje się tu mnóstwo przedmiotów świadczących o głębokiej religijności mieszkańców. Na ścianach wisiały obrazy ze scenami z Biblii. Przeważały podobizny Jezusa, również w postaci plastikowych figurek, ale było też dość dużo przedstawień Najświętszej Marii Panny. Towarzyszył im bogaty wybór świętych. Na telewizorze stał drewniany krucyfiks.

Po całym pokoju porozstawiano też oprawione rodzinne zdjęcia. Na wielu z nich widać było piegowatą dziewczynkę z rudymi włosami.

Anna Lou była żeńską kopią swojego ojca.

Na wszystkich prezentowała roześmianą buzię. W dniu przystąpienia do pierwszej komunii, w górach z braćmi, z łyżwami na ramieniu na tle lodowiska, pokazując z dumą medal zdobyty w jakimś wyścigu.

Vogel miał świadomość, że ten pokój, te ściany, ten dom już nigdy nie będą takie same. Było tu pełno pamiątek, które prędko zaczną zadawać ból.

– Nie rozbierzemy choinki, dopóki nasza córka nie wróci do domu – zapewniła niemal z odcieniem dumy Maria Kastner. – Lampki będą się paliły, żeby ją było dobrze widać przez okno.

Voglowi przemknęła przez myśl absurdalność tych zapewnień. Bożonarodzeniowa choinka w roli latarni wskazującej drogę do domu komuś, kto miał nie wrócić już nigdy. Ponieważ takie rozwiązanie było całkiem realne, tyle że rodzice Anny Lou jeszcze sobie tego nie uświadamiali. To świąteczne światło sygnalizowałoby wszystkim przechodzącym obok ich domu, że w jego ścianach przeżywany jest dramat. Stałoby się czymś zawadzającym. Sąsiedzi i inni ludzie nie mogliby nie dostrzegać tego drzewka i jego znaczenia, a z czasem zaczęłoby ich nawet irytować. Mijając ich dom, przechodziliby na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć jego widoku. Ten symbol groził oddaleniem się ludzi od Kastnerów i pogłębieniem osamotnienia tej rodziny. Ponieważ ceną, jaką trzeba zapłacić za możliwość kontynuowania własnego życia, jest obojętność, pomyślał Vogel.

– Mówią, że w szesnastym roku życia buntowniczy postępek czy jakiś kaprys to coś normalnego – powiedziała Maria, ale potem stanowczo pokręciła głową. – Ale nie u mojej córki.

Vogel skinął głową; zgadzał się z tą kobietą, choć na potwierdzenie jej słów nie miał żadnego dowodu. Nie starał się tak po prostu wysłuchiwać matki, która nade wszystko próbowała usprawiedliwić samą siebie jako matkę, gotowa przysiąc, że jej córka nie jest zepsutym dzieckiem. Agent specjalny był naprawdę przekonany, że ona ma rację. Brał tę pewność z twarzy Anny Lou, która spoglądała na niego z uśmiechem ze wszystkich zakątków pokoju. Jej zwyczajny, niemal dziecinny wygląd mówił mu, że musiało wydarzyć się coś niezwykłego. I że to coś wydarzyło się wbrew jej woli.

– Jesteśmy do siebie niezwykle przywiązane, ona jest bardzo do mnie podobna. Zrobiła to dla mnie i podarowała mi tydzień temu... – Kobieta pokazała policjantowi bransoletkę z barwnych paciorków, którą miała na nadgarstku. – Ostatnio te rzeczy są jej pasją. Robi je sama i rozdaje w prezencie osobom, które lubi.

Vogel zauważył, że matka opowiada o tych szczegółach, niemających znaczenia dla śledztwa, nie zdradzając głosem ani spojrzeniem żadnego poruszenia. Ale nie był to chłód. Agent specjalny rozumiał, o co chodzi. Kobieta była przekonana, że to jest próba, coś w rodzaju egzaminu, jakiemu zostali poddani za sprawą tej „przykrości”, żeby mogli pokazać, że ich wiara jest mocna i nienaruszona. Dlatego w gruncie rzeczy akceptowała to, co się działo, ograniczając się do odrzucania myśli o niesprawiedliwości, w nadziei że ktoś tam wysoko, może nawet sam Bóg, prędko udzieli pomocy.

– Anna Lou zwierzała mi się, ale każda mama bierze pod uwagę to, że nie wie wszystkiego o swoich dzieciach. Wczoraj, kiedy robiłam porządki w jej pokoju, znalazłam to... – Kobieta na chwilę puściła dłoń męża, żeby pokazać Voglowi kolorowy zeszyt.

Agent specjalny pochylił się nad stolikiem i sięgnął po niego. Na okładce widniały dwa małe kotki z nastroszoną sierścią. Zaczął kartkować go z roztargnieniem.

– Nie znajdzie pan w nim nic, co by mogło coś zapowiadać – powiedziała kobieta.

Vogel zamknął pamiętnik dziewczyny i wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza wieczne pióro i swój czarny notatnik.

– Wyobrażam sobie, że zna pani wszystkie osoby, z którymi spotyka się pani córka...

– Oczywiście – odparła Maria Kastner z lekkim oburzeniem.

– Czy ostatnio Anna Lou poznała kogoś? Na przykład nowego kolegę lub koleżankę.

– Nie.

– Jest pani tego absolutnie pewna?

– Tak – odparła kobieta. – Powiedziałyby mi o tym.

Dopiero co przyznała, że matka nie może wiedzieć wszystkiego o własnych dzieciach, a teraz upierała się, że jest tego pewna. Typowe zachowanie rodziców w przypadkach zaginięć, pomyślał Vogel. Chcą udzielić pomocy, ale wiedzą też, że ponoszą częściową odpowiedzialność, przynajmniej za niedopilnowanie swoich dzieci. A kiedy doświadcza się strachu z powodu jakiegoś niedopatrzenia, włącza się instynkt obronny, także za cenę zaprzeczenia oczywistej prawdy. I Maria Kastner zaczynała już właśnie podejmować tego rodzaju grę. Ale agent specjalny potrzebował dowiedzieć się więcej o tej sprawie.

– Czy ostatnio zauważyła pani coś nietypowego w jej zachowaniu?

– Co pan ma na myśli?

– Wie pani, jakie są dzieci. Z drobnych sygnałów można wyczuć mnóstwo rzeczy. Czy dobrze spała? Jadła regularnie? Czy nie zmienił się jej nastrój? Może była bardziej zamknięta w sobie, drażliwa lub postępowała inaczej niż wcześniej?

– Była zwyczajną Anną Lou. Znam moją córkę, proszę pana, wiem, kiedy zdarza się coś, co jej nie odpowiada.

Dziewczyna miała telefon komórkowy. O ile Vogel wiedział, był to stary model, nie smartfon.

– Czy państwa córka korzystała z internetu?

Kastnerowie spojrzeli na siebie.

– Nasze bractwo odradza korzystanie z pewnych nowinek technicznych. Internet jest pełen zasadzek, proszę pana. Propagowane są tam idee, które mogą sprowadzić na manowce i zaszkodzić wychowaniu na dobrego chrześcijanina – odparła Maria. – W każdym razie nigdy nie zabranialiśmy niczego naszej córce, to był jej własny wybór.

Z pewnością, jakżeby nie, pomyślał Vogel. Ale pod jednym względem ta kobieta miała słuszość: zazwyczaj zagrożenie przychodzi z sieci. Wrażliwe nastolatki, takie jak Anna Lou, są łatwowierne i nietrudno im coś zasugerować. A po internecie buszują łowcy, którzy zręcznie manipulują najbardziej bezbronnymi umysłami, żeby wślizgnąć się do życia najmłodszych. Stopniowo niszcząc bariery ochronne i zdobywając zaufanie, są w stanie odizolować młodego człowieka od najbliższych, zająć ich miejsce i zmusić go do wykonywania poleceń. W tym sensie Anna Lou Kastner była idealną zdobyczą. Być może dziewczyna tylko udawała, że wypełnia wolę rodziców, ale spędzała czas w internecie; może nawet łączyła się z siecią poza domem, na przykład w szkole albo w bibliotece. Trzeba to będzie sprawdzić. Jednak w tej chwili musiał zgłębić inne aspekty sprawy.

– Należycie państwo do tych szczęśliwców z miasteczka, którzy sprzedali ziemię spółce wydobywczej, prawda?

Pytanie skierowane było do Bruno Kastnera, ale i tym razem odpowiedzi udzieliła jego żona:

– Mój ojciec pozostawił nam działkę w górach, po stronie północnej. Kto mógł przewidzieć, że ma taką wartość... Część pieniędzy przekazaliśmy bractwu i spłaciliśmy do końca raty za ten dom. Resztę odłożyliśmy dla dzieci.

Musiało chodzić o niezłą sumkę, pomyślał Vogel. Prawdopodobnie wystarczającą, żeby zagwarantować bardziej niż godne życie wielu przyszłym pokoleniom Kastnerów. Mogliby pozwolić sobie na różne luksusy lub choćby kupić większy, wystawniejszy dom. Postanowili jednak nie zmieniać poziomu życia. Agent specjalny nie mógł wręcz pojąć, jak można było tak łatwo zrezygnować z nieoczekiwanego dobrobytu. W każdym razie przyjął to do wiadomości i zapytał, ciągle pochylając głowę nad notesem:

– Nie zażądano od państwa pieniędzy, toteż odrzuciłbym hipotezę porwania dla okupu. Ale czy nie grożono państwu w przeszłości? Czy jest ktoś, może jakiś krewny lub znajomy, kto miałby względem was powody do zazdrości, żalu czy urazy?

Kastnerowie wydawali się zaskoczeni tymi pytaniami.

– Nie, nikt – odparła natychmiast kobieta. – Utrzymujemy kontakty wyłącznie z członkami naszego bractwa.

Vogel zastanowił się nad zawartą w ostatnim zdaniu informacją: państwo Kastnerowie byli naiwnie przekonani, że w bractwie nie ma miejsca na żadne konflikty. A zresztą, nie miał wątpliwości, że odpowiedź będzie właśnie taka. Przed pojawieniem się tutaj zasięgnął wiadomości o ich życiu, informując się o wszystkim, co było do zdobycia na temat tej rodziny.

Opinia publiczna opiera się zazwyczaj na pozorach. Dlatego gdy zdarza się jakaś anomalia, taka jak zniknięcie zwykłej, dobrze wychowanej dziewczyny, i dochodzi do tego w tak zwanej porządnej rodzinie, wszyscy skłonni są przypuszczać, że zło zjawilo się z zewnątrz. Ale tacy jak on, doświadczeni policjanci, zawsze mają opory przed rozpoczęciem śledztwa wychodzącego poza krąg rodziny, ponieważ w wielu przypadkach wyjaśnienie jest bardziej banalne i kryje się w czterech ścianach domu. A przy tym bywa przerażające. Miał do czynienia z ojcami, którzy wykorzystywali córki, a także z matkami, które zamiast je osłaniać, traktowały swoje pociechy jak niebezpieczne rywalki. A potem, żeby żyć w zgodzie, rodzice dochodzili do wniosku, że w celu uratowania małżeństwa najlepszym wyjściem będzie pozbycie się krwi z własnej krwi. Pewnego razu zdarzył mu się nawet przypadek żony, która po odkryciu molestowania postanowiła chronić męża, a w celu oszczędzenia sobie wstydu, sama zabiła córkę i ukryła zwłoki. Jednym słowem, widywał coraz bardziej niemieszczące się w głowie przykłady bestialskich zachowań.

Kastnerowie wydawali się porządnymi ludźmi.

Bruno Kastner zajmował się transportem samochodowym i nawet po nieoczekiwanym wzbogaceniu codziennie zakasywał rękawy i pracował. Ona była

skromną gospodynią domową, całkowicie oddaną rodzinie i dzieciom. Ponadto oboje byli żarliwie wierzący.

Nigdy jednak nie można mieć całkowitej pewności.

Vogel udał, że ich odpowiedzi go satysfakcjonują.

– Wydaje mi się, że powiedzieliśmy sobie wszystko, przynajmniej na razie. – Wstał z fotela i jego śladem niezwłocznie poszedł Borghi, który przez cały czas zachował milczenie. – Dziękuję za kawę... i za to – dodał, unosząc pamiątnik Anny Lou. – Jestem pewien, że bardzo nam pomoże.

Kastnerowie odprowadzili obu policjantów do drzwi. Vogel rzucił jeszcze okiem na dzieci bawiące się beztrąsko obok choinki. Kto wie, jakiego rodzaju wspomnienie po tym wszystkim pozostanie w ich pamięci, gdy będą już dorośli, pomyślał. Być może są jeszcze w wieku, który pozwoli im uratować się przed przeżyciem horroru. Ale nadal nierozpakowana paczka z czerwoną wstążką czekająca na Annę Lou mówiła mu, że w tym wnętrzu na zawsze pozostanie coś, co będzie przypominać o tragedii, jaka dotknęła ich rodzinę. Ponieważ nie ma nic gorszego od prezentu nietrafiającego do rąk osoby, dla której jest przeznaczony. Szczęście, jakie w sobie kryje, rozkłada się i gnije powoli, zakażając wszystko wokół.

W tym momencie agent specjalny uświadomił sobie, że również milczenie między nim i jego kolegą trwa wystarczająco długo, odwrócił się więc do Borghiego.

– Może pan zaczekać na mnie w samochodzie?

– Tak, jasne – odparł zdyscyplinowany funkcjonariusz.

Pozostawszy sam na sam z Kastnerami, Vogel odezwał się innym, bardziej serdecznym tonem, jakby naprawdę ta „sytuacja” leżała mu na sercu.

– Chciałbym być z państwem szczery – powiedział. – Media wywęszyły już sprawę, niebawem zjawi się tu masa reporterów... Czasami dziennikarze są lepsi od policji w zdobywaniu informacji i nie zawsze to, co trafia do telewizji, ma coś wspólnego ze śledztwem. Nie wiedząc, gdzie obrócić wzrok, skierują go na was. Dlatego, jeśli macie do powiedzenia coś jeszcze, cokolwiek... teraz jest na to najlepszy moment.

Nastąpiło milczenie, które Vogel przeciągnął dłużej, niż było trzeba. A więc pakt został zawarty. W rzeczywistości jego rada zawierała ostrzeżenie. Wiem, że macie sekrety, wszyscy je mają. Ale teraz wasze sekrety należą do mnie.

– Dobrze – przerwał w końcu ciszę, żeby wydobyć gospodarzy z zakłopotania. – Widziałem, że kazaliście państwo wydrukować ulotki ze zdjęciem córki. To był dobry pomysł, ale niewystarczający. Aż do tej chwili sprawą zajmowały się miejscowe media, teraz trzeba będzie poczynić następne kroki. Na przykład wystąpić z publicznym apelem do ludności. Co o tym sądzicie?

Małżonkowie spojrzeli na siebie w milczeniu. Potem matka Anny Lou

zrobiła krok do przodu, zsunęła bransoletkę z paciorków, którą wykonała dla niej córka, ujęła lewą dłoń Vogla i wsunęła mu ją na nadgarstek, niczym w uroczystym akcie nadania własności.

– Zrobimy wszystko co konieczne, żeby panu pomóc. Ale niech ją pan odnajdzie i sprawi, żeby wróciła do domu.

* * *

Podczas oczekiwania w samochodzie Borghi włączył telefon komórkowy.

– Nie wiem, ile to jeszcze potrwa, on mnie o to poprosił – wyjaśnił jednemu z funkcjonariuszy, którzy od przeszło godziny czekali na rozpoczęcie zaplanowanej odprawy. – Ja też mam rodzinę. Postaraj się uspokoić i zapewnić kolegów, że nikt nie straci świątecznego obiadu. – Ale tak naprawdę bał się, że nie powinien dawać tego rodzaju zapewnień, ponieważ nie miał pojęcia, co ten Vogel zamierza. Wiedział tylko, co to jest wyższa konieczność, i tego ranka ograniczył się do przyjęcia na siebie roli kierowcy.

Poprzedniego wieczoru jego bezpośredni przełożony zakomunikował mu, że dziś rano będzie musiał stawić się w Avechot, żeby towarzyszyć agentowi specjalnemu Voglowi w śledztwie dotyczącym zaginięcia nastolatki. Potem wręczył mu cienką teczkę z aktami dotyczącymi sprawy i zakończył dziwnym zaleceniem, żeby włożył ciemny garnitur, kurtkę, krawat i dokładnie o ósmej trzydzieści czekał koło baru przy wyjeździe z alpejskiej osady.

Oczywiście, Borghi słyszał wiele plotek na temat Vogla i jego ekscentrycznych zachowań. Często mówiono o nim i prowadzonych przez niego śledztwach w telewizji, był też gościem różnych programów zajmujących się wydarzeniami kryminalnymi. O wywiady z nim zabiegały gazety i dzienniki telewizyjne. Vogel czuł się zawsze swobodnie przed kamerami, niczym doświadczony aktor umiejący w każdej sytuacji zaimprovizować występ, pewien swojego sukcesu.

Poza tym były też historyjki opowiadane w gronie policjantów, które opisywały go jako człowieka ambitnego, cynicznego, troszczącego się tylko o to, żeby dobrze wypaść na wizji; egocentryka starającego się usunąć w cień wszystkich wokół siebie.

Ostatnio jednak sprawy agenta specjalnego Vogla szły źle. Zwłaszcza jedno śledztwo postawiło go w nie najlepszym świetle. Niektórzy w policji cieszyli się z takiego obrotu spraw, ale Borghi być może zbyt naiwnie uważał, że od takiego gliniarza jak Vogel może się wiele nauczyć. W gruncie rzeczy znajdował się u progu kariery i z pewnością potknięcie agenta specjalnego nie powinno mu zaszkodzić.

Tylko że Vogel zawsze zajmował się głośnymi przestępstwami, bestialskimi zbrodniami, na których odcisnięte było silne piętno emocjonalne. Mówiono też, że

zawsze uważnie dobiera sobie śledztwa.

Z tego powodu Borghi zadawał sobie teraz pytanie, co tak nadzwyczajnego agent specjalny dojrzał w zaginięciu jakiejś nastolatki.

Chociaż obawy rodziców Anny Lou uważał za zrozumiałe i podejrzewał, że mogło się wydarzyć coś bardzo złego, nie widział w tej sprawie nic specjalnie ciekawego dla mediów. A zazwyczaj takie właśnie śledztwa interesowały Vogla.

– Będziemy za chwilę – zapewnił rozmówcę, żeby tylko zakończyć rozmowę. I w tym samym momencie zauważył czarną furgonetkę zaparkowaną w głębi ulicy.

Siedziało w niej dwóch mężczyzn, którzy bez słowa wpatrywali się w dom Kastnerów.

Borghi miał ochotę wysiąść z auta i podejść do nich, żeby ich skontrolować, ale zobaczył agenta specjalnego, który wyszedł z domu i ruszył alejką w jego kierunku. Po chwili zauważył, że Vogel zwalnia kroku, a potem robi coś, co było kompletnie bez sensu.

Zaczął klaskać.

Najpierw cicho, potem coraz głośniej. A jednocześnie rozglądał się na wszystkie strony. Dźwięki rozchodziły się z echem i w oknach pobliskich domów zaczęły pojawiać się twarze sąsiadów. Starsza kobieta, małżeństwo z dziećmi, otyły mężczyzna i jakaś gospodyni z lokówkami na głowie. Stopniowo zaczęło przyłączać się coraz więcej oczu. Przyglądały się tej scenie, niczego nie rozumiejąc.

W końcu agent przestał klaskać.

Po raz ostatni rozejrzał się na oczach przyglądających mu się ludzi, a potem podjął marsz jakby nigdy nic i wsiadł do samochodu. Borghi miał ochotę zapytać go o powody tego dziwnego zachowania, ale i tym razem jako pierwszy odezwał się Vogel:

– Co pan dziś zauważył w tym domu, panie Borghi?

Młody policjant nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Kastnerowie przez cały czas trzymali się za ręce, wydawali się bardzo sobie bliscy... Ale mówiła tylko ona.

Agent specjalny kiwnął głową, spoglądając przez przednią szybę.

– Ten człowiek umiera z pragnienia, żeby coś nam powiedzieć.

Borghi nie zareagował. Uruchomił silnik, zapominając o klaskaniu i o czarnej furgonetce.

* * *

Posterunek policji był zbyt mały i ciasny dla rozmachu Vogla. Agent specjalny zażądał bardziej odpowiedniego miejsca do prowadzenia śledztwa. W związku z tym funkcję centrum operacyjnego podczas poszukiwań dziewczyny

pełniła sala gimnastyczna przy szkole.

Materace i przyrządy służące do ćwiczeń zsunięto pod jedną ścianę. Wielki kosz z piłkami do siatkówki stał zapomniany w jednym z rogów. Ktoś przyniósł z sal szkolnych kilka stołów, żeby ich użyć jako biurka, ktoś inny zdobył składane krzesła ogrodowe. Biblioteka udostępniła dwa notebooki i komputer stacjonarny, ale tylko jeden telefon miał wyjście na zewnątrz. Pod koszem do koszykówki ustawiono tablicę, a na jej czarnej łupkowej powierzchni pojawił się napis kredą: *Wyniki śledztwa*. Pod spodem przyklejono dotąd zebrane elementy: zdjęcie Anny Lou, które widniało na ulotkach wydrukowanych przez rodzinę, oraz mapę doliny.

W tym momencie w pomieszczeniu rozbrzmiewały rozmowy niewielkiej grupy policjantów z Avechot – w cywilnych ubraniach – którzy zgromadzili się wokół ekspresu do kawy i tacy ciasteczek. Rozmawiali z pełnymi ustami i bezustannie ze zniecierpliwieniem spoglądali na zegarki. W panującym gwarze nie można było rozpoznać tematu rozmów, ale miny policjantów mówiły, że narzekania ich wszystkich mają ten sam powód.

Głuchy i niespodziewany odgłos jednoczesnego otwierania obu skrzydeł ognioodpornych drzwi sprawił, że wszyscy odwrócili się w ich stronę. Do sali gimnastycznej wkroczył Vogel, za plecami którego pojawił się Borghi, i gwar rozmów zamilkł. Drzwi zamknęły się z łoskotem za plecami agenta specjalnego i w przestronnej sali słychać było tylko zdecydowane odgłosy jego kroków i poskrzypywanie skórzanych butów, które miał na nogach.

Vogel podszedł w pobliże tablicy pod koszem, nie witając się z nikim ani nie racząc spojrzeć na żadnego z obecnych. Przez chwilę przypatrywał się „wynikom śledztwa”, tak jakby badał je uważnie. Potem zaskakującym gestem starł dłonią napis i zerwał zdjęcie oraz mapę.

Następnie napisał kawałkiem kredy datę: *23 grudnia*.

Odwrócił się w stronę skromnego audytorium.

– Od zaginięcia minęły już prawie dwa dni – zaczął. – W przypadku zaginięcia czas jest naszym wrogiem, ale może też stać się sprzymierzeńcem. Wszystko zależy od nas. Musimy dobrze go wykorzystać, dlatego trzeba wykonać pierwszy ruch. – Pozwolił sobie na pauzę. – Chcę mieć blokady na drodze krajowej chroniące oba wjazdy do doliny – powiedział stanowczym tonem. – Nie musicie nikogo zatrzymywać, ale powinniśmy wysłać jakiś sygnał.

Obecni słuchali go w milczeniu. Borghi stał trochę z boku i przyglądał się im, opierając się o ścianę.

– Czy ktoś sprawdził kamerę na stacji benzynowej i tę drugą, kontrolującą ruch na drodze? Czy one działają? – spytał Vogel.

Po chwili wahania jeden z policjantów, facet z wystającym brzuchem, ubrany w koszulę w kratkę i niebieski krawat, uniósł filiżankę z kawą, którą trzymał w dłoni, sygnalizując, że chce zabrać głos. Był trochę zmieszany.

– Tak, mamy zdjęcia wykonane w godzinach bliskich chwili zaginięcia.

– Dobrze – rzucił z zadowoleniem Vogel. – Ustalcie nazwiska kierowców płci męskiej z pojazdów, które przejeżdżały drogą, i sprawdźcie powody, dla których zjawiali się w dolinie albo ją opuszczali. Skupcie uwagę na tych, którzy mają za sobą jakieś agresywne zachowania albo byli w przeszłości karani.

Ze swego uprzywilejowanego punktu obserwacyjnego Borghi mógł dostrzec rozczarowanie na twarzach obecnych.

Głos zabrał następny funkcjonariusz, który był starszy wiekiem i dlatego uważał, że może sobie pozwolić na pewną krytykę.

– Agencje Vogel, jest nas niewielu, nie mamy środków, a poza tym brakuje funduszy na godziny nadliczbowe.

W grupie jego kolegów dało się słyszeć coś w rodzaju szmeru poparcia.

Nie okazując najmniejszego zakłopotania, Vogel rozejrzał się po ustawionych w sali biurkach i całym tym niedostatecznym wyposażeniu, na tle którego wyglądali po prostu śmiesznie. Nie mógł potępiać tych ludzi za to, że są nastawieni sceptycznie i brakuje im motywacji. Ale nie mógł także pozwolić, żeby szukali wymówek. W związku z tym odparł spokojnie:

– Wiem, że chcielibyście być teraz w domu i świętować z rodzinami Boże Narodzenie. W waszych oczach ja i funkcjonariusz Borghi jesteśmy obcymi, którzy zjawili się tu, żeby wam rozkazywać. Ale kiedy ta historia się zakończy, my dwaj, ja i Borghi, będziemy mogli wrócić tam, skąd przybyliśmy. Za to wy... – Rozejrzał się szybko po ich twarzach, nie pomijając żadnego. – Wy będziecie musieli spotykać się na ulicy z rodzicami tej dziewczyny.

Zapadła krótka cisza. Potem odezwał się znowu najstarszy z policjantów. Tym razem bez cienia arogancji.

– Niech mi pan wybaczy pytanie: dlaczego mamy szukać mężczyzny, jeśli zaginęła dziewczyna? Nie powinniśmy skoncentrować się na niej?

– Ponieważ ktoś ją porwał.

Jak było do przewidzenia, jego oświadczenie podziało na słuchaczy deprimująco, wykluczając jakiegokolwiek odpowiedzi. Vogel przyjrzał się uważnie twarzom obecnych. Każdy policjant obdarzony zdrowym rozsądkiem odrzuciłby jego stwierdzenie jako śledczą herezję. Nie było dowodów potwierdzających tę hipotezę, nawet najdrobniejszej poszlaki. Było to oskarżenie rzucone w pustkę. Ale wystarczyło, żeby w ich umysłach mogło wykiełkować podejrzenie, że to jest możliwe. Wystarczyło ziarenko prawdopodobieństwa, żeby w krótkim czasie wyrosła pewność. Vogel dobrze wiedział, że jeśli uda mu się trafić do przekonania tym ludziom, wtedy będzie mógł przekonać każdego innego. Wszystko rozgrywało się tutaj. Nie w prawdziwym centrum operacyjnym z wyposażeniem godnym jednostki kryzysowej, ale w szkolnej sali gimnastycznej. Nie z udziałem zawodowców zahartowanych od lat w tego rodzaju działalności, ale ze źle

wyekwipowanymi lokalnymi policjantami, którzy nie mieli pojęcia, jak prowadzi się skomplikowane śledztwo. W ciągu tych kilku minut rozgrywał się los śledztwa, a być może również los zaginionej szesnastolatki. Z tego powodu Vogel zaczął sięgać po wszelkie chwyt, jakich nauczył się z biegiem lat, żeby dobrze sprzedać swój towar.

– Nie ma sensu kręcić się w kółko – podjął po chwili. – Musimy nazwać rzeczy po imieniu, ponieważ, jak powiedziałem wcześniej, cała reszta narazi nas tylko na stratę czasu. A ten czas należy do Anny Lou, nie do nas... – Potem wyciągnął z kieszeni płaszcz czarny notes, otworzył go zdecydowanym ruchem dłoni i przyjrzał się zapiskom. – Jest około siedemnastej dwudziestego trzeciego grudnia. Anna Lou Kastner wychodzi z domu na zebranie w odległym o jakieś trzysta metrów kościele. – Odwrócił się, żeby zaznaczyć na tablicy dwa dość odległe od siebie punkty. – Wiemy, że nie dotrze na miejsce. To nie jest typ dziewczyny uciekającej z domu. Mówią to ci, którzy ją znają, ale potwierdza to również styl życia, jakie prowadzi: w domu nie ma internetu, brak jej profilu w mediach społecznościowych, w komórce ma zapisanych zaledwie pięć numerów telefonicznych. – Policzył je na palcach: – Mama, tata, dom, dziadkowie i parafia. – Odwrócił się znowu do tablicy i połączył linią dwa zaznaczone wcześniej punkty. – Wszystkie odpowiedzi znajdują się na odcinku tych trzystu metrów. Mieszka tu jednaście rodzin, w sumie czterdzieści sześć osób, z których trzydzieści dwie były w tym momencie w swoich domach... ale nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Kamery monitoringu skierowane są do wnętrza nieruchomości, a nie w stronę ulicy, toteż nie zdadzą się na nic. Jak to się mówi? Każdy dba tylko o własny ogródek. – Wsunął do kieszeni czarny notes. – Porywacz zbadał przyzwyczajenia mieszkańców i wiedział, jak się poruszać, żeby pozostać niezauważonym. Fakt, że możemy tylko hipotetycznie przyjąć jego istnienie, mówi nam, że dobrze przygotował się do rozegrania tej partii, zanim jeszcze rozpoczął swoją grę... I że na razie wygrywa.

Vogel odłożył kredę, klasnął w dłonie, żeby otrzepać je z pyłu, a potem zaczął przyglądać się słuchaczom, starając się domyślić, czy przedstawiona koncepcja chwyciła. Tak, udało się. Zaszczepił im wątpliwość. Ale zrobił też coś więcej: podsunął im motyw, żeby się poświęcili. Od tej chwili będzie mógł łatwo nimi manipulować i nikt nie podda już pod dyskusję nawet jednego słowa z jego poleceń.

– Dobrze, zapamiętajcie zatem: pytanie nie dotyczy już tylko tego, gdzie jest obecnie Anna Lou. Rzeczywiste pytanie brzmi: w czyich ona jest rękach? – zakończył agent specjalny. – A teraz bierzemy się do roboty.

* * *

Borghi, o pustym żołądku, zaszył się w małym hotelowym pokoiku, który

zarezerwował po południu, razem z pokojem dla agenta specjalnego Vogla. Był pewien, że w Boże Narodzenie nie będzie wolnych miejsc. Jednak mimo że hotel Fiori delle Alpi był jednym z ostatnich obiektów turystycznych, które jeszcze działały w dolinie, praktycznie biorąc stał zupełnie pusty. Inne pensjonaty i hotele zamknęły podwoje z chwilą rozpoczęcia wydobywania fluorytu. W pierwszej chwili Borghi zaczął się zastanawiać, dlaczego nie zostały zamienione na hotele dla pracowników międzynarodowej spółki, ale potem portier wyjaśnił mu, że prawie wszyscy robotnicy pochodzą stąd, natomiast kierownictwo firmy przylatuje i odlatuje własnymi śmigłowcami i nigdy nie pozostaje tu zbyt długo.

Avechot miało zaledwie trzy tysiące mieszkańców, z czego połowa męskiej siły roboczej znalazła zatrudnienie w wielkim zakładzie wydobywczym, który zdominował dolinę.

Znalazłszy się w pokoju, Borghi zsunął najpierw skórzane buty i rozwiązał krawat. Było mu potwornie zimno w ubraniach, które miał na sobie przez cały dzień. Zazwyczaj wkładał garnitur, gdy musiał udać się do sądu, żeby złożyć zeznania. Nie był przyzwyczajony do noszenia go przez tyle godzin. Odczekał, aż temperatura jego ciała dostosuje się do temperatury panującej w pokoju, po czym zdjął również marynarkę i koszulę. Musiał uprać koszulę i rozwiesić w łazience z prysznicem, mając nadzieję, że wyschnie do jutra, ponieważ żona, pakując mu walizkę, zapomniała włożyć drugiej na zmianę. Ostatnio Caroline była bardzo roztargniona. Pobrali się trochę ponad rok temu i teraz była w siódmym miesiącu ciąży.

Trudno jest wytłumaczyć młodej żonie spodziewającej się dziecka, dlaczego nie można spędzić z nią Bożego Narodzenia, nawet jeśli powodem jest praca w policji, od której nie można się wymigać.

Borghi zadzwonił do Caroline z łazienki, podczas gdy koszula moczyła się w umywalce. Rozmowa toczyła się dość szybko.

– A więc co się dzieje w tym Avechot? – zapytała rozdrażnionym tonem.

– Tak naprawdę jeszcze tego nie wiemy.

– W takim razie mogliby dać ci wolny dzień.

Było oczywiste, że Caroline chce wywołać kłótnię. Rozmowa z nią, gdy zachowywała się w ten sposób, była bardzo trudna.

– Powiedziałem ci, że moja obecność tutaj jest ważna dla mojej kariery. – Starał się mówić pojednawczym tonem, ale nie było to łatwe. Poza tym przeszkadzały mu głosy dochodzące z włączonego telewizora w pokoju. – Przepraszam cię, ale muszę iść, słyszę pukanie do drzwi – skłamał. I wyłączył się, zanim Caroline zdążyła rozpocząć od nowa swoje biadolenia. Wrócił natychmiast do pokoju, żeby obejrzeć zdjęcia nadawane w dzienniku telewizyjnym.

W bożonarodzeniowy wieczór, gdy ludzie skończyli już świętować i szykowali się do zakończenia długiego dnia, na ekranie telewizora pojawili się

rodzice Anny Lou.

Siedzieli jedno obok drugiego przy dużym prostokątnym stole umieszczonym na małym podwyższeniu. Ubrani byli w zimowe kurtki, które wydawały się na nich za duże, tak jakby dręczący niepokój ostatnich godzin sprawił, że się w sobie zapadli. Byli przygaszeni, ale wciąż trzymali się za ręce.

Borghy rozpoznał apel nagrany tego popołudnia pod nadzorem Vogla przez technika miejscowej stacji telewizyjnej. On też był przy tym obecny, ale oglądanie tej samej sceny na małym ekranie wywołało w nim dziwne wrażenie. Sam nie wiedział, czym je wytłumaczyć.

Bruno Kastner zademonstrował przed obiektywem kamery oprawione zdjęcie córki, zrobione po zakończeniu religijnej ceremonii, na którym Anna Lou ubrana była w śnieżnobiałą tunikę i miała na szyi drewniany krzyżyk. Jego żona Maria, z takim samym krzyżykiem na szyi, odczytała komunikat: „Anna Lou ma metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, długie rude włosy, które przeważnie związuje w koński ogon. W chwili zaginięcia nasza córka była ubrana w szary dres, adidas i białą puchową kurtkę, miała mały kolorowy plecak”. Potem, zaczerpnąwszy powietrza do płuc, kobieta spojrzała wprost w kamerę, tak jakby zwracała się bezpośrednio do wszystkich słuchających jej rodziców, ale być może również do ludzi, którzy mogli znać prawdę. „Nasza córka Anna Lou jest grzeczną dziewczynką; wszyscy, którzy ją znają, wiedzą, że ma bardzo dobre serce: lubi koty i ufa ludziom. Dlatego dziś zwracamy się także do osób, które jej nie poznały w okresie pierwszych szesnastu lat jej życia: jeśli ją widzieliście lub wiecie, gdzie się znajduje, pomóżcie nam, żeby wróciła do domu”. W końcu zwróciła się do córki, jakby ta naprawdę mogła jej słuchać w jakimś nieznanym i dalekim miejscu. „Anno Lou, mama, tata i twoi bracia, wszyscy bardzo cię kochamy. Gdziekolwiek jesteś, mam nadzieję, że dotrze do ciebie nasz głos i nasza miłość. A jak już wrócisz do domu, Anno Lou, подарujemy ci małego kotka, którego tak bardzo chcesz mieć, przyrzekam ci to... Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moja malutka”.

Kilka razy powtórzyła imię córki, pomyślał Borghi. Chociaż nie było to konieczne. Może zrobiła to, ponieważ bała się, że utraci również tę ostatnią rzecz, która jej została z Anny Lou.

W tym momencie zwykła, nikomu nieznaną dziewczyną, która nigdy nie wyobrażała sobie, że pewnego dnia pojawi się w telewizji, ale także małeńka alpejska osada o nazwie Avechot, zaczynały zdobywać smutną sławę. W końcu Borghi uświadomił sobie jasno dlaczego, gdy niedawno zaczął oglądać tę scenę, odniósł wrażenie, że jej nie zna, choć przecież już ją widział.

Tak oddziaływała telewizja. Wyglądało to tak, jakby słowa i gesty nabierały nowych znaczeń.

Dawniej telewizja ograniczała się do przedstawiania rzeczywistości, obecnie

za jej sprawą toczył się proces odwrotny. Sprawiała, że rzeczywistość stawała się namacalna i pełna treści.

Tworzyła ją.

Borghy pomyślał o słowach odnoszących się do ojca Anny Lou, wypowiedzianych przez Vogla po tym dziwnym klaskaniu przed domem Kastnerów, gdy wsiadł do samochodu: „Ten człowiek umiera z pragnienia, żeby nam coś powiedzieć”.

Niebawem Borghi miał zostać ojcem córeczki. Już od przeszło czterdziestu ośmiu godzin człowiek, na którego Vogel rzucił złowrogi cień, nie wiedział, co się stało z jego własną córką. Borghiego ogarnął nagły niepokój. Poczul się zmuszony zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście świat, który oczekiwał jego córki, jest aż tak okrutny.

* * *

Przed północą w domu Kastnerów panowała cisza. Ale ta cisza nie miała nic wspólnego ze spokojem, ponieważ w oczywisty sposób ukazała pustkę, jaka od przeszło czterdziestu ośmiu godzin ogarnęła ten dom. Teraz nieobecność Anny Lou stała się namacalna. Bruno Kastner nie mógł już jej ignorować, jak to robił przez cały dzień, unikając spoglądania na drzwi pokoju córki albo na zajmowane zwykle przez nią miejsca, jak krzesło przy stole lub fotel, w którym lubiła siadać wieczorami, żeby czytać książkę lub oglądać telewizję. Więc zastąpił nieobecność jej głosu innymi dźwiękami. Na przykład, gdy nie mógł już znieść cierpienia wywołanego brakiem jej mówienia, śmiechów albo podśpiewywania, przestawiał jakiś przedmiot, dzięki czemu pustkę pozostawioną przez Annę Lou wypełniał hałas, wrywając go z tej straszliwej ciszy.

Doktor Flores przepisał Marii środki uspokajające, żeby mogła spać. Bruno dopilnował, aby je zażyła, a potem poszedł poprawić kołderkę w łóżeczku bliźniaków, zatrzymał się na progu ich pokoiku, i przez chwilę czuwał nad ich niespokojnym snem. Dzieci trzymały się mocno, ale z ich snów można było wywnioskować, że i one są zaniepokojone. Przez cały dzień zadawały pytania niemal obojętnym tonem, zadowolając się krótkimi wymijającymi odpowiedziami. Lecz ich pozorna obojętność kryła obawę, że znają prawdę. Prawdę, na którą nie jest się przygotowanym, mając zaledwie siedem lat.

Również Bruno Kastner jej nie znał, wiedział tylko, że jest nią przerażony.

W końcu usiadł przy stole jadalnym. Znowu w kapciach i piżamie. Po wizycie dwóch policjantów włożył ubranie, nie wiedząc dokładnie, dokąd iść. Znalazł pocieszenie w rutynie zawodu transportowca, spędził zatem następne godziny w kabinie swej furgonetki, kręcąc się bez celu po górskich drózkach. Szukał śladu po Annie Lou, czegokolwiek. W rzeczywistości uciekał też od swoich niepokojów i od poczucia bezsilności, jaką może odczuwać tylko ojciec, który wie,

że nie chronił swoich najbliższych tak, jak powinien.

Teraz, pod koniec tego niekończącego się dnia, mimo że był bardzo zmęczony, nie miał pewności, czy będzie w stanie zasnąć. Bał się snów, jakie na niego czekały. Nie mógł wziąć środka nasennego, ponieważ ktoś mimo wszystko musiał nadal strzec domu i rodziny. Choć być może było to daremne, bo zło i tak znalazło sposób, żeby dostać się do środka. Poza tym istniała możliwość, że Anna Lou niespodziewanie wróci lub zadzwoni telefon, żeby uwolnić ich wszystkich od tych złych czarów.

Poszedł do saloniku i wyjął z szuflady kilka albumów z rodzinnymi zdjęciami, które Maria zbierała z upodobaniem przez wszystkie te lata. Wrócił z nimi do jadalni. Usiadł przy stole, ale nie zapalił światła; wystarczało mu to, które sączyło się przez okno, rzucane przez uliczną latarnię. Zaczął wyjmować zdjęcia z nacięć na kartach i rozkładać je po kolei na blacie, według pewnego porządku, który znał tylko on, niczym wróżbiarz próbujący przewidzieć przyszłość z leżących przed nim kart.

Na tych zdjęciach była jego córka uwieczniana od czasu, gdy była bardzo małe.

Anna Lou odżyła, rosnąc na jego oczach. Dzień, w którym zaczęła pełzać na czworakach, potem inny, gdy nauczyła się stawiać pierwsze kroki, i jeszcze inny, w którym on nauczył ją jeździć na rowerku. Była cała seria pierwszych razów. Dzień pierwszych urodzin, pierwszy dzień w szkole. Pierwsze Boże Narodzenie. A potem wiele innych momentów, rozrzuconych w czasie. Inne urodziny, wycieczki w góry, zawody łyżwiarskie. Niczym najazd kamerą przybliżający szczęśliwe wspomnienia. Ponieważ – już sama myśl o tym wydawała się głupia – ludzie nie robią zdjęć w dniach, które wydają się im niedobre. A nawet gdyby je robili, z pewnością nie odkładaliby ich na pamiątkę, pomyślał.

Były też zdjęcia z ostatnich wakacji spędzonych razem w zeszłym roku, kiedy pojechali nad morze. Anna Lou w kostiumie kąpielowym wyglądała śmiesznie, a nawet trochę niezręcznie, i wiedziała o tym. Być może dlatego na tych zdjęciach ustawiała się zawsze z boku. W odróżnieniu od wielu swoich rówieśniczek, nie była jeszcze rozwinięta fizycznie. Wydawała się dziecinna z rudymi włosami związanymi w koński ogon i piegowatą buzią. Bruno Kastner chciałby, żeby Maria z nią porozmawiała, żeby jej wytłumaczyła, że jest normalna i że pewnego dnia jej ciało przejdzie nagłe i szczęśliwe przeobrażenie. Ale dla jego tak bardzo religijnej żony takie tematy jak seks czy dojrzałość płciowa były po prostu tabu. Z pewnością nie mógł tego zrobić on sam. Choć pewnego dnia przyszłaby kolej i na niego, z powodu bliźniaków. Nie mógł jednak podjąć tego rodzaju rozmowy ze swoją jedyną córką. Wprawilby ją w śmiertelne zakłopotanie. Anna Lou natychmiast by się zaczerwieniła i wiedząc, że ma zaognione policzki i nie może nic na to poradzić, poczułaby się jeszcze bardziej bezbronna

i wystawiona na zranienie.

Jego córka była taka jak on, nieśmiała i trochę skrępowana, jeśli chodzi o wzajemne stosunki z resztą świata. Łącznie z rodziną.

Bruno chciałby zaoferować jej coś więcej. Na przykład, wykorzystać część pieniędzy ze sprzedaży działki spółce górniczej, żeby wysłać ją do lepszej szkoły, poza doliną. Może nawet do jakiegoś dobrego prywatnego college'u. Ale działka, a w konsekwencji również pieniądze, należały do jego żony. A Maria jak zwykle decydowała za wszystkich. Tak naprawdę nie był przeciwny przekazaniu okazałej donacji na rzecz wspólnoty religijnej, ale chciałby, żeby ich dzieci mogły dysponować swoją częścią już teraz, a nie w jakiejś hipotetycznej przyszłości.

Ponieważ w gruncie rzeczy Bruno nie wiedział na przykład, czy Anna Lou ma przed sobą jakąś przyszłość.

Odrzucił z poirytowaniem tę myśl. Chętnie rąbnąłby pięścią w stół. Był dość silny, żeby rozłupać go na dwoje. Ale się powstrzymał. Powstrzymywał się przez całe życie.

Przetarł oczy, a kiedy je otworzył, zatrzymał wzrok na pewnym konkretnym zdjęciu. Zrobionym stosunkowo niedawno. Córka uśmiechała się na nim, stojąc obok innej dziewczyny. Zestawienie to odsłaniało w bezlitosny sposób fakt, że Anna Lou, w dresie i adidasach, z rudymi włosami zebranymi jak zwykle w koński ogon, wydawała się dzieckiem. Natomiast jej koleżanka miała na twarzy makijaż, ubrana była modnie, ale przede wszystkim wyglądała na dorosłą kobietę. Przyglądając się im uważnie, Bruno Kastner miał ochotę się rozplakać, ale nie był w stanie.

To, co się wydarzyło, było jego winą, wyłącznie jego.

Był człowiekiem wierzącym, choć nie tak mocno jak Maria, toteż zdawał sobie sprawę z tego, że ma poważną wadę. Bo gdyby miał dość siły, żeby narzucić żonie swoje zdanie, teraz Anna Lou byłaby bezpieczna w pokoju jakiegoś college'u lub może w innym miejscu. Gdyby zdobył się na odwagę i rzeczywiście powiedział Marii, co myśli, a także przekonał ją do własnej opinii, jego córka by nie zaginęła.

Ale on milczał. Ponieważ tak postępują grzesznicy: milczą, a trwając w tym swoim milczeniu, kłamią.

Bruno Kastner sam wydał na nią wyrok. Odłożył na miejsce prawie wszystkie zdjęcia, zamknął albumy i zaczął się szykować do spędzenia trzeciej z kolei bezsennej nocy. W tym momencie na stole leżała już tylko jedna fotografia. Ta z Anną Lou i jej koleżanką.

Włożył ją do kieszeni.

26 grudnia
Trzeci dzień po zaginięciu

Pogoda się zmieniła – temperatura spadła i w miejsce jasnego bożonarodzeniowego słońca pojawiła się gruba warstwa szarych chmur.

Avechot drzemało jeszcze leniwie po świątecznych biesiadach. Za to Vogel i Borghi wstali wcześniej, żeby dobrze wykorzystać dzień. Kręcili się ciemną limuzyną ulicami miasteczka. Wydawało się, że agent specjalny jest w pełnej formie. Był ubrany, jakby szedł na jakieś oficjalne spotkanie. Lśniące buty, garnitur jak u księcia Walii, biała koszula i różowy wełniany krawat. Borghi miał na sobie te same rzeczy co wczoraj, a do tego nie mógł wyprasować koszuli, którą uprał w hotelu. Czuł, że nie pasuje do swego zwierzchnika. Całą uwagę poświęcał prowadzeniu auta, natomiast Vogel rozglądał się na wszystkie strony.

Na ścianach domów widniały wymalowane białą farbą religijne napisy: *Trwam przy Jezusie!, Chrystus jest drogą, Ten, kto idzie ze mną, będzie zbawiony.* Zostały wykonane ręcznie, co pozwalało wysnuć wniosek, że nie są dziełem jakiegoś anonimowego szaleńca. Wypisali je sami właściciele domów, żeby w jasny sposób okazać swoją wiarę. Poza tym prawie wszędzie znajdowały się krzyże. Widniały na ścianach budynków użyteczności publicznej, wznosiły się pośrodku kwietników, a nawet w witrynach sklepowych.

Wydawało się, jakby przez osadę przeszła fala religijnego fanatyzmu.

– Proszę mi opowiedzieć o bractwie, do którego należą Kastnerowie.

Żądanie Vogla nie zaskoczyło Borghiego, który zrobił na ten temat porządny research i był na nie przygotowany.

– Mniej więcej dwadzieścia lat temu w Avechot miał miejsce skandal: miejscowy ksiądz uciekł z jedną z parafianek, oddaną żoną i matką trojga dzieci.

– Nie interesują mnie plotki – ofuknął go z kwaśną miną Vogel.

– Nic nie poradzę, agencie Vogel, że wszystko zaczęło się właśnie od tego. W innych okolicznościach sprawa rozeszłaby się po kościołach i zakończyła właśnie na paru plotkach i oszczerstwach, ale w Avechot potraktowano ją poważnie. Mówią, że ksiądz był młody i charyzmatyczny. Swoimi kazaniami zaskarbił sobie względy wszystkich i był bardzo lubiany.

W zamkniętej społeczności, która żyje odizolowana w górach, potrzebna jest właśnie charyzma, żeby trafić do serc ludzi... lub należy wykorzystać powszechną naiwność, pomyślał Vogel.

– Faktem jest – ciągnął Borghi – że ksiądz potrafił stworzyć wokół siebie sporą grupę zwolenników. Miejscowa wspólnota składała się zawsze z wystarczającej liczby praktykujących osób, więc po tym, co się wydarzyło,

musieli się poczuć w jakiś sposób zdradzeni przez swojego duchowego przewodnika. W tym momencie przeważała nieufność miejscowych wobec przyjezdnych i wierni zaczęli odrzucać wszystkich zastępców przysyłanych przez kurię. Po paru latach niektórzy członkowie społeczności wzięli na siebie role diakonów i od tamtego czasu wspólnota sama kieruje swoimi sprawami.

– Niczym jakaś religijna sekta? – zapytał zaciekawiony nagle Vogel.

– Coś w tym rodzaju. W tych stronach ludzie utrzymywali się z turystyki, ale tak naprawdę obcy nigdy nie byli tu mile widziani. Okazywali się zbyt natrętni i mieli przyzwyczajenia, które w żaden sposób nie przystawały do „miejscowej kultury”. W końcu, wraz z odkryciem złóż fluorytu, tutejsi ludzie mogli się ich pozbyć i niemal całkowicie zerwać kontakty z resztą świata.

– Sądząc po tym, ile pieniędzy przeznaczyci na cele religijne, Kastnerowie muszą należeć do najbardziej żarliwych wiernych.

– Zauważył pan, że mówią o swoim bractwie, jakby to był ekskluzywny, elitarny krąg? Coś w rodzaju „my i ci inni”... nie wiem, czy dobrze oddają to zjawisko.

– Najzupełniej.

– Członkowie wspólnoty byli pierwszymi, którzy zaangażowali się w poszukiwania Anny Lou. Zauważyłem, że przez te ostatnie dni często kontaktowali się z jej rodziną, a dzisiaj rano niektórzy z nich przenieśli się do domu Kastnerów, żeby się nimi opiekować i ani na chwilę nie zostawiać ich samych.

Dotarli w pobliże miejscowego kościoła. Obok plebanii wzniesiono bardziej nowoczesną budowlę.

– No właśnie, to jest sala zebrań. Korzystają z niej dużo częściej niż z samego kościoła, zwłaszcza po to, żeby dopełniać rytuałów wspólnej modlitwy. Wydaje się, że wspólnota ma duże wpływy w dolinie, potrafi nawet ingerować w decyzje spółki górniczej, która bardzo się z nią liczy. Burmistrz, radni miejscy i wszyscy urzędnicy publiczni podzielają poglądy bractwa. W rezultacie narzucili szereg zakazów, na przykład publicznego palenia tytoniu lub podawania napojów alkoholowych w niedzielę i dni świąteczne, a ponadto również wieczorem, po godzinie osiemnastej. Oprócz tego wspólnota występuje przeciwko przerywaniu ciąży, homoseksualizmowi i źle patrzy na pary żyjące w związkach pozamałżeńskich.

Cholernie egzaltowani, pomyślał Vogel, który jednak już wcześniej wyrobił sobie jasny pogląd na tę sprawę. I był bardzo zadowolony z takiego stanu rzeczy.

Z jego punktu widzenia, środowiskowy kontekst zaginięcia Anny Lou był wprost idealny. Z powodu tajemniczego zniknięcia dziewczyny i zła, które wkradło się do wspólnoty tak surowo poświęcającej się Bogu i jego przykazaniom, całe miasteczko zmuszone było zadać sobie pytanie o to, co się w nim dzieje.

Lub już się wydarzyło.

* * *

Vogel poprosił Borghiego o zaaranżowanie spotkania z burmistrzem i leśniczym. Wszystko udało się zorganizować zgodnie z wymaganiami agenta specjalnego, nawet miejsce spotkania, którym miał być brzeg płynącej przez dolinę rzeki.

Borghie zaparkował na dużym żwirowym placu niedaleko opuszczonego drewnianego domku, na którym widniał stary szyld informujący, że kiedyś sprzedawano tu żywe przynęty i wypożyczano wędki do łowienia ryb. Burmistrz i leśniczy już tam byli – przyjechali należącą do miasta terenówką.

Polityk był potężnym mężczyzną z imponującym brzuchem, z trudem podtrzymywanym przez pasek w spodniach. Miał na sobie rozpiętą sportową zimową kurtkę, niebieską bawełnianą koszulę i krawat w koszmarne czerwone romby. Krawat przytrzymała złota spinka, na końcu której widniał maleńki ametystowy krzyżyk. Vogel nie dał po sobie poznać, jak bardzo śmieszny wydał mu się ten strój, zestawiony z komicznym nakryciem na gruszkowatej głowie i wąsikami nad mięsistą górną wargą. Pomyślał, że burmistrz jest jednym z tych osobników, którym jest ciągle gorąco, również w zimie. Dowodem na to mogły być niezdrowo zarumienione policzki. Kiedy facet podszedł do niego z najbardziej serdecznym uśmiechem na twarzy, Vogel przyjął energiczny uścisk dłoni, ale nie odwdzieczył się takim samym entuzjazmem.

– Panie agencie specjalny, znam Kastnerów od zawsze, nie wyobraża pan sobie, ile bólu sprawia mi to, co teraz przeżywają – powiedział burmistrz, zamieniając uśmiech w minę wyrażającą zmartwienie. – Jesteśmy szczęśliwi, że to pan zajmie się naszą Anną Lou. Zważywszy pańską sławę, nasza dziewczynka jest w jak najlepszych rękach.

Anna Lou stała się nagle córką wszystkich, pomyślał Vogel. W zasadzie zawsze tak się działo, przynajmniej jeśli chodzi o słowa. Jednak gdy tylko zamykali za sobą drzwi domów, wszyscy odczuwali zadowolenie, że ten los spotkał dziecko kogoś innego.

– Wasza dziewczynka zostanie potraktowana preferencyjnie – odparł Vogel, ale burmistrz nie uchwycił odcienia sarkazmu w jego głosie. – Może przyjrzymy się teraz rzece?

Obszedł masywnego mężczyznę i skierował się w stronę brzegu. Zbity z tropu burmistrz pozostał na miejscu przez dłuższą chwilę, po czym ruszył za nim. To samo zrobili leśniczy i Borghie. Ten ostatni zadawał sobie pytanie, do którego miejsca na placu chce dojść Vogel, żeby zbliżyć się do nurtu rzeki. Zdziwił się niepomniernie, widząc, że jego przełożony wychodzi poza teren pokryty żwirem, podąża przez błoto, którego pas ciągnął się wzdłuż brzegu, i idzie dalej, nie zwracając uwagi na to, że ubłoci eleganckie ubranie i drogie buty.

Wszyscy poczuli się zmuszeni iść za nim.

Tylko leśniczy miał na nogach wysokie buty z cholewami, a pozostali ubłocili się już po kolana. Borghiemu przeleciało przez głowę, że wieczorem po powrocie do hotelu będzie musiał zrobić kolejne pranie, które być może nie wystarczy, żeby uratować jego jedyny garnitur.

– Rzeka ma średnią szerokość dziewięciu metrów i umiarkowaną prędkość. A w tym miejscu jeszcze dodatkowo zwalnia – wyjaśnił gajowy.

Vogel wypytał go już o szereg detali, jednak leśniczy nie rozumiał, dlaczego tak go interesują.

– Jaka jest głębokość rzeki? – spytał agent specjalny.

– Średnia półtora metra, ale w niektórych miejscach dochodzi nawet do dwóch i pół. Tyle że prąd nie jest w stanie oczyścić dna ze śmieci, które się na nim zbierają.

– W takim razie czyścicie wy?

– Raz na dwa albo trzy lata. Jesienią, zanim nadejdą deszcze, buduje się sztuczną tamę i pogłębiarki wykonują tę robotę w ciągu tygodnia.

Borghi odwrócił się w stronę przerzuconego nad nurtem rzeki mostu, odległego od nich o prawie sto metrów. Stała na nim czarna furgonetka, którą poprzedniego dnia zauważył pod domem Kastnerów. Przypuszczał, że w kabinie ciągle znajdują się dwaj mężczyźni, których widział wtedy. Być może powinien zwrócić na nią uwagę Vogla.

– Odkąd kopalnia spowolniła bieg rzeki, wykorzystując część niesionej przez nią wody, na dnie gromadzą się odpadki, wszelkiego rodzaju śmieci i ciała zwierząt. Jeden tylko Bóg może wiedzieć, co tam jest na dole – wyjaśnił leśniczy, a potem dodał: – Ta rzeka choruje.

Słyszając jego słowa, burmistrz aż podskoczył i natychmiast pospieszył skorygować swego pracownika.

– Zarząd miasta przekonał kopalnię, żeby sfinansowała kampanię ochrony środowiska. Wydawane są znaczne kwoty na oczyszczanie.

Vogel zignorował jego uwagę i zwrócił się do Borghiego, odrywając go od przyglądania się furgonetce:

– Będziemy musieli porozmawiać z ludźmi z tej spółki i poprosić o listy ich dostawców zewnętrznych oraz o nazwiska robotników dojeżdżających do pracy.

Na twarzy burmistrza pojawiło się wyraźne zaniepokojenie.

– No nie, dajmy spokój. Dlaczego robić im kłopot z powodu sprawy, która może się okazać zaledwie dziecięcym wybrykiem?

Vogel odwrócił się i wlepił w niego poważne spojrzenie.

– Dziecięcym wybrykiem?

Tamten próbował się poprawić.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja też jestem ojcem i wiem, co czują jej

rodzice... Ale nie wydaje się panu, że przyjmowanie tak alarmistycznej postawy jest trochę zbyt przedwcześnie? Ta firma daje pracę wielu ludziom z doliny i nie pragnie tego rodzaju reklamy.

Borghgi zauważył, że burmistrz stara się mówić szczerze, żeby zjednać sobie przychyłność Vogla. Ale jego polityczny pragmatyzm nie wywarł żadnego wrażenia na agencie specjalnym.

– Chcę panu coś powiedzieć... – Vogel zbliżył się do burmistrza, przemawiając ściszym głosem, tak jakby z czegoś mu się zwierzał. – Nauczyłem się, że są dwa różne czasy, w których robi się to, co się ma do zrobienia. Teraz i potem. Odłożenie może wydawać się mądre, czasami istnieje potrzeba poważnego zastanowienia się nad różnymi sytuacjami i ich możliwymi skutkami. Niestety, w pewnych okolicznościach zbyt długie zastanawianie się może się zamienić w wahanie lub, co gorsza, w niemoc. Opóźnianie oznacza pogarszanie spraw. A niech mi pan wierzy, nie ma gorszej antyreklamy.

Udzieliwszy tej małej lekcji, Vogel odwrócił się w stronę placu. Zachęcił go do tego głos, który starał się przekrzyczeć szum wody. Pozostali natychmiast poszli w jego ślady.

Na krawędzi żwiru, tuż przed mulistym pasem, stała jasnowłosa kobieta w ciemnym, ciepłym płaszczu narzuconym na granatową garsonkę i wymachiwała w ich kierunku rękami.

* * *

Gdy dotarli do niej, Borghi domyślił się po wyglądzie jej butów, że kobieta próbowała przejść do nich przez muł, ale nie pozwoliły jej na to wysokie obcasy.

– Nazywam się Mayer i jestem prokuratorem – przedstawiła się. Była to niewysoka młoda kobieta około trzydziestki. Jej ładna twarz bez makijażu prezentowała się bardzo skromnie. Kobieta wyglądała na nieco podenerwowaną i natychmiast poprosiła dwóch policjantów o rozmowę na osobności. – Dowiedziałam się, że wczoraj odbyła się odprawa. Dlaczego mnie o niej nie poinformowano?

– Nie chciałem odrywać pani od rodziny w Boże Narodzenie – odparł Vogel z ponurą miną. – A poza tym sądziłem, że prokuratorzy nie uczestniczą w początkowych czynnościach śledczych.

Jednak pani Mayer nie można było zbyć tak łatwo.

– Panie Vogel, czy przypadkiem rozmawiał pan wczoraj z porywaczem?

– Na razie nie możemy odrzucić żadnej hipotezy.

– Rozumiem, ale istnieje może jakiś dowód, który by przemawiał za porwaniem? Jakaś pogłoska, zeznanie świadka, wskazówka?

– Rzeczywiście, nie. – Vogel był zdenerwowany, ale nie dawał tego po sobie poznać.

– W takim razie muszę wyciągnąć wniosek, że chodzi o zwykłe przeczucie – odparła Mayer z odcieniem kpiny w głosie.

– Jeśli chce pani tak to ująć... – Udał, że przyjmuje jej słowa do wiadomości.

Borghy przysłuchiwał się w milczeniu tej wymianie zdań.

– Do rozważenia są różne tropy – ciągnął Vogel. – Z doświadczenia wiem, że lepiej jest rozpocząć od razu od najgorszych scenariuszy, dlatego wspomniałem o możliwym porywaczu.

– Zebrałam informacje o Annie Lou Kastner na długo przed pańskim przyjazdem tutaj. Spokojna dziewczyna, prowadząca proste życie między bransoletkami, kotkami i parafią. Dodam, że być może także trochę zbyt dziecinna w porównaniu z rówieśniczkami. Ale to wszystko nie czyni z niej osoby skazanej na bycie ofiarą.

Vogel z rozbawieniem przyjął profil dziewczyny nakreślony przez prokuratora.

– I jakie wnioski pani wyciągnęła?

– Rodzina, w której stosuje się surowe wychowanie, zbyt wścibska matka. Na przykład, Annie Lou nie pozwalano przyjaźnić się z rówieśniczkami i rówieśnikami, którzy nie należeli do bractwa, również w szkole. Nie wolno jej było spotykać się z kolegami ani robić niczego, co wykraczało poza ramy tego, co uznawano za „dozwolone” według bardzo restrykcyjnej interpretacji reguł religijnych. Innymi słowy, nie mogła decydować o niczym, nawet popełniać błędów związanych z jej wiekiem. A szesnaście lat to wiek, w którym człowiek ma niemal prawo popełniać błędy. Dlatego może się zdarzyć, że w pewnym momencie dochodzi do buntu przeciwko regułom.

Vogel kiwnął w zamyśleniu głową.

– A więc wierzy pani w świadomą ucieczkę z domu.

– Ile razy to się zdarza? Sam pan wie, że statystyki też przemawiają za tą hipotezą. Tym bardziej że Anna Lou wyszła z domu z małym kolorowym plecakiem i nikt z jej krewnych nie jest w stanie powiedzieć, co w nim było.

Podczas gdy agent specjalny udawał, że zastanawia się nad jej wnioskami, Borghi przypomniał sobie o pamiętniku, który matka Anny Lou dała poprzedniego dnia Voglowi. W zapiskach nie było śladu niczego, co mogłoby świadczyć o zamiarze ucieczki.

– Pani hipoteza jest niezwykle fascynująca – zgodził się Vogel.

Jednak prokurator Mayer nie była kobietą, którą można było kupić pochlebstwami, i znowu ruszyła do ataku.

– Znam pańskie metody, panie Vogel, wiem, że lubi pan występować w światłach reflektorów, ale tu, w Avechot, nie znajdzie pan żadnego potwora do swojego widowiska.

Vogel próbował zmienić temat.

– Centrum operacyjne znajduje się w sali gimnastycznej, a moje biuro w szatni. Ludziom, których mam do dyspozycji, brakuje kompetencji w takich sprawach i są źle wyposażeni. Chciałbym mieć zespół specjalistów, żeby przebadali centymetr po centymetrze odcinek drogi, na którym dziewczyna zaginęła. Być może nawet uda się potwierdzić pani hipotezę i na zawsze przestaniemy myśleć o tej sprawie.

Na twarzy pani prokurator pojawił się przelotny kpiący uśmiezek, ale po chwili spoważniała.

– Wyobraża pan sobie, co by się stało, gdyby wyciekła wiadomość, że policja podejrzewa istnienie porywacza?

– Nie będzie żadnego wycieku informacji – zapewnił ją Vogel.

– Skąd pan bierze odwagę, żeby żądać ode mnie zespołu techników, jeśli nie ma pan nic w ręce?

– Nie będzie żadnego wycieku informacji – odparł agent specjalny jeszcze bardziej stanowczo.

Borghy zauważył, że na czole Vogla pojawiła się ciemniejsza żyła. Aż do tej chwili nie zauważył, żeby jego przełożony stracił opanowanie.

Mayer nieco się uspokoiła. Ale przed odejściem obrzuciła obu policjantów ostrym spojrzeniem.

– W dalszym ciągu jest to przypadek zaginięcia, proszę o tym nie zapominać.

* * *

Wracali samochodem do sali gimnastycznej, milcząc. Borghi, który prowadził, nawet chętnie by się odezwał, ale bał się, że gdy tylko coś powie, obudzi wcześniej powściągany gniew przełożonego.

W pewnym momencie zerknął w lusterko wsteczne i znowu zauważył czarną furgonetkę; jechała za nimi.

Jego spojrzenie nie pozostało niezauważone przez Vogla, który opuścił osłonę przeciwsłoneczną i spojrzął w lusterko, żeby sprawdzić, co zwróciło uwagę młodszego kolegi. Potem uniósł je zdecydowanym gestem.

– Od wczoraj siedzą nam na karku. Chce pan, żebym ich zatrzymał do kontroli? – spytał Borghi.

– To szakale – zawyrokował Vogel. – Polują na informacje.

W pierwszej chwili Borghi nie zrozumiał.

– Chce pan powiedzieć, że dziennikarze?

– Nie – odparł natychmiast Vogel, nie patrząc na niego. – To są tacy filmujący „wolni strzelcy”. Gdy wywęszą, że może zaistnieć jakaś podejrzana historia, spieszą z kamerami telewizyjnymi, mając nadzieję nagrać jakąś scenę,

która nadawałaby się do sprzedania w internecie. Dziennikarze nie marnują czasu na zaginione dziewczyny, chyba że istnieje prawdopodobieństwo rozlewu krwi.

Borghgi poczuł się głupio, bo nagle uświadomił sobie, że jego zwierzchnik z pewnością zauważył furgonetkę tego ranka, a także dzień wcześniej, przed domem Kastnerów.

– W takim razie czego te szakale szukają?

– Czekają, aż skądś wyskoczy potwór.

Borghgi zaczął łapać.

– Dlatego ta wycieczka nad rzekę dziś rano... Chciał pan, żeby pomyśleli, że szykujemy się do szukania ciała.

Vogel nie odpowiedział.

Jego milczenie zbiło z tropu młodego policjanta.

– Ale niedawno powiedział pan tej pani prokurator, że nie będzie wycieku informacji...

– Nikt nie lubi wychodzić na idiotę na oczach opinii publicznej, agencie Borghi – zbył go Vogel. – Nawet ta nasza panna Mayer, niech mi pan wierzy. – Potem odwrócił się, żeby na niego spojrzeć. – Potrzebuję środków, żeby znaleźć Annę Lou. A pozbawiony wsparcia apel rodziców nie wystarczy.

Tym ostatnim zdaniem agent specjalny uciął dyskusję. Nie podejmowali więcej tego tematu, dopóki nie dotarli do centrum operacyjnego. Jednak w czasie jazdy Borghi dokładnie zrozumiał zamiary Vogla. Z początku jego zachowanie wydało mu się cyniczne, ale teraz pojmował jego logikę. Gdyby media nie zainteresowały się sprawą, gdyby opinia publiczna nie postanowiła „adoptować” Anny Lou, ich zwierzchnicy nie przyznaliby środków niezbędnych do jak najlepszego poprowadzenia śledztwa.

Podczas gdy Vogel zaszył się w swoim biurze w szatni, Borghi znowu wyszedł do położonego w pobliżu małego sklepu żelaznego, sprzedającego również inne drobiazgi. Gdy wrócił do sali gimnastycznej, zebrał przy stole wszystkich funkcjonariuszy, a potem rozdał im owinięte w celofan paczki, które zawierały kombinezony malarskie.

– Co mamy malować? – zapytał żartobliwym tonem jeden z nich.

Borghgi nie odpowiedział na jego pytanie.

– Macie je włożyć i udać się na miejsce.

– Żeby co robić? – spytał inny ze zdziwioną miną.

– Porozmawiamy o tym, jak tam dotrzecie – brzmiała wymijająca odpowiedź policjanta.

* * *

Tego wieczoru zaczął padać śnieg. Nie była to obfita śnieżycza, ale drobny puszek, który zniknął w zetknięciu z ziemią, drzewami czy domami niczym miraż.

Temperatura znacznie się obniżyła, ale we wnętrzu baru przy drodze krajowej panowało przyjemne ciepło. Jak zwykle klientów było niewielu. Dwaj kierowcy ciężarówek zajmowali oddzielne stoliki i jedli w milczeniu. W tle słychać było tylko głos starego właściciela wydającego polecenia w kuchni, uderzenia kul bilardowych i przytłumione dźwięki wiszącego nad ladą włączonego telewizora, na którym migąły obrazki meczu piłkarskiego, ale nikt go nie oglądał.

Trzecim klientem był Borghi; jadł zupę jarzynową, siedząc przy jednym ze stolików oddzielonych przegródkami. Kruszył kromkę chleba na małe kawałki i wrzucał do talerza, aby po chwili podnieść je łyżką do ust. Jednocześnie z uporem spoglądał na zegarek.

– Wszystko w porządku? – spytała go kelnerka tonem kogoś, kto koniecznie chce być uprzejmy. Miała na sobie firmowy strój i czerwony szal oraz spinę z małym ametystowym krzyżykiem. Borghi widział już taki sam na spince do krawata burmistrza. Pomyślał, że pewnie jest to symbol bractwa.

– Bardzo dobra zupa – odparł, posyłając jej uśmiech.

– Życzy pan sobie drugą porcję?

– Wystarczy mi jedna.

– W takim razie chce pan, żebym przygotowała rachunek?

– Zaczekam jeszcze chwilę, dziękuję. – Do ustalonej godziny, na którą czekał, niewiele już brakowało.

Kobieta nie nalegała i ze smętną miną ruszyła w kierunku kontuaru. Jeszcze jeden marny wieczór, jeśli chodzi o napiwki. Borghi poczuł dla niej współczucie i pomyślał, że prawie na pewno jest matką rodziny. Rozpoznał na jej twarzy wyraźne oznaki zmęczenia. Być może nie była to nawet jej jedyna praca. Ale chodziło też o coś więcej. Kobieta bezustannie poprawiała czerwony szal na szyi. Kto wie, co też myślą ci z bractwa o mężach albo narzeczonych, którzy biją swoje żony i sympatie, pomyślał.

Powinien zadzwonić do Caroline. Tego dnia wymienili tylko SMS-y. Teraz była u swoich rodziców i Borghi był o nią dość spokojny, ale i tak nadal wypytywała go, kiedy wróci do domu. Prawdą było, że sam tego nie wiedział i raczej nie miał ochoty wracać. Czekają na niego zbyt wiele rzeczy do zrobienia; trzeba było przeorganizować całe życie pod kątem narodzin dziecka. W ostatnich miesiącach musiał podjąć szereg decyzji, i to jedną po drugiej, niemal jednym tchem. Wynając większe mieszkanie, dostosować je, wstawić meble. Zmienił samochód, wybierając używany, którym mógłby wygodnie przewozić nową rodzinę. Odłożył na potem różne wydatki i czasami miewał napady nagłego niepokoju, ponieważ Caroline już nie pracowała i wszystko spoczywało na jego barkach. Na dodatek nie potrafił się jej przeciwstawić, więc kiedy wyrzucała mu, że za dużo pracuje, nigdy nie zdobył się na odpowiedź, że mając w perspektywie narodziny córki i tylko jedną pensję, po prostu nie ma innego wyjścia. Tak więc

Borghi sięgnął po komórkę, ale i tym razem odłożył na później telefon do żony i sprawdził, po raz nie wiadomo który, godzinę. Chciał mieć pewność, że jego pomysł przyniósł owoce.

Była dokładnie dwudziesta. Godzina, na którą czekał.

Chwilę potem ospała atmosfera lokalu ożywiła się. Stało się to w chwili, gdy właściciel zmienił kanał i podkreślił głośność. Grający w bilard przerwali rozgrywanie partii, a dwaj kierowcy ciężarówek odwrócili się w stronę ekranu. Niebawem przed telewizorem zgromadził się mały tłumek, obejmujący także personel kuchni.

W ogólnokrajowym dzienniku telewizyjnym transmitowano nagranie plenerowe. Borghi rozpoznał brzeg rzeki płynącej przez dolinę Avechot. Zdjęcia zostały zrobione z przelotnego nad nią mostu. Zobaczył swoich ludzi mających na sobie malarskie kombinezony, brodzących w błocie tuż nad rzeką. Wpatrywali się w ziemię i udawali, że zbierają dowody i wkładają je do plastikowych toreb, które następnie pieczętowali, wykonując co do litery instrukcje, jakich on sam im udzielił.

– W dniu dzisiejszym w sprawie nieletniej Anny Lou nastąpił niespodziewany przełom – wyjaśniał dziennikarz w tle. – Policja oficjalnie kontynuuje śledztwo dotyczące zaginięcia, ale po południu kilku techników z laboratorium kryminalistycznego przeprowadziło wizję lokalną nad rzeką.

Mimo że nikt nie patrzył w jego stronę, Borghi starał się nie pokazać po sobie zadowolenia. Sztuczka się powiodła.

– Nie zdołaliśmy uzyskać informacji, czego tam szukano – ciągnął dziennikarz. – Wiemy tylko, że technicy zabrali ze sobą kilka dowodów, które agent specjalny Vogel, znany z rozwiązania wielu słynnych śledztw, określił jako „interesujące”, nie dodając nic więcej.

W tym momencie Borghi wstał od stołu, żeby udać się do kasy i zapłacić rachunek. Pomimo marnej pensji policjanta, postanowił zostawić kelnerce spory napiwek.

27 grudnia
Cztery dni po zaginięciu

Zaparkowana na placu przed siedzibą władz miasta furgonetka zamieniona została w prawdziwą reżyserkę telewizyjną. Obok niej jakiś technik z masą warkoczyków zebranych w koński ogon zwijał kable. Naokoło stały skrzynie z wyposażeniem oraz składane krzesło, na którego oparciu widniał napis *Stella Honer*.

Jasnowłosa, elegancka Stella o trochę wyzywającej urodzie, z lekkim makijażem, który podkreślał jej wielkie ciemne oczy, siedziała wygodnie, przyglądając się bez większego zainteresowania pracy technika. Opierała stopy na telewizyjnej kamerze z logo sieci, dla której pracowała. Walory jej wyeksponowanych nóg dodatkowo wzmacniały buty na zawrotnie wysokich obcasach. Pomyśleć tylko, że w liceum małego miasteczka, w którym wyrosła, należała do dziewcząt budzących u chłopców najmniej zainteresowania. Najdziwniejsze, że stronili od niej, chociaż była ładniejsza niż jej średnio urodziwe koleżanki. Przez całe lata zadawała sobie pytanie: Dlaczego? Odkryła to wiele lat później, gdy zrozumiała, że w rzeczywistości przedstawiciele płci przeciwnej zwyczajnie się jej bali. Z tego powodu czasami starała się wyglądać jakby trochę przygaszona. Ale nie po to, żeby ich zdobywać. Zazwyczaj pozwalała im się zbliżyć, a potem wgryzała im się w gardło.

Był tylko jeden mężczyzna, którego nigdy nie udało się jej oszukać.

Zobaczyła, że zbliża się powoli, otoczony poranną mgiełką, z rękami w kieszeniach kaszmirowego płaszcza i dziwnym uśmiechem przylepionym do twarzy.

– No, nareszcie facet, który nam wyjaśni, co my tu robimy! – powiedziała triumfującym tonem, zwracając się do technika z dredami w stylu rasta. – To miejsce nie pasuje do moich butów.

– Przykro mi, Stello, że musiałaś pokonać taki kawał drogi – przywitał ją Vogel żartobliwym tonem. – Z pewnością miałaś coś ważniejszego do roboty. Wydaje mi się, że ostatnio mignął mi przed oczami twój reportaż o gościu, który zamordował żonę... Czy też była to jego narzeczona? Nie pamiętam... Wszystkie te zabójstwa są do siebie takie podobne.

Stella uśmiechnęła się z miną kogoś, kto potrafi znieść cudze kpiny i odwdzińczyć się tym samym. Zaczekała, aż Vogel znajdzie się dokładnie przed nią, żeby rzucić okiem nad jego ramieniem, i odwróciła się znowu do kamerzysty.

– Wiesz, Frank, ten człowiek zdołał już wszystkich przekonać, że grasuje tu jakaś bestia, chociaż nie ma na to nawet strzępka dowodu.

Vogel słuchał jej z rozbawieniem, a potem również odwrócił się do kamerzysty.

– Widzisz, Frank? To właśnie robią dziennikarze: manipulują prawdą tak, żebyś wyszedł na kogoś jeszcze gorszego niż oni. Ale Stella Honer to królowa wysłanników specjalnych: w relacjach z miejsca zdarzenia nikt jej nie dorówna! – A potem, spoglądając znów na dziennikarkę, dodał: – Czy ta pora roku nie jest ociupinę zbyt chłodna, żeby pracować na świeżym powietrzu?

– Właśnie: zaginiona dziewczyna... Daj spokój! Jeśli już mam odmrozić sobie dupsko, wołałabym to zrobić z powodu jakiejś porządnej historii. A tu nie widzę nic takiego. Wracam do domu.

Technik, który nie odezwał się ani słowem, a nawet niespecjalnie interesował się rozmową, wrócił do furgonetki, zostawiając ich samych.

Stella przestała wygłaszać zgryźliwe uwagi i przeszła do ataku.

– Gdzie on jest, ten twój złodziej dzieci, Vogel? Bo mówiąc otwarcie, nie wydaje mi się, żeby istniał.

Agent specjalny nie stracił pewności siebie. Wiedział, że niełatwo będzie ją przekonać, ale dobrze się do tego przygotował.

– Jedna jedyna droga, żeby wjechać do doliny i z niej wyjechać. Po jednej stronie kamera kontrolująca ruch, po drugiej kamery stacji benzynowej; właśnie sprawdzamy samochody, które tędy przejeżdżały, i ich właścicieli, przepuszczając przez sito życie każdego z nich... Ale już wiem, że to wszystko okaże się nieskuteczne.

Stella Honer wydawała się zakłopotana.

– W takim razie po co tyle trudu?

Vogel odegrał już pierwszy akt swojego przedstawienia.

– Żeby pokazać słuszność mojej teorii: to znaczy, że ta dziewczyna nigdzie się stąd nie ruszyła.

Stella milczała odrobinę za długo – znak, że sprawa zaczęła ją interesować.

– Mów dalej...

Zdawał sobie sprawę, że winien jest wdzięczność Borghiemu, bo to dzięki niemu dziennikarka zadała sobie trud, żeby przyjechać aż tutaj. Pomysł z malarskimi kombinezonami został nagrodzony. Chłopak znał się na rzeczy. Ale teraz przyszła kolej na mistrza, swoją rolę musiał odegrać samodzielnie. Podjął rozmowę afektowanym tonem.

– Zagubiona dolina. Ale pewnego dnia dokonuje się odkrycia, że pod tymi górami znajduje się tak rzadki minerał jak fluoryt. Dzięki temu zwyczajni ludzie stają się nagle bogaci. Miejsce, w którym wszyscy się znają, gdzie nigdy nic się nie dzieje. Albo inaczej, coś się wydarza, ale nikt o tym nie mówi, nikt nie odzywa się ani słowem. Ponieważ panuje tu zwyczaj ukrywania wszystkiego, nawet bogactwa... Wiesz, jak się o tym mówi, prawda? „Mała społeczność, wielkie

tajemnice”. – Wydawało się, że jest to wstęp do świetnej historyjki, ale żeby dodać swej opowieści ekspresji, agent specjalny wyjął z kieszeni pamiętnik Anny Lou, powierzony mu przez jej matkę. Rzucił go w kierunku dziennikarki, a ta chwyciła go w locie.

Przyglądała się przez chwilę pamiętnikowi, a potem zaczęła go kartkować.

– *Dwudziesty piąty marca* – przeczytała głośno. – *Dzisiaj razem z moją przyjaciółką Priscillą poszliśmy do weterynarza, żeby zbadał jej kotkę. Lekarz zaszczepił kotkę i powiedział Priscilli, że powinna wziąć ją na dietę...* – Przeszła do innej stronicy. – *Trzynasty czerwca: Z chłopcami z bractwa przygotowujemy przedstawienie o dzieciństwie Jezusa Chrystusa...* – Odwróciła następną kartkę. – *Szósty listopada: Nauczyłam się robić bransoletki z perełek...* – Zdecydowanym ruchem Stella zamknęła zeszytik i przyjrzała się w zamyśleniu Voglowi. – Kocięta i bransoletki?

– Spodziewałaś się czegoś innego? – spytał rozbawiony.

– To są rzeczy, które sama bym napisała, gdyby matka miała zwyczaj czytać ukradkiem mój pamiętnik...

– A więc?

– Nie nabieraj mnie. Gdzie jest jej prawdziwy pamiętnik?

Na twarzy policjanta odmalowało się zadowolenie.

– Widzisz? Miałem rację: religijna rodzina i dziewczyna o nieposzlakowanej opinii... Ale jak się pokopie głębiej, coś zawsze wyskakuje.

– Myślisz, że Anna Lou Kastner miała coś do ukrycia? Jakies relacje z kimś starszym, może nawet dorosłym.

– Zbyt daleko idące spekulacje, Stello – zapewnił ją Vogel z uśmiechem.

Dziennikarka zaczęła mu się podejrzliwie przyglądać.

– A jednak chciałeś, żebym to przeczytała, może nawet przemyślała... Nie boisz się, że puszczę w obieg plotkę, że jest coś podejrzanego w życiu tej dziewczyny? Publika byłaby zachwycona.

– Nigdy byś tego nie zrobiła – odparł pewnym tonem. – Pierwsza zasada w naszym zawodzie: traktować ofiarę jak świętą. Nie wydaje ci się, że koniec końców ci potworni zbrodniarze mogliby się okazać nie tak znowu potworni, gdyby ludzie zaczęli myśleć: ejże, ona sama tego szukała.

Stella Honer zastanawiała się przez chwilę, starając się dobrze ocenić swoją sytuację.

– Sądziłam, że masz jeszcze do mnie żal o sprawę z tym Obcinaczem Palców.

Tak, tak rzeczywiście było: miał do niej pretensję o sprawę, z powodu której stracił wiele ze swego prestiżu i wiarygodności. Śledztwo w sprawie Obcinacza było katastrofą, jeśli chodzi o strategię. Mimo że koniec końców Vogel miał powody postępować tak, a nie inaczej, były one zbyt trudne do wytłumaczenia

i opinia publiczna ich nie zrozumiała.

– Nie chowam urazy – zapewnił ją. – A więc, pokój zawarty?

Stella wiedziała jednak, jaki jest rzeczywisty cel tego zawieszenia broni.

– Chcesz, żebym się tu pokazała, bo wiesz, że za mną pospieszą inne sieci. – Zaczęła udawać, że jeszcze się waha, choć już podjęła decyzję. – Ale udzielisz mi wyłączności na każdy zwrot w śledztwie.

Vogel był przygotowany na pertraktacje. Pokręcił głową, a potem odpowiedział:

– Daję ci przewagę dwudziestu pięciu minut nad konkurentami. – Oświadczył to tonem człowieka, który przedstawia ofertę nie do odrzucenia.

Reporterka udała obrażoną.

– Dwadzieścia pięć minut to jest nic.

– A jednak stanowią wieczność, i ty o tym wiesz. – Vogel spojrzął na zegarek, a potem dodał: – Na przykład, masz dwadzieścia pięć minut na tę książeczkę, zanim dołączę ją do archiwum jako dowód w sprawie. – Wskazał pamiętnik.

Stella zachnęła się, jakby chciała zaprotestować, lecz w jej umyśle zaczął się już proces odwrotny. Sięgnęła po komórkę i zaczęła fotografować zapiski Anny Lou Kastner.

* * *

Okolo jedenastej miała już gotowy pierwszy serwis z Avechot dla porannych programów informacyjnych. Kilka kroków od domu Anny Lou zostało urządzone stałe stanowisko, z którego reporterka miała opowiadać widzom o postępach śledztwa. W połowie dnia główne programy nadające pogłębione sprawozdania dziennikarskie połączyły się ze Stellą, żeby uzyskać bieżące informacje na temat przebiegu poszukiwań.

Tego popołudnia Vogel urządził w sali gimnastycznej nową odprawę dla zespołu przydzielonych mu policjantów.

– Od tej chwili wszystko ulega zmianie – oświadczył. – To, co się od tego momentu wydarzy, będzie miało decydujące znaczenie dla rozwiązania zagadki zniknięcia Anny Lou Kastner.

Borghi zauważył, że jego przełożony wie, jak zmobilizować swoich ludzi.

– Nie jest to już tylko sprawa lokalna. Teraz cały kraj kieruje spojrzenie na Avechot i na nas. Nie możemy sprawić zawodu. – Agent specjalny powiedział to afektowanym tonem, podkreślając ostatnie słowa i kładąc nacisk na to, że jeśli nie znajdą sprawcy, to tylko z winy słuchających go policjantów. – Wielu z was będzie zadawać sobie pytanie, jakim sposobem rozgłos nadany sprawie przez programy informacyjne i prasę może pracować dla nas. No cóż, rzuciliśmy haczyk z przynętą i teraz mamy nadzieję, że coś się złapie.

Uwaga, z jaką policjanci słuchali jego słów, pozwoliła Borghiemu zorientować się, że wszystko naprawdę uległo zmianie. Jeszcze trzy dni temu traktowali Vogla jak intruza, który zjawił się tu, żeby im mówić, jak mają wykonywać swoją robotę, i wtykać nos w ich sprawy. Pyszałkowaty agent specjalny starający się skoncentrować władzę w swoich rękach i szukający rozgłosu ich kosztem. Za to teraz dojrzeli w nim przewodnika, człowieka zdolnego do przerwania tego koszmaru, a nade wszystko gotowego podzielić się z nimi sławą.

Przed wyjaśnieniem swojego planu działania Vogel zrobił mały wstęp.

– Wszyscy chcą być znani, nawet ci, którzy się do tego nie przyznają. Dzieje się coś dziwnego: na początku twierdzisz, że nie odczuwasz takiej potrzeby, że możesz się obejść bez tego, bo przecież prowadzisz satysfakcjonujące życie. I masz rację, tak myśląc. – Zrobił efektowną pauzę. – Ale gdy tylko poczujesz skierowane na siebie światła reflektorów, coś się w tobie wyzwala. Odkrywasz nagle przyjemność w tym, że nie jesteś już kimś anonimowym. Aż dotąd nawet się o to nie podejrzewałeś, ale teraz sprawia ci to nawet zadowolenie. Czujesz swoją odmienność, wyjątkowość i chcesz, żeby to wrażenie się nie rozwiało, żeby trwało jak najdłużej, a nawet pozostało na zawsze. – Vogel złożył ręce i zrobił krok w stronę tablicy, na której widniała jeszcze w całej okazałości data dwudziestego trzeciego grudnia. Przyjrzał się jej, a potem zaczął chodzić tam i z powrotem przed swoim audytorium. – Właśnie teraz wszyscy opowiadają historię Anny Lou, piegowatej dziewczyny o rudych włosach, zaginionej w nicości, ale jej porywacz wie, że w rzeczywistości rozmawiają o nim, o tym, co zrobił. Udało mu się, ponieważ nie jesteśmy jeszcze w stanie go zidentyfikować. Wykonał dobrą robotę, z której jest dumny. Ale jak dotąd jest tylko „dobra robota” i nic więcej. Czego mu brakuje, żeby stała się arcydziełem? Potrzebuje sceny. Zatem bądźcie pewni, że on nie pozostanie w cieniu i nie będzie przyglądał się w milczeniu, jak ktoś kradnie mu sceniczną rampę. Zaprańcie swego udziału w sławie: w gruncie rzeczy to przecież on jest prawdziwym bohaterem tego spektaklu... A my jesteśmy tutaj, ponieważ on tak postanowił, ponieważ on tego chciał. Ponieważ podjął ryzyko, że może zostać schwytany, że wszystko straci. Z tego powodu teraz będzie chciał daniny, która na niego czeka. – Vogel zatrzymał się i wlepił wzrok w słuchaczy. – Nasz człowiek gdzieś tam w ukryciu próbuje słodkiego smaku sławy. Ale to mu nie wystarcza, chce więcej... I dzięki temu wywabimy go z kryjówek.

Wraz z tym nowym przekazem poszukiwanie dziewczyny zeszło oficjalnie na drugi plan, zauważył Borghi. Na stole pojawił się nowy priorytet.

Wywabić tego potwora z jego nory.

W tym momencie Vogel zilustrował to, co wymyślił. Na początek wysłał dwóch ludzi, żeby kupili świece i lampki, oraz kilkanaście pluszowych kotków. Potem wysłał kilku funkcjonariuszy w cywilnych ubraniach, żeby rozłożyli te

rzeczy obok murku przed domem Kastnerów.

Teraz pozostawało tylko zaczekać na rozwój wypadków.

* * *

Około dwudziestej drugiej główne tytuły krajowych dzienników połączyły się ze swoimi wysłannikami przed domem rodziny Anny Lou. Był to skutek działań Stelli Honer, ale nie tylko jej.

Gdy w porze kolacji dzienniki telewizyjne podały wiadomość, że na murku koło mieszkania Kastnerów anonimowe i współczujące ręce umieściły dowody swej solidarności, wiele innych osób postanowiło iść za ich przykładem. I tak rozpoczęły się spontaniczne pielgrzymki mieszkańców Avechot, a także ludzi przybywających z sąsiednich dolin. Kilka osób przyjechało z bardzo daleka, nawet z dużych miast, żeby uczestniczyć w tej manifestacji wsparcia.

W swym smutnym apelu o odnalezienie córki matka Anny Lou przyrzekła jej, że gdy wróci do domu, otrzyma w końcu kotka, którego tak chciała mieć. Vogel związał swe nadzieje z tym właśnie zdaniem i teraz mnóstwo kotków wszelakiego rodzaju i kształtu – pluszowych, ale także ceramicznych lub szmacianych – zdobiło dom z ogrodem, zajmując w całości otaczający go murek i dużą część biegnącej przed nim ulicy. Płonące między nimi świece i lampki wytwarzały różowawą poświatę i w ostrym chłódzie zimowego wieczoru promieniowały potężnym ładunkiem ciepła. Wielu darom towarzyszyły liściki. Byli tacy, którzy pisali bezpośrednio do Anny Lou, inni zwracali się do jej rodziców lub po prostu zostawiali modlitwę.

Ludzie podchodzili do murku i oddalali się od niego niemal bez przerwy. Burmistrz zmuszony był zarządzić zamknięcie pobliskich ulic, żeby zapobiec inwazji pojazdów. Mimo to okolica była obleżona. Wszystko odbywało się jednak bez zakłóceń. Pielgrzymi zatrzymywali się przed domem, stali w milczeniu i skupieniu przez kilka minut, po czym odchodzili.

Vogel wysłał swoich ludzi, polecając im wmieszać się w tłum. Byli ubrani po cywilnemu, mieli przy sobie niewidoczne słuchawki i mikrofony, ukryte w kołnierzach kurtek. Wiedząc, że sprawozdawcy mają zwyczaj podsłuchiwania komunikatów policji, agent specjalny polecił sprowadzić skomplikowane nadajniki, dzięki którym nie można było przechwycić rozmów między policjantami.

– Nie zapominajcie, że interesują nas podejrzani płci męskiej. Przede wszystkim tacy, którzy pojawiają się tu samotnie – powiedział przez radio Borghi. Stojący obok niego Vogel uważnie kontrolował widok, jaki rozciągał się przed nim. Obaj trzymali się celowo na obrzeżach tłumy.

To czatowanie trwało już od paru godzin.

Uznali za pewnik, że porywacz jest mężczyzną, ponieważ w podręcznikach niezwykle rzadko omawiano przypadki porywania nieletnich przez kobiety.

Mówiły o tym nie tylko statystyki, ale również zdrowy rozsądek.

Można było nawet domyślać się profilu sprawcy. W odróżnieniu od tego, co zazwyczaj myśleli zwykli ludzie, prawie nigdy nie chodziło o głupków czy wykołajeńców. Najczęściej byli to przeciętni ludzie ze średnim wykształceniem, zdolni do utrzymywania relacji z innymi i dlatego będący w stanie oszukiwać otoczenie swoim zachowaniem i nie dać się zdemaskować. Ich prawdziwa natura była tajemnicą, której potrafili zazdrośnie strzec. Byli sprytni i przezorni. Z tych powodów zawsze trudno było ich zidentyfikować.

Jeden z policjantów odezwał się przez radio:

– Tu koło mnie jest spokojnie, odbiór. – Wszyscy otrzymali polecenie składania meldunków co dziesięć minut.

Vogel poczuł potrzebę wygłoszenia krótkiej mówki, żeby mieć pewność, że napięcie nie spadnie.

– Jeżeli porywacz rzeczywiście pojawi się tu dziś wieczorem, to przewidział naszą obecność, ale mimo to będzie chciał mieć wrażenie, że spaceruje bez przeszkód pomiędzy ludźmi, którzy na niego polują. – Istniał jednak skuteczny sposób, żeby go rozpoznać. – Nie zapominajcie, że on tu przyjdzie, ponieważ chce się cieszyć tym spektaklem. Jeśli szczęście nam posłuży, nie wystarczy mu samo wrażenie: będzie chciał zabrać stąd jakąś pamiątkę.

Zalecenie polegało na tym, żeby koncentrować się nie na osobach, które składały jakiś dar, ale raczej na tych, którzy ukradkiem starali się coś wynieść.

W tym momencie Vogel i Borghi zauważyli dziwne poruszenie w tłumie. Wyglądało to tak, jakby ktoś wydał milczący rozkaz i wszyscy obecni odwrócili się w tę samą stronę. Vogel i Borghi zrobili to również i uświadomili sobie, że uwagę przyciągnęło nagle pojawienie się rodziców Anny Lou na progu ich domu.

Mąż obejmował żonę jedną ręką. Otaczali ich członkowie bractwa. Wszyscy mieli na sobie małe ametystowe krzyżyki i ustawili się półkolem, przyjmując pozycję ochronną. Kamery telewizyjne natychmiast wycelowały obiektywy w kierunku wejścia do domu.

Mimo że Maria Kastner była bardzo zmęczona, i tym razem to ona przemówiła, zwracając się do małego tłumu zgromadzonych.

– Ja i mój mąż chcieliśmy wam podziękować. To trudny czas w naszym życiu, ale okazywana przez was serdeczność i wiara w Pana są dla nas wielkim pocieszeniem. – Potem wskazała prawą ręką rozstawione kotki i świece. – Anna Lou byłaby uszczęśliwiona tym wszystkim.

Z grupy członków bractwa podniosło się zgodne „amen”.

Tłum odpowiedział okrzykami i oklaskami.

Wszyscy wydawali się wzruszeni, ale Vogel nie wierzył, że sprowadziło ich współczucie. Przeciwnie, był przekonany, że wielu zjawilo się tu na wezwanie mediów, pod wpływem czystej, zwykłej ciekawości. Gdzie byliście, gdy w dzień

Bożego Narodzenia ta rodzina potrzebowała pociechy?

Borghi podzielał zdanie zwierzchnika. Choć nie spoglądał na sprawę tak cynicznie jak Vogel, nie mógł nie wziąć pod uwagę, ile rzeczy uległo zmianie w ciągu tych kilku dni. Rankiem, kiedy przyjechali złożyć wizytę państwu Kastnerom, przed ich domem nie było nikogo oprócz szakali z furgonetki. Pamiętał klaskanie Vogla, które zabrzmiało w ciszy małej dzielnicy domków z ogródkami. Borghi nadal nie rozumiał sensu tego zachowania, nie wiedział też, z jakiego powodu jego przełożony, wsiadłszy chwilę potem do auta, poczuł potrzebę skierowania jego uwagi na Bruno Kastnera. „Ten człowiek umiera wprost z pragnienia, żeby coś nam powiedzieć”.

Podczas gdy rodzice Anny Lou przyjmowali gesty wsparcia od niektórych obecnych, ciągle pod nadzorem uważnych spojrzeń członków bractwa, rozległ się głos w słuchawkach.

– Panie Vogel, na prawo od pana, przy końcu ulicy: przed chwilą chłopak w czarnej bluzie z kapturem coś ukraść.

Vogel i Borghi odwrócili się jednocześnie w kierunku wskazanym przez policjanta. Dopiero po chwili zauważyli w tłumie nastolatka w dżinsowej kurtce. Naciągnął kaptur bluzy na głowę, kryjąc pod nim twarz. Prawdopodobnie wykorzystał moment ogólnej nieuwagi, żeby przywłaszczyć sobie coś, co teraz ukrywał pod ubraniem, oddalając się pospiesznie.

– Zabrał różowego pluszowego kotka, widziałem to dobrze – zapewnił ten sam policjant. Borghi dał znak innemu funkcjonariuszowi, który stał bliżej drogi ucieczki obranej przez chłopaka. Ten wyjął z kurtki komórkę i wykonał nią kilka zdjęć.

– Mam go – powiedział. – Mam jego twarz. Zatrzymam go.

– Nie – włączył się rozkazującym tonem Vogel. – Nie chcę, żeby nabrał podejrzeń.

Tymczasem chłopak wskoczył na deskorolkę i zaczął się oddalać bez przeszkód.

Borghi nie mógł uwierzyć w decyzję przełożonego.

– Dlaczego nie zaczniemy go przynajmniej śledzić?

Vogel odpowiedział mu, nie odrywając wzroku od podejrzanego.

– Niech pan pomyśli, co by się stało, gdyby któryś z obecnych tu dziennikarzy zauważył tę scenę...

Miał rację. Borghi nie wziął tego pod uwagę.

Chwilę potem Vogel odwrócił się, żeby go uspokoić.

– To chłopak na deskorolce. Dokąd może uciec? Mamy jego twarz, odnajdziemy go.

30 grudnia
Siedem dni po zaginięciu

Bar przy drodze lokalnej był pełen ludzi.

Na szybie wychodzącej na stację benzynową widniał wciąż napis *Wesołych Świąt*. Właściciel uwijał się między kuchnią i stolikami, by mieć pewność, że wszystkich obsłużono i są zadowoleni. Musiał zatrudnić dodatkowych pracowników, żeby sprostać nagłemu najazdowi klientów. Byli to dziennikarze, technicy telewizyjni, fotoreporterzy, ale także zwyczajni ludzie przybyli do Avechot, żeby osobiście zobaczyć miejsca związane z wydarzeniem, które zaczynało tak bardzo pasjonować kraj.

Vogel mawiał o nich „horrorowi turyści”.

Wielu odbyło długą podróż razem z rodzinami. Było też mnóstwo dzieci i w pomieszczeniu wyczuwało się euforyczny nastrój, niczym na wycieczce za miasto. Pod koniec dnia mieli zawieźć do domu pamiątkowe zdjęcia i wrażenie, że uczestniczyli, choć tylko marginalnie, w wydarzeniu medialnym pasjonującym miliony osób. Nie obchodziło ich, że kilkaset metrów stąd oddział z psami i pletwonurkowie, a także drużyny poszukiwawcze i technicy policyjni podejmują działania mające na celu znalezienie śladu lub choćby wskazówki dotyczącej losu, jaki mógł spotkać szesnastolatkę. Vogel przewidział to wszystko i sprawy potoczyły się po jego myśli: w końcu medialny rozgłos przekonał jego przełożonych, żeby zamknęli oczy na ograniczenia budżetowe i przydzielili mu środki, jakie były konieczne. Zrobiliby wszystko, byle tylko nie wyrzucić złego wrażenia na opinii publicznej.

W tym momencie agent specjalny siedział przy tym samym stoliku co w Boże Narodzenie, kiedy był jedynym klientem restauracji. Jadł jak zawsze, a jednocześnie tym samym srebrnym wiecznym piórem zapisywał uwagi w swoim czarnym notesie. Robił to bardzo dokładnie.

Tego ranka miał na sobie tweedowy garnitur w odcieniu szarozielonym oraz ciemny krawat. Jego elegancja nie pasowała do reszty klientów w tej sali. Ale tak już musiało być. Zaznaczanie różnicy między nim i hałaśliwą, zachowującą się nieprzyzwoicie odmianą rodzaju ludzkiego, która go otaczała, służyło jego celom.

Zapomnieli już o Annie Lou.

Milcząca bohaterka tej historii odeszła na dalszy plan. A jej milczenie dostarczało pretekstu do pogawędek innym osobom, które starały się powiedzieć cokolwiek o niej i jej krótkim życiu. Robiły to media, ale robili to także zwykli ludzie – na ulicy, w supermarketach i w barach. Bez cienia wstydu. Vogel przepowiedział również i to. Gdy dochodziło do takiego zdarzenia, uruchamiał się

dziwny mechanizm. Polegał on na tym, że rzeczywiste wypadki zamieniały się w coś w rodzaju sagi w odcinkach.

Co siedem sekund popełniano jakąś zbrodnię.

I tylko niezwykle małej ich części poświęcano artykuły w gazetach, serwisy w wiadomościach i bardzo popularne programy typu talk-show. Dla tej znikomej mniejszości przypadków robiono wywiady z ekspertami kryminologii i psychiatrami, odczuwającymi skrępowanie psychologami, a nawet filozofami. Wylewano rzeki atramentu i przeznaczano całe godziny na telewizyjne dyskusje i analizy. Wszystko to mogło się ciągnąć tygodniami, a czasem miesiącami. A jeśli posłużyło szczęście, latami.

Przed wszystkim jednak sprawą, o której nikt nie wspominał, było to, że jedno ciężkie przestępstwo mogło dać życie prawdziwej lawinie komentarzy i obudzić olbrzymie zainteresowanie.

Dobrze opowiedziana i pokazana zbrodnia generowała doskonale rezultaty w przełożeniu na liczbę widzów i mogła przynieść telewizyjnej sieci owoce w postaci milionowych zysków od sponsorów i z reklam, a wszystko to przy wykorzystaniu minimum środków.

Jeden wysłannik specjalny, jedna kamera telewizyjna i jeden kamerzysta.

Jeśli do głośnego kryminalnego wydarzenia – takiego jak bestialskie morderstwo lub niedające się wyjaśnić zaginięcie – dochodziło w małej miejscowości, to w miesiącach maksymalnego nagłośnienia sprawy w mediach przeżywała ona znaczny wzrost liczby odwiedzających ją gości, a w rezultacie wzbogacenie się zamieszkującej ją wspólnoty.

Nikt nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego jedna zbrodnia stawała się nagle bardziej popularna niż inne. Wszyscy zgadzali się jednak co do tego, że musi istnieć ukryty tego powód.

W tych sprawach Vogel miał szczególną intuicję, rodzaj wyostrzonego węchu, któremu zawdzięczał swoją sławę.

Z wyjątkiem przypadku Obcinacza Palców.

Nie powinien zapomnieć lekcji, którą wtedy dostał. Jednak biorąc pod uwagę sukces, jakim właśnie cieszyła się sprawa zaginięcia Anny Lou, można było odnieść wrażenie, że w końcu napatoczyła mu się wspaniała okazja do rehabilitacji w oczach opinii publicznej.

Oczywiście, nie mógł się spodziewać, że wszystko będzie się toczyć zgodnie ze scenariuszem, jaki miał w głowie. W dniach, które nastąpiły po zainicjowaniu spontanicznych pielgrzymek przed dom Kastnerów, doszło do kilku nieprzyjemnych wydarzeń.

Obywatele Avechot, na początku uczestniczący w nich z entuzjazmem, nagle zaczęli zachowywać dystans. Był to naturalny skutek nadmiernego nagłośnienia śledztwa. Dziennikarze zaczęli ich nachodzić i prześwieślać ich życie. A ponieważ

sprawa nie została jeszcze wyjaśniona, wmówili opinii publicznej, że rozwiązanie zagadki kryje się właśnie w tych domach, wśród tych osób.

Nie było to jeszcze oskarżenie w ścisłym sensie tego słowa, ale bardzo je przypominało.

Mieszkańcy Avechot zawsze byli niezwykle podejrzliwi wobec przyjezdnych, a teraz, gdy stali się przedmiotem zawołanych oszczerstw, ich nieufność zaostrzyła się jeszcze bardziej. Zwłaszcza bractwo religijne dało do zrozumienia, że nie trawi zainteresowania mediów.

Początkowo ludzie unikali tylko obiektywów kamer telewizyjnych. Potem zaczęli odpowiadać w opryskliwy, a czasami gniewny sposób na pytania dziennikarzy. W rozgrzanej atmosferze, w której złość gotowa była wybuchnąć w każdej chwili, ktoś nieuchronnie musiał ponieść koszty tej sytuacji.

Los ten przypadł w udziale młodemu przybyszowi, który przyjechał do miasteczka w poszukiwaniu pracy. Jedyna jego wina lub może lekkomyślność polegała na zwróceniu się do miejscowej dziewczynki o jakąś informację. Na nieszczęście dla niego odbyło się to na oczach kilku klientów baru, którzy najpierw zaczęli mu grozić, a potem przeszli do rękoczynów i mocno go poturbowali.

* * *

Po obiedzie, podczas gdy Vogel korzystał z jeszcze jednego bezchmurnego dnia, żeby wrócić w zimowym słońcu na piechotę do tymczasowego centrum operacyjnego, zauważył, że na placu przed salą gimnastyczną czeka na niego pani prokurator Mayer.

Sądząc po jej minie, nie można było spodziewać się niczego dobrego.

Kobieta ruszyła zdecydowanie, stukając obcasami po asfalcie.

– Nie wolno panu zjawiać się tu, żeby zasiewać podejrzenia w głowach tych ludzi i spodziewać się, że nic z tego nie wyniknie – powiedziała oskarżycielsko.

– Wszystko to zrobili sami – odciął się Vogel. Kiedy postawił nogę w dolinie, miejscowa wspólnota była bardziej zdezorientowana niż przestraszona. Ukryci wśród gór ludzie uważali, że są chronieni przed podłością świata. Nie byli przygotowani do życia w stanie niepewności. Również obecnie żywili przekonanie, że zło przybyło z zewnątrz. Ale w głębi własnych serc mieli podejrzenie, że zawsze istniało wśród nich, ukryte w milczeniu, chronione. A Vogel miał świadomość, że to przeraża ich bardziej niż cokolwiek innego.

– Nastąpiło dokładnie to, czego się obawiałam – rzuciła prokurator. – Urządził pan przedstawienie.

– Zna pani choć jeden przypadek oddalenia się z własnej woli małoletniego niewyjaśniony w ciągu kilku dni? – Pytanie agenta specjalnego zabrzmiało jak wyzwanie. – Pani także wie, że musimy wykluczyć tę możliwość i skupić się na czym innym. Tu nie chodzi już o dziewczynę, która uciekła z domu, rozumie pani?

Miał oczywiste powody, żeby nie informować Mayer o chłopaku na deskorolce, którego policjanci zauważyli parę dni temu przed domem Kastnerów.

– Nawet jeśli się przyjmie, że może istnieć ktoś odpowiadający za to wszystko, nie daje to panu prawa do mieszania w sprawę ludzi z Avechot i sprowadzania tu ekip dziennikarzy i fotografów. Bo to pan ich tu ściągnął, proszę nie zaprzeczać.

Vogel nie miał ochoty stać i wysłuchiwać jej zarzutów. Dzień był udany, a spacer z restauracji dodał mu nowej energii. Odwrócił się więc plecami, żeby odejść. Ale po chwili rozmyślił się i zawrócił.

– Żadnych krzyków – powiedział.

Zaskoczona pani prokurator spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Anna Lou nie krzyczała, kiedy ją porywano. Gdyby to zrobiła, sąsiedzi by usłyszeli. Wystarczyło zaklaskać w dłonie, żeby przyciągnąć ich uwagę. Wystarczyło parę zwykłych klaśnień przed jej domem i wszyscy zaczęli wyglądać przez okna.

– Insynuuje pan, że dziewczyna poszła za kimś z własnej woli?

Vogel milczał, spodziewając się, że ta myśl sama zakiełkuje w jej głowie.

– Zaufała mu, stanęła przed nim i spojrzała mu w oczy – powiedziała Mayer.

– A jeśli spojrzała mu w oczy...

Vogel dokończył za nią.

– Jeżeli Anna Lou spojrzała mu w oczy, to w takim razie już nie żyje. – A potem zamilkł na dłuższą chwilę.

Wyraz twarzy kobiety się zmienił. W miejsce złości pojawiło się coś innego. Przerażenie.

– Możemy czekać na rozwój wypadków albo starać się nie dopuścić, żeby to się wydarzyło ponownie – skonkludował Vogel. – A co pani by wolała?

Gdy odchodził, prokurator Mayer stała przez moment bez ruchu, po czym obejrzała się, słysząc czyjeś pokastywanie.

Za rogiem stała Stella Honer. Palila ukradkiem papierosa i oczywiście wszystko widziała i słyszała.

– Gdyby opinia publiczna dowiedziała się o moich grzeszkach, byłby to koniec – odezwała się żartobliwym tonem, rzucając na ziemię niedopałek, a potem rozgniotła go czubkiem pantofla. – Już i tak trudno jest przebić się kobiecie, nie wydaje się pani? – Nagle spoważniała. – To kawał drania, ale wie, co robi... A okazje takie jak ta trafiają się rzadko w karierze kobiety, która jest prokuratorem.

Mayer przyglądała się jej, jak przechodzi przed nią, ale nie odpowiedziała.

* * *

W sali gimnastycznej wrzało jak w ulu. Liczba policjantów powiększyła się pięciokrotnie. W miejsce stołów pojawiły się prawdziwe biurka z komputerami

i telefonami, które nie przestawały dzwonić. Stara tablica została zastąpiona wideoprojektorem i wielkim ekranem. Olbrzymia gablotka wypełniła się raportami, zdjęciami i wynikami badań. Na środku sali ustawiono makietę doliny, na której od czasu do czasu zaznaczano strefy sprawdzone przez ekipy poszukiwawcze działające przez całą dobę, dzięki specjalnemu wyposażeniu umożliwiającemu także pracę nocą.

– Proszę pana, dopiero co ludzie z ratownictwa górskiego dokończyli przeszukiwania rozpadlin po stronie północnej. – Jeden z policjantów w samej koszuli z krawatem udzielał najnowszych informacji Borghiemu, który nadzorował czynności śledcze.

– Dobrze, teraz niech się przeniosą na zbocze wschodnie – polecił młody funkcjonariusz. Potem odwrócił się do innego policjanta siedzącego przy biurku i zajętego ożywioną rozmową telefoniczną. – Co z zamówionym przez nas helikopterem?

– Mówią, że będzie tu około południa – odparł tamten, odsuwając na chwilę słuchawkę od ucha.

– Powiedzieli to także wczoraj: przyklej się do tego telefonu i nie daj im wytchnąć, dopóki nie podadzą dokładnej godziny.

– Tak jest.

Posiadanie helikoptera było niezwykle ważne. Vogel bardzo o niego zabiegał. Helikopter mógł wywrzeć dużo większe wrażenie niż gromadka psów, które przeszukiwały całą okolicę. Poza tym byłby widoczny z każdego miejsca doliny. Kamerzyści szaleliby przez cały dzień, żeby go nie zgubić. Borghi w pełni pojął już filozofię swojego przełożonego. Jednak idąc w kierunku makiety, żeby oznaczyć bieżące położenie jednostek na terenie doliny, musiał przyznać, że ta strategia i podejmowane dotąd wysiłki okazały się daremne. Gdyby pominąć chłopaka na deskorolce, nie mieli jeszcze żadnego konkretnego tropu. Anna Lou Kastner zniknęła bez śladu.

Borghi dotarł w pobliże modelu doliny, ale się zatrzymał. Coś zauważył. Zatrzymał jednego z ludzi, który przechodził obok niego. Potem dyskretnie wskazał mu drzwi ogniowe.

– Jak długo on tam stoi?

Policjant odwrócił się i również dostrzegł stojącego pod ścianą Bruno Kastnera. Mężczyzna trzymał w rękach coś, co wyglądało jak list. Rozglądał się na wszystkie strony ze stropioną i speszoną miną, tak jakby czekał, aż ktoś go zauważy.

– Nie wiem – odparł policjant. – Może godzinę.

Borghi rzucił wszystko i podszedł do niego.

– Dzień dobry, panie Kastner.

Ojciec Anny Lou odpowiedział na powitanie skinieniem głową.

– Co mogę dla pana zrobić?

Ten wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna wydawał się zbity z tropu. Nie mógł wydusić z siebie słowa. Borghi postanowił mu pomóc: zbliżył się i położył mu dłoń na ramieniu, żeby go uspokoić.

– Czy coś się stało?

– Chodzi o to, że... Chciałbym porozmawiać z agentem specjalnym Voglem, jeśli to możliwe.

Borghi wyczuł, że nie chodzi o zwyczajną prośbę. Przypominała coś w rodzaju wezwania o pomoc. W jego głowie odbiły się echem słowa Vogla, że ten człowiek umiera z pragnienia, żeby coś mu wyjawić.

– Oczywiście – powiedział. – Proszę ze mną, zaprowadzę pana do niego.

* * *

Vogel siedział w szatni przerobionej na jego gabinet, trzymając nogi na blacie biurka. Zabierał się do czytania jakichś materiałów i oddawał się temu z wielką uwagą. Na ustach błąkał mu się lekki uśmiezek.

A nie były to policyjne raporty, tylko dane dotyczące oglądalności programów telewizyjnych.

Codziennie otrzymywał sprawozdanie, z którego dowiadywał się o rosnącej liczbie programów informacyjnych i talk-show śledzących sprawę Anny Lou Kastner, a także o tym, co w tej sprawie działo się w internecie. Udział jego śledztwa podniósł się o dwa punkty procentowe. Dobrze, pomyślał, wiadomość o zaginięciu powinna nadal pozostać głównym doniesieniem największych dzienników. Ponadto sprawa znajdowała się ciągle na szczycie listy tak zwanych *trending topic*, czyli przeważających tematów w mediach społecznościowych; była omawiana i komentowana na wszystkich blogach.

Wnioskując z danych liczbowych, opinia publiczna jeszcze się nią nie znudziła. Ale Vogel zdawał sobie sprawę, że jeśli w krótkim czasie nie uda mu się rzucić mediom czegoś nowego, to ich zainteresowanie prędko zacznie maleć, przenosząc się na bardziej smakowite wydarzenia.

Opinia publiczna to okrutna bestia. A do tego wiecznie zgłodniała.

Usłyszawszy pukanie do drzwi szatni, Vogel zdjął nogi z biurka i schował sprawozdania do szuflady.

– Proszę – powiedział. Zobaczył na progu Borghiego.

– Jest tu ze mną ojciec dziewczyny – oznajmił policjant. – Ma pan wolną chwilę?

Vogel dał mu znak, żeby wprowadził mężczyznę do środka. Chwilę potem Bruno Kastner wszedł do pomieszczenia razem z Borghim, ciągle ściskając w rękach kopertę.

– Proszę, panie Kastner – powitał go Vogel, wychodząc mu naprzeciw.

Wskazał mu jedną z ławek stojących przed szafkami i sam usiadł obok niego. Borghi pozostał koło drzwi, stojąc z założonymi na piersi rękami.

– Nie chciałem panu przeszkadzać – powiedział gość.

– Wcale mi pan nie przeszkadza.

– Po południu w dniu zaginięcia nie było mnie w domu. Byłem daleko u klienta. I ciągle myślę, że gdybym tam nie pojechał, być może dałoby się uniknąć tego wszystkiego. Kiedy zadzwoniła do mnie żona, żeby mi powiedzieć, że Anna Lou nie wróciła do domu, w głębi duszy zrozumiałem już wszystko.

– To są bezsensowne wyrzuty sumienia – próbował dodać mu otuchy Vogel. Nie wyjawiał mu, że sprawdzono również jego alibi i że został usunięty z listy podejrzanych.

– Słyszeliśmy, co mówią w telewizji... – ciągnął ojciec zaginionej. – Czy ta historia, że ktoś porwał moją Annę Lou, jest prawdziwa? Pan w to wierzy?

Vogel nie odpowiedział, ale posłał mu fałszywe współczujące spojrzenie, które potem prześlizgnęło się po kopercie w rękach mężczyzny.

– Nie musi pan wierzyć we wszystko, co mówią dziennikarze.

– Ale szukacie kogoś, prawda? Może pan to potwierdzić?

Również tym razem Vogel nie odpowiedział wprost.

– Na podstawie doświadczenia wiem, że lepiej jest, jeśli bliscy krewni nie znają przebiegu śledztwa. Również dlatego, że zawsze badamy kilka tropów, nie pomijając żadnego, i to może wprowadzić zamieszanie do ich osądów. – Lub stworzyć fałszywe nadzieje, dodał w myśli.

Bruno Kastner zamilkł i zaczął mocować się z kopertą. Chwilę zajęło mu jej otwieranie, po czym wyjął z niej zawartość. Tymczasem Vogel wymienił pytające spojrzenie z Borghim.

W kopercie znajdowała się fotografia. Ta sama, na której jego córka pozowała uśmiechnięta obok swej serdecznej przyjaciółki.

Kastner podał mu zdjęcie. Vogel wziął je do ręki i spojrzał na nie, niczego nie rozumiejąc.

– Od paru dni się z tym męczę... – oświadczył Bruno Kastner, splatając wielkie dłonie i ściskając je tak, że aż zbieła mu skóra na kłykciach. – Dlaczego ona? Bo prawdę mówiąc, Anna Lou nie jest... zbyt urodziwa.

To oświadczenie musiało kosztować go mnóstwo wysiłku, pomyślał Borghi. Który ojciec decyduje się powiedzieć coś takiego o swojej małej księżniczce? Ten człowiek musiał wręcz rozpaczliwie poszukiwać jakiegokolwiek wyjaśnienia.

W istocie, zauważył Vogel, różnica między dwiema dziewczynami była oczywista. Jedna z nich wydawała się kobietą, druga dzieckiem. Wybrał ją właśnie z tego powodu, powinien mu powiedzieć. Dziewczyna niczym się niewyróżniająca, taka, którą można obserwować z pewnej odległości, nie wzbudzając podejrzeń. Taka, którą można uprowadzić w zimowy wieczór kilka kroków od jej domu, tak

że nikt niczego nie zauważy. Po chwili jednak Vogel uświadomił sobie, że jest jeszcze coś, ponieważ potężne ramiona mężczyzny opadły jakby w geście kompletnego załamania.

– Zrobiłem coś, czego się wstydzę – powiedział cicho Bruno Kastner. Mogło się wydawać, że to początek spowiedzi. – Ta druga dziewczyna na fotografii ma na imię Priscilla... Pewnego dnia znalazłem jej numer telefonu w komórce Anny Lou... i zacząłem do niej dzwonić. Gdy tylko się odzywała, wyłączałem się. Nie sądzę, żeby wiedziała, że to byłem ja. Nie wiem, dlaczego to robiłem.

Vogel i Borghi spojrzeli znowu na siebie, tym razem zaniepokojeni. Na twarzy Kastnera, stwardniałej od przeżyć ostatnich dni, pojawiła się maleńka łza, która prędko spłynęła pod brodę. Niemal dziecinnym odruchem mężczyzna pociągnął nosem i potarł jego grzbiet wierzchem dłoni.

Agent specjalny ujął go za rękę, żeby pomóc mu się podnieść.

– Może pan teraz wróci do domu i wszyscy zapomnimy o tej sprawie? Niech mi pan wierzy, tak będzie najlepiej. – Dał znak Borghiemu, żeby zajął się gościem.

Młody policjant podszedł bliżej, ale Bruno Kastner jeszcze nie skończył.

– Moja żona jest wierząca, oddana bractwu... Trudno jest być doskonałym ojcem i mężem, mając obok siebie taki wzór prawości. Wie pan, że czasami jej zazdrościsz? Maria nigdy się nie waha, nigdy nie ma wątpliwości. Nawet teraz, kiedy przydarzyło się nam to nieszczęście. Przeciwnie, ona uważa, że to należy do Bożego planu, że Bóg chciał, żebyśmy cierpieli dla naszego dobra. Ale jak mamy cierpieć? Powinniśmy płakać, ale z jakiego powodu? Gdyby ktoś nam powiedział, że Anna Lou nie żyje, przynajmniej moglibyśmy się z tym pogodzić. A tak... Poza tym ja jestem niegodnym ojcem, bo powinienem był zajmować się nią, ochraniać, a tymczasem... okazałem się słaby. Uległem pokusie.

– Z pewnością jest pan dobrym ojcem – próbował podnieść go na duchu Vogel, ale tylko po to, żeby go przekonać do porzucenia tych narzekania. Gdyby media wywąchały sprawę, zostałyby przez nie ukamienowane. Mimo że jego wina była niemal bez znaczenia, wszyscy byliby gotowi uznać Bruno Kastnera za ojca molestującego dziewczynki. Za potwora. A to nie pomogłoby podtrzymać obrazu doskonałości, jaki Vogel wytworzył wokół całej rodziny. I odciągnęłoby uwagę od prawdziwego winnego, kimkolwiek był.

– Był pewien chłopak – powiedział prawie jednym tchem Kastner, idąc już do drzwi.

Vogel nagle zainteresował się tymi słowami.

– Jaki chłopak?

Bruno Kastner spuścił oczy, odpowiadając na pytanie.

– W każdym razie moja żona nigdy by jej nie pozwoliła spotykać się z nim... on nie należy do bractwa. Ale być może podobał się Annie Lou.

– Jaki chłopak? – powtórzył Vogel z naciskiem.

– Nie wiem, kto to jest, ale widziałem, jak się kręcił koło naszego domu.
W czarnej bluzie z kapturem i z deskorolką.

Borghiego zaniepokoiło to niespodziewane zwierzenie. Natomiast Vogel był tylko poirytowany.

– Dlaczego mówi mi pan o tym dopiero teraz?

Mężczyzna w końcu podniósł na niego wzrok.

– Ponieważ trudno jest wskazać palcem kogoś innego, kiedy człowiek myśli,
że to sam Bóg chciał go ukarać za jego grzechy.

31 grudnia
Osiem dni po zaginięciu

Chłopak z deskorolką miał na imię Mattia.

Policja zidentyfikowała go już przed kilkoma dniami, dużo wcześniej, nim Bruno Kastner zjawił się u Vogla, żeby oczyścić swoje sumienie.

A dokładnie, stało się to zaledwie po dwunastu godzinach od chwili, gdy w trakcie wieczornych pielgrzymek pod dom Anny Lou chłopak zabrał pluszaka złożonego spontanicznie przed domem. Różowego kotka.

Vogel utajnił jednak ten wątek śledztwa. Reporterzy w żadnym razie nie mogli poznać imienia i nazwiska nastolatka ani informacji o tym, co się wydarzyło tamtego wieczoru. Istniało ryzyko narażenia osiągniętych rezultatów na nieodwracalną szkodę.

Ale agent specjalny był świadom, że dziennikarze mają stały zwyczaj kupowania informacji, i obawiał się, że któryś z miejscowych policjantów da się skusić perspektywą świątecznej gratyfikacji, która zasiliłaby jego marną pensję. Potrafił jednak zapobiec jakiegokolwiek inicjatywie tego rodzaju, budząc w swoich ludziach strach, że zostaną wykryci. Wystarczyło powiedzieć im, że każdy wyciek informacji będzie ukarany zwolnieniem z pracy.

Mattia miał szesnaście lat, jak Anna Lou. Jego dotychczasowe życie nie było wolne od problemów.

– Rozmawiałem z psychiatrą, który się nim opiekuje. – Borghi udzielał właśnie przełożonemu najświeższych informacji na ten temat. – Nazywa się Flores i zajmuje się nim od czasu, jak Mattia i jego matka dziewięć miesięcy temu przenieśli się do Avechot. Najwyraźniej w ostatnich latach ta rodzina odbyła sporo wędrówek. Powód był zawsze ten sam: zaburzenia osobowości, na które cierpi ten chłopak.

– Proszę to dokładniej wytłumaczyć – poprosił Vogel, który wydawał się bardzo zainteresowany sprawą.

Borghi miał zrobione notatki.

– Mattia ma usposobienie samotnika i jest niezdolny do zintegrowania się z otoczeniem i nawiązania relacji z rówieśnikami. Ponadto ma nagłe napady agresywnych zachowań. W miejscach, w których mieszkali z matką, ciągle coś kombinował. A to napadł na innego nastolatka, a to miał niekontrolowany atak złości. Zdarzyło się to także w pewnym sklepie, gdzie bez żadnego powodu i w obecności innych ludzi potłukł to, co tam było. I za każdym razem matka czuła się zmuszona porzucić wszystko i przeprowadzić się.

Prawdopodobnie, zdaniem tej kobiety, było to najlepsze lekarstwo dla syna,

pomyślał Vogel. Uważała, że radykalna zmiana miejsca i przyzwyczajzeń pomoże rozwiązać wszelkie problemy. W rzeczywistości tylko je pogłębiała. Być może matka się wstydziła lub czuła się winna w stosunku do syna, który dorastał bez ojca, w każdym razie ustawiczne ucieczki i rozpoczynanie od nowa gdzie indziej były stałym elementem ich życia.

– Mattia leczył się w przeszłości w pewnym zakładzie – ciągnął młody funkcjonariusz. – Flores powiedział mi, że obecnie bierze leki, które pomagają mu opanować wybuchy złości.

Zapoznawszy się z burzliwą przeszłością Mattii, Vogel pomyślał natychmiast, że być może tajemnica okoliczności mających związek ze zniknięciem Anny Lou Kastner znalazła się punkcie, w którym mogła zostać wyjaśniona.

Aż do tej chwili nie zebrano zbyt wielu informacji na temat chłopaka. Ustalono tylko, że matka wiąże koniec z końcem dzięki skromnym i źle płatym zajęciom, że znalazła zatrudnienie w firmie sprzątającej, a ponadto wieczorami zmywa naczynia w jednej z nielicznych restauracji działających jeszcze w Avechot. Matka i syn mieszkali w skromnym domku na przedmieściu. Vogel polecił już poddać go dyskretnej obserwacji.

Jednak Mattia więcej się nie pokazał.

Zniknął bez śladu, zacierając wszelkie tropy, zupełnie tak samo jak Anna Lou Kastner. Ale okoliczności nagłego zniknięcia chłopaka były odmienne.

Jego matka żyła w tym samym rytmie co zawsze. Rano szła do pracy i co wieczór wracała do domu, jakby nigdy nic. I nie poczuła potrzeby zawiadomienia o zaginięciu syna. Był to znak, że gdzieś się ukrył, a ona go chroni. A zarazem wskazówka potwierdzająca jej wiedzę o tym, że Mattia znowu coś znalazł. Tyle że tym razem nie wdał się w zwykłą bójkę z kolegą ze szkoły. Musiał mieć na sumieniu coś poważniejszego.

O nieobecności chłopaka w domu świadczyło to, że kierunkowe mikrofony umieszczone wokół budynku nie wychwyciły żadnego podejrzanego odgłosu podczas nieobecności matki. Vogel nie nakazał jeszcze przeszukania, ponieważ w ten sposób obudziłby czujność kobiety. Natomiast polecił ją śledzić, mając nadzieję, że doprowadzi ich do syna.

Ale tak się nie stało.

Wydawało się, że kontakty między obojgiem nagle się urwały. Poza tym, należąca do chłopaka komórka była stale wyłączona.

Gdziekolwiek się znajdował, Mattia nie mógł pozostawać już długo w ukryciu, bez jedzenia i mając na karku policję, która przeczesywała centymetr po centymetrze całą okolicę w poszukiwaniu Anny Lou. Vogel był tego świadom, dlatego wolał czekać, aż chłopak sam wykona decydujący krok i wyjdzie z ukrycia.

* * *

Płetwonurkowie sprawdzali jedną ze studzienek ściekowych w pobliżu kopalni. Według map, które Borghi otrzymał od władz miasta, było ich co najmniej trzydzieści, jednakowych, przy czym niektóre były używane, a inne już nie. Pozostawały jeszcze te niezinventaryzowane. Ponadto dolinę przecinała sieć podziemnych chodników, które tworzyły isticie piekielną pajęczynę.

Nadawały się doskonale do ukrycia ciała. A na sprawdzenie ich wszystkich potrzebna by była wieczność.

Niebo wyglądało jak jednolity żeliwny blok zamknięty wśród gór. Jego widok przywodził na myśl potężne imadło zaciskające się na wszystkich żywych istotach, żeby je zmiażdżyć. Borghi czekał w samochodzie zaparkowanym kilka metrów od miejsca, gdzie pracowali płetwonurkowie. Przyglądał się im zza skroplonej mgiełki pokrywającej przednią szybę. Cisza panująca we wnętrzu auta i cienka warstwa pary przydawały tej scenerii nierealności. Niczym w złej baśni, takiej ze smutnym finałem.

Borghi nadzorował to przeszukanie bez wielkich nadziei: nurkowie zanurzali się na zmianę w mulistej wodzie, aby po piętnastu minutach wyłonić się na powierzchnię i pokręcić głowami. Te gesty i choreografia powtarzały się bez końca.

Limuzyna stała pośrodku polany. Poranny mróz szczypał policzki. Borghi zaczął chuchać w dłonie, żeby je rozgrzać, ale ulga trwała tylko chwilę. Po raz pierwszy od początku śledztwa ogarnęło go zniechęcenie. Coś mu mówiło, że nigdy nie zamkną tej sprawy i po Annie Lou Kastner pozostaną tylko imię i nazwisko w wykazie osób zaginionych, które po jakimś czasie popadną w niebyt, jakby nigdy nie istniały.

Ale był też inny powód jego niepokoju. Bezustannie rozmyślał o tym, o czym Vogel wspomniał mimochodem na pierwszej odprawie. A mianowicie, że Anna Lou w swojej komórce miała zapisanych tylko pięć numerów.

Mamę, tatę, dom, dziadków i parafię.

Jego przełożony wymienił ten szczegół, żeby podkreślić, że zachowanie i zwyczaje dziewczyny są wolne od wszelkich podejrzeń. Ta krótka lista osób i miejsc była także miarą jej życia, jej świata. Czegoś prostego i zrozumiałego, bez podtekstów i bez tajemnic. W pełnym świetle słońca.

Mama, tata, dom, dom dziadków, parafia.

Cały świat Anny Lou koncentrował się w tych miejscach, w kręgu tych osób. Poza tym była oczywiście szkoła, a także lodowisko. Ale sprawy, które liczyły się naprawdę, były zamknięte w tym wykazie. Były to numery, pod które zazwyczaj dzwoniła i w razie potrzeby to pod nimi szukałaby pomocy albo pocieszenia.

Ale wczorajsza wizyta Bruno Kastnera zasiała w nim wątpliwości. Podejrzeenie powstało w chwili, gdy zobaczył zdjęcie, które ten człowiek przyniósł

ze sobą.

Anna Lou obok swojej najlepszej przyjaciółki Priscilli.

Przez cały ten czas ich dochodzenie koncentrowało się na czym innym. Wymyślili fortele, żeby wmieszać w to media i otrzymać więcej środków. Potem je uruchomili, żeby zintensyfikować poszukiwania. Zdołali nawet zidentyfikować chłopaka z deskorolką i teraz potajemnie na niego polowali. Jednak nikomu, nawet mediom, nie przyszło na myśl, żeby porozmawiać z tą dziewczyną, Priscillą, żeby sprawdzić, czy wie o czymś, co mogłoby im pomóc. Powód był prosty. Nie chodziło tylko o roztargnienie.

Mama, tata, dom, dom dziadków, parafia.

Jeśli ta Priscilla, według słów Bruno Kastnera, była najlepszą przyjaciółką Anny Lou, to dlaczego jej numeru nie było na liście kontaktów w komórce dziewczyny?

Borghi rękawem kurtki wytarł parę z szyby. Potem uruchomił silnik. Przyszedł czas, żeby pojechać i uzyskać odpowiedź na to pytanie.

* * *

Avechot przygotowywało się do powitania Nowego Roku w sposób powściągliwy. Ludzie zamierzali świętować ten moment w domu, ponieważ burmistrz odwołał wszystkie planowane imprezy publiczne.

– Nie można się radować, jeśli choć jedna osoba z bractwa nie może świętować razem z nami – oświadczył dziennikarzom, a potem zamilkł, aby naładowana wzruszeniem cisza wzmocniła te przygnębiające słowa.

W ostatnich dniach pierwszy obywatel miasteczka był bardzo aktywny i starał się przedstawić mediom pozytywny obraz mieszkańców doliny. Aby uciszyć ewentualne oskarżenia, zatrudnił nawet wolontariuszy do grup poszukiwawczych. Przeczyszywali lasy, wspomagając siły porządkowe.

Późnym rankiem tego dnia wziął udział w nabożeństwie, które odprawiono w sali zebrania bractwa. I tym razem spotkanie poświęcone było modlitwie o szczęśliwy powrót Anny Lou. Uczestniczyli w nim także Kastnerowie.

Borghi zobaczył ich przez okno samochodu, jak opuszczali świątynię, żeby udać się do domu, eskortowani przez grupkę członków bractwa osłaniających ich przed natarczywością reporterów i fotografów, którzy starali się ukraść jakieś słówko albo obrazek oddający ich cierpienie. Ale Borghiego interesowało co innego.

Zobaczył ją wychodzącą na samym końcu. Priscillę – ubraną w zieloną kurtkę i wojskowe buty. Miała włosy związane na karku i okulary słoneczne, chociaż było pochmurno. Jej ubrania nie zwracały szczególnej uwagi, ale i tak prezentowała się ładnie. Towarzyszyła jej kobieta. Ich podobieństwo było uderzające, więc pewnie była jej matką. Obie ruszyły ulicą, nie zwracając uwagi na

obiektywy i mikrofony, które tymczasem zaczęto kierować również w stronę członków bractwa religijnego. Podczas gdy matka gawędziła z członkami wspólnoty, podążająca za nią Priscilla zwolniła kroku, jakby chciała pozostać trochę z tyłu. Jednak rozglądała się, kontrolując sytuację. W pewnym momencie skorzystała z zamieszania, żeby się odłączyć i odejść w innym kierunku.

Borghy zobaczył, że skręca za róg i wsiada do sportowego auta, które prędko odjechało. Za kierownicą siedział jakiś chłopak.

Dogonił ich niebawem. Samochód stał na tyłach małego miejskiego cmentarza. Borghi zatrzymał się w odległości około stu metrów od nich. Z tego miejsca był w stanie dojrzeć, jak oboje pozbywają się ubrań, całując się z tak wielkim zapałem, że nie zauważyli nawet jego obecności. Gdy doszedł do wniosku, że dość się już naprzyglądał, opuścił szybę i umieścił na dachu samochodu policyjnego koguta. Następnie na krótką chwilę włączył syrenę.

Dwoje przestraszonych nastolatków znieruchomiało.

Borghy podjechał powoli, pozostawiając im czas na ubranie się. Zaparkował naprzeciwko sportowego auta, wysiadł i ruszył w ich kierunku. Pochylił się nad oknem po stronie kierowcy.

– Witam, dzieciaki. – Jego uśmiech nie wróżył nic dobrego.

– Dzień dobry. Jakies problemy? – Chłopak starał się okazać spokój. Pomimo swej arogancji widać było, że gotów jest zrobić pod siebie ze strachu.

– Domyślam się, chłopcze, że pożyczyłeś bez pozwolenia auto ojca. Nie sądzę, żebyś był w wieku pozwalającym na prowadzenie samochodu, czy też się mylę? – Była to typowa odzywka gliniarza. W rzeczywistości chciał podkreślić fakt, że chłopak ma już prawo jazdy, ale jego pasażerka jest jeszcze osobą niepełnoletnią.

– Niech pan posłucha, nie zrobiliśmy nic złego – odpowiedział tamten drżącym głosem.

– Chcesz udawać wobec mnie twardziela, chłopczyku? – Tym razem Borghi przemówił tonem policjanta, który za chwilę straci cierpliwość.

Priscilla pochyliła się w stronę okna, żeby przeszkodzić chłopakowi w palnięciu następnego głupstwa, które mogłoby pogorszyć sytuację.

– Bardzo proszę, niech pan nie mówi nic mojej matce.

Borghy spojrzał na nią ostro i odczekał kilka sekund, jakby się zastanawiał.

– Zgoda, ale sam odwiozę cię do domu.

Podczas gdy pokonywali ulice miasteczka, wykorzystał okazję, żeby się jej przyjrzeć. Była raczej niewysoka, ale dzięki wojskowym butom wyglądała na wyższą. W jednym uchu miała trzy kolorowe kolczyki w kształcie kołeczków, kontury oczu podkreśliła lekkimi pociągnięciami ciemnego ołówka. Miała delikatne rysy twarzy. Spod rozpiętej kurtki wyglądał czarny golfik, opinający drobne piersi. Na nogach miała obcisłe legginsy w kwiatki z rozdarciem na udzie.

Pachniała zbyt słodkim, truskawkowym dezodorantem, którego zapach mieszał się z lekkim zapachem potu, dymu papierosowego i miętowej gumy do żucia. Jednym słowem typowa nastolatka.

Chciał wyciągnąć z niej kilka informacji. Ponieważ wcześniej najadła się strachu, teraz była raczej bezbronna i był pewien, że będzie mówiła prawdę, żeby nie pogarszać swojej sytuacji.

– Co mi powiesz o Annie Lou?

– A co chce pan wiedzieć?

– Jesteś jej najlepszą przyjaciółką, prawda?

– Hm... moim zdaniem, była w porządku. – Obserwowała ulicę, obgryzając różowy lakier z paznokci prawej dłoni.

– Co masz na myśli?

– Że chłopcy z naszej szkoły dużo gadają. Kilku z nich twierdzi teraz, że miała jakieś sekrety. A ona tylko była miła dla wszystkich i nigdy się nie złościła.

– Jakiego rodzaju sekrety?

– Że miała jakieś kontakty na mieście, że zadawała się ze starszymi od siebie. Same głupoty.

– Spotykałyście się? Co lubiła robić?

– Matka pozwalała jej wychodzić tylko ze mną, ale tu, w Avechot, nie ma gdzie iść wieczorem. Poza tym, miała pozwolenie na te spotkania ze mną tylko po południu i wtedy przychodziła do mnie do domu, żeby razem odrabiać lekcje.

– Nie byliście w tej samej klasie – zauważył Borghi.

– Rzeczywiście, nie. Ale i tak się spotykałyśmy, bo Anna Lou jest bardzo dobra z matematyki i pomagała mi.

– Miała chłopaka? Wiesz coś o tym?

Priscilla parsknęła śmiechem.

– Chłopaka? Nie, absolutnie nie.

– A może ktoś się jej podobał?

– Tak, moja kotka. – Znowu się roześmiała. Ale jej dowcip nie spotkał się z dobrym przyjęciem, więc spoważniała. – Anna Lou była inna, nie zależało jej na tym, żeby podobać się chłopakom albo rozrabiać z kolegami i koleżankami.

– A więc widywała się tylko z tobą, oczywiście oprócz kolegów i koleżanek ze szkoły.

– Zgadza się. – Priscilli wyraźnie zależało na tym, żeby wyjść na osobę, z którą Anna Lou pozostawała w zażyłych kontaktach. Być może po to, żeby oddalić od siebie podejrzenia, pomyślał Borghi.

– A co, twoim zdaniem, mogło się jej przydarzyć?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie wiem. Różnie mówią, na przykład, że uciekła z domu. Ale ja w to nie wierzę.

- Mogło się coś wydarzyć, z czego ona ci się nie zwierzyła.
- To niemożliwe. Gdyby coś się stało, opowiedziałyby mi o tym.

Kłamała, Borghi był tego pewien.

- Czy tak byłoby również wtedy, gdybyście się pokłóciły?

Jego słowa zaskoczyły dziewczynę. Odwróciła się i spojrzała na niego ostro.

- Skąd pan o tym wie?

Nie powiedział jej, że domyślił się, dlaczego Anna Lou usunęła jej numer z listy kontaktów. Zwolnił i zatrzymał się przy chodniku. Następnie zgasił silnik, ponieważ chciał patrzeć jej prosto w oczy.

- Sprawa pozostanie między nami, ale chcę znać prawdę.

Priscilla znowu zaczęła obgryzać lakier z paznokci.

– Nie mówiłam o tym nikomu, ponieważ mam już dość kłopotów z moją matką – próbowała się bronić. – Od czasu, jak odszedł mój ostatni ojczym, dostała bzika na punkcie bractwa. To już szósty czy siódmy drań, który ją rzuca. Zwykle trafiają się jej takie nędzne typki, prawdziwi zasańcy. Ona ich przygarnia, tak jak niektórzy robią z bezpańskimi psami. Stawia ich na nogi, a potem odchodzą, nawet jej nie dziękując. Teraz opowiada wszystkim, że bractwo ją uratowało, no i chce uratować również mnie. Mówi, że Jezus ją kocha, dla mnie jednak ten Jezus jest tylko jeszcze jednym na jej liście. Chodzę z nią na te zebrania, żeby zrobić jej przyjemność, ale religia mnie nie interesuje.

– Anna Lou była twoją przykrywką, tak? Dopóki się z nią spotykałaś, matka nie miała powodu, żeby naprzykrzać ci się uwagami na temat twoich znajomości. Więc nic jej nie powiedziałaś o kłótni, bo inaczej robiłaby ci sceny.

Priscilla uniosła dumnie głowę.

– Nie jestem świnią, ja naprawdę bardzo lubię Annę Lou. Ale prawdą jest, że zanim zniknęła, nie rozmawialiśmy już ze sobą od co najmniej dwóch tygodni.

Borghi wlepił w nią wzrok.

- Dlaczego?

– Niech pan nie wyobraża sobie żadnych dziwnych rzeczy – odparła stanowczo dziewczyna. – To nie było nic wielkiego. Otworzyłam jej tylko oczy na jedną rzecz, która jej dotyczyła.

- Co to było? – przycisnął ją policjant.

- Taki jeden dupek, który za nią chodził.

Mattia, pomyślał od razu Borghi.

- Wiesz, kto to był?

– Jasne, chodzi do mojej klasy, ma na imię Mattia i z nikim nie rozmawia, bo nikt nie chce się z nim zadawać.

- Dlaczego chodził za Anną Lou?

– Nie wiem. Może mu się podobała albo dlatego, że jedynie ona się do niego odzywała. Tak czy siak, w ten sposób dodawała mu tylko odwagi, więc jej

powiedziałam, że robi błąd. Anna Lou nigdy nie mogłaby być jego dziewczyną, ale, moim zdaniem, ten palant miał co do tego jakieś złudzenia, bo ciągle się koło niej kręcił.

Borghi zaczynał domyślać się prawdy, lecz Priscilla i tym razem nie powiedziała mu wszystkiego.

– A więc ostrzegłaś ją, ale ona cię nie posłuchała... Nie wydaje mi się, żeby był to dobry powód zerwania przyjaźni.

Wątpliwości policjanta przekonały dziewczynę, żeby opowiedzieć resztę.

– No dobrze... coś się wydarzyło. Pewnego dnia Mattia kręcił się koło nas jak zawsze, starał się pozostać niezauważony, ale był zbyt natrętny. Nie mogłam znieść tego dłużej, podeszłam do niego i powiedziałam mu parę mocnych słów. Spodziewałam się, że zareaguje i zacznie się ze mną kłócić. On jednak spojrzął na mnie jak przestraszony szczeniak i nie odezwał się ani słowem. A potem patrzę, a on robi w spodnie.

– Robi w spodnie?

– Słowo honoru, że tak było. Widzę ciemną plamę, która zaczyna się pokazywać na jego spodniach, na wysokości majtek. A potem szczynty Mattii tworzą kałużę pod jego trampkami. Nie wierzyłam własnym oczom.

Borghi westchnął i pokręcił głową. Nastolatki, pomyślał. Co za burdel.

– A więc winą za to Anna Lou obarczyła ciebie.

– Ale ja nie miałam wyjścia. Ona nawet zrobiła dla niego jedną z tych swoich bransoletek z koralików i chciała mu ją podarować. A potem miała do mnie pretensje... powiedziała, że go upokorzyłam, i nie chciała więcej ze mną rozmawiać.

Borghi uświadomił sobie, że nie docenił Anny Lou. Uważał, że jest typem słabym i ustępliwym. Tymczasem była stanowcza, a w tym przypadku umiała być sprawiedliwa. Ukarła przyjaciółkę za jej niepotrzebne okrucieństwo. Nie mógł jednak zadać Priscilli pytania, czy uważa, że Mattia maczał palce w zniknięciu Anny Lou. Było oczywiste, że Priscilla o nic go nie podejrzewa, ponieważ nie mogła wiedzieć, że chłopak, który w jej obecności posikał się w spodnie, w przeszłości miał problemy z opanowywaniem napadów złości.

– Dlaczego, twoim zdaniem, Mattia miałby stanowić zagrożenie dla Anny Lou? – spytał Borghi. – No dobra, chodził za nią, ale nie rozumiem...

– On ją śledził z kamerą wideo w rękę.

* * *

O dwudziestej serwisy informacyjne prześcigały się w relacjach z obchodów nocy sylwestrowej w różnych miastach kraju. Ale zarezerwowano też czas na inne wydarzenia i wysłannicy specjalni mieli pokazać nieoświetlony dom w dzielnicy willowej górskiego miasteczka, gdzie dwoje rodziców wciąż martwił los ich

nastoletniej córki.

Mieszanie słodkiego z gorzkim powoli brało górę w mediach. Vogel dobrze znał ten trend.

Telewizor w pokoju hotelowym był włączony, lecz nikt nie oglądał programu. Dźwięk docierał jednak do agenta specjalnego, który był w łazience. Ubrany w szlafrok, stał przed lustrem z pędzelkiem w dłoni i malował brwi ciemnym tuszem. Delikatnie i powoli. Podczas wykonywania tej czynności miał otwarte usta. Był to bezwiedny odruch, którego nie dostrzegał w odbiciu swojej twarzy, a który sprawiał, że wyglądał śmiesznie.

Szafa obok łóżka była szeroko otwarta i wisiały w niej eleganckie ubrania, które Vogel zabrał ze sobą, jakby miał przebywać w Avechot miesiącami. Każde na osobnym drewnianym wieszaku, a obok nich – płócienny woreczek z suszonymi kwiatami lawendy, które miały trzymać z dala mole i zapewniać materiałowi świeży zapach. Na drzwiach szafy umocowany był pręt, na którym wisiały obok siebie krawaty – jedwabne, wełniane lub kaszmirowe. Miały różne fantazyjne wzory, ale uważna ręka agenta specjalnego ułożyła je według uporządkowanej skali kolorystycznej. Wreszcie na dole stały buty – pięć par. Wszystkie sznurowane, angielskie albo włoskie, wykończone ręcznie i dokładnie wypastowane. Jeden obok drugiego, niczym żołnierze plutonu egzekucyjnego.

Ta garderoba stanowiła tylko część tego, co Vogel miał w domu. Był to owoc lat poszukiwań i pasji. Poza tym każde ubranie miało przypisaną sobie wodę kolońską, którą spryskana była skrupulatnie tylko chusteczka w kieszonce na piersi. Agent specjalny był maniakiem na tym punkcie. Jego kolekcja koszul i spinek do mankietów ocierała się o obsesję.

Pogardzał kolegami, którzy chodzili zaniedbani. Nie była to tylko sprawa wyglądu czy zwykłej próżności. Traktował te ubrania niczym rycerską zbroję. Wyrażały siłę, dyscyplinę i pewność siebie.

Ale tego wieczoru garnitury miały pozostać w szafie, ponieważ Vogel nie miał najmniejszej ochoty wychodzić na miasto. Na dworze zanosilo się na burzę i wolał zaszyć się w swoim pokoju, żeby samotnie czekać na Nowy Rok, jak to robił zawsze. Zamówił lekką kolację i zamierzał otworzyć butelkę cabernetu z własnej piwnicy, którą spakował do walizki przed wyjazdem.

Szykując się w łazience na wieczór, jaki na niego czekał, powtórzył sobie przed lustrem wyniki śledztwa.

Anna Lou znała porywacza. Dlatego poszła za nim, nie stawiając oporu.

Prawie na pewno nie żyje. Przetrzywanie zakładnika jest sprawą dość skomplikowaną, zwłaszcza dla samotnego porywacza. Niemal na pewno zabił ją po uprowadzeniu. Być może przeżyła tylko parę godzin.

Dziewczyna odczuwała potrzebę prowadzenia fałszywego pamiętnika na użytek matki. Ale co się stało z tym prawdziwym? I jaki zawierał sekret, z którego

nie mogła się zwierzyć nikomu?

Usłyszał popiskiwanie komórki. Sapnął ze złością, ale ponieważ ten okropny aparat nie chciał zamilknąć, przerwał operację farbowania brwi i poszedł odebrać.

– Mattia nagrywał Annę Lou kamerą – poinformował go Borghi, nawet się nie przywitawszy.

– Co takiego? – spytał zaskoczony Vogel.

– Chodził za nią i ją filmował.

– Jak pan się o tym dowiedział?

– Powiedziała mi to jej najlepsza przyjaciółka, ale po południu szukałem potwierdzenia z innych źródeł. Jakiś czas temu jeden z patroli zaskoczył go na filmowaniu par, które szukają odosobnienia za cmentarzem.

Doskonała wiadomość, uznał agent specjalny. Wyglądało na to, że nie on jeden miał swoje obsesje. Ale obsesja Mattii była dużo bardziej niepokojąca niż jego nieszkodliwe upodobanie do wyszukanych strojów. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien nakreślić nowego scenariusza, jaki się rysował, i w świetle tej ważnej nowiny podjął decyzję.

– Czy nasi ludzie nadal obserwują dom tego chłopaka?

– Po dwóch funkcjonariuszy naraz, zmieniają się co cztery godziny. Ale jak dotąd nie zauważyli nic nienormalnego.

– Niech pan powie tym ludziom, żeby się wycofali.

Borghi zamilkł na chwilę.

– Jest pan pewien, że to dobra decyzja? Dziś mamy ostatnią noc w roku i w związku z tym pomyślałem, że Mattia mógłby chcieć skorzystać z ogólnego zamieszania, jakie powstanie w całej okolicy, żeby wrócić do domu i porobić zapasy.

– Nie zrobi tego, nie jest aż tak głupi – odparł bez namysłu Vogel. – Jestem przekonany, że postara się nawiązać kontakt z matką, która dziś wieczorem także zmywa naczynia w restauracji.

Borghi miał wątpliwości.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem. Co pan planuje?

Jego przełożony nie miał jednak zamiaru dzielić się z nim swoją strategią.

– Niech pan zrobi, jak powiedziałem – odparł spokojnie. A potem dodał: – Proszę mi zaufać.

Młody policjant nie zadawał więcej pytań.

– Tak jest – rzucił tylko, ale bez większego przekonania.

Kurwa, co cię obchodzą moje plany, pomyślał poirytowany Vogel, rozłączając się.

1 stycznia
Dziewięć dni po zaginięciu

Niedługo po północy w noc sylwestrową Vogel ruszył przez miasto jednym ze służbowych samochodów.

Na ulicach widać było tylko nielicznych spóźnialskich, którzy spieszyli się na prywatne przyjęcia. Agent specjalny dostrzegał w oświetlonych oknach biesiadników, którzy obejmowali się i uśmiechali, świętując koniec starego roku i początek nowego. Śmieszne przesady. On tego nie potrzebował. W pozbywaniu się przeszłości widział tylko sposób na to, żeby nie przyznać się do własnych niepowodzeń. A przyszłość, którą niebawem wszyscy powitają z tak wielką radością, ten okres nowych dwunastu miesięcy, miało wypełnić niepotrzebne życie, zasługujące tylko na to, żeby także o nim zapomnieć.

Vogel rozumował tak jak media. Dla niego liczyła się tylko terażniejszość, nic więcej. Niektórzy byli jej twórcami. Za to inni po prostu nią żyli. On sam czuł, że należy do tej pierwszej kategorii, ponieważ z każdej sytuacji potrafił wyciągnąć jakąś korzyść dla siebie. Druga składała się z tych, którzy jak Anna Lou byli predestynowani do odgrywania roli ofiar i płacili za chwałę innych.

Dlatego w tym momencie Vogel nie interesował się Nowym Rokiem. Miał na głowie ważniejsze rzeczy. A teraz, prowadząc auto wprost do obranego celu, sięgnął po komórkę i wystukał numer, który znał na pamięć.

Stella Honer odezwała się po dwóch dzwonekach.

– Jestem, słucham – powiedziała tylko.

– Pamiętasz? Dwadzieścia pięć minut przed wszystkimi innymi.

Z miejsca domyśliła się, że tej nocy coś się wydarzy.

* * *

Dotarłszy na odległość stu metrów od domu, w którym mieszkał Mattia ze swoją matką, Vogel zatrzymał samochód. Mały górski domek stał na szczycie niedużego pagórka porośniętego dziką, wyschniętą trawą i otoczonego parkanem, który wymagał pilnej naprawy. Pograżony był w mroku, ale w jednym z okien migotały różowawe odblaski.

Agent specjalny miał świadomość, że nakazanie wycofania ludzi nie wystarczy, ponieważ otoczenie domu usiane było mikrofonami gotowymi przechwycić wszelkie dźwięki dochodzące ze środka. Z tego powodu musiał poruszać się z najwyższą ostrożnością. Nikt nie powinien się dowiedzieć, że tu był. Ale istniało rozwiązanie również dla tego problemu.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że wystarczy zaczekać kilka minut. Potem,

zgodnie z prognozą, zaczęło padać. Rozpętała się burza, której nieregularne porywy siekły gwałtownie ziemię i domy, zagłuszając wszystko inne.

Vogel wysiadł z samochodu i szybkim krokiem ruszył wydeptaną dróżką. Dotarłszy pod osłonę ganku, strząsnął wodę z płaszcza i ostrożnie pokonał kilka schodków. Znalazłszy się przed drzwiami wejściowymi, wyjął z kieszeni parę lateksowych rękawiczek, żeby nie zostawić odcisków palców, i śrubokręt. Użył go, żeby otworzyć zamek. Nie było to trudne, toteż niebawem domek stanął otworem. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, agent specjalny szybko wślizgnął się do środka.

Pierwszym wrażeniem, jakie odniósł, było uderzające ubóstwo. Zapach kapusty i wilgoci. Stare meble i kurz. Bielizna rozwieszona do wyschnięcia między dwoma krzesłami i brudne talerze. Chłód. Jednakże w tym bałaganie kryła się także miłość kobiety do nieudanego syna. Wyczuwał strach matki Mattii. Przerazenie, że sobie nie poradzi, że przegra, że zobaczy, jak w jednej chwili wszystko się wali. Ponieważ miała świadomość, że chłopiec, którego wydała na świat, jest niebezpieczny dla siebie i innych. Wiedziała też, że leki i psychiatry nic nie poradzą.

Deski starej podłogi skrzypiały pod ciężarem kroków Vogla, ale dudniący w dach ulewny deszcz tłumił wszelkie hałasy. Agent przechodził przez kolejne pomieszczenia.

W jednym z kątów kuchni, która służyła również za pokój dzienny, stał piecyk. To z niego dochodziły różowawe odbłaski, które Vogel zauważył przez okno, lecz dawał za mało ciepła, nawet na ogrzanie tego pomieszczenia. Vogel minął wytartą kanapę i ruszył w kierunku kolejnego pokoju. Stało w nim małżeńskie łóżko, nad którym wisiał mały drewniany krzyż, widać też było kilka haczyków pełniących rolę szafy, poza tym ściany były gołe. Na krześle leżały rzucone na kupę ręczniki, a obok szafki nocnej stały zniszczone kapcie.

W trzecim pomieszczeniu znajdowała się łazienka. Wyszczerbione płytki, stosy gazet. Ze spłuczki dobywało się coś w rodzaju cichego szlochania; wyraźnie potrzebowała naprawy. Wanna była mała i pokryta kamieniem.

Obejrząwszy cały dom, Vogel zadał sobie pytanie, gdzie sypia Mattia. Być może na kanapie, którą widział w pokoju dziennym, albo w jednym łóżku z matką, ale nie był o tym przekonany. Zamierzał już zawrócić, żeby lepiej przyjrzeć się wnętrzu, gdy zauważył prostokąt odcinający się lekko na jednej ze ścian w korytarzu. Łączył się z czymś w rodzaju drewnianej boazerii, dlatego był ledwo zauważalny.

Drzwi.

Vogel podszedł i pchnął je dłonią. Otworzyły się, ukazując ceglane schodki prowadzące w dół między kamiennymi ścianami, prawdopodobnie do piwnicy.

Na dole było jednak ciemno.

Wyjął komórkę i oświetlając sobie drogę ekranem, zaczął ostrożnie schodzić. Stopnie były strome i wytarte. Czuło się lekki zapach stęchlizny, nie było tu jednak wilgoci. Dotarłszy na sam dół, oświetlił najbliższe otoczenie.

Nie była to piwnica, ale suterena. Ze sposobu jej urządzenia wyciągnął wniosek, że jest to pokój Mattii. Lub raczej jego nora.

Nie było tu okien ani wentylacji. Z zewnątrz docierały głucho i dalekie odgłosy ulewy. Niczym jakiś lament.

Po prawej stronie przysunięte do ściany stało łóżko polowe. Było rozbabrane, przykryte stosem koców i narzut. Pomyślał, że jest tu dużo chłodniej niż w pozostałej części domu. Ale być może nastolatek potrafił się przystosować do tych warunków, byle tylko zapewnić sobie trochę niezależności.

Vogel zobaczył przed sobą stół. Na ścianie nad nim wisiały zdjęcia. Powiększone kadry, skopiowane z filmu.

Na wszystkich była Anna Lou.

Podszedł bliżej, żeby lepiej się im przyjrzeć. Około trzydziestu zbliżeń. Dziewczyna została sfotografowana w różnym czasie i na wszystkich miała naturalny wyraz twarzy. Prawie nie było takich, na których się uśmiechała. Mimo to prezentowała ukryte piękno, pomyślał Vogel. Coś, czego zwykle nie zauważa się gołym okiem. Wyglądało to tak, jakby Mattia w tej nedorzecznej obsesji fotografowania zdołał uchwycić coś, czego nikt inny nie był nigdy w stanie dojrzeć. Nawet Bruno Kastner, który nie uważał córki za wystarczająco ładną, aby mogła zainteresować porywacza.

Na stole stał nie najnowszy komputer. Obok niego leżała kamera wideo.

Vogel podniósł ją, żeby się jej przyjrzeć. Najwyraźniej w trakcie pospiesznej ucieczki Mattia zostawił w domu przedmiot, z którym nigdy się nie rozstawał. Potem spojrzenie agenta wyłowiło jeszcze coś.

Na półce leżał różowy pluszowy kotek, prawdopodobnie ten zabrany z ulicy przed domem Kastnerów wieczorem w dniu, w którym oni zrobili mu zdjęcie. Vogel sięgnął po maskotkę i przyjrzał się jej, obracając w dłoniach. Chłopak zabrał stamtąd pamiątkę, i to by wystarczyło, żeby dopadły go media. Na tę myśl agenta specjalnego przeszedł dreszcz, ale w tej samej chwili usłyszał coś za plecami. Nie było to tylko wrażenie, szmery były rzeczywiste.

Coś poruszyło się na łóżku.

Vogel odłożył kotka i powoli odwrócił się. Rzucone na kupę przykrycia zaczęły ożywać, a spod nich wysunęła się postać. Mattia z naciągniętym na głowę kapturem bluzy, chowającym w cieniu jego twarz.

Vogel zobaczył, że chłopak podnosi się powoli; był dużo wyższy i potężniejszy, niż go zapamiętał. W jednej chwili agent specjalny zrozumiał mnóstwo rzeczy. Na przykład to, że chłopak wcale nie uciekł, a do ukrycia się wystarczyło mu zamknąć się w domu. Mikrofony kierunkowe zainstalowane na

dworze nigdy nie zdołałyby wykryć jego obecności tu, na dole, ponieważ chroniły go całe metry ziemi i skał.

Vogel miał zajęte obie ręce, w jednej trzymał kamerę, w drugiej komórkę, którą sobie przyświecał. Nie zdążyłby wyciągnąć pistoletu również dlatego, że chłopak znajdował się bardzo blisko, więc mógłby dopaść go jednym skokiem i rozbroić. Spróbował więc broni innego rodzaju, którą zazwyczaj potrafił się zrećźnie posłużyć.

– A więc to jest twoje hobby? – Wskazał głową kamerę, uśmiechając się porozumiewawczo. – Założę się, że jesteś w tym dobry.

Chłopak nie odpowiedział.

Vogel wyczuwał intensywność spojrzenia jego oczu ukrytych pod kapturem.

– Mogę sprawić, że staniesz się sławny, wiesz? Twoje filmy mogłyby trafić do telewizji, skupiłbyś na sobie całą uwagę, na jaką zasługujesz. Mam wielu przyjaciół wśród dziennikarzy, ich gazety zapłaciłyby mnóstwo forsy za te rzeczy. Wszyscy mówiliby o tobie. – Po chwili dodał nowe obietnice: – Pomyśl o swojej matce: nie musiałaby więcej pracować. Mogłaby mieć prawdziwy dom i wszystko to, na co teraz nie może sobie pozwolić. I to ty podarowałbyś jej te rzeczy... Ich zdobycie to prosta sprawa, Mattia. Musimy tylko stąd wyjść. Potem zaprowadzisz mnie tam, gdzie znajduje się Anna Lou. A nawet pójdziemy tam z ekipami reporterów telewizyjnych. A potem zostaniesz bohaterem, nikt nie będzie się z ciebie śmiał, wszyscy będą się odnosić do ciebie z szacunkiem...

Nie wiedział, czy chłopak zastanawia się nad tym, co usłyszał. Minęły bardzo długie sekundy, w czasie których nic się nie wydarzyło. Vogel miał nadzieję, że jego słowa chwyciły. Mattia się poruszył. Zrobił mały kroczek w jego kierunku. Agent cofnął się odruchowo. Chłopak się zatrzymał. Potem zrobił następny krok. Vogel potrącił bokiem krawędź stołu. Również tym razem chłopak przystanął.

W tym momencie agent specjalny domyślił się, że Mattia nie chce go przestraszyć ani zaatakować. Prosi go tylko o zgodę na to, żeby mógł zrobić tych parę kroków.

Nie chce iść w moją stronę, pomyślał Vogel. Lecz w kierunku komputera.

Odsunął się na bok, żeby Mattia mógł podejść do stołu. Ten zbliżył się i włączył komputer. Potrzebował kilku minut na uruchomienie systemu. W końcu otworzył plik nazwany zwyczajnie „Ona”. Na ekranie pojawiły się ikony różnych nagrań wideo. „Ona” była Anną Lou.

Chłopak zaczął szukać myszką tego, co go interesowało, po czym kliknięciem uruchomił odtwarzanie filmu.

Stojący za jego plecami Vogel wpatrywał się w ekran, zastanawiając się, co zobaczy.

Ukazała się Anna Lou idąca ulicą, z tym samym kolorowym plecakiem,

z którym zaginęła, oraz torbę, w której niosła łyżwy. Kroczyła samotnie w słoneczny dzień, nie zdając sobie sprawy, że ktoś ją filmuje, i przeszła obok starego, białego samochodu terenowego. Potem obraz się zmienił i Vogel zorientował się, że jest to montaż przygotowany przez Mattię. Tym razem Anna Lou stała ze swoją przyjaciółką Priscillą. Rozmawiały przed szkołą. Kolejna zmiana: dziewczyna wraz z innymi członkami bractwa sprzedawała słodycze na cele dobroczynne na małym placu przed salą ich zebrań. Vogel zadał sobie pytanie, jaki cel miał Mattia, montując te ujęcia, ale w tej samej chwili ponownie zauważył białe terenowe auto, które widział na samym początku. Prawdopodobnie obecne było również w drugim odcinku, ale on go nie dostrzegł.

Następne ujęcia potwierdziły jego podejrzenia.

Anna Lou z rodzicami na pikniku w górach – biały terenowy samochód stał na parkingu obok innych aut. Anna Lou wychodząca z braćmi z domu – biała terenówka widoczna kilka metrów dalej przy chodniku.

Obrazy płynęły, a Vogel odwrócił się, żeby przyjrzeć się Mattii, wpatrzonemu w ekran, który oświetlał mu twarz. Chodząc za Anną Lou, chłopak coś zauważył.

Że nie tylko on ją śledzi.

Białe auto na zdjęciach stało za daleko, żeby można było rozpoznać twarz kierowcy albo odczytać numer rejestracyjny. Z pewnością za pomocą odpowiedniego programu możliwe było powiększenie kadrów, ale Vogel był przekonany, że nie jest to wcale potrzebne.

– Wiesz, kto to jest, prawda? – spytał chłopca.

Mattia odwrócił się do półki, na której leżał różowy pluszowy kotek. Wskazał go wzrokiem, a potem skinął lekko głową.

Znał go.

23 lutego
Sześćdziesiąt dwa dni po zaginięciu

Tej nocy, podczas której wszystko zmieniło się na zawsze, mgła za oknem wciąż opadała, rozsiewając swe pozorne uroki, które jednak nie były w stanie oszukać nocnych ciemności.

Z kaloryfera w gabinecie Floresa dobywało się coś w rodzaju bulgotania. Gardłowy dźwięk, niemal jak żywy, przypominał ludzki głos, który ukryty w innym wymiarze, na próżno starał się zakomunikować jakieś przesłanie.

Vogel przerwał swoją opowieść i wpatrywał się w nieokreślony punkt na ścianie, gdzieś między zdjęciami a oprawionymi dyplomami.

Flores zorientował się, że agent specjalny skupia swoją uwagę na zasuszonej rybie w srebrzystym odcieniu i z różową pręgą na grzbiecie.

– *Oncorhynchus mykiss* – wymienił jej łacińską nazwę. – Znana też jako tęczak kalifornijski albo pstrąg tęczowy. Pochodzi z Ameryki Północnej, ale występuje też w kilku krajach azjatyckich leżących nad Pacyfikiem. Wiele lat temu został sprowadzony do Europy i obecnie można go spotkać w górskich jeziorkach. Aby przeżyć, potrzebuje wód chłodnych i natlenionych. – Psychiatra celowo odszedł od tematu. Nie chciał zmuszać swego gościa, żeby kontynuował opowieść, powinien przede wszystkim odegrać rolę mediatora, ustawić się jako pośrednik między tym człowiekiem i jego wewnętrznym konfliktem. A instynkt mówił mu, że Vogel usunął w cień albo rozpaczliwie próbuje ukryć przed samym sobą to, co się wydarzyło przed wypadkiem. Powód, dla którego jego ubrania były ubrudzone czyjąś krwią.

Vogel oderwał wreszcie wzrok od ryby i zaczął mówić.

– To media wyznaczają role – powiedział cicho. – Potwora i ofiary. Tę drugą należy chronić przed jakimkolwiek atakiem lub podejrzeniem, musi być „czysta”. W przeciwnym razie istnieje niebezpieczeństwo dostarczenia moralnego alibi temu, kto ją skrzywdził. Czasami jednak, i nie ma powodu tego negować, niektóre ofiary same przyczyniają się do tego, co im się przydarza. Są to grzechy widoczne gołym okiem, najprawdziwsze prowokacje lub nawet błahostki, które, kiedy trwają zbyt długo, wywołują reakcję. Pamiętam śledztwo w sprawie pewnego kierownika biura, który w miejscu pracy umyślnie przekreślał nazwisko jednego z urzędników. Robił to w obecności wszystkich, ale tylko żartem. Pewnego ranka urzędnik przyszedł jak zawsze punktualnie do pracy, ale tym razem miał ze sobą pistolet automatyczny.

– Czy coś takiego przydarzyło się Annie Lou Kastner? – zapytał Flores.

– Nie – odparł pośpiesznie Vogel.

– Czemu nie spróbujemy zapomnieć na chwilę o tej historii i skoncentrować się na tym, co się zdarzyło dziś wieczorem?

– Rzeczywiście... Moje ubrania ubrudzone krwią.

Flores nie mógł zapytać wprost, czyja to krew, musiał dojść do tego stopniowo.

– Ważne byłoby ustalenie, gdzie pan był przed tym wypadkiem na drodze i dokąd pan jechał.

Wydawało się, że Vogel koncentruje się na odpowiedzi.

– Jechałem do domu Kastnerów... Tak, jechałem do nich, żeby oddać im pewien przedmiot. – Spojrzał na bransoletkę, którą miał na nadgarstku.

– Ale dlaczego o tak późnej godzinie?

Vogel znowu się zamyślił.

– Musiałem z nimi porozmawiać, coś im powiedzieć... – Ale chwilę potem to wspomnienie zdawało się zgasnąć w jego głowie.

– Pewien przedmiot?

– Tak, ale...

Flores zaczekał, aż pamięć agenta się odblokuje. Nie był całkowicie pewien, czy Vogel udaje. Sądził, że istnieje jakaś przeszkoda, która uniemożliwia mu ujawnienie tego, co skrywał jego umysł. Co tak ważnego miał do zakomunikowania Kastnerom? Psychiatra odnosił wrażenie, że czymkolwiek to było, musiało najpierw pojawić się w opowieści o tym, co się wydarzyło dwa miesiące temu. Dlatego starał się, żeby agent specjalny rozpoczął od tamtych zdarzeń.

– Czy rzeczywiście szukaliście Anny Lou, czy też uznaliście ją za zmarłą i szukaliście tylko jej ciała, które mogłoby posłużyć za dowód, żeby przygwoździć ewentualnego zabójcę?

Vogel uśmiechnął się niewyraźnie. Było to oczywiste potwierdzenie.

– W takim razie, czy nie lepiej było powiedzieć to od razu? Zamiast podsycać nadzieję?

Wydawało się, że Vogel potrzebuje czasu, żeby się zastanowić.

– Na pytanie w przeprowadzonym niedawno sondażu, jaki cel powinien przyświecać policyjnemu śledztwu, większość zapytanych odpowiedziała „schwywanie sprawcy”. Tylko niewielki procent udzielił odpowiedzi, że celem policyjnego śledztwa powinno być „ustalenie prawdy”. – Vogel pochylił się w fotelu. – Zrozumiał pan dokładnie to, co powiedziałem? Prawie nikt nie chce prawdy.

– Dlaczego, pańskim zdaniem?

Agent zastanawiał się przez chwilę.

– Ponieważ dzięki schwytaniu sprawcy ulegamy złudzeniu, że jesteśmy bezpieczni, i w gruncie rzeczy to nam wystarcza. Ale jest lepsza odpowiedź:

ponieważ prawda wciąga nas w sprawę, czyni z nas współników zbrodni. – Po chwili wyjaśnił to dokładniej: – Zauważył pan, że media i opinia publiczna, czyli my wszyscy, myślimy o sprawcy zbrodni tak, jakby nie był istotą ludzką? Jakby należał do jakiejś obcej rasy, wyposażonej w specjalną moc czynienia zła. Nie uświadamiamy sobie tego, ale robimy z niego... bohatera. – Podkreślił to ostatnie słowo. – Natomiast przeważnie sprawca jest najzwyczajniejszym człowiekiem, pozbawionym twórczych porywów, niezdolnym do wyróżnienia się w tłumie. Ale jeśli akceptujemy go takim, musimy też przyznać, że w gruncie rzeczy jest trochę podobny do nas.

Vogel miał słuszość. Wzrok Floresa spoczął na moment na pogniecionym fragmencie starej gazety, która leżała w ogólnym bałaganie na biurku. Psychiatra wiedział dokładnie, od jakiego czasu dziennik ten spoczywa w tym miejscu, i doskonale pamiętał przyczynę, dla której go nie wyrzucił.

W tytule u góry strony znajdowało się pewne słowo.

Słowo *bestia*, określające sprawcę porwania córki Kastnerów.

Z biegiem dni, a potem tygodni, które zmieniły się w miesiące, na tej rzuconej na blat biurka gazecie nagromadziły się inne kartki i broszury. Przeznaczeniem takich wiadomości było pogrzebanie ich za życia. W zasadzie wszyscy pragniemy zapominać, pomyślał psychiatra. Zwłaszcza on sam wolałby nie pamiętać rozdzierającego płaczu Marii Kastner, który z biegiem czasu zamienił się w powściągliwy lament, niemal niesłyszalny. Flores osobiście towarzyszył tej rodzinie w początkowym okresie godzenia się z bólem. Walczył z napadami milczenia i zamykaniem się w sobie Bruno Kastnera, starał się zaradzić stopniowemu załamywaniu się Marii. Wykonywał swoją pracę jak najlepiej, dopóki bractwo religijne mu na to pozwalało. A potem powoli odseparowano go od tej rodziny.

– Panie Vogel, przed chwilą powiedział pan, że dziś wieczorem jechał pan do Kastnerów, żeby przekazać im pewną wiadomość, ale nie pamięta pan jaką.

– Zgadza się.

– I nie pamięta pan nawet tego, że w tym domu nikt już nie mieszka.

Wydawało się, że ta informacja jest dla Vogla niczym cios obuchem w głowę.

– Nie mógł pan o tym nie wiedzieć – ciągnął psychiatra. – Więc co się stało, zapomniał pan?

Agent milczał przez chwilę, po czym wyszeptał kilka słów przyciszonym głosem, niczym przestrożę.

– W tym wszystkim kryje się jakieś zło...

Flores poczuł dreszcz, czując na sobie jego uporczywe spojrzenie.

– Do waszego życia przeniknął jakiś zły urok – podjął Vogel. – Anna Lou odegrała tylko rolę wejścia, sposobu na dostanie się do środka. Dziewczyna czysta,

nieświadoma niczego, wprost doskonała kandydatka na ofiarę... Ale plan tkwiący za jej zniknięciem jest znacznie bardziej przewrotny. – Vogel potrząsnął głową. – Tylko że już za późno na ratunek. To coś już tu jest i nie zamierza stąd odejść.

W tym momencie gwałtowne i niespodziewane uderzenie zmusiło ich obu do odwrócenia się w stronę okna. Ale tak naprawdę wstrząsnęło nimi to, że na dworze nic nie było widać. Wyglądało to tak, jakby ich rozmowy obudziły we mgle jakąś zjawę, która wpadła we wściekłość i zadziałała, żeby ich uciszyć.

Flores wstał z fotela i podszedł do okna, żeby sprawdzić, co to było. Otworzył oba jego skrzydła i rozejrzał się, niczego nie rozumiejąc, podczas gdy lodowata mgła osiadała mu na twarzy. W końcu dostrzegł ciemną plamę obok rynny.

Był to kruk.

Obudził się w środku nocy i wzięwszy rozproszony przez mgłę blask latarni za światło dnia, poderwał się do lotu. Potem musiał stracić orientację i w końcu rąbnął w okno.

Kruki były pierwszymi ofiarami mglistych nocy; rano znajdowano je całymi dziesiątkami na placach i ulicach.

Flores zauważył, że ptak jeszcze się rusza, jego dziób lekko drżał. Wyglądało to tak, jakby kruk chciał coś powiedzieć. Potem znieruchomiał ostatecznie.

Psychiatra zamknął okno i odwrócił się w stronę Vogla. Przez kilka sekund żaden z nich się nie odezwał.

– Jak już panu mówiłem, po tym, co się wydarzyło, sądziłem, że nigdy więcej pana tu nie zobaczymy – oświadczył Flores.

– Ja też tak uważałem.

– Śledztwo okazało się katastrofą, prawda?

– Owszem – przyznał Vogel. – Ale czasami to się zdarza.

Jeśli Flores chciał się dowiedzieć, w jakim celu agent specjalny przyjechał do Avechot w ten zimny, mglisty wieczór, musiał zmusić go do konfrontacji z jego własnymi upiorami.

– Utrzymuje pan, że nie ponosi pan żadnej winy za to niepowodzenie?

– Wykonałem tylko moje zadanie.

– Na czym ono miało polegać? – spróbował sprowokować go psychiatra.

– To oczywiste: na uszczęśliwieniu widzów przed telewizorem – odparł agent specjalny Vogel, posyłając lekarzowi sztuczny uśmiech. Po chwili spowaźniał. – Wszyscy potrzebujemy jakiegoś potwora, doktorze. Wszyscy odczuwamy potrzebę czucia się lepszymi od innych. – Przypomniał sobie człowieka z białego terenowego samochodu. – Ja dałem im tylko to, czego chcieli.

22 grudnia
Dzień przed zaginięciem

– Pierwszą zasadą każdego wielkiego powieściopisarza jest naśladować innych. Żaden się do tego nie przyznaje, ale wszyscy inspirują się jakimś wcześniejszym dziełem albo innym autorem. – Loris Martini rozejrzał się uważnie po klasie, starając się upewnić, czy większość uczniów słucha z uwagą. Niektórzy śmiali się albo szeptali między sobą, a gdy tylko się odwrócił, paru zaczęło strzelać w siebie kulkami z papieru, mając pewność, że on tego nie zauważy. Ale nauczyciel wolał prowadzić lekcję na stojąco, przechadzając się między rzędami ławek. Jego zdaniem, poprawiało to koncentrację uczniów.

Jednak ogólnie biorąc, tego ranka wszyscy byli znudzeni. Działo się tak zawsze w ostatnim dniu przed feriami świątecznymi. Szkoła zamykała się na dwa tygodnie i uczniowie czuli się już jak na wakacjach. Trzeba było wymyślić coś, co by ich zachęciło do żywszego udziału w lekcji.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział. – To nie bohaterowie dzieła sprawiają, że odnosi ono sukces. Zapomnijcie na moment o literaturze i pomyślcie o waszych grach internetowych... Co lubicie najbardziej robić w trakcie takiej gry?

Pytanie obudziło zainteresowanie klasy. Odezwał się nawet jeden z tych, którzy strzelali kulkami.

– Niszczyć różne rzeczy! – oświadczył z entuzjazmem. Wszyscy zareagowali śmiechem.

– Dobrze – zachęcił go Martini. – Co jeszcze?

– Zabijać – dodał inny uczeń.

– Świetna odpowiedź. Ale dlaczego lubimy zabijać w wirtualnej grze?

Rękę podniosła Priscilla, najładniejsza dziewczyna w klasie, zgłaszając się do odpowiedzi. Martini zachęcił ją gestem dłoni.

– Ponieważ w świecie rzeczywistym zabijanie jest zakazane.

– Doskonale, Priscillo – pochwalił ją nauczyciel.

Dziewczyna spuściła wzrok i uśmiechnęła się, jakby usłyszała wielki komplement. Jeden z chłopaków natychmiast zmałpował jej przesłodzoną reakcję, żeby sobie z niej zażartować. Priscilla odcięła się, pokazując mu środkowy palec.

Martini mógł się poczuć zadowolony, udało mu się zmusić ich do dyskusji.

– Jak widzicie, prawdziwym motorem każdej opowieści jest zło. Powieść czy film albo gra komputerowa, w których dzieją się same dobre rzeczy, byłyby nieciekawe... Zapamiętajcie tę prawdę: to złoćczyńca decyduje o tym, że akcja staje się interesująca.

– Dobrzy nikomu się nie podobają – odezwał się Lucas, znany w szkole

z niskich ocen, zwłaszcza z zachowania, oraz z wytatuowanej za uchem trupiej czaszki. Być może poczuł się wezwany do zabrania głosu, bo widząc, że nikt nie lubi tych dobrych, znalazł w końcu okazję, żeby się odegrać.

Zawsze, gdy odnosił nawet drobny sukces pedagogiczny, Martini odczuwał zadowolenie. Trudno wyjaśnić, co w jego oczach znaczyło dotarcie do celu, który każdemu innemu mógł się wydać skromny. Ale dla niego, dla Lorisa Martiniego, taki nie był. W tym momencie miał pełną świadomość tego, że zasiał w głowach swoich uczniów pewną myśl. I że być może ta myśl nie wyleci im z głowy. Można było zapomnieć o niektórych pojęciach, ale ta myśl zaszczerpiona im w sposób spontaniczny, obierała inną drogę. Istniała szansa, że będzie szła za nimi przez resztę ich życia, choćby nawet ukryła się w jakimś zakątku mózgu, aby kiedyś wydostać się nagle na powierzchnię, gdyby poczuli, że jest im potrzebna.

To złoczyńcy tworzą akcję opowieści.

Dotyczy to nie tylko literatury. Ale także życia.

Gdy jego koledzy opowiadali o klasach, w których uczą, używali takich wyrażeń, jak „materiał ludzki”, mając na myśli uczniów, albo narzekali lub okazywali skłonność do narzucania żelaznej dyscypliny, którą zazwyczaj można było z łatwością ominąć. W pierwszym dniu szkoły wielu uczniów budziło jego czujność, wskazując wyraźnie, że jest rzeczą daremną zbyt wiele od nich oczekiwać, ponieważ ich średni poziom był raczej niski. Martini musiał przyznać, że na początku roku szkolnego nie żywił wielkich nadziei na wydajność swojego „materiału ludzkiego”. Ale z upływem tygodni znalazł sposób na przełamanie ich nieufności i stopniowo zaczął zdobywać ich zaufanie.

W Avechot uznawano dwie wartości. Wiarę i pieniądze. Chociaż wiele rodzin tych dzieciaków należało do bractwa religijnego, uczniowie wyśmiewali tę pierwszą i uznawali drugą.

Pieniądze były stałym tematem ich rozmów. Dorośli mieszkańcy miasta, którzy wzbogacili się dzięki spółce wydobywczej, afiszowali się ze swoją zamożnością, jeżdżąc samochodami z silnikami o dużej pojemności albo nosząc drogie zegarki. Byli przedmiotem podziwu i szacunku najmłodszych, którzy patrzyli z politowaniem na ludzi niemogących sobie pozwolić na luksusy, nawet jeśli byli to ich rodzice.

Miejscem, w którym można było najlepiej dostrzec różnicę między dwiema kategoriami społecznymi zamieszkującymi Avechot, była właśnie szkoła. Dzieci najbogatszych były zawsze modnie ubrane i popisywały się wzbudzającymi zazdrość gadżetami, począwszy od najnowszego modelu smartfona. Bardzo często te sprawy stawały się źródłem konfliktów. Zdarzały się bójki na szkolnym boisku z powodu powszechnej pogardy dla tych, którzy nie mogli pozwolić sobie na pewne luksusy. Dochodziło nawet do kradzieży.

Dlatego też, gdy Martini zjawił się w klasie w wytartej na łokciach

sztruksowej marynarce, dzinsowych spodniach i starych wykoślawionych butach firmy Clarks, wzbudził wesołość uczniów. Zrozumiał natychmiast, że nie będą go szanować. I musiał przyznać, że przez chwilę czuł się niezręcznie. Tak jakby jego trwające od czterdziestu trzech lat życie zostało zmarnowane na pogoni za jakimś błędnym celem.

– Nie zadam wam pracy domowej na święta. – W klasie podniosły się radosne okrzyki. – Ponieważ wiem, że i tak byście jej nie odrobili – dodał, wywołując wybuch śmiechu. – Ale chcę, żebyście w chwilach wolnych od tłuczenia sklepowych witryn i napadania na banki przeczytali przynajmniej jedną książkę z tej oto listy. – Sięgnął po leżącą na biurku kartkę, żeby ją pokazać. Tym gestem wywołał ogólne niezadowolenie.

Tylko jeden z uczniów nie odezwał się ani słowem.

Siedział przez całą lekcję w głębi klasy z głową pochyloną nad ławką, gryzmołąc coś w wielkim zeszytce, który zawsze nosił przy sobie razem z kamerą wideo. Zamknięty w swoim świecie, do którego nie miał wstępu nikt inny. Nawet klasowi koledzy odwracali się od niego. Martini co jakiś czas próbował nawiązać z nim kontakt, ale bez powodzenia.

– Mattia, zgadzasz się przeczytać co najmniej jedną książkę w czasie najbliższych dwóch tygodni? – próbował go zachęcić. Chłopak podniósł na chwilę wzrok znad zeszytu, ale po chwili pogrążył się znowu w swoich sprawach, nie udzielając odpowiedzi.

W tym momencie odezwał się dzwonek oznajmiający koniec lekcji.

Mattia prędko chwycił mały plecak i deskorolkę, którą trzymał pod ławką, i jako pierwszy skoczył do wyjścia.

Przed opuszczeniem klasy Martini odwrócił się jeszcze raz do uczniów, zanim się porozchodzili.

– Życzę wam wesołych świąt... i postarajcie się nie poczynić naokoło zbyt wielu spustoszeń.

Na szkolnych korytarzach słyhać było ożywione rozmowy uczniów szykujących się do opuszczenia budynku. Niektórzy biegli, mijając idącego normalnym krokiem Martiniego z zieloną nylonową torbą na ramieniu i roztargnioną jak zawsze miną. Usłyszał, że ktoś go woła:

– Panie profesorze! Panie profesorze!

Obejrzał się i zobaczył Priscillę, która szła w jego kierunku z szerokim uśmiechem na twarzy. Mimo że ubierała się po chłopięcemu, nosząc tę zieloną za dużą kurtkę, a do tego wojskowe buty, żeby wyglądać na wyższą, uważał, że ma wiele wdzięku. Zwolnił kroku, żeby na nią poczekać.

Dziewczyna podeszła do niego.

– Chciałam panu powiedzieć, że wybrałam już powieść, którą przeczytam w czasie ferii – oznajmiła z trochę zbyt wielkim entuzjazmem.

– Tak? A którą?

– *Lolite*.

– Dlaczego twój wybór padł właśnie na nią? – Martini spodziewał się wyjaśnienia, że w zasadzie bohaterka książki jest podobna do niej.

– Ponieważ wiem, że moja matka by jej nie zaaprobowała – odparła jednak dziewczyna.

Uśmiechnął się. W gruncie rzeczy wszystkie książki miały w sobie coś buntowniczego.

– W takim razie przyjemnej lektury. – Próbował iść dalej, ponieważ, jak zorientował się już jakiś czas temu, Priscilla zadurzyła się w nim i zauważyli to także jego koledzy. Z tego powodu starał się zawsze unikać zbyt długiego publicznego przebywania z nią, bo nie chciał, żeby ktoś pomyślał, że ją zachęca.

– Niech pan zaczeka, panie profesorze, jest jeszcze coś. – Dziewczyna wydawała się zakłopotana. – Wie pan, że jutro wystąpię w telewizji? Będę losować liczby w loterii dobroczynnej bractwa... To tylko lokalna telewizja, ale od czegoś trzeba zacząć, prawda?

Priscilla wiele razy mówiła, że chciałaby zostać sławna. Miała nadzieję, że któregoś dnia weźmie udział w reality show, takim dla początkujących piosenkarek. Ostatnio zaś wbiła sobie do głowy, że zostanie aktorką. Nie bardzo wprawdzie wiedziała, jak osiągnąć ten cel, ale być może oczekiwała, że skądś nadejdzie pomoc, i miał to być sposób na poinformowanie wszystkich, że chce uciec z Avechot, podczas gdy prawdopodobnie była skazana na to, że za kilka lat znajdzie tu nieodpowiedniego, podobnego do siebie chłopaka, z którym zajdzie w ciążę, co zmusi ją do spędzenia reszty życia w tym miasteczku. W gruncie rzeczy coś takiego przydarzyło się jej matce. Martini rozmawiał z nią tylko raz, na zebraniu z rodzicami. Była dokładnie taka jak córka, tylko starsza. Chociaż dzieliło je zaledwie piętnaście lat, matka Priscilli miała głębokie zmarszczki wokół oczu i nieuchronny smutek w spojrzeniu. Martini zapamiętał, że pomyślał wtedy o królowej balu, która pozostaje na sali, żeby tańczyć w diademie i z berłem, gdy światła po zabawie są już pogaszone i wszyscy wrócili do domu. Priscilla była bardzo do niej podobna. O ile wiedział, była jedną z najbardziej podrywanych przez chłopców dziewczynek z całej szkoły. Ale dużo też plotkowano na jej temat. Czytał poświęcone jej i jej matce uwagi na ścianach męskiej toalety.

– Rozmawiałas z kimś o tym, że pragniesz zostać aktorką?

Dziewczyna się skrzywiła.

– Moja matka nie zgodziłaby się na to, ponieważ ci z bractwa wbili jej do głowy, że aktorki to osoby bezwartościowe. Ale kiedy była młoda, sama próbowała zostać modelką. To niesprawiedliwe, żeby mi zabraniała realizować moje marzenie tylko dlatego, że nie zdołała urzeczywistnić swojego.

Tak, to było absolutnie niesprawiedliwe.

– Powinnaś uczyć się recytacji, może przekonałabyś ją dzięki temu.
– Ale po co? Uważa pan, że nie jestem wystarczająco piękna, żeby zrobić karierę?

Martini pokręcił głową na znak dobrotliwej nagany.

– Mam za sobą kursy teatralne na uniwersytecie.

– W takim razie mógłby pan udzielić mi lekcji! Proszę, proszę, proszę!

Oczy dziewczyny błyszczały z podekscytowania. Po prostu nie mógł jej odmówić.

– Dobrze – zgodził się. – Ale będziesz musiała się naprawdę zaangażować, bo inaczej będzie to tylko strata czasu.

Zsunęła plecak i położyła go na podłodze.

– Nie będzie pan tego żałował – powiedziała, wrywając skrawek kartki z zeszytu, a potem coś na nim napisała. – Tu jest numer mojej komórki. Zadzwoń pan do mnie?

Martini przytaknął i uśmiechnął się do niej. Chwilę potem patrzył, jak się oddala, nieomal frunąc ze szczęścia.

– Wesołych świąt, panie psorze!

Przyjrzał się napisanemu różowym atramentem numerowi. Priscilla dorysowała też serduszko. Włożył kartkę do kieszeni i ruszył do wyjścia.

Plac przed szkołą był pełen uczniów, którzy zatrzymali się tu, żeby pośmiać się i porozmawiać. Wielu ścigało się dookoła placu na skuterach. Między innymi wiecznie zbuntowany Lucas. Podczas gdy Martini szukał w torbie kluczyków do samochodu, chłopak przejechał obok niego, złośliwie go muskając. A potem się obejrzał.

– Kiedy zmieni pan tego gruchota, panie profesorze?

Rozbawił tym swoich kolegów. Ale Loris Martini nauczył się nie reagować na prowokacje Lucasa. Mieli drobne starcie w przeszłości i uczeń poprzysiągł mu zemstę.

– Jak tylko wygram w lotto – odciął się Martini, rewanżując się za złośliwość.

Znalazł wreszcie kluczyki na dnie nylonowej torby i otworzył drzwi wysłużonej białej terenówki.

* * *

Dwudziestego drugiego grudnia przypadał jeden z najkrótszych dni w roku. Kiedy Martini dotarł do domu, na zewnątrz zaczynało już szarzeć.

Przekroczył próg i zobaczył, że wyciągnęła się na wiklinowym fotelu stojącym przy oknie. Miała pled na kolanach i zdrzemnęła się z książką w ręce.

W refleksach zachodzącego słońca Clea wyglądała tak pięknie, że poczuł ucisk w piersi.

Jej kasztanowe włosy zabarwiły się płomienście. Za to na połowę twarzy padał cień, jak na obrazie. Miał ochotę podejść i pocałować ją w półprzymknięte usta. Ale jego żona wydawała się tak pogodna, że nie wystarczyło mu odwagi, żeby ją obudzić.

Położył torbę na drewnianej podłodze i usiadł na pierwszym stopniu schodów prowadzących na piętro. Oparł brodę na splecionych dłoniach i zaczął się jej przyglądać. Byli razem od niemal dwudziestu lat, poznali się na studiach. Ona była na prawie, on na filologii.

– Przyszli sędziowie czy adwokaci zazwyczaj nie zadają się z tymi, którzy uważają literaturę za jedyny sposób opowiadania o świecie – powiedziała mu podczas pierwszego spotkania. Nosila okulary w czarnej grubej oprawie, być może za duże jak na jej piękną twarz, pomyślał wtedy. Dżinsowe ogrodniczki, czerwony T-shirt z logo wydziału i białe wysłużone tenisówki. Przyciskała do piersi książki prawnicze, a na czoło opadał jej niesforny loczek, który odrzucała, zdmuchując go do góry. Tego promiennego wiosennego dnia byli w parku otaczającym uniwersytecki kampus. Loris miał na sobie stary ciemnoszary dres; dopiero co zakończył poranny czwartkowy trening koszykówki i był cały spocony. Zauważył ją z daleka, jak wracała do swojego pokoju, i ruszył biegiem w jej kierunku, starając się ją dogonić, zanim wejdzie do żeńskiego akademika. Miał potargane włosy i opierał się ręką o ceglana ścianę. Choć był wyższy od niej, Clea nie wydawała się tym ani trochę speszona. Wpatrywała się w niego tak, jakby nie bała się powiedzieć mu w twarz, co o nim myśli. I miała poważną minę.

Przyszli sędziowie czy adwokaci zazwyczaj nie zadają się z tymi, którzy uważają literaturę za jedyny sposób opowiadania o świecie... Z początku to zdanie wydało mu się żartem, czymś w rodzaju zalotnej szermierki słownej.

– Jasne, ale to nie przeszkadza, żeby przyszli sędziowie czy adwokaci odżywiali się regularnie – odciął się z uśmiechem.

W tym momencie obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. W jej oczach kryło się ostrzeżenie. Czy ten tutaj naprawdę myśli, że będzie mu tak łatwo zaciągnąć mnie do łóżka? Loris poczuł złowieszcze skrzywienia własnej samooceny, która groziła rozpadem na drobne kawałeczki.

– Dziękuję, ale żywię się regularnie sama – odparła, odwracając się plecami, a potem ruszyła prędko schodami prowadzącymi do wejścia.

Zaskoczyło go to tak bardzo, że skamieniał jak sparaliżowany – i rozczarowany. Za kogo ona się uważa, ta zarozumiała pannica? Poznali się wieczorem kilka dni wcześniej na małym przyjęciu z alkoholem i nieświeżymi kanapkami, urządzonym przez studentów wydziału nauk przyrodniczych. Zauważył ją natychmiast, w tym jej czarnym swetrze i z włosami związanymi na karku. Przez cały czas szukał pretekstu, żeby do niej podejść. Okazja nadarzyła się, gdy zobaczył, że rozmawia z chłopakiem, którego ledwo znał i nawet nie pamiętał

jego imienia – Max albo Alex, bez znaczenia. Podszedł pod pretekstem, że chce się z nim przywitać, mając nadzieję, że ten go jej przedstawi. Ale on zwlekał; być może też wpadła mu w oko. W końcu zrobił to tylko po to, żeby wyprowadzić ją z zakłopotania, że towarzyszy milcząco ich rozmowie.

– Loris – przedstawił się z miejsca, podając jej rękę, tak jakby w każdej chwili mogła mu uciec.

– Clea – odpowiedziała, marszcząc brwi. Ta jej reakcja z biegiem lat miała mu się stać aż nadto znajoma: była w niej ciekawość połączona z powątpiewaniem. Tak prawdopodobnie czują się naczelnice w zoo, wiedząc, że są obserwowane, jednak w tamtym momencie jej grymas wydał się Lorisowi cudowny.

Nie tracił czasu – prędko wymienili podstawowe informacje, żeby nawiązać rozmowę. Na jakim wydziale studiujesz, skąd przyjechałaś, co będziesz robić po dyplomie. Potem starał się znaleźć jakieś wspólne zainteresowania, cienkie nitki, od których mogliby rozpocząć bliższe relacje. Parę rzeczy od razu rzuciło mu się w oczy: że jest piękna, jednak nie wykorzystuje swojej urody, inteligentna, ale unika upokarzania innych, postępową i tolerancyjną, a wreszcie, wyniosłe niezależną.

Doszedł do wniosku, że w tych okolicznościach jedyną sprawą, która ich łączy, jest z pewnością koszykówka.

Loris zaczął od zwykłej rozmowy o planach gry i zawodnikach. Clea знаła natomiast statystyki i punkty zdobywane w rozgrywkach. Mistrzostwa uniwersyteckich kampusów nie miały przed nią żadnych tajemnic.

Rozmawiali przez cały wieczór i kilka razy zdołał ją nawet rozśmieszyć. Był pewien, że zaproszenie jej na randkę nie powinno być problemem, ale nie chciał zaczynać z grubej rury. Następnym razem, powiedział sobie. Ponieważ z tego rodzaju dziewczyną nie należało się spieszyć. Ale tego, co go spotkało przed żeńskim akademikiem, zupełnie się nie spodziewał. Odepchnęła go z zimną krwią, niemal ze złością. A nawet na pewno ze złością. I Loris nie zastanawiał się długo, z miejsca posłał ją w myśli do wszystkich diabłów.

Okazało się jednak, że to odtrącenie jest trudne do zaakceptowania. W kolejnych dniach rozmyślał nad tym, czasami kręcąc z rozbawieniem głową nad absurdalnością tej sytuacji, ale często również ze złością. Nawet nie zauważył, kiedy do jego myśli wkreślił się mały robak i zaczął drażnić pustą przestrzeń, którą należało czymś wypełnić.

Nie potrafił o niej zapomnieć.

W końcu podjął najbardziej szaloną decyzję w swoim życiu. W dużym domu towarowym kupił granatowy garnitur, białą koszulę i beznadziejną czerwoną muszkę. Zaczesał do tyłu niesforną czuprynę, po czym zainwestował w bukiet czerwonych róż kwotę niemającą się nijak do stanu jego finansów i o dziewiątej rano stanął przed aulą, w której odbywały się wykłady z międzynarodowego prawa

cywilnego. I czekał. Kiedy po zakończeniu wykładu chmara studentów wyległa na korytarz niczym wezbrana rzeka, Loris nie dał się jej ponieść. Wytrwał, stojąc bez ruchu w środku nurtu, czekając na chwilę, w której skrzyżuje wreszcie wzrok ze spojrzeniem tej jednej jedynej osoby. Gdy do tego doszło, Clea uświadomiła sobie natychmiast, że on zjawił się tu ze względu na nią. Podeszła do niego bez wahania.

Loris wręczył jej kwiaty z poważną miną.

– Pozwolisz zaprosić się na kolację?

Przyjrzała się uważnie różom, potem zmierzyła go wzrokiem, marszcząc czoło. W porównaniu z poprzednim razem, kiedy to zaprezentował się przed nią w dresie, spocony po meczu koszykówki i z miną gościa, który jest pewien przychylnego przyjęcia, tym razem Loris zadbał, żeby jej pokazać, jak bardzo ją szanuje i jak mu zależy na spędzeniu z nią wieczoru, choćby za cenę ryzyka, że się otrze o śmieszność. Twarz Clei rozjaśniła się uśmiechem.

– Oczywiście – powiedziała.

Teraz, wracając pamięcią do tamtego epizodu i przyglądając się żonie śpiącej w promieniach zimowego słońca, które zachodziło, pieszcząc jej twarz, Loris Martini uświadomił sobie, że już od długiego czasu nie widuje na jej ustach takiego uśmiechu jak tamten. I ta myśl bardzo go zabolą.

Zjawili się w dolinie sześć miesięcy wcześniej. To ona zaproponowała, żeby gdzieś się przenieśli. Znalazł pracę w Avechot i przeprowadzili się tu, nie zastanawiając się zbyt długo. Nie był pewien, czy małe miasteczko w górach jest właściwym miejscem, w którym będzie można zacząć od nowa, ale na tym kończyły się jego wahania. Clea nie miała żadnych wątpliwości, i to ona zdecydowała, żeby wyjechać, ale teraz Martini bał się, że żona nie jest szczęśliwa. Dlatego przyglądał się jej z daleka, próbując uchwycić oznaki mówiące, że coś nie idzie jak należy. Być może wszystko przebiegło zbyt szybko. Koniec końców, od czegoś tylko uciekli.

Tamta sprawa, powiedział sobie w duchu. Tak, wszystko to jest winą tamtej sprawy.

Clea zaczynała się budzić. Najpierw otworzyła lekko oczy, potem wypuściła książkę, którą trzymała na udach, i wyciągnęła ręce na boki, żeby się przeciągnąć. W połowie tego gestu zauważyła jego obecność.

– Hej – pozdrowiła go z leciutkim śladem uśmiechu na twarzy.

– Hej – odpowiedział, nie podnosząc się ze schodów.

– Od dawna tak siedzisz?

– Dopiero co przyszedłem – skłamał. – Nie chciałem ci przeszkadzać.

Odsunęła pled i spojrzała na zegarek.

– Och, musiałam przespać mnóstwo czasu. – Wzdrygnęła się, przyciskając ręce do piersi. – Nie wydaje ci się, że tu jest zimnawo?

– Być może ogrzewanie jeszcze się nie włączyło. – I rzeczywiście, tego

ranka przestawił automatyczny włącznik o dwie godziny. Ostatnia faktura za ogrzewanie była dość wysoka. – Zaraz się tym zajmę, rozpalę też w kominku – dodał, wstając. – Monica się nie pokazała?

– Myślę, że jest na górze w swoim pokoju – odparła Clea z zaniepokojoną miną. – W jej wieku nie jest dobrze tak bardzo się izolować.

– A ty jaka byłaś w jej wieku? – zapytał, starając się wprowadzić lżejszy nastrój.

– Miałam kolegów i koleżanki – odparła rozdrażniona.

– A ja miałem całą gębę w pryszczach i bez przerwy brzdąkałem na gitarze. Pomyśl tylko, uważałem, że jak się nauczę na niej grać, to inni łatwiej mnie zaakceptują.

Clea jednak nie wychwyciła żartu. Naprawdę niepokoiła się o córkę. To nie jest dobre dla Moniki, powiedziała sobie w zamyśleniu.

– Sądysz, że ona coś przed nami ukrywa?

– Tak, ale nie sędzę, żeby stanowiło to jakiś problem – zapewnił ją Martini. – Sekrety w szesnastym roku życia to najnormalniejsza rzecz na świecie.

23 grudnia
Dzień zaginięcia

O szóstej rano było jeszcze ciemno.

Martini obudził się wcześniej. Podczas gdy żona i córka jeszcze spały, zaparzył sobie kawę i popijał ją, opierając się o kuchenny kredens w bladożółtym świetle, rozsiewanym przez żyrandol wiszący nad stołem do posiłków, chłonąc przyjemne ciepło napoju. Pił powoli, pogrążony we własnych myślach. Miał na sobie sportowe ubranie i buty turystyczne. Poprzedniego wieczoru powiedział Clei, że zamierza wybrać się w góry.

Wyszedł z domu około siódmej. Na dworze było chłodno, ale przyjemnie. Powietrze szczypało i w dolinę zeszły zapachy lasu, eliminując niezbyt przyjemne wyziewy dochodzące z urządzeń wydobywczych. Wrzucił plecak do terenowego auta i usłyszał, że ktoś go woła.

– Hej, Martini!

Sąsiad z drugiej strony ulicy machał do niego uniesioną ręką. Loris odpowiedział na pozdrowienie. Państwo Odevisowie bardzo prędko nawiązali z nimi serdeczne stosunki. Byli w tym samym wieku, chociaż dzieci mieli dużo młodsze od Moniki. O ile zdołał się zorientować, sąsiad zajmował się interesami w branży budowlanej, ale Martini słyszał też, że jego majątek pochodzi ze sprzedaży ziemi spółce górniczej. Powodziło im się dobrze. On był trochę zarozumiały, ale w zasadzie nieszkodliwy, a jego nieco tajemnicza żona bardzo dbała o swój wygląd i wyglądała, jakby wyszła z reklamy dla gospodyń domowych z lat pięćdziesiątych.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Odevis.

– Planuję wejść na przełęcz, a potem przejdę z boczne wschodnie. Jeszcze tam nie byłem.

– O kurczę, następnym razem być może pojedę z tobą. Czuję, że powinienem rzucić parę kilo. – Roześmiał się i poklepał po wydatnym brzuchu. – A ja zamierzam wyprowadzić dziś na mały spacerek moją nową zabawkę – powiedział, wskazując uchylony garaż i stojące w nim granatowe porsche. Był to jego ostatni zakup świadczący o tym, że Odevis lubił wydawać pieniądze i wzbudzać zazdrość swoimi nabytkami.

– Być może następnym razem zabiorę się z tobą – odpowiedział Martini.

Mężczyzna roześmiał się znowu.

– A więc jesteśmy umówieni na Boże Narodzenie?

– Jasne.

– Naprawdę bardzo nam zależy, żebyście do nas wpadli – zapewnił Odevis.

Clea przyjęła zaproszenie bez konsultowania się z mężem, ale Martini nie miał nic przeciwko temu. Żona spędzała dni w domu i było rzeczą zrozumiałą, że chciała się trochę rozerwać. Ponadto wydawało mu się, że Odevisowie również szukają nowych przyjaciół, być może dlatego, że z powodu rosnącego poziomu życia ich stosunki z dawnymi nieco się ochłodziły.

– No, to miłej wspinaczki – powiedział Odevis, ruszając w kierunku porsche.

Martini pożegnał się z nim i zajął miejsce za kierownicą starej białej terenówki, która przejechała już zbyt wiele kilometrów i zaczynała wydawać nieomyślne oznaki zmęczenia w postaci hałaśliwych wibracji i zbyt gęstego dymu z rury wydechowej. Uruchomił silnik i ruszył w kierunku gór, podczas gdy nocne mroki zaczynały się rozwiewać.

* * *

Kiedy wrócił, znowu było ciemno. Otworzył drzwi wejściowe i uderzył go znany zapach zupy i pieczeni. Dochodziła dwudziesta i ten aromat był wstępem do zasłużonej nagrody po męczącym dniu.

– To ja! – zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział. W korytarzu widać było tylko światło dochodzące z kuchni, a odgłosy gotowania z pewnością przeszkodziły Clei w usłyszeniu go. Martini położył plecak na podłodze i zdjął trapery, żeby nie pobrudzić podłogi. Był kompletnie ubłocony, lewą rękę miał owiniętą bandażami, ale krwawiła nadal. Ukrył ją za plecami i ruszył w skarpetkach w kierunku kuchni.

Jak podejrzewał, Clea była całkowicie pogrążona w pracach kuchennych, co jakiś czas rzucała tylko okiem na mały telewizor stojący na półce. Martini zaszedł ją od tyłu.

– Hej – powiedział, starając się jej nie przestraszyć.

Clea odwróciła się na chwilę.

– Hej – odpowiedziała, a potem znowu wlepiała wzrok w telewizor. – Spóźniłeś się – dodała ot tak, nie zamierzając robić mu żadnych wymówek. Wydawało się, że myśli o czymś innym. – Przez całe popołudnie dzwoniłam do ciebie na komórkę.

Martini sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął telefon.

– Musiała mi się rozładować, jak byłem w górach, i nie zauważyłem. Przepraszam.

Ale żona wcale go nie słuchała. Tak, inny był nawet ton jej głosu. Gdy tylko coś ją niepokoiło, Loris natychmiast to wyczuwał. Pochylił się nad nią i musnął jej szyję ustami. Clea wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać, ale nie oderwała wzroku od telewizora.

– W Avechot zaginęła dziewczyna – powiedziała, wskazując ekran, na którym leciał właśnie lokalny dziennik telewizyjny. Odgłosy perkotania zagłuszały głos spikera.

Martini pochylił się nad jej ramieniem i spojrzał również.

– Kiedy to się stało?

– Kilka godzin temu, po południu.

– W takim razie jest może trochę za wcześnie, żeby mówić o zaginięciu – zauważył, żeby ją uspokoić.

Clea odwróciła się i spojrzała na niego; była niespokojna.

– Już zaczęli jej szukać.

– Mogła tylko oddalić się od domu. Może pokłóciła się z rodziną.

– Wydaje się, że nie – odparła.

– Dzieciaki w jej wieku uciekają bezustannie. Ja je znam, mam z nimi codziennie do czynienia. Zobaczysz, wróci, jak tylko skończą się jej pieniądze. Ty zawsze zbyt szybko się wszystkim przejmujesz.

– Jest w tym samym wieku co nasza córka.

W tym momencie Martini zrozumiał, skąd bierze się tak wielkie zaniepokojenie żony. Objął ją i przyciągnął do siebie, a potem przemówił do niej czule, jak tylko on potrafił:

– Posłuchaj, to tylko wiadomość nadawana w lokalnej stacji, gdyby to było naprawdę coś poważnego, mówiłyby o tym wszystkie dzienniki telewizyjne.

Clea trochę się wypogodziła.

– Być może masz rację – przyznała. – W każdym razie chodziła do twojej szkoły.

W tej krótkiej przerwie na ekranie pojawiło się zdjęcie rudowłosej i piegowatej nastolatki. Martini przyjrzał się jej i pokręcił głową.

– Nie uczę jej.

– Co ci się stało w rękę?

Zapomniał o owiniętej dłoni, ale Clea ją zauważyła.

– Och, nic poważnego – odparł lekceważąco.

Ujęła zranioną dłoń, żeby się jej przyjrzeć.

– Mocno krwawisz.

– Ześlizgnąłem się wzdłuż skalnej krawędzi i żeby się zatrzymać, chwyciłem gałąź, która wystawała z ziemi, no i przeciąłem sobie dłoń. Ale rana jest powierzchowna, nic poważnego.

– Nie powinieneś iść na ostry dyżur? Może to wymaga szycia?

Martini wyjął rękę z jej dłoni.

– Ależ nie, nie ma takiej potrzeby. To nic takiego, uspokój się. Obmyję przecięcie, zmienię opatrunek i zobaczysz, samo się zagoi.

Clea skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na niego z ukosa.

– Jesteś jak zwykle uparty, nigdy nie robisz tego, co ci się mówi.

Wzruszył ramionami.

– Ponieważ dzięki temu wpadasz w złość i robisz się jeszcze piękniejsza.

Pokręciła głową, ale próba zbesztania go zamieniała się już w uśmiech.
– Idź i porządnie się umyj, bo śmierdzisz jak górski kozioł.
Martini uniósł zranioną rękę do czoła i zasalutował przed nią.
– Według rozkazu!
– I pospiesz się, bo niedługo będzie kolacja – upomniała go Clea, kiedy wychodził na korytarz.
* * *

Siedzieli w salonie i spoglądali na siebie w milczeniu, podczas gdy kolacja na stole stygła.

– Pójdę na górę i powiem jej parę słów – odezwała się w końcu Clea.
Martini wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją po dłoni.
– Daj spokój, niedługo zejdziesz.
– Wołałam ją dwadzieścia minut temu, potem ty również poszedłeś zapukać do jej drzwi. Zmęczyłam się tym czekaniem.

Miał ochotę powiedzieć, że w ten sposób tylko pogarsza sprawę, ale odczuwał zawsze strach przed wchodzeniem w delikatne stosunki między matką i córką. Clea i Monica znalazły własny sposób na komunikowanie się ze sobą. Często się ścierały, również w drobnych sprawach. Ale przeważnie osiągały coś w rodzaju milczącego zawieszenia broni, ponieważ obie były zbyt dumne, aby jedna ustąpiła drugiej. Mimo wszystko trzeba było żyć dalej pod jednym dachem.

Usłyszeli, że drzwi pokoju córki otwierają się, a potem odezwały się jej kroki na schodach. Monica weszła do saloniku w zbyt dużym zapinanym swetrze, ubrana całkiem na czarno, nawet oczy podmalowała sobie czarnym ołówkiem, przez co jej zazwyczaj bardzo łagodne spojrzenie wyglądało groźnie. Być może ten makijaż jest jej potrzebny właśnie po to, pomyślał Martini. Tłumaczył już żonie, że córka przechodzi trudny okres, ale Clea stwierdziła, że trwa to trochę za długo.

– Wygląda jak wdowa, a ja tego nie znoszę – mawiała. Były identyczne, nie tylko pod względem wyglądu. Martini odnajdywał w jednej młodzieńcze usposobienie drugiej, ten sam sposób odnoszenia się do świata.

Monica usiadła przy stole, nie spojrzawszy na nich. Ze spuszczoną głową i grzywką, która opadała jej na oczy niczym opatrnościowy ekran ochronny. W każdym z jej napadów milczenia kryło się wyzwanie.

Martini pokroił pieczeń i rozdzielił porcje, zostawiając ostatnią dla siebie. A tymczasem starał się milcząco zasygnalizować Clei, żeby nie rozpoczynała od reprimendy. Jednak z wyrazu jej twarzy można się było domyślić, że jest gotowa wybuchnąć.

– A więc, jak ci poszło dzisiaj? – zwrócił się do córki, zanim zdążyła wybuchnąć kłótnią.

– Jak zwykle – zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

– Słyszałem, że było niezapowiedziane odpytywanie z matematyki.
– Rzeczywiście. – Monica bawiła się widelcem na talerzu, grzebiąc bezustannie w jedzeniu i podnosząc do ust tylko małe kęsy.
– Ty też zostałeś wyrwana do odpowiedzi?
– Tak.
– I co dostałaś?
– Szóstkę. – Jej niechętny ton był celowo prowokujący, jak i zdawkowość odpowiedzi.

Martini czuł, że nie może jej potępiać. W gruncie rzeczy tylko ona nie zabierała głosu w sprawie przeprowadzki do Avechot. A oni nie udzielili jej też zbyt wielu wyjaśnień na temat powodów. Nie miała wyboru i musiała poddać się niezrozumiałej i absurdalnej decyzji rodziców, ale była zbyt inteligentna, aby nie zrozumieć, że to od niej żądali zapłacenia ceny za swoją ucieczkę.

Ta cholerna sprawa, przeleciało mu przez głowę.

– Powinnaś poszukać sobie jakiegoś zajęcia, Monico – zaatakowała córkę Clea. – Nie możesz obijać się przez całe popołudnie w swoim pokoju.

Martini zauważył, że córka nie odpowiada. Ale żona nie zamierzała odpuścić.

– Zajmij się czymś, czymkolwiek. Idź pojeździć na łyżwach, zapisz się na zajęcia gimnastyczne, wybierz sobie jakiś instrument muzyczny.

– A kto zapłaci za moje lekcje? – Dziewczyna podniosła oczy znad talerza i przygwoździła matkę spojrzeniem. Martini wiedział jednak, że tak naprawdę oskarżenie jest skierowane do niego.

– Znajdziemy jakiś sposób, prawda, Loris?

– Tak, z pewnością. – Jednak jego odpowiedź nie była zbyt zachęcająca. Monica miała rację, przy jego pensji nie mogli sobie na to pozwolić.

– Nie możesz ciągle siedzieć sama – ciągnęła Clea.

– Zawsze mogę iść do tych z bractwa. Uczęszczanie tam nic nie kosztuje – odparła córka z odcieniem ostrej kpiny w głosie.

– Mówię tylko, że potrzebujesz przyjaciół.

Monica rąbnęła ręką w stół, aż zadźwięczały naczynia.

– Miałam ich, przyjaciół, ale wiesz, co się z nimi stało? Musiałam ich porzucić.

– Znajdziesz sobie innych – odparła pojednawczym tonem matka. Martini zauważył, że ustępuje, jakby nie wiedziała, jak się odciąć.

– Ja chcę wrócić do tego, co było, chcę wrócić do domu – zaprotestowała dziewczyna.

– Czy tego chcesz, czy nie, teraz nasz dom jest tutaj. – Clea znowu użyła ostrego tonu, ale przebijała już przez niego słabość.

Słyszając to, Monica podniosła się od stołu i pobiegła na górę, żeby znowu

zaszyć się w swoim pokoju. Chwilę potem usłyszeli trzaśnięcie drzwiami.

– Nawet nie dokończyła kolacji – powiedziała Clea po krótkiej chwili milczenia, przyglądając się pełnemu ciągle talerzowi córki.

– Bądź spokojna, później pójde do niej i zaniose jej coś do jedzenia.

– Nie rozumiem, dlaczego jest nastawiona tak wrogo.

Ale rozumiała to bardzo dobrze, Martini był tego pewien. Tak jak nie wątpił, że córka zrobi mu na złość i odepchnie jedzenie, które jej zaniemie. Dawniej tak nie było. Dawniej potrafił pośredniczyć między matką i córką. W każdym razie czuł, że jest dziwną płaską istotą żyjącą między nimi dwiema, która goli sobie policzki i brodę, a nie łydki, nie ciska się z byle powodu przez parę dni w miesiącu i sporadycznie stara się mówić to, co myśli. Aż dotąd dawał sobie radę z Monicą, odgrywając rolę małomównego, ale wyrozumiałego ojca. Potem w ich rodzinie coś się zepsuło.

Był jednak pewien, że może to naprawić.

Zauważył, że żona jest bliska łez. Umiał wyczuć moment, w którym wybuchała płaczem ze zdenerwowania. Ale tym razem były to łzy bólu.

To z powodu tej zaginionej dziewczyny, pomyślał. Uważa, że to mogłoby się przydarzyć naszej córce, bo już nie zna jej tak dobrze jak kiedyś.

Martini poczuł się winny. Ponieważ był tylko nauczycielem w liceum, ponieważ miał nędzną pensję, ponieważ nie potrafił ofiarować lepszego życia dwóm kobietom, które kochał najbardziej na świecie, a wreszcie, ponieważ zamknął swoją rodzinę wśród gór, w Avechot.

Clea zabrała się znowu do jedzenia, ale łzy zaczęły spływać po jej policzkach. Loris miał już dość oglądania jej w tym stanie.

Tak, naprawi wszystko. Poprzysiągł sobie, że zadba, by wszystko wróciło na swoje miejsce.

25 grudnia
Dwa dni po zaginięciu

Rankiem w Boże Narodzenie centrum Avechot było pełne ludzi. Wyglądało to tak, jakby wszyscy zdecydowali się kupować prezenty w ostatniej chwili.

Martini kręcił się między regałami księgarni, zerkając na okładki książek w poszukiwaniu czegoś do czytania w czasie ferii. Miał do poprawienia wypracowania uczniów i był spóźniony z wystawieniem ocen semestralnych, ale nie chciał rezygnować z odrobiny czasu dla siebie. Prawdę mówiąc, miał jeszcze sporo do zrobienia przy domu. Drobne prace, które zawsze odkładał, ale był pewien, że Clea przypomni mu, żeby je doprowadził do końca. Takie, jak altanka w ogrodzie. Kiedy zdecydowali się, żeby tu zamieszkać, żona zakochała się w małej zielonej oazie za domem. Myślała o założeniu tam ogródka warzywnego albo o zasadzeniu róż. Altanka się nie udała, ale Loris podsunął jej myśl, żeby ją przerobić na szklarnię. Na jego nieszczęście Clea zachwyciła się jego propozycją. Stwierdziła, że nie ma co czekać z przebudową do lata, tylko doprowadzić ją do końca jeszcze tej zimy. Musiałby spędzić sporo godzin w zimnie na dworze, ale warto było się pomęczyć, byle tylko zobaczyć uśmiech wdzięczności na jej twarzy.

W tym momencie zauważył żonę, która weszła do księgarni i zaczęła się rozglądać, szukając go w przejściach. Pomachał do niej. W ręce miała paczuszkę z kokardą, a oczy jej błyszczały.

– A więc znalazłaś je? – zapytał, kiedy podeszła do niego.

Przytaknęła z entuzjazmem.

– Są takie same, jakie chciała mieć.

– To dobrze – pochwalił ją Martini. – Dzięki temu przestanę nas nienawidzić... Przynajmniej na jakiś czas. – Roześmiali się oboje. – A co ty byś chciała dostać?

Clea objęła go w pasie.

– Ja już dostałam swój prezent.

– Daj spokój, coś przecież znajdziemy.

– *Radości żadnej nie chcę, nie znajduję, Prócz darowanej lub tobie skradzionej* – odparła.

– Przestań cytować Szekspira nie w porę i powiedz mi, co chcesz. – Zauważył, że z jej twarzy znikł uśmiech. Clea dostrzegła coś za jego plecami. Martini odwrócił się.

Właścicielka księgarni zawieszała właśnie za kasą ulotkę z fotografią zaginionej dziewczyny.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak się czują ci Kastnerowie – mówiła do

jakiejś klientki. – Tyle godzin bez wieści, co się stało z ich córką.

– Cóż za tragedia – przytaknęła jej rozmówczyni.

Martini ujął delikatnie w palce brodę żony i zmusił ją, żeby się odwróciła znowu w jego stronę.

– Może stąd wyjdziemy?

Clea kiwnęła głową, zagryzając wargi.

Niedługo potem stali przed supermarketem obok pełnego wózka. Wykorzystali bożonarodzeniowe promocje, żeby zrobić zakupy co najmniej na miesiąc. Po wielu naleganiach Clea postanowiła zajrzeć do sklepu z ubraniami, żeby wybrać prezent dla siebie. Czekał na nią, mając nadzieję, że zobaczy ją z jakimś nowym nabytkiem. Stał, wpatrując się w zabandażowaną lewą dłoń. Bolała go przez całą noc i musiał zażyć proszek przeciwbólowy, mimo to nie zdołał zasnąć. Tego ranka znowu zmienił opatrunek, ale prawdopodobnie potrzebował antybiotyku, ponieważ istniała groźba, że wdała się infekcja.

Chwilę potem zapomniał o dłoni, dojrawszy w oddali znajomą twarz. Na oparciu ławki obok budki z hot dogami siedziała Priscilla, która najwyraźniej spędzała w mieście czas z kilkoma kolegami. Żartowali, ale wydawali się znudzeni. Martini długo przyglądał się swojej najładniejszej uczennicy. Żuła gumę i co chwilę obgryzała paznokcie. Jeden z chłopaków powiedział jej coś na ucho, a ona uśmiechnęła się do niego złośliwie.

– Myślę, że użyłam całej mojej wyobraźni, żeby znaleźć w tym sklepie coś, co by mi się naprawdę podobało – powiedziała Clea i z miejsca skupiła na sobie całą uwagę męża. Pokazała mu czerwoną torebkę. – Tadam! – zawołała.

– Co to?

– Szalik z bardzo delikatnego włókna akrylowego.

Martini pocałował ją w usta.

– Byłem pewien, że skrytykujesz także prezent, który sama sobie wybrałaś.

Clea ujęła go za zdrową rękę i popchnęła wózek. Wydawała się szczęśliwa.

* * *

– Zawsze to powtarzam: w interesach trzeba umieć wykorzystywać okazje – perorował Odevis, grzebiąc pogrzebaczem w wielkim kamiennym kominku.

Loris i Clea siedzieli w salonie na jednej z białych kanap, przy której stał szklany stolik. Na podłodze leżał włochaty dywan w tym samym kolorze. Stół za ich plecami był jeszcze bogato zastawiony pozostałościami bożonarodzeniowego obiadu, a zdobiące go czerwone świece wypalały się powoli. Duża ubrana choinka niemal sięgała sufitu. Ogólnie rzecz biorąc, wszystko w tym domu wyglądało zamożnie, ale jednocześnie kiczowato.

– Nie chwaląc się, zawsze wiedziałem, jakimi drogami chadzają pieniądze – dodał z naciskiem Odevis, żeby wzmocnić postawioną przed chwilą tezę. – To

sprawa wycucia. Niektórzy je mają, inni nie.

Martini i jego żona przytaknęli, ponieważ nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć.

– Kawa gotowa – ogłosiła promieniejąca pani Odevis, niosąc srebrną tacę z filiżankami.

Martini nie mógł nie zauważyć, że ciągle ma na sobie złoty naszyjnik z brylantami, ofiarowany jej przez męża, choć sytuacja powinna była podpowiedzieć jej, żeby nie chwaliła się nim tak ostentacyjnie. Otwieranie paczuszek z prezentami odbyło się w ich obecności, zanim usiedli do stołu. Państwo Odevisowie nie przejmowali się tym, że ich goście mogą się poczuć zakłopotani. Ewidentnie chcieli zaszokować ich swoim bogactwem. Martini był wściekły, ale Clea nie dała jeszcze znaku, że powinni wyjść. Ciekawe dlaczego, pomyślał. Być może żonie naprawdę zależało na przyjaźni z tymi parweniuszami.

W czasie ich rozmowy dzieci gospodarzy, dziesięcioletni chłopiec i dwunastoletnia dziewczynka, bawili się konsolą do gier wideo podłączoną do wielkiego plazmowego telewizora. Wojenna gra była nastawiona o wiele za głośno, ale nikt nie upomniał ich, żeby ją przyciszyli. Natomiast Monica zapadła się w fotelu, opierając nogi na poręczy i wystawiając na pokaz parę nowiutkich czerwonych botków. Bożonarodzeniowy prezent od rodziców nie zrobił nawet szparki w jej pancerzu i teraz bawiła się komórką, nie odzywając się ani słowem od co najmniej trzech godzin.

– Niektórzy mówią, że kopalnia zdusiła gospodarkę doliny, ale to wierutna bzdura – oświadczył Odevis. – Moim zdaniem, ludzie nie okazali dość sprytu i nie potrafili tego wykorzystać. – Potem zwrócił się do Clei: – A właśnie, słyszałem, że przed przeniesieniem się do Avechot pracowałeś jako adwokat.

– Tak – przyznała z pewnym ociąganiem Clea. – W kancelarii adwokackiej, w mieście.

– I nie pomyślałaś, żeby rozpocząć działalność tutaj?

Clea starała się uniknąć wzroku męża.

– Trudno jest zaczynać w miejscu, którego nie zna się wystarczająco. – Prawda polegała na tym, że otwarcie kancelarii byłoby zbyt kosztowne.

– W takim razie chcę ci coś zaproponować. – Odevis uśmiechnął się do żony, która zachęciła go, żeby mówił dalej. – Zatrudnij się u mnie, bez przerwy potrzebny mi jest ktoś, kto rzuciłby okiem prawnika na papiery. Byłabyś idealną sekretarką.

Zakłopotana Clea nie odpowiedziała. Znalazła się w trudnej sytuacji. Miała za sobą trochę drobnych sprzeczek z mężem, ponieważ nalegała, że poszuka sobie pracy. Ale Martini nie chciał, żeby przyjęła posadę niższej urzędniczki czy ekspedientki, a zajęcie sekretarki z pewnością nie było niczym lepszym.

– Bardzo ci dziękuję – odezwała się w końcu z wymuszonym uśmiechem. –

Ale na razie wolę poświęcić się domowi. Jest jeszcze tyle do zrobienia, wydaje się, że ta przeprowadzka nigdy się nie skończy.

W tym momencie Martini zauważył, że córka przestała się nagle interesować komórką i uniosła oczy do nieba na znak potępienia, a potem wlepiła w niego wyraźne oskarżycielskie spojrzenie.

Propozycja i jej odrzucenie sprawiły, że wszyscy poczuli się niezręcznie. Problem rozwiązał się sam dzięki dzwonnkowi telefonu. Odevis poszedł, żeby odebrać, i zamieniwszy parę słów z nieznanym rozmówcą, odłożył słuchawkę i wziął do ręki pilota plazmowego telewizora.

– Dzwonił burmistrz – oznajmił. – Powiedział, żebym obejrzał coś w telewizji. – Następnie zmienił kanał, nie zważając na protesty dzieci, które ciągle pochłonięte były grą wideo.

Na ekranie pojawiły się wymęczone twarze Kastnerów.

Ojciec zaginionej dziewczyny podnosił do kamery zdjęcie córki w białej tunice i z drewnianym krzyżykiem. Matka wpatrywała się bez ruchu w obiektyw.

– Nasza córka Anna Lou jest grzeczną dziewczynką, wszyscy, którzy ją znają, wiedzą, że ma bardzo dobre serce; lubi koty i ufa ludziom. Dlatego dziś zwracamy się także do osób, które jej nie poznały w okresie pierwszych szesnastu lat jej życia: jeśli ją widzieliście lub wiecie, gdzie się znajduje, pomóżcie nam, żeby wróciła do domu.

Z salonu państwa Odevisów, jak i prawdopodobnie z innych domów w Avechot, przysł świąteczny nastrój. Martini odwrócił się nieco w stronę żony, która z wytrzeszczonymi, pełnymi strachu oczami przyglądała się kobiecie na ekranie, jakby oglądała swoje odbicie.

Gdy chwilę później Maria Kastner zwróciła się bezpośrednio do córki, bożonarodzeniowe ciepło wyparowało, pozostawiając w sercu każdego lodowate przeczucie.

– Anno Lou, mama, tata i twoi bracia bardzo cię kochamy. Gdziekolwiek jesteś, mam nadzieję, że dotrze do ciebie nasz głos i nasza miłość. A jak już wrócisz do domu, Anno Lou, podarujemy ci małego kotka, którego tak bardzo chcesz mieć, przyrzekam ci to.... Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moja malutka.

Odevis zgasił telewizor i nalał sobie szklaneczkę whisky z barku na kółkach.

– Burmistrz mówi, że do Avechot przyjechał już wyższy oficer policji, żeby koordynować śledztwo. Jeden z tych, którzy pokazują się często w telewizji.

– Przynajmniej coś się zaczyna dziać – zauważyła jego żona. – Jak dotąd, nie odniosłam wrażenia, żeby lokalne władze zajęły się poszukiwaniami.

– Ci miejscowi potrafią tylko wypisywać mandaty. – Odevis coś o tym wiedział, ponieważ otrzymał już kilka za przekraczanie szybkości swoim porsche.

Martini przysłuchiwał się i w milczeniu popijał kawę.

– W każdym razie – ciągnął sąsiad – ja nie wierzę w historyjkę, którą opowiadają na mieście, że to taka świętoszka, co to żyje tylko domem i kościołem. Moim zdaniem, ta Anna Lou musiała coś ukrywać.

– Jak możesz tak mówić? – Clea była oburzona.

– Ponieważ tak to zawsze wygląda. Może uciekła z domu, bo zaszła w ciążę. To się zdarza w tym wieku, uprawiają seks, a potem żałują, kiedy jest za późno.

– W takim razie, gdzie, twoim zdaniem, ona może teraz być? – spytała Clea, próbując obalić tak absurdalną wersję tego, co się zdarzyło.

– A skąd mam to wiedzieć – odparł sąsiad, rozkładając ręce. – Po jakimś czasie wróci i wtedy rodzice, razem z tymi z bractwa, postarają się wszystko zatuszować.

Clea ujęła męża za rękę, tę obandażowaną. Ścisnęła ją, nie zwracając uwagi na ranę. Martini zniósł ból, nie chciał, żeby żona się kłóciła. Mimo wszystko można się było wiele nauczyć nawet od tak ograniczonych ludzi, jak ten Odevis. I rzeczywiście, niedługo potem sąsiad zaprezentował istne arcydzieło logiki.

– Uważam, że są w to zamieszani uchodźcy, ci, którzy co jakiś czas przychodzą do mnie w poszukiwaniu pracy. Stawiam sprawę jasno: nie jestem rasistą, ale, według mnie, powinni ograniczyć wjazd dla ludzi z krajów, gdzie uprawianie seksu jest zabronione. No i siłą rzeczy, jak już się tu znajdują, starają się zaspokoić swoje potrzeby na naszych córkach.

Kto wie, dlaczego rasiści przed zabranieniem głosu czują zawsze potrzebę zapewnienia, że nimi nie są, pomyślał Martini. Clea była gotowa wybuchnąć, ale na szczęście Odevis odwrócił się do niego.

– A ty co o tym myślisz, Loris?

Martini przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Dwa dni temu, kiedy rozmawialiśmy na ten temat z Cleą, powiedziałem, że prawdopodobnie Anna Lou uciekła z domu i niedługo wszystko się wyjaśni. Jednak teraz wydaje mi się, że minęło już zbyt wiele godzin... Reasumując, nie można wykluczyć, że tej dziewczynie przydarzyło się coś złego.

– No tak, ale co by to mogło być? – nalegał Odevis.

Martini zdawał sobie sprawę, że to, co chce powiedzieć, wprawi Cleę w jeszcze większe zaniepokojenie.

– Sam jestem ojcem, a każdy pogrążony w rozpacz rodzic zawsze pozostawia sobie cień nadziei, jednak... Uważam, że ci Kastnerowie powinni zacząć przygotowywać się na najgorsze.

Jego słowa sprawiły, że wszyscy zamilkli. Nie tyle na skutek ich treści, ile raczej tonu, jakim zostały wypowiedziane. Tonu pełnego przekonania, wolnego od niepewności.

* * *

– A więc do następnego roku? – zaproponował sąsiad, który opierał rękę na ramieniu swej żony, stojącej na progu ich okazałej, kiczowatej willi.

– Z pewnością – rzucił bez większego przekonania Martini. Monica wróciła już do domu, podczas gdy on i Clea zatrzymali się nieco dłużej, żeby się pożegnać z sąsiadami.

– Świetnie – powiedział Odevis. – A więc postanowione.

Loris i Clea ruszyli do siebie, obejmując się. Kiedy przechodzili przez ulicę, usłyszeli za plecami odgłos zamykanych drzwi. Clea odsunęła się trochę za ostro od męża.

– Co się dzieje? Co zrobiłem?

Odwróciła się do niego z rozzłoszczoną miną.

– Powiedziałeś to dlatego, że zaproponował mi pracę sekretarki, prawda?

– Co takiego? Nie rozumiem...

– Zaraz po jego propozycji powiedziałeś te rzeczy na temat rodziny Anny Lou. – Jej ton był taki, jakby stwierdzała coś oczywistego. – Że Kastnerowie powinni zacząć przygotowywać się na najgorsze...

– I co z tego? Tak właśnie uważam.

– Nie, powiedziałeś to celowo. Chciałeś mnie ukarać, ponieważ nie dość stanowczo odrzuciłam ofertę Odevisa.

– Clea, bądź tak dobra i nie zaczynaj... – starał się ją uspokoić.

– Nawet nie próbuj mnie przekonywać, żebym zachowała spokój! Wiesz bardzo dobrze, jak mną wstrząsnęła ta historia. Lub może zapomniałeś, że mamy szesnastoletnią córkę, a wszystko to dzieje się w miejscu, do którego postanowiliśmy ją przywieźć wbrew jej woli?

Skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła drżeć, ale Martini domyślił się, że powodem tego jest nie tylko zimno.

– Dobrze, masz rację. Popełniłem błąd.

Żona spojrzała na niego i uświadomiła sobie, że jest mu naprawdę przykro. Przytuliła się do niego i oparła głowę na jego piersi. Martini objął ją i przycisnął do siebie, żeby się ogrzała. Odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Proszę cię, powiedz, że wcale tak nie myślałeś.

– Nie, nie myślałem – skłamał.

27 grudnia
Cztery dni po zaginięciu

Przyjeżdżali w grupach albo samotnie. Niektórzy przywozili rodziny. Panował ciągły ruch, ale nie był chaotyczny. Podchodzili pod dom Kastnerów i składali na ziemi kotki – szmaciane, ceramiczne albo pluszowe. Na ich twarzach odbijał się blask świec. Zbierali się w tej oazie światła i ciepła pośrodku wieczornego mroku i chłodu, znajdując w tym pocieszenie.

Clea obejrzała w telewizji migawki z tej spontanicznej pielgrzymki pod dom Kastnerów i natychmiast poprosiła męża, żeby jej tam towarzyszył. Monica została w domu, ale dała jednego ze swoich ulubionych pluszaków i poprosiła matkę, żeby zaniósła go w darze zaginionej dziewczynie.

Różowego pluszowego kotka.

W tych dniach Clea i jej córka bardzo się do siebie zbliżyły. Tak działa moc zła, które przydarza się komuś innemu, pomyślał Martini. Działa kojąco na życie osób postronnych, które dzięki temu odkrywają prawdziwą wartość rzeczy. Boją się, że mogłyby zostać ich pozbawione, więc się spieszą, żeby ich strzec, zanim ktoś lub coś im je odbierze. Kastnerowie nie zdążyli na czas. Przypadła im niewdzięczna rola pierwszego ogniwa tego łańcucha i teraz oni sami przekazują to przesłanie innym.

Martini siedział w aucie sto metrów od domu, w którym wychowywała się Anna Lou. Kordon policji nie pozwalał podejść bliżej. Ludzie przybywali pieszo. Clea przyłączyła się do małego tłumu, a on miał tu na nią zaczekać.

Opierając obandażowaną rękę na kierownicy, obserwował to wszystko przez przednią szybę.

Przed domem Kastnerów parkowały wozy transmisyjne stacji telewizyjnych i radiowych, przy których stali wysłannicy wiadomości telewizyjnych, każdy oświetlony smugą z małego reflektora. Przedstawiali widzom i słuchaczom przeszłość i teraźniejszość, nie wiedząc nic o przyszłości. Ale był to sposób na zwiększenie oglądalności, zwłaszcza że starali się, aby nad każdą opowieścią unosiła się jakaś tajemnica. Reporterzy, fotografowie i sprawozdawcy stawili się masowo, przyciągnięci zapachem bólu, który był mocniejszy niż zapach krwi, również dlatego, że w Avechot krew jeszcze się nie połała. Cierpienie innych ludzi wytwarza dziwną woń, silną i ostrą, ale także przyciągającą.

Poza tym byli tu też zwykli gapie. Wielu z nich przywiódła tu normalna ciekawość, ale była też spora liczba osób, które przychodziły, żeby się modlić. Martini nigdy nie był człowiekiem wierzącym, toteż zawsze zdumiewało go, że ludzie w chwilach takich jak ta zawierają się na ślepo Bogu. Zagięła

szesnastoletnia dziewczyna i jej rodzina już od kilku dni przeżywała męki. Gdyby Bóg był naprawdę dobry, nigdy by na to nie pozwolił, a jednak do tego doszło. Dlaczego zatem Bóg, który do tego zdarzenia dopuścił, miałby przywracać sprawy na swoje miejsce? Nie zrobiłby tego, gdyby nawet istniał. Zostawiłby je ich własnemu, naturalnemu biegowi. A ponieważ porządek natury przewiduje, że stworzenie musi być poprzedzone zniszczeniem i w nie przechodzić, w oczach Stwórcy Annę Lou Kastner można było złożyć na ofiarę. Być może kluczowym słowem było właśnie to – ofiara. Gdyż bez ofiary nie istnieje wiara, nie ma męczenników. I tak naprawdę tu, na ziemskim padole, zaczęto ją już uświęcać.

W tym momencie obok białego terenowego samochodu przeszła grupa nastolatków ze szkoły. Martini rozpoznał wśród nich Priscillę. Szła za innymi przygarbiona, trzymając ręce w kieszeniach kurtki. Wydawała się zasmucona.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem sięgnął ręką do tylnej kieszeni spodni, wyjął z niej portfel i otworzył go. W jednej z przegródek tkwiła karteczka, na której ostatniego dnia przed feriami Priscilla wypisała numer swojej komórki, mając nadzieję, że będzie jej udzielał lekcji recytacji. Przyjrzał mu się uważnie, a potem wyjął telefon i zaczął wybierać coś na klawiaturze. Kiedy skończył, ponownie skupił spojrzenie na dziewczynie. Odczekał chwilę.

Priscilla rozmawiała z koleżanką, gdy coś odwróciło jej uwagę, prawdopodobnie jakiś odgłos albo wibracja. Martini zobaczył, że wyjmuje komórkę z kieszeni kurtki i długo przygląda się ekranowi. W trakcie odczytywania SMS-a na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia, ale także pewnego zakłopotania. W końcu wsunęła aparat z powrotem do kieszeni, nie odzywając się do nikogo. Jednak widać było wyraźnie, że otrzymana wiadomość nadal zaprzęta jej myśli.

W oknie koło siedzenia pasażera pojawiła się wracająca spod domu Clea. Martini wychylił się, żeby otworzyć jej drzwi.

– To jest rozdzierające – powiedziała, gdy wsiadła do auta. – Przed chwilą rodzice tej dziewczyny wyszli, żeby podziękować ludziom. Wszyscy są wzruszeni, ty też powinieneś być tam iść.

– Woląłem tego nie robić – odparł wymijająco.

– Masz rację. To nie w twoim stylu... Ale tak czy owak, mógłbyś okazać się pożyteczny w tej sprawie.

Dojrzał w oczach żony błaganie.

– Co masz na myśli?

– Słyszałam, że organizują grupy poszukiwawcze w górach. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zwiedziłeś te miejsca wzdłuż i wszerz, wędrując po okolicy, prawda? Mógłbyś więc...

– Zgoda – przerwał jej z uśmiechem.

Clea zarzuciła mu ręce na szyję i cmoknęła go mocno w policzek.

– Wiedziałam, że jesteś dobrym człowiekiem...

Martini uruchomił silnik. Podczas włączania się do ruchu jeszcze raz spojrzął w kierunku Priscilli, starając się, żeby żona tego nie zauważyła.

Dziewczyna podjęła na nowo rozmowę z kolegami i koleżankami, jakby nic się nie stało.

Jego SMS pozostał jednak bez odpowiedzi.

31 grudnia
Osiem dni po zaginięciu

Zespoły poszukiwawcze działały według ściśle określonego porządku.

Wolontariusze posuwali się wolno w grupach liczących nie więcej niż dwadzieścia osób, rozstawieni co najmniej o trzy metry od siebie, dokładnie tak, jak ekipy ratowników przeszukujące lawinisko. Nie zostali wyposażeni w kije do zanurzania w śniegu, lecz poinstruowano ich, jak posługiwać się wzrokiem, przeszukując wyznaczony teren w granicach wyimaginowanych prostokątów składających się na tak zwaną „siatkę”.

Oczywiście, ich zadaniem było nie tylko znalezienie ciała pogrzebanego pod ziemią, w tym celu sprowadzono psy wyszkolone w poszukiwaniu zwłok. Mieli przede wszystkim identyfikować wszelkie ślady i wskazówki, które mogły pomóc w ustaleniu miejsca przebywania ofiary.

Oficjalnie Anna Lou nie jest jeszcze uznana za ofiarę, rozmyślał Martini, posuwając się wraz z innymi wzdłuż porośniętego lasem zbocza. Mimo to nią została i wyglądało to tak, jakby promowano ją za jakieś zasługi. Ludzie doszli bowiem do przekonania, że poszukiwania nie dadzą już pozytywnego wyniku. I w gruncie rzeczy wszyscy nieco cynicznie spodziewali się takiego zakończenia. Bo tym, czego naprawdę oczekuje publiczność, jest dramatyczny finał. Wszyscy chcą być wstrząśnięci.

Martini już od kilku dni brał udział w tym przedsięwzięciu. Drużyny były zawsze prowadzone przez kogoś z policji. Aby nie dopuścić do osłabienia poziomu koncentracji, ludzie zmieniali się co trzydzieści minut. Dyżury poszukiwawcze trwały w sumie cztery godziny.

W ostatnim dniu roku Martiniemu przypadła zmiana we wczesnych godzinach popołudniowych. Była najkrótsza, ponieważ około piętnastej słońce chowało się nieodwołalnie za górami, wyznaczając koniec wszelkich działań ochotnikom, którzy nie byli wyposażeni w urządzenia noktowizyjne.

Początkowo poszukiwania przebiegały w niemal kompletnej ciszy, a ludzie starali się wyęzgać uwagę, żeby nic nie umknęło ich oczom. Później jednak zapanowała niebezpieczna atmosfera koleżeństwa, toteż niektórzy poczuli się upoważnieni do prowadzenia rozmów lub, nawet gorzej, do przynoszenia jedzenia i piwa, tak jakby znajdowali się na pikniku. Mimo to nikt nie poczuwał się do obowiązku, żeby ich odwieść od tych praktyk.

Nie trzeba wspominać o tym, że po Annie Lou zaginał wszelki ślad. Podobnie jak po jej nieuchwytnym porywaczu.

Aby dotrzymać danego żonie słowa, że będzie wykonywał swoje zadanie jak

najlepiej, Martini nie nawiązał żadnych stosunków towarzyskich. Zawsze pozostawał na przydzielonym sobie odcinku, nie wymieniając nawet komentarzy z innymi, ponieważ często przypominały zwykłe plotki.

Tego dnia zauważył, że panuje inna atmosfera. Wszyscy okazywali znaczne zaangażowanie. Powodem była obecność Bruno Kastnera. Ojciec zaginionej dziewczyny już wcześniej brał udział w poszukiwaniach, ale Martini nigdy się z nim nie spotkał. Po mszy w sali zgromadzeń bractwa, w której uczestniczył, Kastner dołączył do ostatniej grupy. Obserwując go, Martini zauważył, że choć okazywał zmęczenie życiem w ustawicznym napięciu, ożywiała go niewiarygodna siła wewnętrzna. Nie obawiał się, że może natrafić na coś oznaczającego koniec nadziei związanych z córką. Ale być może byłoby to dla niego także wyzwoleniem. Martini zadał sobie pytanie, jak by się zachował na jego miejscu. Nie umiał odpowiedzieć na tę wątpliwość, musiałby doświadczyć na własnej skórze podobnej straty.

Po zakończeniu zmiany wolontariusze wrócili do obozu bazowego. Na polanie w środku lasu rozstawiono namiot, do którego wchodzili na zmianę dowódcy poszczególnych grup, żeby złożyć raport. Przeszukane już strefy zaznaczano na wielkiej mapie. Niektóre z nich, zwłaszcza te najbardziej niedostępne, potrzebowały jeszcze ostatniego przejścia zespołów. Potem ustalano program na następny dzień.

Ochotnicy parkowali swoje pojazdy w pobliżu i szykowali się do powrotu do domu. Martini stał oparty o maskę białego auta terenowego i ściągał ubłocone buty.

– A więc, posłuchajcie wszyscy – powiedział głośno dowódca grupy, przyciągając uwagę obecnych, którzy natychmiast otoczyli go kołem. – Rozmawiałem z centrum operacyjnym i mówią, że prognozy pogody dla doliny są bardzo złe. Począwszy od dzisiejszej nocy, będzie padać co najmniej przez czterdzieści osiem godzin, dlatego musimy zawiesić poszukiwania do drugiego stycznia.

Ludzie nie przyjęli tego dobrze. Niektórzy zrobili wiele kilometrów, żeby się tu znaleźć, zostawiając rodzinę i ponosząc koszty z własnej kieszeni. Był to cios dla ich morale.

Dowódca grupy próbował złagodzić złe nastroje.

– Wiem, że dla was nie stanowiłoby to problemu, ale w najbliższych godzinach warunki w terenie staną się bardzo trudne.

– Błoto zakryje ślady – zauważył ktoś.

– Albo je odsłoni – odparł dowódca grupy. – W każdym razie, jeśli istnieją jakieś ograniczenia, nie możemy wykonywać naszej pracy w jak najlepszy sposób. Wierzcie mi, byłby to wysiłek daremny i szkodliwy.

W końcu zdołał ich przekonać. Martini przyglądał się im, jak z posępny

minami wracają do swoich samochodów. Zauważył jednak, że po drodze zatrzymują się obok grupki rozmawiających ludzi.

Wśród nich stał Bruno Kastner.

Podchodzili do niego po kolei, żeby uścisnąć mu rękę albo poklepać go w milczeniu po plecach. Martini mógłby pójść ich śladem i okazać temu ojcu swoją solidarność, ale tego nie zrobił. Pozostał koło terenówki. A potem, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, usiadł za kierownicą i odjechał jako pierwszy.

* * *

Stał w korytarzu w szlafroku i kapciach i od co najmniej dziesięciu minut pukał do drzwi łazienki. Ze środka dochodziły tylko zniekształcone odgłosy rockowej piosenki, ale brakowało odpowiedzi. Martini zaczynał tracić cierpliwość.

– A więc jak długo to jeszcze potrwa? – Zauważył Cleę, która wchodziła po schodach ze stosem czystej bielizny w rękach. – Siedzi zamknięta w środku od godziny – poinformował ją. – Co, u diabła, można robić tak długo w łazience?

Żona uśmiechnęła się.

– Pracuje się nad upiękśzeniem siebie, głuptasie. – A potem dodała przyciszonym głosem: – Zaproszono ją dziś wieczór na domówkę.

Martini był zaskoczony.

– Kto ją zaprosił?

– Nieważne, ale to dobry znak, prawda? Zaczyna zdobywać przyjaciół.

– Czy to oznacza, że spędzimy ostatni dzień roku sami?

– Masz na myśli jakiś programik, profesorze? – spytała, mrugając porozumiewawczo okiem, a potem ruszyła dalej w kierunku schowka.

– Jeszcze możemy sobie pozwolić na pizzę i na butelkę wina – powiedział.

Po czym, gdy Clea przechodziła obok niego, mając zajęte ręce, wykorzystał to i uszczypnął ją w pupę.

* * *

Monica wyszła z domu około ósmej. Zawsze ubierała się na czarno, tego wieczoru nic się nie zmieniło, ale pozwoliła sobie przynajmniej na sukienkę. Widząc ją w tym stroju, Loris Martini uświadomił sobie nagle, że niebawem córka zamieni się w dorosłą kobietę. Mogło to nastąpić z dnia na dzień, bez uprzedzenia. Z tą chwilą dziewczynka, która kuliła się w jego ramionach w czasie burzy, nie szukałaby już u niego ratunku. Ale wiedział, że nadal będzie go potrzebowała. Musiał tylko znaleźć sposób na opiekowanie się nią tak, żeby tego nie zauważała.

Gdy Clea brała prysznic, Martini pobiegł do pizzerii na rogu, żeby zamówić dwie capricciosy na wynos. Wrócił do domu i zastał żonę na kanapie, w miękkiej flanelowej piżamie i z pledem na kolanach.

– Sądziłem, że to będzie szalona noc, a nie przytulanki – zaprotestował.

Pociągnęła w dół suwak piżamy i pokazała mu czarną koronkową bieliznę, którą miała pod spodem.

– Nigdy nie trzeba wierzyć pozorom.

Martini położył pizzę na stoliku, podszedł do żony i pocałował ją, ujmując jej twarz w dłonie. Potem, po długiej wymianie czułości, poprowadził go bez słowa do sypialni na piętro.

Od jak dawna nie kochali się w taki sposób? – zadał sobie to pytanie, błędząc wzrokiem po suficie, rozciągnięty na łożku obok niej. Oboje byli nadzy. Dochodziło między nimi do zbliżeń po tym, jak zdarzyła się tamta sprawa, ale dopiero dziś po raz pierwszy nie myślał o tym w czasie stosunku. Wcześniej trudno mu było odnaleźć dawniejsze zespolenie z nią lub choćby zwykłą ochotę na chwilę seksu. Z początku różnili się wściekle, niemal mściwie. Wyglądało to tak, jakby znaleźli w tym sposób na robienie sobie wyrzutów za to, co się stało, nie uciekając się do kłótni. Gdy było po wszystkim, oboje czuli się zawsze wyczerpani.

Ale tego wieczoru odbyło się to inaczej.

– Jak myślisz, czy nasza córka jest szczęśliwa? – spytała ni stąd, ni zowąd Clea.

– Monica jest nastolatką. Wszystkie małolaty przeżywają załamanie.

– Nie wystarczy mi żarcik zamiast odpowiedzi – upomniała go. – Widziałeś, jaka była zadowolona dziś wieczorem, kiedy wychodziła?

Miała słuszność, w domu panowała euforia, jakiej brakowało tu od dawna.

– W związku z historią tej Anny Lou zrozumiałem jedną rzecz. – Zauważył, że Clea słucha go uważniej. – Że zawsze ma się za mało czasu, żeby poznać własne dzieci. Teraz tamci rodzice, Kastnerowie, na pewno zadają sobie pytanie, gdzie się pomylili, na czym polegał błąd, który sprawił, że cierpią, w jakim momencie przeszłości nie dopatrzyli czegoś, co doprowadziło ich aż do tego miejsca... Prawdą jest, że brak nam czasu na zastanawianie się, czy nasze dzieci są szczęśliwe, ponieważ mamy do zrobienia coś ważniejszego: sami musimy postawić sobie pytanie, czy jesteśmy zadowoleni z roli, jaką względem nich odgrywamy, a także dopilnować, żeby nasze błędy nie zwały im się na kark.

Być może Clea poczuła się dotknięta, ale nie pokazała tego po sobie. Pocałowała go znowu, wdzięczna za podzielenie się tą myślą.

Niedługo potem siedzieli półnaczy przy stole w kuchni, jedząc zimną pizzę i popijając czerwone wino, które Martini trzymał na tego rodzaju okazje. Opowiadał jej anegdotki na temat kolegów ze szkoły i uczniów tylko po to, żeby ją rozśmieszyć. Wydawało się, że wrócili do czasów uniwersyteckich, kiedy pod koniec miesiąca kończyły się pieniądze i musieli dzielić się puszką tuńczyka w pokoiku, w którym razem zamieszkali.

Jak on kochał wtedy swoją żonę, zrobiłby dla niej wszystko. Absolutnie wszystko.

Tego wieczoru poczuli się jednością i nawet nie zauważyli, kiedy minęła północ i zaczął się następny rok. Do rzeczywistości przywołał ich szum rześistego deszczu.

– Chciałabym zadzwonić do Moniki – powiedziała Clea, podnosząc się od stołu, i sięgnęła po komórkę. – Leje tak, że być może będziesz musiał po nią pojechać.

Studentka zamieniła się znowu w żonę i matkę, którą stała się z biegiem lat. Martini przyglądał się tej przemianie, podczas gdy ona czekała w milczeniu, aż córka odbierze. Chwilę potem zobaczył, że owija się w stary sweter, który mu zarekwirowała do chodzenia po domu. Nie było jej zimno, ale poczuła strach.

– Nie mogę się połączyć – powiedziała z lekkim podenerwowaniem.

– Niedawno minęła północ, wszyscy rzucili się do dzwonienia z życzeniami. Sieć jest przeciążona, to normalne.

Clea nie posłuchała go jednak i spróbowała znowu, a potem jeszcze raz. Bez powodzenia.

– A jeśli coś jej się stało?

– Zaczynasz popadać w obłąd.

– To może zadzwonię do domu, w którym odbywa się ta impreza.

Martini nie oponował. Clea znalazła numer i wybrała go.

– Jak to się nie pokazała? – Zadała to pytanie tonem zdradzającym najwyższe zaniepokojenie. Podczas gdy w umyśle Clei kłębiły się najokropniejsze scenariusze, wyraz jej twarzy zaczął się błyskawicznie zmieniać w przypływie rosnącego wzburzenia. A kiedy przerwała połączenie, niepokój zamienił się w przerażenie. – Mówią, że w ogóle jej tam nie było.

– Uspokój się, musimy się zastanowić, dokąd mogła pójść – powiedział Martini. Gdy jednak spróbował zbliżyć się do żony, odepchnęła go stanowczym ruchem ręki.

– Musisz ją znaleźć, Loris. Przyrzeknij mi, że ją znajdziesz.

* * *

Wsiadł do samochodu i zaczął krążyć po Avechot, nie wiedząc, dokąd się udać. Szalejąca nad doliną burza wymiotła przechodniów z ulic. Deszcz lał tak obficie, że Martini niewiele widział, ponieważ wycieraczki nie były w stanie nadażyć z usuwaniem wody z przedniej szyby.

Prędko uświadomił sobie, że udzieliło mu się zdenerwowanie Clei. Teraz on zaczął robić makabryczne porównania losu, jaki mógł spotkać Monicę, z tym, co przydarzyło się Annie Lou.

Nie, to niemożliwe, powiedział sobie, starając się usunąć tę myśl z głowy.

Minęło zaledwie dwadzieścia minut, odkąd wyszedł z domu, ale już wydały mu się wiecznością. Był pewien, że niedługo żona zadzwoni, pytając go o wieści.

A on nie miał jej nic do powiedzenia.

Monica rozpływa się w nicości. Policja ogłasza alarm. Wiadomość pojawia się w dziennikach telewizyjnych. Grupy poszukiwawcze krążą po zagajnikach.

Nie, to się nie może zdarzyć. Nie w jej przypadku.

Ale świat jest pełen potwornych bestii. Bestii, których nikt o nic nie podejrzewa.

Pomyślał o ojcu Anny Lou i przed oczami stanęła mu jego postać, gdy odbierał wyrazy pocieszenia od zespołów poszukiwawczych. Ujrzał znowu jego wzrok, świadomy tego, co się wydarzyło. Ponieważ rodzic zawsze zna prawdę, nawet jeśli w żaden sposób nie może jej zaakceptować. Tego popołudnia próbował postawić się w jego sytuacji, ale bez skutku. A teraz?

Muszę ją znaleźć. Przrzekłem to. Nie mogę stracić Clei... po raz kolejny.

Musiał zachować jasny umysł, ale granoczyło to z niemożliwością. Przyszło mu do głowy, żeby wrócić do punktu wyjściowego. Do domówki, na którą miała iść Monica.

Pięć minut później stanął przed drzwiami małej willi, z której dobiegały przyciszone odgłosy mocnej, rytmicznej muzyki. Nacisnął kilka razy dzwonek, spodziewając się, że w końcu mu otworzą. Tymczasem lodowaty deszcz moczył mu włosy i ubranie. Gdy wreszcie ktoś uchylił drzwi, zirytowany Martini wszedł do środka.

W salonie tłoczyło się co najmniej sześćdziesięcioro małych dzieci. Niektórzy tańczyli, inni rozsiedli się na kanapach. Muzyka była zbyt głośna, żeby można było rozmawiać, ale alkohol sprawiał, że wszyscy czuli się swobodnie. Z powodu słabego światła i gęstego dymu papierosowego nie był w stanie dojrzeć żadnej znajomej twarzy.

W końcu rozpoznał dwóch swoich uczniów. Jednym z nich był Lucas, łobuziak z trupa czaszką wytatuowaną za uchem.

– Szczęśliwego Nowego Roku, panie profesorze! – wykrzyknął, kiedy Martini podszedł bliżej, i chuchnął mu w twarz alkoholowym oparem.

– Widziałeś może moją córkę?

Chłopak udał, że się zastanawia.

– Zaraz, zaraz... Jak ona wygląda? Może mi pan ją opisać?

Martini sięgnął do kieszeni i wyjął z portfela zdjęcie Moniki.

– To ona. Znasz ją?

Lucas sięgnął po zdjęcie i zaczął mu się przyglądać.

– Ładna – zauważył prowokującym tonem. – Być może była tu dziś wieczorem.

Martini nie miał jednak ochoty na żarty. Chwycił chłopaka za przepocony T-shirt i popchnął go gwałtownie pod najbliższą ścianę. Nigdy dotąd nie reagował w taki sposób, przynajmniej publicznie. Kilku nastolatków odwróciło się w ich

stronę.

– Chłopaki, tu się biją! – usłyszał czyjś głos i wokół nich zgromadził się spory tłum.

Nauczyciel nie odrywał wzroku od Lucasa.

– Więc jak, widziałeś ją, czy nie?

Chłopak nie był przyzwyczajony do takiego traktowania; było oczywiste, że rośnie w nim chęć zareagowania na afront. Odparł jednak z groźnym uśmieszkiem na ustach:

– Mógłbym pana za to oskarżyć.

Jednak Martini nie dał się zastraszyć.

– Nie będę tego powtarzał dwa razy.

Nagłym ruchem Lucas uwolnił się z rąk nauczyciela.

– Tak, wiem, gdzie ona jest – przyznał. A potem dodał z triumfującą miną: – Ale to się panu nie spodoba.

* * *

Nie padało już, gdy Martini dotarł w pobliże tego domu. Światła w środku były pogaszone. Dźwięk dzwonka odbił się echem w kompletnej ciszy. Po chwili ktoś zapalił światło w korytarzu.

Przez matową szybę w drzwiach oczom Martiniego ukazał się rozmazany widok wnętrza, który wydał mu się mirażem albo sceną ze złego snu.

Drzwi otworzył mu chłopak z nagim torsem i całkiem gładką klatką piersiową. Był boso i miał na sobie tylko dresowe spodnie. Z pobliskiego pokoju wytknęła głowę Monica. Była ubrana, ale potargane włosy zdradzały, co robiła przed chwilą.

Podczas powrotu do domu przez dłuższy czas żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Martini ograniczył się do zakomunikowania żonie przez telefon, że wszystko w porządku i wraca z córką, ale nie chciał dodać nic więcej.

– Na domówce była tylko pizza, więc stamtąd wyszliśmy – usprawiedliwiła się Monica. Ojciec milczał. – Usnęliśmy i straciliśmy rachubę czasu. Przykro mi.

Martini ścisnął ze złością kierownicę, nie zważając na ból obandażowanej dłoni.

– Paliałaś? – spytał ostro.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, co mam na myśli. Trawkę?

Monica pokiwała głową, wiedząc, że kłamanie nie zda się na nic.

– Nie mam pojęcia, co to było, ale przysięgam, że nie stało się nic innego.

Starał się zachować spokój.

– W każdym razie, będziesz miała do czynienia z matką.

Kiedy parkował białą terenówkę w uliczce, Clea stała na progu, owinięta

w sweter. Monica wysiadła z auta pierwsza. Ojciec przyglądał się, jak biegnie w stronę domu. Matka rozłożyła ręce i przycisnęła ją do siebie. Wyglądało to tak, jakby poczuła wielką ulgę. Martini nie ruszył się z miejsca i przyglądał się tej scenie przez przednią szybę auta, nie mając odwagi zakłócać swoją obecnością nastroju tej chwili. Przypomniawszy sobie, co się przydarzyło jego rodzinie zaledwie sześć miesięcy wcześniej, gdy groziła mu utrata wszystkiego.

Tamta sprawa.

Nie, to nie może się powtórzyć. Nigdy więcej.

3 stycznia
Jedenaście dni po zaginięciu

Prognozy okazały się trafne. Deszcz padał bez przerwy przez całe dwa dni.

Ale trzeciego dnia o poranku pokazało się blade słońce, które kryło się za cienką warstwą białawych chmur.

Martini doszedł do wniosku, że jest to właściwy dzień, żeby zająć się altanką w ogrodzie. Miał zamiar oderwać Cleę od sprawy zaginionej dziewczyny, a odkurzenie pomysłu ogródka warzywnego i szklarni wydało mu się świetnym posunięciem. Żona nie miała nic do roboty i wypełniała swoje dni oglądaniem programów, które obsesyjnie zajmowały się losem Anny Lou Kastner. Wobec braku oficjalnej i potwierdzonej prawdy każdy czuł się upoważniony do głoszenia własnej wersji. W telewizji nie mówiono już o niczym innym. Swoje poglądy przedstawiali nie tylko eksperci, ale zapraszano też celebrytów, osoby ze świata rozrywki. Było to nieprzyzwoite. Formułowano najbardziej absurdalne i ekstrawaganckie hipotezy, a z najmniej znaczących aspektów życia Anny Lou robiono sensacje, analizowane i omawiane tak, jakby w każdej chwili właśnie z nich mogło wyskoczyć rozwiązanie zagadki.

Można było odnieść wrażenie, że ten cyrk będzie się ciągnął w nieskończoność.

W domu Martinich życie toczyło się już w stałym rytmie wyznaczanym przez włączony telewizor, toteż tego ranka Loris wsiadł do samochodu i pojechał do sklepu budowlanego. Kupił tam belę grubej folii, a także śruby z nakrętkami i stalowe haki do naciągów. Gdy pakował to wszystko do pojemnego bagażnika terenówki, uderzyły go znajome odgłosy.

Szuranie deskorolki po asfalcie.

Obejrzał się i zobaczył Mattię, który przejeżdżał kilka metrów od niego.

– Mattia! – zawołał i uniósł rękę na powitanie.

Wydawało się, że uczeń nie zauważył go wcześniej, a teraz zareagował na jego widok w dziwny sposób. Najpierw zwolnił, a potem przyspieszył, tak jakby chciał się czym prędzej oddalić.

Martini westchnął, ponieważ trudno mu było zrozumieć tego chłopaka. A potem wsiadł do samochodu, żeby wrócić do domu.

Zazwyczaj wybierał drogę okrążającą miasteczko, coś w rodzaju obwodnicy, która umożliwiała ominięcie centrum. Ruch na niej zazwyczaj był dość płynny, ale tego ranka trafił na kolumnę samochodów, które posuwały się w zwolnionym tempie. Być może zdarzył się wypadek; zwykle dochodziło do nich trochę dalej, na wysokości skrzyżowania. I rzeczywiście, chwilę potem wydało mu się, że

dostrzega błyski koguta na dachu radiowozu. Mimo posuwania się do przodu nie dostrzegał jednak żadnego uszkodzonego pojazdu.

Nie chodziło o wypadek. Była to policyjna blokada.

W tych dniach zdarzały się w Avechot dość często z powodu zaginionej dziewczyny. Martini nie pojmował sensu tych kontroli, które tylko irytowały mieszkańców. Jego zdaniem, wyglądało to trochę tak, jakby zamykano oborę, gdy było już uciekło. Podejrzał, że z każdym dniem, wraz z zagęszczaniem się tajemnicy i rosnącym zainteresowaniem mediów, policjanci muszą demonstrować opinii publicznej, że coś w tej sprawie robią.

Stojący w korku kierowcy nie mieli możliwości ominięcia blokady, a zawrócenie wyglądałoby zbyt podejrzanie. Również Martini pogodził się z tym stanem rzeczy i czekał cierpliwie na swoją kolej, lecz w trakcie posuwania się powoli do przodu rósł w nim szczególny niepokój. Czuł mrowienie w czubkach palców i dziwny ucisk w żołądku.

– Dzień dobry, mogę prosić o dokumenty? – powiedział funkcjonariusz w mundurze, pochylając się przy opuszczonej szybie.

Martini przygotował już co trzeba i podał mu prawo jazdy wraz z dowodem rejestracyjnym.

– Dziękuję – powiedział tamten i oddalił się w kierunku radiowozu.

Martini przyglądał mu się spokojnie. Policjantów było tylko dwóch. Drugi z nich stał na środku jezdni z lizakiem, którym wskazywał kierowcom, żeby zjechali na pobocze. Funkcjonariusz, z którym Martini rozmawiał, wsiadł do samochodu i zaczął dyktować przez radio dane z dokumentów. Martini widział go wyraźnie przez tylne okno patrolowego auta. Po pewnym czasie zaczął zadawać sobie pytanie, dlaczego trwa to tak długo. Mogło to być tylko wrażenie, jakie odnosili wszyscy zatrzymywani kierowcy, ale tak czy owak, zaczęło rodzić się w nim podejrzenie, że coś tu nie pasuje.

Policjant wysiadł wreszcie z radiowozu i ponownie podszedł do Martiniego.

– Zechce pan z łaski swojej udać się z nami?

– Co się dzieje? – zapytał Martini, być może trochę zbyt zaniepokojony.

– To tylko formalność, zajmie parę minut – odparł uprzejmie policjant.

* * *

Eskortowano go do małego komisariatu w Avechot. Tam zaprowadzono go do pomieszczenia przypominającego archiwum. Oprócz skoroszytów i teczek ułożonych na półkach były w nim nagromadzone przeróżne rzeczy. Stare nieużywane komputery, lampy, materiały biurowe, a nawet wypchany ptak drapieżny.

Stał też stół i dwa krzesła. Martini wpatrywał się w to puste przed nim, zadając sobie pytanie, kto je zajmie. Minęło czterdzieści minut od chwili, gdy się tu

znalazł, i nikt jeszcze się nie pojawił. Cisza i zapach kurzu były denerwujące.

Drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wszedł mężczyzna około trzydziestki w marynarce i pod krawatem. Miał w ręce dowód rejestracyjny terenówki i prawo jazdy Martiniego. Zachowywał się spokojnie, a nawet się uśmiechnął.

– Przepraszam, że kazałem panu czekać. Nazywam się Borghi i jestem policjantem.

Martini uściśnął jego wyciągniętą dłoń i wobec uprzejmości funkcjonariusza trochę się rozluźnił.

– Nic się nie stało.

Borghi usiadł na pustym krześle i położył na stole dokumenty, po czym przejrzał je pobieżnie, tak jakby nie zdażył sprawdzić ich wcześniej.

– A więc, panie... Martini – powiedział, odczytując jego nazwisko.

Martiniemu przeleciało przez głowę, że to tylko udawanie, żeby mu pokazać, że nie ma czego się obawiać, bo przecież policjant wiedział już wcześniej, jak on się nazywa.

– Tak, to ja.

– Domyślam się, że zadaje pan sobie pytanie, dlaczego pana zatrzymaliśmy. Dokonujemy wrywkowej kontroli, załatwimy to w parę minut.

– Pewnie z powodu tej zaginionej dziewczyny...

– Zna ją pan? – spytał obojętnym tonem policjant.

– Jest w tym samym wieku co moja córka i chodzi do szkoły, w której uczę, ale szczerze mówiąc, nie pamiętam, jak wygląda.

Młody funkcjonariusz zamilkł na chwilę i Martini odniósł wrażenie, że mu się przygląda. Potem Borghi odezwał się znowu, równie serdecznie jak przed chwilą.

– Zamierzam zadać panu standardowe policyjne pytanie. – Uśmiechnął się. – Gdzie pan był dwudziestego trzeciego grudnia o godzinie dziewiętnastej?

– W górach – odparł natychmiast Martini. – Zrobiłem kilkugodzinną wycieczkę. Do domu wróciłem na kolację.

– Alpinista?

– Nie, amator turystyki górskiej.

Borghi zrobił aprobującą minę.

– O, kurczę. A w jakiej okolicy był pan dwudziestego trzeciego?

– Wszedłem na przełęcz, a potem zdecydowałem się na trasę po zboczu wschodnim.

– Był ktoś z panem? Przyjaciel, znajomy?

– Nie, nikt. Lubię chodzić samotnie.

– Ale może ktoś pana widział, jakiś inny wycieczkowicz, ktoś, kto mógłby potwierdzić, gdzie się pan znajdował...

Martini zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wydaje mi się, żebym dwudziestego trzeciego natknął się na kogoś.

Borghi znowu zrobił pauzę.

– Co się panu stało w rękę?

Martini spojrzał na bandaż na lewej dłoni, tak jakby o nim zapomniał.

– Poślizgnąłem się właśnie tamtego dnia. Straciłem równowagę i żeby zamortyzować upadek, odruchowo chwyciłem się krzaka, który tam rósł. Rana źle się goi.

Policjant przyjrzał mu się ponownie. Martini poczuł się trochę nieswojo. Po chwili Borghi znowu się uśmiechnął.

– Dobrze, to wszystko, dziękuję – powiedział, oddając mu dokumenty.

Martini był zaskoczony.

– Wszystko?

– Mówiłem panu, że załatwimy sprawę w parę minut, prawda?

Policjant wstał i to samo zrobił Martini. Uścisnęli sobie dłonie.

– Dziękuję za poświęcenie nam czasu, panie profesorze.

* * *

Tego wieczoru Clea przyrządziła na kolację pieczonego kurczaka z frytkami, ulubione danie całej rodziny. Kiedy coś nie szło lub gdy chcieli sobie sprawić przyjemność, państwo Martini zasiadali przy stole i rozkoszowali się smakowitym kurczakiem.

Nie znał powodu, dla którego żona wybrała takie właśnie menu, być może chciała uczcić nawiązanie na nowo dobrych relacji z Monicą. Nie opowiedział jej szczegółów zdarzenia z sylwestrowej nocy; miał nadzieję, że córka sama to zrobi. Dziewczynie zabrakło na to odwagi, ale poczucie winy doprowadziło do zbliżenia z matką.

W czasie posiłku w domu panował nowy nastrój. W końcu ktoś przy stole miał ochotę na wesołą rozmowę – głównie o sąsiadach. Państwo Odevisowie stali się tematem żartów, Clea i Monica zaśmiewały się z nich i nie przestawały radośnie paplać. Na szczęście, pomyślał Martini. Dzięki temu żadna z nich nie powinna zauważyć, że on jest taki milczący.

Po wyjściu z komisariatu jechał do domu rozluźniony. Ale z upływem godzin w jego głowie zaczęły pojawiać się dziwne pytania. Dlaczego wypuścili go tak prędko? Czy naprawdę powinien uważać, że uprzejmość Borghiego była autentyczna? Czy to, że nie miał alibi na dzień zaginięcia, nie nasunęła im jakichś podejrzeń?

Po kolacji próbował poprawiać klasówki, ale był zbyt rozkojarzony. Około jedenastej położył się do łóżka, mając świadomość, że nie uśnie prędko.

Wszystko pójdzie dobrze, powiedział sobie, wsuwając się pod kołdrę. Tak, pójdzie dobrze.

* * *

– *Alpinista?*

– *Nie, amator turystyki górskiej.*

– *O kurczę. A w jakiej okolicy był pan dwudziestego trzeciego?*

– *Wszedłem na przełęcz, a potem zdecydowałem się na trasę po zboczu wschodnim.*

– *Był ktoś z panem? Przyjaciel, znajomy?*

– *Nie, nikt. Lubię chodzić samotnie.*

– *Ale może ktoś pana widział, jakiś inny wycieczkowiec, grzybiarz lub osoba, która mogłaby potwierdzić, gdzie się pan znajdował...*

– *Nie wydaje mi się, żebym dwudziestego trzeciego natknął się na kogoś.*

– *Co się panu stało w rękę?*

Vogel wyłączył wideo z przesłuchania. Na ekranie pozostało zbliżenie twarzy nauczyciela. Agent specjalny odwrócił się do Borghiego i pani prokurator Mayer.

– *Brak alibi i rana na dłoni – oświadczył triumfująco.*

– *Ale ten człowiek nie ma plam na swojej przeszłości, żadnego precedensu, który pozwoliłby nam stwierdzić, że jest zdolny do popełnienia jakiegoś gwałtownego czynu – zaoponowała prokurator.*

Po obejrzeniu wszystkich filmików nagranych przez Mattię Vogel doszedł do przekonania, że chłopak dostarczył mu tropu, którego szukali. Stał się jego głównym świadkiem. On i jego matka zostali przeniesieni do bezpiecznego mieszkania.

Policja natychmiast rozpoczęła śledzenie nauczyciela. Praktycznie biorąc, w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin ani na moment nie stracili go z oczu. Nieumundurowani funkcjonariusze prowadzili obserwację z pewnej odległości, filmując go potajemnie i notując każde jego zachowanie. Nie wyskoczyło nic niezwykłego, ale z pewnością Vogel nie spodziewał się, że od razu natrafi na miażdżący dowód, który pozwoli mu go aresztować. Poza tym, w takich przypadkach trzeba nadać sprawom drobne przyspieszenie. Dlatego zarządził tego

ranka pozorowaną blokadę. Przedtem jednak polecił Mattii opuścić kryjówkę i wyjaśnił mu dokładnie, co ma robić, kiedy zobaczy na ulicy nauczyciela. Chciał się przyjrzeć jego reakcji na zachowanie ucznia.

Podczas gdy Martini zadawał sobie przed sklepem budowlanym pytanie, dlaczego chłopak uciekł na jego widok, Vogel obserwował go z samochodu na cywilnych numerach i analizował każdą zmianę wyrazu jego twarzy.

Zabranie go na mały komisariat i zostawienie samego na czterdzieści minut w zakurzonej rupieciarni miało na celu wywarcie na niego pewnej presji. Borghi dobrze odegrał swoją rolę. Był uprzejmy i zadowolony z odpowiedzi. Jednak pytania nie zostały pomyślane tak, żeby przesłuchiwany zaczął się plątać w zeznaniach, ale żeby obudzić w nim niepewność.

Wszystko to miało wydać owoce w następnych godzinach. Vogel był przekonany, że tak się stanie.

Prokurator Mayer trochę mniej.

– Wie pan, ilu ludzi spośród tych, których przesłuchaliśmy nieoficjalnie w tych dniach, nie miało wiarygodnego alibi na dwudziestego trzeciego grudnia? Dwunastu. A czterech z nich mają przeszłość kryminalną.

Vogel spodziewał się, że pani prokurator będzie odnosić się sceptycznie. Natomiast w jego mniemaniu Loris Martini był idealnym podejrzanym.

– Nierzucanie się w oczy to prawdziwy talent – zapewnił. – Wymaga samokontroli i wielkiej dyscypliny. Jestem przekonany, że już wcześniej w swoim umyśle ten Martini popełnił niewymownie okrutne czyny, zadając sobie za każdym razem pytanie, czy naprawdę byłby do nich zdolny. Ale nie rodziły się potworami. Wygląda to tak jak z miłością: potrzebna jest właściwa osoba... Kiedy natknął się na Annę Lou, zrozumiał w końcu, jaka jest jego natura. Zakochał się w swej ofierze.

Borghi przysłuchiwał się tej wymianie zdań, nie komentując ich. Gdyby miał oprzeć się na tym, co podpowiadał mu instynkt, przysięgłby, że w trakcie ich spotkania Martini zachowywał się aż nazbyt spokojnie.

– Jakiś czas temu powiedział pan również, że prawdopodobnie Anna Lou знаła porywacza i poszła z nim bez żadnych oporów – przypomniała Mayer. – Natomiast nie mamy pewności, że tych dwoje się znało.

– Martini uczy w tej samej szkole, do której chodzi ta dziewczyna. Z pewnością zna go z widzenia.

– Anna Lou mogła wiedzieć, kim on jest, ale czy miałyby też do niego dość zaufania? Potrzeba dużo więcej niż powierzchownej znajomości, żeby nastolatka dała się zaprosić do samochodu, kiedy jest ciemno. Zwłaszcza że została wychowana w bractwie tak, żeby do minimum ograniczała kontakty z obcymi... a nie wydaje mi się, żeby pan Martini do tego bractwa należał.

– A jak pani tłumaczy filmiki Mattii?

– Te zdjęcia nie są jeszcze dowodem, i pan dobrze o tym wie.
Ale staną się nim, pomyślał Vogel. I jeszcze raz rzucił okiem na nieruchomy kadr z twarzą mężczyzny.
Tak, Loris Martini to doskonały kandydat na podejrzanego.

5 stycznia
Trzydzieści dni po zaginięciu

Zachodzące słońce rzucało błękitną poświatę na grzbiety gór.

Martini jechał drogą krajową. Obok niego siedziała żona. Ogrzewanie w terenówce było włączone i trochę pomrukiwało, ale w środku panowało przyjemne ciepło. Kilka minut temu Clea przestała mówić i wydawało się, że uczucie relaksu i spokoju sprawia jej przyjemność. Co jakiś czas Martini odwracał się w jej stronę i Clea przyjmowała z uśmiechem jego spojrzenia.

– Miałeś dobry pomysł – powiedziała. – Od dawna nie jeździliśmy nad jezioro.

– Od zeszłego lata – przypomniał jej. – Ale odnoszę wrażenie, że zimą jest jeszcze bardziej urzekające.

– Masz rację.

Spędzili cały dzień nad jeziorkiem położonym wysoko w górach. Żeby do niego dotrzeć, trzeba było iść około dwóch godzin. Trasa nie była wymagająca jak te, z którymi zwykle mierzył się Martini. Wybrała ją Clea, niezaprawiona w chodzeniu po górach. W lesie strumienie przecinały się ze ścieżką, którą często oczyszczano, żeby ułatwić wycieczkowiczom wędrówkę. Wspinaczkę dodatkowo ułatwiał niespotykany o tej porze roku brak śniegu. Nagrodą za dotarcie na górę był widok małej doliny otoczonej skalistymi szczytami, o parę kroków od ogromnego lodowca. U jego stóp połyskiwało lustro przejrzystej wody, na powierzchni której igrały delikatne prążki złotawych odbłasków. Naokoło rozciągała się gęstwina różaneczników, które latem okrywały się intensywną czerwienią kwiatów. Obok jeziorka znajdowało się schronisko, w którym można się było posilić regionalnymi potrawami. Menu było stałe i składały się na nie tylko trzy dania. Ale Martini i jego żona przyjeżdżali tu przede wszystkim na zupę jarzynową i czarny chleb. Godziny mijały prędko, więc gdy zeszli na dół i wsiedli do samochodu, było prawie ciemno.

– O czym myślisz? – spytała Clea. Pytanie wydawało się całkowicie nieszkodliwe.

– O niczym. – Był szczery. Myśli, które niepokoiły go jeszcze dzień wcześniej, odeszły i teraz był znowu spokojny. Nie powiedział jej jednak o blokadzie ani o przesłuchaniu, jakiemu go poddano.

– Powinieneś przyciąć sobie włosy – powiedziała, przeciągając dłonią po jego kasztanowych kędziorach.

Martini lubił te drobne objawy troskliwości żony. Upewniały go, że ma jeszcze ochotę się nim zajmować.

– Masz rację, jutro pójde do fryzjera.

Czuli się szczęśliwi, ale także zmęczeni. Oboje nęciła myśl o powrocie do domu i wzięciu długiego prysznicu. Martini zauważył jednak, że na tablicy rozdzielczej zapaliła się kontrolka rezerwy paliwa.

– Muszę zatankować.

– Nie możesz odłożyć tego do jutra? – spytała Clea, która nie miała najmniejszej ochoty się zatrzymać.

– Niestety, nie.

Około dziesięciu kilometrów dalej zobaczył stację benzynową. Kiedy na nią skręcił, zorientował się, że jest zapchana samochodami osobowymi i kamperami turystów. Było to dziwne, ponieważ zwykle w tym miejscu nie było nikogo. Zaginiona dziewczyna, pomyślał. Przyjechali tu w poszukiwaniu sensacji.

Panował nastrój święta, wiele osób zjawilo się w grupach i wrzawa podnoszona przez ludzi i dzieci była niemal nie do zniesienia. Gdy nadeszła jego kolej, Martini skierował się do stanowiska samoobsługowego. Potem udał się do budynku, żeby zapłacić, i stanął w kolejce do kasy. Młoda kasjerka starała się przyspieszyć obsługiwane klientów. Na półce umieszczonej wysoko w rogu pod sufitem stał telewizor. Głosy obecnych tłumily dźwięk, ale na ekranie przesuwaly się zdjęcia kolejnego reportażu na temat Anny Lou Kastner. Martini sapnął niechętnie i odwrócił od niego wzrok.

Wreszcie przyszedł moment płacenia.

– Stanowisko numer osiem – zakomunikował kasjerce.

– Domyślam się, że jest pan stąd – powiedziała kobieta, sprawdzając należność w komputerze. Mówiła rozdrażnionym tonem.

– Jak się pani tego domyśliła?

– Widziałam przed chwilą, jak pan sapnął. – Potem dodała przyciszonym głosem: – Mój szef jest zadowolony z tej inwazji, mówi, że interesy idą lepiej, ale ja wracam do domu wieczorem z obolałymi nogami i takim bólem głowy, że lepiej nie mówić.

Martini uśmiechnął się, słysząc to zwierzenie.

– Być może nie potrwa to długo – pocieszył ją.

– Miejmy nadzieję, ale dzisiaj był szczególnie dzień, stacje telewizyjne oszalały i nadają ciągle te same zdjęcia.

– Jakie zdjęcia?

Ta krótka wymiana zdań sprawiła, że kasjerka oderwała się na chwilę od swego głównego zajęcia i kolejka się wydłużyła.

– Przepraszam, powiedział pan „stanowisko numer osiem”?

– Tak, zgadza się.

Kobieta odwróciła się w stronę okna, z którego widać było wyraźnie białą terenówkę. Potem zaczęła przyglądać się Martiniemu z dziwnym wyrazem twarzy.

– Jakiś problem? – spytał.

Kasjerka uniosła wzrok na telewizor. Martini zrobił to samo.

Na ekranie przesuwaly się zdjęcia amatorskiego filmu. Ukazywały Annę Lou w różnych momentach jej życia. Gdy szła samotnie ulicą z kolorowym plecakiem i torbą, w której miała buty z łyżwami. W towarzystwie koleżanki; Martini natychmiast rozpoznał Priscillę. W kolejnej scenie Anna Lou wychodziła z domu z braćmi. Potem zdjęcia znieruchomiały, aby skupić się na białej terenówce widocznej ciągle w tle, w odległości kilku metrów od dziewczyny.

Martini zrozumiał, co to za sensacyjna wiadomość jest nadawana w sieciach przez cały dzień. Ta sama, która ściągnęła do Avechot wszystkich tych ludzi. W końcu natrafiono na ślad. Na biały terenowy samochód podobny do jego wozu.

Nie, nie tak zwyczajnie „podobny”: to było JEGO auto.

Sensacyjną wiadomość firmowała słynna dziennikarka telewizyjna Stella Honer, a u dołu ekranu ukazał się napis: PRZEŁOM W ŚLEDZTWIE: KTOŚ JĄ ŚLEDZIŁ.

Położył na ladzie pięćdziesiąt euro, choć należność, jaką miał do zapłacenia, była niższa. Nie zwracając uwagi na osłupiałą minę kasjerki, opuścił pośpiesznie kolejkę. Nim jeszcze przekroczył próg budynku, zorientował się, że ktoś wskazuje coś przez okno.

– Hej, to ta terenówka! – wykrzyknął ktoś inny.

Tymczasem na dworze za jego samochodem zgromadził się już tłumek ludzi. Sprawdzali numer rejestracyjny. Na szczęście siedząca w środku Clea wysyłała właśnie SMS-a i niczego nie zauważyła. Martini przyspieszył kroku, podczas gdy spojrzenia obecnych skupiały się i podążały za nim. Dotarliszy do samochodu, prędko usiadł za kierownicą.

– Co się dzieje? – spytała Clea, widząc, że jest podenerwowany.

– Później ci wyjaśnię – odparł wymijająco i niezwłocznie włożył kluczyk do stacyjki. Silnik nie zaskoczył od razu, ponieważ trzęsły mu się ręce. Tymczasem ludzie zaczęli ich otaczać. W spojrzeniach mężczyzn, kobiet i dzieci można było rozpoznać to samo zdumienie połączone ze strachem, jakie zauważył w oczach kasjerki. Jeśli ktoś z nich podejmie jakieś działania, inni pójda za nim, pomyślał przerażony Martini. W końcu udało mu się uruchomić silnik, włączył bieg i ruszył. Szybko wyjechał na drogę, po czym rzucił okiem w lusterko wsteczne. Stali tam ciągle bez ruchu, wpatrując się z groźnymi minami w jego samochód.

– Może zechcesz mi powiedzieć, co się dzieje – powiedziała zaniepokojona Clea.

Nie miał odwagi się odwrócić i na nią spojrzeć.

– Jedziemy do domu.

* * *

W czasie drogi nie mógł się opędzić od lawiny pytań, którymi zasypała go

żona. Próbował wyjaśnić sytuację, choć sam jej do końca nie rozumiał.

- Co to znaczy, że cię zatrzymali?
- Dwa dni temu, podczas blokady.
- I dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

– Ponieważ nie wydawało mi się, żeby to było coś ważnego. Zatrzymali mnóstwo ludzi, nie tylko mnie. Przydarzyło się to również moim znajomym – skłamał.

Gdy wreszcie dotarli na miejsce, spodziewał się, że zostanie czekającą na niego policję. Tymczasem uliczka przed domem była dziwnie opustoszała. W pobliżu nie było żywej duszy, mimo to Martini ponaglił żonę.

- Pospiesz się, idziemy do domu.

Kiedy przekroczyli próg, zastali córkę stojącą na środku saloniku. Wpatrywała się w ekran telewizora.

– Co się dzieje, mamó? – Była przestraszona. – W telewizji mówią, że ta zaginiona dziewczyna... że śledził ją jakiś człowiek... a potem pokazali samochód, który wygląda jak nasz.

Clea objęła Monicę, nie wiedząc, co powiedzieć, potem obejrzała się na męża, błagając go wzrokiem o jakieś wyjaśnienia. Ale on nie był w stanie ruszyć się z korytarza.

- Nie wiem, niczego nie rozumiem. To musi być jakaś pomyłka – szepnęła.

Na ekranie znowu pokazała się biała terenówka.

- Ależ to jest nasz samochód. – Clea nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Była wzburzona.

– Wiem, to istne szaleństwo. – Martini zauważył, że córka zaczyna płakać. – Powiedziałem ci: byłem na komisariacie, zadali mi kilka pytań, a potem puścili do domu. Byłem przekonany, że to nic poważnego.

- Byłeś przekonany? – W głosie Clei pobrzmiwało oskarżenie.

Czuł coraz większe zdenerwowanie.

– Tak, pytali mnie, gdzie byłem, kiedy zaginęła ta dziewczyna. O takie rzeczy...

Clea milczała przez kilka sekund, tak jakby próbowała coś sobie przypomnieć.

– Tego dnia byłeś w górach. Wróciłeś wieczorem – odezwała się spokojnym tonem. Ale w głębi duszy zaczynała uświadamiać sobie, że mąż nie ma alibi. – Tak, to na pewno pomyłka – potwierdziła z przekonaniem, ponieważ nie potrafiła wyobrazić sobie innego rozwiązania. – Zadzwoń teraz na policję i poproś o wyjaśnienia. – Za jej zdecydowaniem kryła się jednak niepewność.

W końcu Martini zdołał wejść do pokoju, podszedł do telefonu i wybrał numer. Odpowiedzieli po chwili.

- Nazywam się Loris Martini, chciałbym mówić z funkcjonariuszem,

z którym rozmawiałem przedwczoraj. Wydaje mi się, że nazywa się Borghi.

Podczas oczekiwania na połączenie obrócił wzrok na żonę i córkę. Były zmieszane i przestraszone. Odczuwał ból, widząc je w tym stanie. Ale najgorsze było to, że ramiona, w których szukały ratunku, nie wyciągały się w jego stronę. Wyglądało to tak, jakby żona i córka już teraz postanowiły odciąć się od niego.

Minęło kilka minut, potem w telefonie odezwał się męski głos:

– Tak, mówi Borghi.

– Może mi pan powiedzieć, co się dzieje? Dlaczego mój samochód pokazują w telewizji? – Martini nie posiadał się ze złości.

– Przykro mi, proszę pana – odparł obojętnym tonem policjant. – Doszło do wycieku informacji. Nie powinno się to zdarzyć.

– Wyciek informacji? Czy jestem o coś oskarżony?

Po drugiej stronie linii nastąpiło milczenie.

– Nie mogę powiedzieć nic więcej – odezwał się w końcu Borghi. – Zadzwonimy do pana, ale radzę panu poszukać sobie adwokata. Dobranoc.

Policjant przerwał połączenie i Martini pozostał ze słuchawką przy uchu, nie wiedząc, co robić, podczas gdy Clea i Monica błagały go o słowa pocieszenia.

W tym momencie pokój na chwilę oświetlił nagły błysk.

Nie było to złudzenie, ponieważ wszyscy troje rozejrzeli się, nie rozumiejąc, co to może być. Błysk powtórzył się znowu, a po kilku sekundach jeszcze raz. Wydawało się, że to burza, ale po błyskawicy nie następował żaden, nawet daleki, odgłos grzmotu.

Martini podszedł do jednego z okien i wyjrzał na dwór, żona przylgnęła do jego pleców.

Błyski dochodziły z ulicy. Koło domu kręciło się kilka postaci, mrocznych niczym cienie. Co jakiś czas wydawały silne błyski. Przypominały Marsjan, ciekawych i groźnych.

Fotoreporterzy.

6 stycznia
Czternaście dni po zaginięciu

Już w nocy wozy sieci telewizyjnych zawładnęły uliczką przed domem Martinich. Ten, kto przyjechał wcześniej niż inni, zapewnił sobie lepsze miejsce, żeby objąć obiektywem spokojną małą willę, która miała być pokazywana w telewizji bezustannie, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Obok ekip telewizyjnych, fotografów i reporterów za składanymi barierkami ustawionymi przez miejscową policję, która zadbała o ustanowienie strefy bezpieczeństwa, tłoczyły się grupki gapiów. Ale ten środek ostrożności nie zabezpieczyłby ani mnie, ani mojej rodziny, gdyby tłum postanowił spontanicznie wymierzyć sprawiedliwość, rozmyślał Martini, zerkając około dziewiątej rano przez okno.

Noc okazała się trudna. Nikt nie zmrużył oka. Monica załamała się niedługo przed świtem, a Clea zamknęła się w bolesnym milczeniu. Martini nie mógł tolerować tego wszystkiego. Musiał coś zrobić.

– Borghi powiedział, że się odezwą, ale ja nie zamierzam czekać – oświadczył żonie. – Nie zrobiłem nic złego, a oni nie mają nic, żeby cokolwiek mi udowodnić, bo inaczej już by mnie aresztowali, nie sądzisz?

Po zastanowieniu się nad sprawą wydawało się, że Clea odzyskała trochę zaufania.

– Tak, musisz do nich iść i wyjaśnić swoją sytuację.

Martini ogolił się i włożył najlepsze ubranie, a nawet krawat, zamierzając wyjść z domu i pokazać się takim, za jakiego go od zawsze uważali wszyscy znajomi – porządnym człowiekiem. Gdy przekroczył próg, został zasypany gradem fleszów. Błyskały ze wszystkich stron, niczym ostrzał artyleryjski. Zasłonił ręką twarz, ale tylko dlatego, żeby nie dać się oslepić. Potem ruszył w kierunku swojego samochodu, jednak po drodze się rozmyślił. Doszedł do wniosku, że po publikacji nagrań wideo nie powinien dopuścić, żeby łączono go z tym pojazdem. Poza tym trudno byłoby wyjechać z uliczki z powodu tłumu. Postanowił więc pójść na piechotę.

Gdy ruszał sprzed domu, dojrzał go jakiś policjant!

– Panie Martini, niech pan lepiej wróci do domu! – krzyknął. Nie było to polecenie, funkcjonariusz radził mu tylko, żeby nie stawał naprzeciwko tłumowi, ponieważ mogło to być niebezpieczne.

Martini nie posłuchał go i szedł dalej, wychodząc poza barierki. W jednej chwili w jego stronę rzucili się operatorzy kamer i dziennikarze uzbrojeni w mikrofony.

– Dlaczego pański samochód pojawia się w miejscach uczęszczanych przez tę dziewczynę?

– Znał pan dobrze Annę Lou? Śledził ją pan?

– Czy policja wezwała już pana na przesłuchanie?

– Czy, pańskim zdaniem, ona została zamordowana?

Martini milczał i starał się kroczyć swoją drogą, ale zmuszony był zwolnić. Tymczasem zaczęły się podnosić szemrania wśród zgromadzonego tłumu. W ogólnym zgiełku nie słyszał obelg, jakimi go obrzucano, jednak w otaczającej go ludzkiej ciżbie dostrzegał mnóstwo rozżłoszczonych twarzy. Jeszcze do niego nie podchodzili, ale zamiary tych ludzi były oczywiste. Gdy ktoś pierwszy czymś w niego rzucił, Martini nie zdołał nawet dojrzeć, co to było. Usłyszał tylko głucho uderzenie o asfalt tuż obok niego. Natychmiast kilka innych osób poszło śladem tamtego, który krył się w tłumie. Pojawiły się inne przedmioty – puszki po piwie i drobne monety. Obawiając się, że mogą zostać trafieni, reporterzy cofnęli się o kilka kroków, odsłaniając wokół niego wolną przestrzeń, dzięki czemu stał się łatwym celem.

Uniósł ręce, żeby się osłonić, ale to nie wystarczyło. Obecna na miejscu policja nie była w stanie powstrzymać rozwścieczonego tłumu. W tym momencie dał się słyszeć pisk opon. Martini pochylił się, żeby uniknąć gradu przedmiotów, które leciały w jego kierunku, mimo to zdołał dojrzeć mercedesa z przyciemnionymi szybami, który zatrzymał się kilka metrów od niego. Otworzyły się tylne drzwi i pokazał się w nich mężczyzna w eleganckim ciemnoszarym garniturze w prążki.

– Proszę wsiadać! – rzucił głośno, wyciągając do niego rękę.

Mimo że Martini nie wiedział, kto to jest, nie mógł nie skorzystać z zaproszenia. Wsiadł do samochodu, który ruszył szybko, ratując go od pewnego linczu.

* * *

Elegancki mężczyzna podał mu opakowanie chusteczek higienicznych.

– Proszę się trochę oczyścić. – powiedział, po czym zwrócił się do swojego szofera. – Zawieź nas w miejsce, w którym będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Martini odkrył, że jest wybrudzony jakąś żółtawą substancją, której zapach wskazywał, że to musztarda.

– Rzucali we mnie czym popadło.

– Nie powinien pan stawać w ten sposób wobec tłumu. Nie rozumie pan, że tak postępując, prowokuje ich pan?

– W takim razie co powinienem zrobić? – spytał podenerwowany Martini.

– Na przykład zaufać mi. – Mężczyzna roześmiał się, a potem podał mu

rękę, żeby się przedstawić. – Adwokat Giorgio Levi.

Martini przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Nie jest pan stąd.

Mężczyzna znowu się roześmiał.

– Nie, jasne że nie. – Jego śmiech był głęboki i szczery. Po chwili Levi spoważniał. – Podejrzenia rozchodzą się po otoczeniu tak samo jak epidemia, nie wiedział pan o tym? Niewiele trzeba, aby zarażanie się jednych od drugich było nie do opanowania. Ludzie nie szukają sprawiedliwości, chcą tylko dopaść winnego. Żeby dać własnemu strachowi jakieś imię, żeby się poczuć bezpiecznie. I żyć dalej, łudząc się, że wszystko idzie dobrze, że zawsze można znaleźć jakieś wyjście.

– W takim razie być może powinienem oskarżyć media i policję – powiedział z przekonaniem Martini.

– Nie radzę panu sięgać po ten środek. – W głosie adwokata usłyszał troskę.

– W takim razie co mogę zrobić?

– Nic – brzmiała sucha odpowiedź.

– To znaczy, że mam pozwolić im, żeby mnie zniszczyli, i nie reagować? – Martini miał nieufną minę i był oburzony.

– Ta wojna jest z góry przegrana, więc prowadzenie jej niczemu nie służy. Im prędzej pan to sobie uświadomi, tym lepiej. Musimy się oprzeć raczej na pańskiej opinii człowieka uczciwego, zacnego męża i dobrego ojca rodziny.

– Ale w telewizji mówią, że śledziłem tę dziewczynę przez prawie miesiąc przed jej zaginięciem. To absurd!

– Nie pan – sprecyzował adwokat. – Śledziło ją pańskie auto... Od tej chwili proszę uważać na słowa, jakich pan używa: na tych nagraniach widać tylko pańską terenówkę.

– Dziennikarze mówią nawet, że te zdjęcia robił jeden z moich uczniów.

– Ma na imię Mattia – wyjawiał mu Levi.

Martini wydawał się zaskoczony.

– W każdym razie przyjmujemy, że te zdjęcia to tylko absurdalny zbieg okoliczności – ciągnął adwokat. – Pan i Anna Lou mieszkacie w tym samym mieście, to jest logiczne. Ale istnieje coś innego, przed czym muszę pana ostrzec...

Mercedes zatrzymał się. Martini rozpoznał przez okno polanę na tyłach cmentarza w Avechot, gdzie czasami nastolatki zatrzymywali się samochodami, żeby uprawiać seks albo palić trawkę.

– Poluje na pana policjant, który nazywa się Vogel. – Adwokat wymówił to nazwisko tonem, w którym pobrzmiwało zaniepokojenie. – Nie określiłbym go jako śledczego pierwszej klasy ani nawet nie nazwałbym go psem gończym. Brak mu kompetencji kryminologicznych i nie interesują go takie rzeczy, jak materiał dowodowy zdobywany przez policyjnych techników czy DNA. To gość, który osiąga swoje cele, posługując się mediami.

– Nie rozumiem...

– Vogel zdaje sobie sprawę, że te krótkie filmy, którymi dysponuje, nie stanowią dowodu. Ponadto, nakręcił je chłopak cierpiący na obsesję na punkcie Anny Lou, który ma na swym koncie agresywne zachowania, bierze leki psychotropowe i jest pod opieką miejscowego psychiatry, niejakiego Floresa. W sumie, jeśli istnieje jakieś źródło niezastępowalne na zaufanie, jest nim właśnie ten Mattia. Vogel nie może się nim posłużyć. Dlatego jest pan ciągle wolny.

– Nie obawiają się, że mógłbym uciec?

Levi znowu się roześmiał.

– A dokąd mógłby się pan udać? Jest pan skończony, pokazują pana w krajowych programach informacyjnych. W tym momencie wszyscy w tym kraju znają pańską twarz.

Loris przyjrzał się mężczyźnie. Był starszy od niego, ale wyglądał na mniej lat, niż ich miał w rzeczywistości. Być może zawdzięczał to włosom, wciąż jeszcze gęstym i w naturalnym kolorze. Z pewnością kobiety uważały go za przystojniaka. Pachniał dobrą wodą kolońską, ale chodziło nie tylko o to. Jego spokój, jego pewność siebie budziły zaufanie.

– W takim razie, co pan tu robi?

– Jestem tu, żeby pana bronić, to oczywiste! – odparł z uśmiechem adwokat.

– Ile by mnie kosztowało wynajęcie pana?

– Ani centa – odparł Levi, unosząc ręce. – Ja zarobię swoje dzięki rozgłosowi, jaki zyska ta sprawa. Będą jednak pewne wydatki. – Zaczął je wymieniać: – Na początek prywatny detektyw, który będzie prowadził śledztwo równoległe do policyjnego. Poza tym, w razie wytoczenia panu procesu, zgłoszeni przez nas biegli, różnego rodzaju eksperci, ktoś, kto będzie analizował sytuację pod kątem prawnym.

Martini na próżno starał się wyobrazić sobie, ile mogłyby wynieść koszty.

– Muszę powiedzieć o tym z żoną.

– Z pewnością. – Adwokat sięgnął do skórzanej teczki stojącej u jego stóp i wyjął z niej białe pudełko: była to nowiutka komórka, jeszcze w nienaruszonym opakowaniu. – Od tej chwili do kontaktów ze mną będzie pan używał tego aparatu, ponieważ jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że pana numer znajdzie się na podsłuchu. I proszę nie wychodzić z domu, jeśli nie będzie pan mógł poruszać się bezpiecznie.

* * *

Vogel zawiązywał sobie kaszmirowy krawat, stojąc przed lustrem w hotelowym pokoju. Kupił ten krawat przed wyjazdem do Avechot, ciesząc się z wczesnym momentem – i okazją – gdy go założy.

Na dole czekał na niego mały tłumek dziennikarzy. A jemu podobał się

pomysł, żeby kazać im czekać. Koniec końców, w ostatnich miesiącach zrobili wszystko, żeby musiał porządnie się namęczyć.

Sprawa Obcinacza Palców, przypomniał sobie.

Ciężko ją odpokutował, ale teraz znowu był na tropie i jeszcze raz miał u swoich stóp tych gnojków żywiących nadzieję, że rzuci im jakiś ochłap informacji, który chwilowo zaspokoi ich nienasycone apetyty.

Musiał przyznać, że Obcinacz Palców był błędem. Ale nie popełni go więcej. Wystarczyło kilka dni, żeby Vogel przywrócił swoją reputację i znowu stał się idolem mediów. Znalazł się o krok od odzyskania dawnej potęgi, toteż musiał być ostrożny.

Stella po mistrzowsku posłużyła się krótkimi filmami Mattii. Manipulacja polegająca na pokazaniu terenowego samochodu Martiniego w zbliżeniu była medialnym arcydziełem. Poza tym, Borghi okazał się wartościowym sprzymierzeńcem; Vogel nigdy by się po nim tego nie spodziewał. Być może chłopak ma przed sobą przyszłość, postanowił więc mieć go przy sobie również w następnych śledztwach. Problem stanowiła jednak ta Mayer. Zarozumiała suka. Nie ma nic gorszego od idealistki, która jest prokuratorem. Ale z pewnością uda mu się ją poskromić, musi tylko popieścić jej miłość własną, pozwolić jej poczuć na sobie żar reflektorów. Nikt nie potrafi się im oprzeć, nawet gdyby przyszło się sparzyć.

Z tym Obcinaczem naraził się właśnie na to. Ale najgorsze już minęło.

Usłyszał pukanie do drzwi.

– Proszę pana, musi pan zejść. Nie jesteśmy już w stanie przytrzymać ich dłużej – powiedział Borghi.

Niedługo potem Vogel zaprezentował się przed hałaśliwym i żądnym wieści audytorium zebranych w sali śniadaniowej hotelu. Wszystkie krzesła były zajęte, więc wielu reporterów musiało stać. W głębi pomieszczenia rozstawiono statywy z kamerami telewizyjnymi.

– Niestety, nie mam państwu wiele do powiedzenia – oświadczył, stanąwszy przed lasem mikrofonów. – Mam wrażenie, że załatwimy sprawę w kilka minut. – Odezwały się pojedyncze protesty, ale Vogel był zbyt doświadczony, żeby dać się wciągnąć w grupowy wywiad. Zamierzał powiedzieć tylko to, co mu odpowiadało.

– Dlaczego nie aresztowaliście jeszcze Lorisa Martiniego? – zapytał dziennikarz z jakiejś gazety.

– Ponieważ zamierzamy zapewnić mu wszelkie przewidziane prawem przywileje. W tej chwili jest tylko podejrzanym.

– Ale czy oprócz zdjęć białej terenówki znaleźliście jakieś inne jego związki z Anną Lou Kastner? – spytała specjalna wysłanniczka w niebieskim kostiumie.

– Jest to informacja, której nie mogę ujawnić – odparł Vogel. Była to jedna z jego ulubionych odzywek: nie stanowiła ani potwierdzenia, ani nawet

zaprzeczenia. Agent specjalny chciał, żeby wszyscy myśleli, że policja ma asa w rękawie.

– Wiemy, że Loris Martini przeniósł się z rodziną do tej doliny niedawno. – Tym razem odezwała się Stella Honer. – Jego żona porzuciła pracę adwokata i przyjechała z mężem do Avechot. Czy, pańskim zdaniem, przed czymś uciekli?

Pytanie ucieszyło Vogla. Stella potrafiła zawsze uchwycić niezwykle aspekty spraw, które relacjonowała.

– Jesteśmy w trakcie badania przeszłości podejrzanego, ale na razie mogę państwu tylko powiedzieć, że wydaje się człowiekiem o nieskazitelnej opinii. – Vogel wygłosił te słowa w obronie Martiniego z wyrachowania; chciał wywołać oburzenie szerokiej publiczności, która dokonała już wyboru i nie lubiła, żeby jej zaprzeczano. – W gruncie rzeczy to wy zniszczyliście mu reputację dzięki wyciekowi informacji – zapewnił bezwstydnie. – Nie mam nic więcej do dodania.

– W takim razie, w jakim celu została zwołana ta konferencja prasowa? – poskarżył się ktoś z obecnych.

– Żeby państwa ostrzec – odparł zdecydowanym tonem Vogel. – Nie możemy zabronić mediom rozpowszechniania tej czy innej informacji, ale powinniście państwo wiedzieć, że każda, która wypływa bez zgody policji, może wyrządzić szkodę śledztwu, a wraz z nią młodzieńczej Annie Lou Kastner. Fakt, że nie ma jej tu przed nami, nie oznacza, że mamy ją ignorować. – Przy ostatnich słowach ustawił się tak, żeby je wygłosić do kamer telewizyjnych wycelowanych wprost w niego. A potem odwrócił się od mikrofonów i skierował do wyjścia, wciąż ścigany pytaniami dziennikarzy. Ale Vogel już ich nie słuchał. W tym momencie poczuł wibrowanie komórki. Wyjął ją i spojrzał na tekst SMS-a na ekranie.

Muszę z panem pomówić. Proszę do mnie zadzwonić pod ten numer.

Musiał to być jakiś dziennikarz poszukujący sensacyjnej wiadomości. Postanowił zlekceważyć wiadomość i natychmiast wykasował ją ze złością.

* * *

– W rzeczywistości wcale ich nie odwiedzaliśmy. Żona i córka wydawały się w porządku, ale on nigdy mi się nie podobał. – Twarz Odevisa ledwie mieściła się na ekranie małego telewizora w kuchni Martinich. – Gdybym miał panu powiedzieć wszystko, to zauważyłem u niego parę zachowań... takich w sumie dziwnych. Na przykład rankiem w dniu, w którym zaginęła ta biedaczka Anna Lou, natknąłem się na niego, kiedy wychodził z domu. Powiedziałem mu „dzień dobry”, ale on nawet na mnie nie spojrzał. Włożył plecak do bagażnika tego terenowego wraka i... Tak, jednym słowem, bardzo mu się spieszyło, jak komuś, kto ma coś do ukrycia.

Po wysłuchaniu niewiarygodnego kłamstwa sąsiada, Martini poczuł pokusę,

żeby rąbnąć pięścią w wiszącą półkę. Powstrzymał się jednak w ostatniej chwili, ponieważ była to ta zraniona dłoń.

Siedząca przy stole Clea wyłączyła telewizor pilotem.

– To paskudne przecięcie jeszcze się nie zagoiło, mówiłam ci, żebyś pokazał je lekarzowi. – Powiedziała to ze spokojną rezygnacją.

Martini ciągle gotował się ze złości.

– Co za dupek!

– A czego się po nim spodziewałeś?

Starł się odzyskać panowanie nad sobą. Podeszedł i usiadł koło żony. Minęła dwudziesta trzecia i w domu panowała cisza. Stół w kuchni oświetlony wiszącą nad nim żarówką wydawał się świetlistym schronieniem pośrodku ciemności. Przed małżonkami leżały faktury i pokwitowania, a także kopia ostatniej deklaracji dochodów. Clea przeliczyła wszystko na kalkulatorze co najmniej dziesięć razy. Wynik był za każdym razem taki sam.

– Nie ma dość pieniędzy, żeby pokryć wydatki, jakie przewiduje ten adwokat – musiał przyznać z zatroskaną miną Martini.

– Oznacza to, że zawiesimy na jakiś niedługi czas opłaty za wynajem.

– Tak, pewnie! A potem dokąd wyjedziemy, kiedy nas eksmitują?

– Zastanowimy się, jak do tego dojdzie. A tymczasem mogłabym też poprosić moich krewnych o pożyczkę.

Martini pokręcił głową, wskazując w ten sposób, że znaleźli się w absurdalnej sytuacji i wszystko wali się na nich zbyt szybko.

– Będziemy musieli obyć się bez tego Leviego, nie ma innej możliwości.

– Skończyły się nam zapasy jedzenia – powiedziała Clea.

– A co to ma wspólnego?

– Poszłam dziś do supermarketu. Kilka osób mnie rozpoznało, przestraszyłam się i wyszłam, niczego nie kupiwszy. – Przyglądając się twarzy męża, na której zaczynała pokazywać się znowu złość, ujęła go za rękę. Zaczęła mówić przyciszonym, pełnym bólu głosem: – Monica została obrzucona wyzwiskami w internecie. Zmuszono ją, żeby skasowała konto na Facebooku.

– To tylko głupki i frustraci, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę, nie martwiłbym się tym.

– Tak, wiem... ale za kilka dni będzie musiała wrócić do szkoły.

Żona miała słuszość, w nawale spraw nie pomyślał o tym.

– Nie możesz pozwolić, żeby linczowali nas w ten sposób. Musisz zareagować. Każde oskarżenie pod twoim adresem odbija się na nas.

Martini wziął oddech.

– Dobrze, powiem Leviemu, żeby się tym zajął.

Odezwał się dzwonek do drzwi. Spojrzeli na siebie w milczeniu, nie mając pojęcia, kto to może być o tej porze. Potem on podniósł się od kuchennego stołu

i poszedł otworzyć.

– Dobry wieczór, panie Martini – powitał go stojący w progu Borghi. Za jego plecami stało co najmniej pięć radiowozów z włączonymi kogutami, policyjna furgonetka i ciężarówka ze sprzętem. Parada dla mediów. Kamerzyści i fotografowie utrwalali tę scenę. – Mam tu nakaz rewizji. – Borghi pokazał mu stosowny dokument.

Clea podeszła do drzwi, ale ujrawszy wszystkich tych policjantów na dworze przed domem, stanęła jak wryta.

– Musimy też pobrać pańskie odciski palców i zabezpieczyć próbki biologiczne – ciągnął funkcjonariusz. – Zgadza się pan na wykonanie tych czynności tutaj czy też woli pan się udać z nami?

Martini był zdezorientowany.

– Nie, dobrze, zrobmy to tutaj.

Borghi odwrócił się do oczekujących policjantów i dał im znak, żeby weszli do domu.

* * *

Martini siedział na środku salonu. Wokół niego krzątało się trzech techników z laboratorium kryminalistycznego ubranych w białe kitle i z lateksowymi rękawiczkami na dłoniach. Podczas gdy jeden z nich pobierał próbki DNA wymazówką, drugi zajmował się wydobywaniem substancji spod paznokci prawej dłoni w poszukiwaniu śladów mogących potwierdzić obecność DNA Anny Lou. Trzeci zajął się lewą ręką. Zdjął z niej bandaż, a potem zabrał się do pobierania próbek tkanki z niezabliźnionej jeszcze rany. W końcu sfotografował przecięcie za pomocą specjalnej lustrzanki, która umożliwiała robienie zdjęć w dużym powiększeniu.

Martini znosił wszystkie te czynności bez żadnej reakcji, całkowicie otępiały.

Naokoło niego policjanci grzebali w jego rzeczach i pamiątkach z całego życia. Panował intensywny ruch. Ludzie wychodzili z domu, zabierając ze sobą przezroczyste koperty z najróżniejszymi przedmiotami: nożami kuchennymi, butami, nawet narzędziami ogrodowymi. Na dróżce dojazdowej samochód techniczny wciągał na lawetę białą terenówkę pod uważnymi spojrzeniami sąsiadów, wyrwanych ze snu tym rozgardiaszem. Stali w kurtkach narzuconych na pizamy i wygłaszali odrażające komentarze.

Z jednego z rogów salonu Clea przyglądała się mężowi i przytulała do siebie córkę, którą wyciągnęło z łóżka całe to zamieszanie. Obie wydawały się głęboko wstrząśnięte. Po raz nie wiadomo który Martini poczuł się jak winowajca.

9 stycznia
Siedemnaście dni po zaginięciu

Wybrali najlepszego specjalistę z laboratorium kryminalistycznego, który był wolny, żeby zajął się samochodem Martiniego.

Był to niemłody już człowieczek o dziwnym wyglądzie. Zwracał uwagę tym, że wianuszek włosów okalający okazałą łysinę zapuścił i wiązał w mysi ogonek. Ponadto całe jego ciało, które wyglądało spod białego kitla, pokryte było tatuażami. Nazywał się Kropp.

– Wykonaliśmy wszystkie możliwe testy, więc musiało to potrwać – usprawiedliwił się przed Voglem i prokurator Mayer.

Policja zarekwirowała jeden z garaży w Avechot, żeby stworzyć technikom jak najlepsze warunki. Wnętrze obszernego lokalu zostało w całości wyłożone powleczonymi folią plandekami. Na posadzce rozłożono wielką białą ceratę, a samochód został umieszczony na podnośniku. Technicy kontynuowali swoją robotę, rozbierając terenówkę na drobne części. Układano je w różnych miejscach i drobiazgowo sprawdzano za pomocą bardzo wyrafinowanych urządzeń.

– A więc jest coś nowego? Tak czy nie? – spytał zniecierpliwiony Vogel.

Kropp nie spieszył się jednak i wyjaśniał wszystko bardzo flegmatycznie.

– Pierwszym wynikiem jest to, że samochód został niedawno umyty, ale tylko wewnątrz.

Informacja mogła jedynie sprawić przyjemność agentowi specjalnemu.

– Są pozostałości detergentów i rozpuszczalników, i to mogłoby skłonić do przypuszczeń, że ktoś chciał usunąć ślady – ciągnął technik.

– Dlaczego poświęcać się tylko wewnątrz, jeśli nie ma się czegoś do ukrycia?

– skomentował jego słowa Vogel, zwracając się do pani prokurator.

– Krew albo inne płyny organiczne? – spytała Mayer, która najwyraźniej nie była zadowolona z wyników.

Technik pokręcił głową; mysi ogonek zafalował mu na karku.

– W sumie, nie ma nic, co by mogło stanowić dowód, że Anna Lou wsiadła do tego pojazdu – zauważyła Mayer.

– Naprawdę oczekiwała pani, że znajdziemy krew? – spytał prowokującym tonem Vogel.

– Materiał pozwalający ustalić DNA – uściśliła prokurator. – Miałam nadzieję, że będzie coś, co pozwoli znaleźć DNA dziewczyny.

Vogel miał ochotę zapytać, skąd się bierze ta jej wielka i uporczywa naiwność. Czy ona mówi poważnie, czy próbuje go tylko zdenerwować?

– Nie rozumie pani, że jeśli nic nie znaleźliśmy, to jest to dobra wiadomość?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Poszlaki nie zawsze są namacalne. Na przykład poszlaką jest puste miejsce: oznacza ono, że wcześniej w tej przestrzeni było coś, czego już nie ma. Jeśli mielibyśmy w ogóle pytać o coś Martiniego, należałoby go poprosić, żeby wyjaśnił, dlaczego poczuł potrzebę umycia samochodu tylko w środku?

– Panie agencie specjalny, to, co pan mówi, jest tylko opinią, ale nie „faktem”. A dokładniej, jest to pańska opinia. Istnieje tysiąc powodów, dla których zimną rozumna osoba może zdecydować, żeby nie myć karoserii swojego samochodu, zwłaszcza jeśli mieszka w górskiej miejscowości i często udaje się na wycieczki. Błoto, śnieg, deszcz ubrudziłyby samochód już po kilku dniach. Natomiast jest rzeczą bardziej rozsądną, żeby wewnątrz było zawsze czyste, ponieważ siadają w nim pasażerowie.

Mayer robiła wszystko, żeby poddać nerwy agenta próbie, ale Vogel zorientował się, że w gruncie rzeczy podziwia jego zacięty upór. Nie rozumiał natomiast, dlaczego ta kobieta usiłuje bezustannie obalać dowody, postępując także wbrew swoim interesom. Nie mieli w ręku nic innego oprócz tego skromnego nauczyciela, śledztwo kosztowało podatników już miliony i ktoś niebawem mógł poprosić także ją, żeby się rozliczyła z wydanych pieniędzy.

– Mechanizm, który puściliśmy w ruch, będzie musiał wydać owoce – starał się spokojnie wyjaśnić Vogel. – Pani również musi się zgodzić z tym, że mamy obowiązek sformułować akt oskarżenia i złożyć go w sądzie. Naszym zadaniem nie jest osądzanie dowodów i poszlak, ale przedstawienie ich sędziemu i ławie przysięgłych.

– Ma pan rację, naszym zadaniem nie jest osądzanie dowodów – odparła stanowczo Mayer. – Nasze zadanie polega na tym, żeby je znaleźć. Powtarzam: potrzebujemy DNA.

Kropp, który aż do tej chwili asystował tej wymianie poglądów z pewną obojętnością, postanowił wtrącić się do rozmowy.

– Tak naprawdę to znaleźliśmy materiał do badania DNA.

Oboje odwrócili się do technika, zadając sobie pytanie, dlaczego nie powiedział tego wcześniej.

– Coś mamy, ale to dość dziwne – ciągnął Kropp. – DNA kota. Lub raczej, kocia sierść.

– Kocia sierść? – powtórzył niedowierzająco Vogel.

– Rudo-brązowa. Było jej sporo na siedzeniach i dywanikach.

– Państwo Martini nie mają kota – powiedziała Mayer.

Ale Anna Lou je uwielbiała, miał ochotę dodać Vogel. Lecz nie zrobił tego, ponieważ zauważył, że do garażu wszedł Borghi. Młody policjant rozmawiał przez komórkę, a jednocześnie szukał go wzrokiem. Był czymś zaniepokojony.

– Przepraszam – powiedział Vogel i ruszył w jego kierunku.

Tymczasem Borghi zakończył rozmowę telefoniczną.

– Mamy pewien problem – powiedział cicho.

* * *

Matka Anny Lou, bez butów i w koszuli nocnej, wyszła na dwór, żeby pozbierać liściki i usunąć wyschłe kwiaty spomiędzy pluszaków, od wielu już dni składanych przed jej domem. Pielgrzymowanie skończyło się, gdy tylko rozeszła się wiadomość, że policja ma podejrzanego. W miejsce współczucia pojawiła się chorobliwa ciekawość i tak naprawdę nikt nie przejmował się już losem zaginionej. Również media porzuciły ten wątek. Kiedy Vogel i Borghi dotarli limuzyną na miejsce, zastali tylko kilku fotoreporterów, którzy bezlitośnie fotografowali tę scenę.

– Niech pan ich stąd usunie – natychmiast polecił podwładnemu agent specjalny. Potem podszedł do kobiety. – Pani Kastner, pamięta mnie pani? Jestem z policji, nazywam się Vogel.

Kobieta odwróciła się i obrzuciła go otepiałym spojrzeniem. Drobnym deszczykiem kompletnie przemoczył jej koszulę nocną, która przyklepiła się do ciała, ukazując w całkiem niestosowny sposób, że nie ma pod nią bielizny. Vogel zdjął płaszcz i zarzucił go na jej ramiona.

– Tu jest zimno. Może wejdziemy do domu?

– Muszę dokończyć porządki – odparła kobieta, jakby była to najważniejsza rzecz na świecie.

Vogel pokazał jej bransoletkę z paciorków wykonaną przez Annę Lou, którą włożyła mu na rękę w dzień Bożego Narodzenia, w trakcie jego pierwszej wizyty w ich domu.

– Pamięta pani przyrzeczenie, o jakie mnie pani prosiła? No cóż, są nowe wiadomości... Ale porozmawiamy o nich w środku. Odpowiada to pani?

Maria Kastner zastanawiała się przez chwilę.

– Ten człowiek, ten nauczyciel... Naprawdę myślicie, że to jego sprawka? To znaczy, chciałam powiedzieć, że nie wydaje mi się, żeby był do tego zdolny... Według mnie, on jest niewinny... Bo jeśli przetrzymuje Annę Lou, powinniście już odkryć, gdzie znajduje się moja córka, prawda?

Vogel nie wiedział, co odpowiedzieć. Było oczywiste, że ta kobieta ani myśli liczyć się z rzeczywistością.

– Mamy go na oku – zapewnił ją.

– Ale dni mijają i Anna Lou może być głodna. Jeśli ten człowiek jest stale pod obserwacją, to w takim razie kto zanieśie jej coś do jedzenia?

Po raz pierwszy w karierze zabrakło mu słów. Na szczęście dla niego w tym momencie nadjechał Bruno Kastner, zaalarmowany przez kogoś, że przed jego domem coś się dzieje.

– Przepraszam, ale byłem zajęty – usprawiedliwił się. Wziął żonę pod rękę i poprowadził ją do drzwi wejściowych. – To te środki nasenne, które przepisał jej psychiatra.

– Panie Kastner, chciałbym, żeby pańska żona miała możliwie najbardziej jasny umysł. Może trzeba się przyjrzeć dozowaniu. – Sądził, że media mogłyby wykorzystać umysłowe zaburzenia kobiety, także po to, żeby przypisać jej jakieś bezpodstawne stwierdzenia.

– Porozmawiam o tym z doktorem Floresem – zapewnił go Bruno Kastner, odwróciwszy się już plecami do agenta specjalnego.

Vogel popatrzył za mężczyzną, który z wielką troskliwością zajął się żoną. A potem wlepił spojrzenie w bransoletkę z paciorków na swoim nadgarstku.

* * *

Stella Honer znajdowała się w saloniku skromnego, ale ładnie urządzonego mieszkania. Siedziała na kanapie okrytej wygniecioną narzutą, która być może ukrywała oryginalne, ale podniszczone obicie albo chroniła je od zużycia. Jak zawsze, dziennikarka prezentowała się nieskazitelnie. Szary kostium i czerwona jedwabna apaszka zawiązana wokół szyi. W ręce trzymała mikrofon.

Operator kamery telewizyjnej poszerzył ujęcie i na ekranie pojawiła się też siedząca obok niej osoba, lokatorka tego mieszkania.

Tym razem Priscilla nie miała na sobie ubrań zbuntowanej nastolatki, jakie zazwyczaj nosiła. W porządnie wyprasowanych džinsach bez żadnych rozdarć i białej bluzce wyglądała zdecydowanie skromniej. Z jej ucha zniknęły trzy kołeczki, zrezygnowała też z podkreślenia oczu czarną kredką. Bez makijażu wydawała się dziewczynką. W rękach ścisnęła chusteczkę.

– A więc, Priscillo, możesz nam powiedzieć, jak to się odbyło? – spytała przymilnym tonem Honer.

Dziewczyna kiwnęła głową, jakby dla dodania sobie odwagi.

– Byłam na nocnym czuwaniu przed domem państwa Kastnerów, przyniosłam tam szmacianego kotka dla Anny Lou. Byli ze mną koledzy, wszyscy byliśmy poruszeni tym, co się wydarzyło. Nagle poczułam, że dostałam SMS-a... Był od profesora Martiniego. – Dziewczyna zacięła się, nie była w stanie mówić dalej.

Stella Honer domyśliła się, że powinna pomóc jej ciągnąć te zwierzenia.

– Dlaczego tak cię to zdumiało?

– Ja... darzyłam profesora Martiniego szacunkiem, według mnie, był człowiekiem w porządku... ale po tym, co się stało...

Tym razem Honer pozwoliła, żeby milczenie potrwało dłużej. Chciała dać widzom czas, aby mogli dobrze przemyśleć słowa dziewczyny. Świetnie potrafiła kreować napięcie.

– Co było w SMS-ie?

Zgodnie z instrukcją otrzymaną przed rozpoczęciem bezpośredniej transmisji, Priscilla wyjęła z kieszeni dzinsów komórkę i przeczytała tekst, przy czym głos i ręka jej drżały. *Mogłabyś wstąpić do mnie do domu jutro po południu?*

Następna efektowna pauza na życzenie Stelli Honer, tym razem z powodu łzy, którą dojrzała w lewym oku dziewczyny. Nie chciała jednak, żeby ta się rozpląkała. Jeszcze nie teraz. Tak więc, aby dać jej czas na pozbieranie się, reporterka delikatnie wyjęła komórkę z rąk Priscilli i zademonstrowała ją przed obiektywem kamery.

– Często oskarża się nas, że pokazujemy tylko część prawdy, dodatkowo zmienionej po to, żeby zmanipulować publiczność. Ale ta sprawa nie jest dziennikarskim wymysłem, wystarczy popatrzeć: to wydarzyło się naprawdę. – Zostawiła widzom dość czasu, aby dzięki zbliżeniu mogli przeczytać wiadomość na wyświetlaczu, a potem odwróciła się znowu do swej rozmówczyni. – I co o tym pomyślałaś, Priscillo?

– Z początku nic, to było tylko dziwne. Jednak potem, kiedy w telewizji powiedziano, że policja podejrzewa pana profesora, pomyślałam o Annie Lou i o tym, że być może mogłoby mi się przydarzyć to samo co jej...

Stella Honer pokiwała z powagą głową i położyła rękę na dłoni Priscilli. Jej gest wyzwoił reakcję, której się spodziewała – dziewczyna rozpląkała się. Honer nie pytała o nic więcej, ale z pełnym profesjonalizmem pozwoliła, żeby kamera telewizyjna zatrzymała się dłużej na tej scenie na twarzy Priscilli.

* * *

– To tylko fantazje nastolatki, która pragnęła pokazać się w telewizji. – W głosie Martiniego pobrzmiwała desperacja.

Za to jego żona wydawała się przede wszystkim rozzłoszczona.

– A tymczasem ta twoja nastolatka sprawiła, że straciłeś pracę! Powiedz mi, co my teraz zrobimy?

Dwa dni przed końcem ferii świątecznych dyrektor szkoły zadzwonił do Martiniego, żeby mu zakomunikować zawieszenie w obowiązkach nauczyciela i co gorsza, w wypłacaniu pensji.

– Skąd weźmiemy pieniądze na opłacenie twojej obrony? Toniemy już po uszy w długach, a ty pakujesz się w taką głupotę z uczennicą? Z niepełnoletnią dziewczyną?

– Znam tę Priscillę. Ten jej skromny wygląd, te ubranka, to tylko pozory!

Agent specjalny Vogel z przyjemnością słuchał tej wymiany zdań, siedząc wygodnie w swoim prowizorycznym biurze w szatni szkolnej sali gimnastycznej. Miał na uszach słuchawki, obie nogi oparł na stole i kołysał się na krześle z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Aż do tej chwili pomysł założenia podsłuchu podczas

przeszukania w domu Martinich nie dał żadnych wyników, ale teraz mogły nastąpić jakieś nowe wydarzenia. Vogel wydawał się rozbawiony kłótnią małżonków, również dlatego, że to on sam przekonał dyrektora liceum do interwencji w sprawie nauczyciela, zanim wywiad Stelli Honer wywoła gniew rodziców dzieci uczęszczających do szkoły. Gniew, który oczywiście spadłby również na dyrektora. Aż nazbyt łatwo udało mu się przekonać tego gościa, układowego biurokratę bez kręgosłupa.

– Dlaczego wysłałeś jej tę wiadomość? – Żona przypuściła bezpośredni atak.

– Prosiła, żebym jej udzielił lekcji recytacji. Ale przepraszam, nie wydaje ci się, że gdybym chciał ją wykorzystać, nie byłbym na tyle głupi, żeby umawiać się z nią w naszym domu?

Clea Martini nie odpowiedziała, zdawała się wahać przez moment. Jednak po chwili odezwała się znowu, tym razem głosem pełnym bólu.

– Znam cię prawie przez całe życie, więc wiem, że jesteś dobrym człowiekiem... Ale nie wiem, do jakiego stopnia jesteś niewinny. – Jej słowa zawisły w próżni, nastąpiła po nich kolejna krótka pauza. – Jesteś wystarczająco inteligentny, żeby rozumieć różnicę między tymi dwiema rzeczami: dobrzy ludzie też czasami błędzą... Gdy tylko wyjdę z domu, wszędzie napotykam wrogie spojrzenia. Ciągłe się boję, że ktoś może zrobić coś złego tobie albo nam wszystkim. Monica nigdzie się nie rusza, straciła tych parę koleżanek i kolegów i nie wytrzymuje już napięcia.

Vogel wiedział, co teraz nastąpi, chciał tego i to zaplanował.

– Bez względu na to, czy twoje błędy są wielkie czy małe – ciągnęła kobieta – zostanę przy tobie do końca dni, jakie mi pozostały do przeżycia. Przynależę do to i dotrzymam słowa. Ale twoja córka nie jest związana żadnym przyrzeczeniem... Dlatego zabiorę ją teraz jak najdalej od tego miejsca.

Vogel miał ochotę skakać z radości, lecz się powstrzymał.

– Chcesz powiedzieć, jak najdalej ode mnie. – Nie było to pytanie, ale gorzka konstatacja.

Żona nie odpowiedziała. Niedługo potem dał się tylko słyszeć odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Vogel zdjął nogi ze stołu i pochylił się, przyciskając dłońmi słuchawki do uszu, żeby skoncentrować się lepiej na tej ciszy.

Martini był ciągle w pokoju. Agent specjalny słyszał jego oddech. Cichy, rytmiczny. Oddech człowieka osaczonego, którego nawet on nie mógł jeszcze posłać za kratki, ale który był już więźniem własnej egzystencji i nie mógł od niej uciec.

Vogel stworzył wokół niego pustkę. Teraz, kiedy opuściły go także żona i córka, załamał się, pomyślał. Jest skończony.

W tym momencie jednak wydarzyło się coś, czego agent specjalny nie przewidział. Było to coś absurdalnego, całkowicie bez sensu.

Nauczyciel zaczął podśpiewywać.

Robił to cicho, półgłosem. Ta jego wesołość zdecydowanie nie pasowała do tego, co się przed chwilą wydarzyło. Vogel przysłuchiwał się z zakłopotaniem irracjonalnej piosence. Była to wyliczanka. Wychwycił z tekstu tylko kilka słów.

Mówiła o małych dziewczynkach i kotkach.

10 stycznia
Osiemnaście dni po zaginięciu

Levi zadzwonił do niego na „bezpieczną” komórkę, którą dał mu kilka dni wcześniej, i poprosił o spotkanie. Potem wysłał swojego kierowcę, żeby go zabrał z domu. Reporterzy natychmiast podążyli za mercedesem, ale musieli się poddać, kiedy nauczyciel wysiadł z auta i wszedł do prywatnego domu.

Prawnik wynajął go, żeby być blisko wydarzeń.

Gdy Martini przekroczył próg, zobaczył wnętrze, jakiego się nie spodziewał. Salon został zamieniony w biuro, a nieliczna grupka współpracowników adwokata była po uszy pogrążona w pracy. Jeden studiował prawnicze teksty i akta, drugi rozmawiał przez telefon, a pozostali omawiali strategię obrony. Postawili tablicę, na której notowali przebieg śledztwa. Byli tak zaaferowani, że nie zauważyli jego obecności.

Levi czekał na niego w kuchni, żeby porozmawiać na osobności.

– Widział pan, jak zorganizowałem robotę? Wszystko to wyłącznie z pańskiego powodu – pochwalił się.

Martini zastanawiał się, ile go to będzie kosztowało, a także nad tym, że nie ma już pracy.

– Szczerze mówiąc, powoli tracę wszelkie nadzieje.

– Nie powinien pan – upomniał go Levi, po czym zaprosił gestem do skorzystania z krzesła, sam zaś pozostał na stojąco. – Słyszałem, że wczoraj pańska żona i córka wyjechały.

– Są u moich teściów.

– Szczerze mówiąc, tak jest lepiej, niech mi pan wierzy. Atmosfera staje się napięta i myślę, że w najbliższych tygodniach jeszcze się pogorszy.

Przez twarz Martiniego przemknął gorzki uśmiech.

– I pan wciąż ma odwagę mówić mi, żebym nie tracił nadziei?

– No pewnie, ponieważ nie jestem zaskoczony rozwojem wypadków.

– To ten Vogel, prawda... on reżyseruje to wszystko...

– Tak, ale dzięki temu można przewidzieć jego następny krok. Działa wyłącznie według stałego scenariusza, ten człowiek nie potrafi wymyślić niczego nowego.

– Ale wszyscy go słuchają.

Adwokat podszedł do lodówki i wyjął z niej małą butelkę wody mineralnej. Otworzył i podał Lorisowi.

– Jedyne ratunek w tym, żeby zachować jasny umysł i mocne nerwy. Dlatego proszę zachować spokój... i niech pan wszystko zostawi mnie.

- Ten policjant zniszczył mi życie.
- Ale przecież jest pan niewinny, prawda? – przypomniał adwokat.
Martini wbił wzrok w butelkę.

– Czasami nawet ja sam w to wątpię.

Levi roześmiał się, chociaż jego klient był daleki od żartów. Adwokat położył mu rękę na ramieniu.

– Ten Vogel ma pewien słaby punkt i zaczniemy go atakować właśnie z tej strony... Dopilnujemy, żeby go zabolalo, i to bardzo mocno.

Martini spojrzal na Leviego. Być może spodziewał się znaleźć w jego oczach przebliski jakiejś nadziei.

– Słyszał pan może o śledztwie w sprawie Derga? – spytał prawnik.

– Nie przypominam sobie – odparł nauczyciel.

– Jeszcze mniej więcej rok temu śledztwo to odbijało się bardzo szerokim echem w mediach. Ale być może przypomni pan sobie pseudonim, jakim ochrzciły go gazety: Obcinacz Palców.

– Tak, tak, słyszałem o nim... Ale zazwyczaj sprawy z kroniki kryminalnej zbytnio mnie nie interesują.

– A więc przez długi czas policja polowała na seryjnego bandytę, który ukrywał małe ładunki wybuchowe w produktach z supermarketu, a potem umieszczał je na półkach: mogło to być opakowanie płatków, tubka z majonezem, jakaś konserwa. Eksplozje zraniły wiele osób, urywając im palce lub ich części, a raz nawet całą rękę.

– Straszne. Ale nigdy nikogo nie zabił?

– Nie, lecz prędzej czy później do tego by doszło: ten „Obcinacz” mógłby się w końcu znudzić i podjąć próbę zabójstwa. W gruncie rzeczy wszyscy na to czekali. Jak pan może pamiętać, ludzi ogarnął paniczny strach. Ale zanim pojawiły się ofiary śmiertelne, Voglowi udało się znaleźć zupełnie nieszkodliwego księgowego, niejakiego Derga, który miał słabość do modelarstwa i elektroniki. Przypadek chciał, że człowiek ten stracił w dzieciństwie wskazujący palec prawej ręki. W tamtym okresie mówiono o banalnym wypadku domowym. W rzeczywistości okaleczyła go jego własna matka nożycami do drobiu, ponieważ chciała go ukarać. Cierpiała na zaburzenia psychiczne i znęcała się nad synem.

– Dobry Boże...

Levi wycelował w Martiniego palcem.

– No właśnie, pan myśli dokładnie tak samo jak wszyscy, to znaczy, że ten Derg był doskonałym kandydatem na sprawcę.

– To prawda – przyznał Martini. – Jeśli pomyśleć o tym, co mu się przydarzyło w dzieciństwie, wydaje się wiarygodne, że mógł być okrutny jako człowiek dorosły.

– W ten sposób ludzie zamieniają się w potwory. Ale chodzi o co innego.

Również w sprawie Obcinacza Palców nie było dowodów, tylko poszlaki. Vogel postawił na medialny show i przekonał prokuratora, żeby oskarżył Derga. Jednak koniec końców księgowy został całkowicie uniewinniony.

– Dlaczego?

– Obcinacz Palców używał prymitywnego materiału wybuchowego. Nawet amator mógłby go sporządzić z substancji łatwo dostępnych w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. Ale ma ten materiał jedną wadę: pozostawia chemiczne ślady na skórze tego, kto się nim posługuje. A Derg nie miał na sobie żadnych takich śladów...

– I to wystarczyło, żeby oczyścić go z zarzutów?

– Oczywiście, że nie. Ale niech pan posłucha: najpoważniejsza poszlaka wskazująca na jego winę została uzyskana w trakcie przeszukania policyjnego. W domu Derga znaleziono identyczne pudełko biszkoptów jak to, w którym „Obcinacz” ukrył jeden z ładunków, a co więcej, z numeru serii wynikało, że zostało ono zakupione w tym samym sklepie, w którym tamten maniak dokonał zamachu. Mimo to Derg uparcie twierdził, że niczego w tym sklepie nie kupował.

– W takim razie, jak...

– I tu dochodzimy do najciekawszego momentu: ktoś, kto podrzucił do jego domu to pudełko, żeby go pogrążyć, nie sprawdził daty zapakowania biszkoptów. A zostały one wyprodukowane w okresie, w którym Derg siedział już w areszcie, czekając na rozpoczęcie procesu, więc nie mógł kupić tego pudełka. I co? Wypuszczono go i natychmiast uniewinniono.

Martini zamyślił się.

– A co z Voglem? – spytał w końcu.

– Uratował twarz, zwalając winę na jednego ze swoich podkomendnych, młodego funkcjonariusza, który został potem zwolniony z pracy. On tak robi zawsze: znajduje kozła ofiarnego, żeby w razie potrzeby go poświęcić... Jednakże po wpadce z Dergiem media zaczęły traktować nieufnie sugestie, które Vogel im podsuwał, i stopniowo się od niego odsunęły.

– Aż do teraz – zauważył Martini. – Dzięki mnie będzie miał okazję, żeby znowu się pławić w świetle reflektorów.

– Ale gdy do tego dojdzie, postaramy się udowodnić, kim on jest naprawdę: mistyfikatorem.

Wydawało się, że Martini odzyskał trochę nadziei.

– W takim razie i ja z tego wyjdę.

– Tak, ale jakim kosztem? – W głosie adwokata znowu pojawiło się zatroskanie. – W oczekiwaniu na zakończenie procesu Derg spędził w areszcie cztery lata. W tym czasie przeszedł udar mózgu, stracił pracę, przyjaciół i rodzinę.

Martini uświadomił sobie, że Levi ma na oku ściśle określony cel.

– Co mogę zrobić, żeby tego uniknąć?

– Niech pan zapomni, że jest pan niewinny.

Nie zrozumiał sensu tych słów, ale adwokat pożegnał go uściskiem dłoni, nie udzielając mu dalszych wyjaśnień.

– Wkrótce się odezwę – obiecał tylko.

* * *

Poprzedniej nocy agent Borghi nie zasnął ani na chwilę. Przewracał się w łóżku z boku na bok, zastanawiając się bezustannie nad sceną przed domem Kastnerów, w której uczestniczył, rozmyślał o wzburzonej i oszołomionej matce, krzątającej się w koszuli nocnej pomiędzy pluszowymi kotkami ofiarowanymi jej córce przez obcych ludzi. Maria Kastner starała się nadać sens swojemu cierpieniu.

Odpowiedź kryje się w kotach, pomyślał.

Rudo-brązowa sierść pręgowanego kota znaleziona we wnętrzu terenowego samochodu Martiniego nie miała sensu. Gdy Borghi dowiedział się o tym szczególe, zareagował dokładnie tak jak Vogel.

Państwo Martini nie mieli kota. Anna Lou marzyła o takim zwierzaku.

W trakcie tych bezsennych godzin Borghi doszedł do wniosku, że kluczem do rozwiązania zagadki jest sama dziewczyna. Tymczasem wszyscy przestali się nią interesować. Nie zadawali już sobie pytania, jaki los ją spotkał. Media, opinia publiczna, a nawet policja przeszły do pytań innego rodzaju. W jaki sposób nauczyciel ją zabił? Czy przedtem ją zgwałcił? Wszyscy byli pewni, że została zamordowana, ale również, nie wspominając o tym otwarcie, troszczyli się o zaspokojenie drastycznymi szczegółami własnej niezdrowej ciekawości.

Na przykład, nikt nie zadawał sobie pytania: „Dlaczego ją zabił?”.

Motyw, dla którego najwyraźniej nieszkodliwy nauczyciel z małego górskiego miasteczka miałby zabijać taką skromną, niezwracającą niczyjej uwagi dziewczynę, jak Anna Lou, pozostawał pytaniem, które nikogo nie interesowało. Mimo to musiał mieć decydujące znaczenie.

Dlaczego ją zabił?

O świcie Borghi zrozumiał, że trzeba zacząć na nowo właśnie od niej, od Anny Lou Kastner. W gruncie rzeczy, czego dowiedzieli o tej dziewczynie? Tylko tego, co im powiedzieli jej rodzice i znajomi. Ale czy to mogło wystarczyć? W akademii policyjnej nauczył się jednej rzeczy.

Że ofiary również potrafią mówić.

Zbyt prędko godzono się z tym, że nie mogą już przedstawić swojej wersji. A jednak mogły. Zazwyczaj wyręczała je w tym ich przeszłość. Jednak potrzebny był ktoś, kto zechciałby wysłuchać tego głosu.

Dlatego, po dokonaniu odkrycia, że w szkole, do której chodziła Anna Lou, a Martini był nauczycielem, działał stary monitoring, mający zniechęcać uczniów do aktów chuligaństwa i wandalizmu, Borghi zamknął się w czymś w rodzaju

schowka, gdzie składano przestarzałe rejestratory wideo, i od wielu godzin przeglądał nagrania, na których widać było dziewczynkę. Były to sceny z codziennego życia; Anna Lou pokazywała się na nich w całej swej dziecięcej naiwności. Kamer nie zainstalowano w klasach, ale były w stołówce, sali gimnastycznej i na korytarzach – i wszędzie tam dziewczyna prezentowała się tak samo. Nieśmiała, powściągliwa, ale umiejąca odpowiedzieć uśmiechem osobom, które się do niej zwracały. Żadnego nienormalnego zachowania.

Monitoring resetowano co piętnaście dni. Taśmy wykorzystywano ponownie, co powodowało kasowanie poprzednich nagrań. Na szczęście ferie świąteczne przerwały ten cykl, dzięki czemu zachowały się nagrania sprzed przeszło dwóch tygodni.

A dokładnie, z piętnastu dni przed zaginięciem dziewczyny.

Ponieważ utrwalone zostały długie godziny, Borghi zastosował metodę oglądania ich skokami. Polegała ona na tym, że wybierał przypadkowo momenty, na których się koncentrował w poszukiwaniu na ekranie dziewczyny. Siedział więc teraz na składanym krześle w schowku naprzeciwko czarno-białego monitora, mając pod ręką termos z kawą, która zdążyła już wystygnąć. Przejrzał mnóstwo nagrań. Aż do tej chwili nie udało mu się zobaczyć Anny Lou razem z nauczycielem. Właśnie przyglądał się nagraniom z ostatniego dnia lekcji przed feriami, który jednocześnie poprzedzał dzień zaginięcia. Odezwała się komórka.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie wczoraj wieczorem? – usłyszał znudzony głos żony.

– Wybacz, masz rację. Ale praca zabiera mi mnóstwo czasu.

– Praca jest ważniejsza od żony w ciąży? – Tym razem nie było to pytanie, ale precyzyjnie wymierzone oskarżenie.

– Oczywiście, że nie – próbował ją udobruchać. – Nie szukałem usprawiedliwienia, powiedziałem tylko prawdę. Nie mogę do ciebie dzwonić, kiedy pracuję, ale bezustannie myślę o tobie.

Caroline westchnęła. Być może był to jeden z jej „dobrych” dni, kiedy hormony nie przyprawiały jej o szaleństwo. Ale Borghi nie mógł do tego nawiązać, bo inaczej natychmiast by się wściekła.

– Dostałeś rzeczy, które ci wysłałam?

– Tak, i przy okazji dziękuję ci za nie. Właśnie potrzebowałem trochę ubrań na zmianę.

– Wczoraj wieczorem mój ojciec widział cię w telewizji – powiedziała Caroline.

Wyobraził sobie uśmiech na jej twarzy. To dlatego dziś się nie złościła. Była z niego dumna.

– Tak? Dobrze wypadłem?

– Powiem ci tylko tyle: mam nadzieję, że nasza córka będzie podobna do

mnie. – Oboje się roześmiali. – Moja matka chciałaby, żebyśmy zostali tu po jej urodzeniu.

Omawiali już ten temat w długich rozmowach. Caroline utrzymywała, że matka mogłaby jej pomóc w początkowym okresie, ale wtedy on również musiałby się przeprowadzić. Jednak nawet gdyby życie z teściami ułożyło się pomyślnie, Borghi wolał nie decydować się na mieszkanie z nimi, ponieważ obawiał się, że przeciągnie się to w nieskończoność.

– Możemy pogadać o tym po moim powrocie? Do porodu zostało jeszcze kilka miesięcy.

Caroline zignorowała jego słowa.

– Tata przygotował już pokój dla nas w głębi korytarza. Należał do mojego brata, zanim się wyprowadził, żeby zamieszkać samotnie. Pokój jest na uboczu, więc będziemy mieli trochę prywatności.

Z tonu jej głosu można się było domyślić, że zdecydowała już za oboje. Borghi miał ochotę coś powiedzieć, ale w tym momencie aż podskoczył na składanym krześle. Dostrzegł coś na monitorze.

– Przepraszam cię, Caroline, zadzwonię do ciebie później.

– Jak to możliwe, że choć słyszymy się tak rzadko, ty się zwyczajnie rozłączasz?

– Wiem, wybacz mi – odparł i wyłączył się, nie czekając na odpowiedź. A potem skoncentrował się na tym, co przyciągnęło jego uwagę.

Po raz pierwszy Anna Lou i Martini znaleźli się w tym samym kadrze.

Dziewczyna szła opustoszałym korytarzem z kilkoma książkami w rękach. Z przeciwnej strony nadchodził nauczyciel.

Przeszli blisko siebie, niemal się muskając.

Borghi cofnął taśmę, żeby ponownie obejrzeć tę scenę. Uderzyła go szczególnie jedna rzecz. Gdyby odkryły ją media, powstałoby niezłe zamieszanie. Pomyślał, że trzeba poinformować o tym Vogla.

* * *

O jedenastej wieczorem Martini siedział na kanapie w kompletnie zaciemnionym saloniku. Z ulicy dochodziły głosy dziennikarzy koczujących przed jego domem. Nie był w stanie zrozumieć, o czym rozmawiali, ale co jakiś czas słyszał ich śmiechy.

Jak dziwnie robi się zawsze wtedy, gdy nasze życie się zatrzymuje, a życie innych toczy się dalej, pomyślał. Tak właśnie się czuł. Zablockowany we własnym życiu.

Pogasił światła, ponieważ postanowił uniemożliwić tym na dworze zerkanie w okna, w celu sprawdzenia, „co ten potwór właśnie robi”. Ale był też inny powód. Chciał uniknąć spojrzeń Clei i Moniki, które ze zdjęć w ramkach śledziły go

bezustannie po całym domu. Uciekły od niego, a teraz on pragnął uciec od nich. Był na nie wściekły, ale potrafił też zrozumieć, co nimi kierowało. W gruncie rzeczy zrobiły to dla własnego dobra.

Z zamyślenia wyrwał go cichy dźwięk wibrującego telefonu. W tym samym momencie na jednym ze stolików zapaliło się światełko. Martini podniósł się z kanapy, żeby to sprawdzić. Na wyświetlaczu komórki, którą dostał od Leviego, widniała wiadomość.

Na cmentarzu za pół godziny.

Martini zadał sobie pytanie, czemu adwokat zaproponował spotkanie w tak niezwykłym miejscu, a nie w willi, którą wynajął na swoją kwaterę główną. W głowie rozbrzmiewały mu jeszcze słowa, z jakimi prawnik zwrócił się do niego rano.

Niech pan zapomni, że jest pan niewinny.

Być może otrzyma od niego jakieś wyjaśnienie. Martini błyskawicznie opracował plan opuszczenia domu tak, żeby nikt go nie zauważył. Poszedł na górę po starą kurtkę i czapkę z daszkiem. Zamierzał je włożyć, żeby dzięki takiemu kamuflażowi móc iść ulicą nierozpoznany przez nikogo. Aby zmylić reporterów, postanowił wyjść tylnymi drzwiami i przeleźć przez płot otaczający ogród.

Dotarcie do celu zajęło mu ponad pół godziny. Chciał mieć pewność, że nikt go nie śledził. Furtka cmentarza była tylko przymknięta. Popchnął ją i wszedł między nagrobki.

Na niebie wisiał srebrny księżyc w pełni. Martini pokręcił się trochę, pewien, że za chwilę zobaczy wyłaniającego się z mroku adwokata Leviego. Po jakimś czasie dostrzegł w oddali migające czerwone światełko. Ruszył w jego stronę, jakby to była latarnia morska wskazująca właściwy kierunek. Kiedy dotarł w pobliże źródła nikłego światła, uświadomił sobie, że to papieros. Rozżarzał się i przygasał za każdym razem, gdy Stella Honer zaciągała się dymem.

– Bądź spokojny, przychodzę w pokojowych zamiarach – odezwała się rozbawionym tonem. Siedziała na płycie nagrobnej z założonymi nogami, jakby znajdowała się w salonie.

– Czego pani chce? – spytał ostro Martini.

– Pomóc ci.

Czuł się poirytowany tym, że Stella Honer zwraca się do niego tak protekcjonalnie.

– Nie potrzebuję pani pomocy.

– Chcesz, żebym ci zademonstrowała, jak bardzo przyjaźnie jestem do ciebie nastawiona? Dobrze... Sześć miesięcy temu twoja żona zamierzała cię porzucić dla innego mężczyzny. Przenieśliście się tu, żeby spróbować zacząć od nowa.

Tamta sprawa, pomyślał Martini. Ale skąd ona się o tym dowiedziała?

– Widzisz? Jesteśmy przyjaciółmi – ciągnęła dziennikarka, zauważywszy, że

nauczyciel jest bardziej zdezorientowany niż wściekły. Vogel, który przekazał jej tę informację, przewidział, że on tak zareaguje. – Mogłabym posłużyć się tą wiadomością, ale tego nie zrobiłam... Wiem, że niedawno Clea wyjechała z waszą córką, ale jeśli chcesz zobaczyć je znowu przy sobie, musisz okazać sporo sprytu.

– Wróć, kiedy wyjaśni się moja sytuacja, i znowu zaczniemy żyć jak wcześniej.

Stella Honer przechyliła na bok głowę, przyglądając mu się współczująco.

– Biedaku, naprawdę myślisz, że to tak się potoczy?

– Jestem niewinny.

– W takim razie niczego nie rozumiałeś. – Wypowiedziała to zdanie, jakby była to groźba. – Nikogo nie obchodzi, że jesteś niewinny. Ludzie już o tym zdecydowali. A policja nigdy nie zostawi cię w spokoju: wydają furę kasy, żeby wyjaśnić tę sprawę, ale nie mają jej aż tyle, żeby sobie pozwolić na następne śledztwo, a przede wszystkim na innego sprawcę.

Martini przełknął z trudem ślinę, ale starał się wyglądać spokojnie.

– A więc albo ja, albo nikt inny... – rzucił.

– Dokładnie tak. Jedynym powodem, dla którego jeszcze cię nie aresztowali, jest to, że nie znaleźli ciała. Nie mając ciała, nie mogą sformułować aktu oskarżenia o zabójstwo. Ale prędzej czy później coś wyskoczy, tak zawsze się dzieje.

– Jeżeli jestem skończony, to dlaczego miałbym potrzebować pani? – Nadal zwracał się do Stelli Honer per pani, chcąc zaznaczyć dystans.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, a potem posłała mu uśmiech. Jej głębokie oczy błyszczały w księżycowej poświacie.

– Potrzebujesz mnie, żeby odnieść maksymalne korzyści z tej historii. Mógłbyś wyciągnąć kupę forsy od tych samych mediów, które teraz są wobec ciebie wrogie: dziś jeden twój wywiad jest na wagę złota. A ja chcę go kupić... Oczywiście, oferta zachowa ważność, dopóki będziesz na wolności, bo w więzieniu nie będziesz wart ani grosza.

– Czy to spotkanie zorganizował Levi? Teraz rozumiem, w jakim celu wygłosił dziś rano tę mówkę... – Martini skrzywił się z niesmakiem.

– Twój adwokat jest człowiekiem praktycznym. Jeżeli chcesz zachować nadzieję, że z tego wyjdiesz, będziesz musiał mieć dość pieniędzy, żeby opłacić porządne równoległe śledztwo, zatrudniając biegłych i prywatnych detektywów.

– Tak, już mi o tym mówił.

– Jak myślisz, gdzie znajdziesz te pieniądze? A zastanowiłeś się, co stanie się z twoją rodziną, gdy trafisz do więzienia? Jak sobie poradzą z życiem?

Jej słowa powinny wprawić go we wściekłość, a jednak w tym momencie Martini zaczął się śmiać. Jego reakcja dość mocno zaskoczyła dziennikarkę, lecz on po prostu nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Przepraszam – odezwał się po chwili, próbując zapanować nad sobą. – To dziwne... Wszyscy traktują mnie jak bestię, chociaż nie mają dowodów. Wątpliwości żywi nawet moja żona. Ale coś pani powiem. – Odetchnął głęboko i spoważniał. – Wiem dokładnie, kim jestem. Dlatego nie może być mowy o tym, żeby mnie pani wciągnęła w spekulacje na temat losu jakiejś zaginionej dziewczyny i cierpień przeżywanych przez jej rodzinę tylko po to, żeby mnie uratować lub żeby uratować moją żonę i córkę. Niech pani to powie także mojemu adwokatowi. – Martini odwrócił się, żeby odejść.

– Jest pan idiotą, wie pan o tym? – rzuciła Stella Honer. Ale zamiast odpowiedzi musiała się zadowolić widokiem pleców oddalającego się nauczyciela.

* * *

Tego wieczoru Vogel zjadł lekką kolację w pokoju, a teraz notował coś w swoim czarnym notesie przed pójściem do łóżka. Siedział w szlafroku w fotelu i uśmiechał się do siebie. Był pewien, że ten stary lis Levi zaczął już przestawiać własne pionki na szachownicy.

Gdy dowiedział się o obecności adwokata w mieście, zbytnio się nie zdziwił. Levi był związany z tym wędrownym cyrkiem od tak dawna, że jego pojawienie się w każdej chwili należało przyjąć niemal za coś normalnego. Popisową sztuczką adwokata zawsze było zaskakiwanie wszystkich. Mógł wcielić się w iluzjonistę wprawiającego tłum widzów w zdumienie albo w klauna, który pojawia się na scenie, żeby zabawić publiczność, podczas gdy lew rozszarpuje swego poskramiacza. W tym przypadku z pewnością Levi powierzył Stelli zadanie przekonania nauczyciela, żeby sam oddał się na pożarcie dzikim bestiom.

Martini powinien zaakceptować propozycję. Ponieważ koniec końców akceptowali wszyscy. Również Derg na jakiś czas przywdział maskę potwora. Na czas wystarczająco długi, żeby zainkasować trochę pieniędzy, a potem wrócić do głoszenia swej niewinności.

Z punktu widzenia agenta specjalnego sprawy uległyby uproszczeniu, gdyby Martini pojawił się w telewizji. Ten głupek z pewnością zdecydowałby się na szukanie współczucia u publiczności, ale osiągnąłby tylko tyle, że jeszcze bardziej by ją rozwścieczył. A wtedy wszyscy zaczęliby domagać się jego głowy, i to nie tylko zwykli ludzie, ale również szefowie policji, a nawet minister. I prokurator Mayer nie mogłaby już nic zrobić.

Kiedy poczuł wibrowanie komórki, aż go zatkało. Rozpoznał tajemniczego nadawcę, od którego cztery dni wcześniej otrzymał SMS-a po zakończeniu konferencji prasowej.

Muszę z panem porozmawiać. Proszę zadzwonić pod ten numer.

Również tym razem postanowił zignorować wiadomość bez względu na to, kto mógł być jej nadawcą; skasował ją bez chwili zastanowienia. W tej samej

chwili odezwało się pukanie do drzwi. Vogel zadał sobie pytanie, czy te dwa wydarzenia nie są przypadkiem powiązane. Pewien, że ujrzy przed sobą zagadkowego nudziarza, gwałtownie otworzył drzwi.

W progu stał Borghi, który wyglądał na zmęczonego i miał podkrążone oczy. W ręce trzymał teczkę z notebookiem.

– Mogę z panem porozmawiać?

– Nie można odłożyć tego do jutra? – spytał Vogel poirytowanym tonem. – Właśnie zamierzałem się położyć.

– Muszę panu pokazać pewną rzecz i powinien pan to zobaczyć natychmiast – oświadczył młody policjant, poklepując teczkę.

Chwilę potem włączony notebook leżał na łóżku Vogla, a oni dwaj wpatrywali się w ekran.

– Znalazłem to nagranie w szkolnym monitoringu – oznajmił Borghi. – Niech pan popatrzy, co się dzieje...

Obejrzał tę scenę co najmniej dwadzieścia razy, ale dla Vogla była to premiera. Pustym korytarzem szła spokojnie Anna Lou. Po chwili ukazał się Martini, który nadchodził w jej kierunku z przeciwnej strony. Oboje minęli się bardzo blisko siebie i po chwili zniknęli z pola widzenia.

Borghi zatrzymał nagranie.

– Zauważył pan?

– Co miałem zauważyć? – spytał poirytowany Vogel.

– Nawet na siebie nie spojrzeli... Jeśli pan chce, mogę cofnąć i obejrzy pan to jeszcze raz. – Borghi pochylił się, żeby puścić nagranie od nowa, ale przełożony chwycił go za nadgarstek.

– Nie ma potrzeby.

– Jak to nie ma? – Borghi był zaskoczony. – Jednym z głównych punktów oskarżenia jest to, że Anna Lou zna swojego porywacza, pamięta pan? Dlatego miała darzyć go zaufaniem i poszła z nim, dzięki czemu żaden z sąsiadów niczego nie widział ani nie słyszał. Sam pan to powiedział...

Na twarzy Vogla pojawił się uśmiech. Prostoduszność tego chłopaka była doprawdy wzruszająca.

– I to, pańskim zdaniem, ma dowodzić, że Anna Lou nie wiedziała, kim jest Martini?

Borghi zamyślił się na chwilę.

– W rzeczywistości...

– W rzeczywistości mogła doskonale wiedzieć, kim on jest, i nie spojrzeć na niego z powodu nieśmiałości.

Wyjaśnienie to nie zadowoliło Borghiego.

– Zawsze jednak pozostaje pewne ryzyko...

– Dla kogo? Dla nas? Obawia się pan, że jeśli media dowiedzą się o tej

taśmie, diametralnie zmieniają swój stosunek do nauczyciela?

Oczywiście, tak by się nie stało, ale Borghi dopiero teraz pojął istotę rzeczy: że wszystko jest już postanowione. I że jeśli nie dojdzie do jakichś sensacyjnych wydarzeń, media i policja nie zmienią swego zdania na temat Martiniego. Po prostu dlatego, że to by im nie pasowało.

– I z tego powodu zmarnował pan cały dzień? – Ton Vogla pobrzmiwał dobrodusznym upomnieniem. – Podczas gdy pan poświęcał na to długie godziny, ja przesiałem przez sito inne nagrania.

– Jakie nagrania? – spytał osłupiały Borghi.

– Zrobione przez kamery monitoringu na domach sąsiadów państwa Kastnerów.

– Przecież powiedział pan, że one pana nie interesują, ponieważ są skierowane do środka posiadłości, a nie na ulicę. – *Każdy pilnuje własnego ogródka.* W trakcie pierwszej odprawy Vogel użył właśnie takich słów. Co ukrywał przed nim teraz?

Ale agent specjalny nie miał najmniejszego zamiaru dzielić się z nim własnymi odkryciami. Położył mu rękę na ramieniu, żeby odprowadzić go do drzwi.

– Niech pan idzie wypocząć, panie Borghi. I pozwoli mi wykonywać moją robotę.

11 stycznia
Dziewiętnaście dni po zaginięciu

– Nie wyrażam zgody na aresztowanie.

Wygłoszone przez prokurator Mayer słowa zabrzmiały jak kategoryczne postanowienie. Po raz kolejny Vogel ścierał się z uporem tej kobiety.

– Niszczy pani wszystko – próbował ją przekonać. – Aresztowanie Martiniego jest nam potrzebne, bo jeśli go nie będzie, powiedzą, że dręczymy bez powodu niewinnego człowieka.

– A czy tak właśnie nie jest?

Vogel przyniósł jej w prezencie decydującą poszlakę: powiększenia niektórych ujęć z kamer monitoringu sąsiadów Kastnerów. Miał nadzieję, że pokazanie ich prokurator Mayer wystarczy, żeby zmieniła zdanie. Najwyraźniej jednak tak się nie stało.

– Potrzebuję niepodważalnego dowodu. Jak mam to panu powiedzieć jaśniej?

– Dowody są potrzebne do wydania wyroku skazującego, poszlaki do aresztowania – odparł agent specjalny. – Jeżeli zamkniemy go teraz, jest bardzo prawdopodobne, że zdecyduje się na współpracę.

– Chce pan wydusić z niego przyznanie się do winy.

Rozmawiali tak od co najmniej dwudziestu minut, zamknięci w prowizorycznym biurze Vogla, znajdującym się w szkolnej szatni.

– Kiedy Martini uświadomi sobie, że stracił wszystko i nie ma żadnego wyjścia, zacznie mówić, żeby uspokoić swoje sumienie.

Oboje stali między szafkami, ale Mayer cały czas nerwowo stuknęła w posadzkę czubkiem buta na wysokim obcasie.

– Przejrzałam pańską grę, Vogel. Nie jestem idiotką: chce pan przycisnąć mnie do ściany i wydusić ze mnie decyzję, z którą się nie zgadzam. Grozi mi pan ośmieszeniem w oczach opinii publicznej.

– Nie potrzebuję pani grozić, żeby osiągnąć cel, jaki sobie stawiam – odciął się Vogel. – Mam za sobą długie lata służby i doświadczenie. One same wystarczają, żeby nadać wartość moim tezom.

– Jak w przypadku Obcinacza Palców?

Prokurator Mayer celowo wyciągnęła tę sprawę. Vogel zadawał sobie pytanie, dlaczego nie zrobiła tego wcześniej. Uśmiechnął się.

– Nic pani nie wie o sprawie Derga. Sądzi pani, że ją zna, ale nie ma pani o niej żadnego pojęcia.

– Przepraszam, a co w niej jest takiego, żeby trzeba było ją zgłębiać?

Człowiek został wsadzony za kratki na podstawie sprytnie sfabrykowanego oskarżenia. Spędził cztery lata w celi o powierzchni paru metrów, w izolacji od świata. Stracił wszystko, łącznie z ludzkimi uczuciami i zdrowiem. Ryzykował śmierć z powodu udaru. I wszystko to z jakiego powodu? Ponieważ ktoś skierował śledztwo na niewłaściwy tor, podrzucając fałszywy dowód. – Wygłosiła to krótkie przemówienie tonem pogardy. – Kto mnie zapewni, że to nie zdarzy się znowu?

Vogel nie odpowiedział. Zebrał rozłożone na stole zdjęcia, które uważał za swoje karty atutowe, i ruszył do drzwi.

– Pamięta pan przynajmniej dzień, w którym przestał pan być człowiekiem uczciwym?

Słowa Mayer dosięgły go w progu i w tym momencie agent specjalny się zatrzymał. Coś nie pozwalało mu stąd wyjść. Odwrócił się do prokurator z wyzywającą miną.

– Derg został uznany za niewinnego przez sąd, otrzymał nawet sowite odszkodowanie za lata niesłusznego uwięzienia... Ale jeśli to nie on był Obcinaczem Palców, to w takim razie jak to się stało, że po jego aresztowaniu zamachy nagle ustały? – Po czym wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

W sali gimnastycznej zamienionej w centrum dowodzenia powitała go kompletna cisza. Policjanci, którzy bez wątpienia przysłuchiwali się kłótni, wbili w niego spojrzenia, starając się domyślić, czy ich zaangażowanie i trudy ostatnich dwudziestu dni nie okazały się daremne.

Vogel zwrócił się jednak tylko do Borghiego.

– Przyszedł czas na bezpośrednie starcie z Martinim.

* * *

Był słoneczny ranek, jak na styczeń bardzo nietypowy. Nie wyglądał nawet na zimowy. Loris Martini obudził się bardzo wcześnie. A raczej zbudziły go uporczywe myśli, przynosząc mu prezent w postaci konstatacji zamkniętej w prostym przesłaniu.

Nadchodzi ten moment. Niebawem cię aresztują.

Nie zamierzał jednak zmarnować pięknego, słonecznego i dziwnie ciepłego dnia. Przrzekł coś Clei i zamierzał dotrzymać słowa. Zabrał więc skrzynkę z narzędziami i wyszedł do ogrodu, gdzie reporterzy i gapie nie mogli zakłócić mu spokoju. Tam, pod osłoną wysokiego żywopłotu, zaczął przerabiać rozpadającą się altankę w szklarnię.

Wbijając gwoździe i z zacięciem machając młotkiem, czuł muśnięcia słońca na karku, pot ściekający powoli drobnymi kropelkami z czoła i zmęczenie, które hartowało mu mięśnie, a w gruncie rzeczy również serce. Odżywał. Ale od czasu do czasu nawiedzały go smutne myśli. Panująca tu cisza pozwoliła mu przypomnieć sobie, dlaczego dotarł aż do tego miejsca i z jakiego powodu utracił

wszystko.

To się zaczęło przed Avechot. Górskie miasteczko wydawało się najodpowiedniejszym miejscem, żeby zacząć od nowa, a stało się tylko epilogiem tamtej historii.

Tamta sprawa... Wiedziała o niej także Stella Honer.

Martini zadał sobie pytanie, w jaki sposób zdobyła tę informację. Umknęła mu najprostsza odpowiedź. Coś takiego przydarza się często naiwnym mężczyznom. Zwłaszcza tym, którzy pozwalają innemu ukraść sobie żonę i nawet tego nie zauważają.

To były kochanek Clei sprzedał jej tę wiadomość. Banalnie proste.

Pomyśleć tylko, że aż do tej chwili darzył tego gościa niemal szacunkiem. Być może dlatego, że to Clea go wybrała, a on miał zaufanie do wyborów żony. Zdawał sobie sprawę, że to absurd. Ale był to również sposób, żeby podnieść jej wartość w jego oczach, ponieważ nie mógł przecież przyznać, że Clea jest tak powierzchowna.

Zawsze staramy się ratować innych, żeby uratować samych siebie, pomyślał. I być może odgrywanie roli wyrozumiałego męża pomagało mu uniknąć konieczności zmierzenia się oko w oko z prawdą.

Jeśli Clea go zdradziła, stało się to również z jego winy.

W ten dawno miniony rano w pierwszych dniach czerwca głupi żart jednego z uczniów zadecydował o wcześniejszym zakończeniu lekcji. Anonimowy telefon z ostrzeżeniem, że w szkole podłożono bombę, był typowy dla końca roku szkolnego, kiedy to uczniowie starali się uniknąć ostatniego odpytywania, żeby nie pogorszyć sobie ocen na świadectwie. Chociaż nikt w to nie wierzył, prawo narzucało obowiązek uruchomienia procedur bezpieczeństwa. Tak więc wszyscy wcześniej wrócili do domu.

Gdy Martini przekroczył próg mieszkania, powitała go zaskakująca cisza. Kiedy wracał z pracy, zazwyczaj Clea i Monica były już w domu i można było domyślić się tego dzięki włączonemu telewizorowi albo radiu, lub po prostu po unoszących się zapachach. Po zapachu konwalii, jeśli idzie o Cleę, i truskawkowej gumy do żucia, który roznosiła Monica. Tego dnia na Martiniego nie czekało nic z tych rzeczy.

W czasie jazdy autobusem do domu rozmyślał, na co poświęcić godziny, które otrzymał w prezencie. Powinien przygotować testy na egzaminy końcowe, i właśnie tym zamierzał się zająć. Ale znalazłszy się w mieszkaniu, odkrył, że nie ma na to ochoty. Podszedł do lodówki i przygotowawszy sobie kanapkę z salami i serem, usiadł w fotelu i włączył telewizor, nastawiając go cicho. Na jednym z kanałów odtwarzano stary mecz koszykówki i wydało mu się czymś niewiarygodnym, że może poświęcić trochę czasu tylko dla siebie.

Nie pamiętał, kiedy dokładnie to się stało. Czy dokończył jedzenia kanapki?

Jaki był wynik meczu w tym momencie? Ale wciąż jeszcze przypominał sobie odgłos, który wkradł się podstępnie między głos sprawozdawcy telewizyjnego i dudnienie kozłującej piłki.

Był podobny do trzepotu skrzydeł lub czegoś w rodzaju szumu.

W pierwszej chwili odwrócił tylko głowę, żeby ustalić, skąd dobiega, lecz po chwili instynkt podpowiedział mu, żeby się podnieść. Dźwięk nie powtórzył się więcej, a jednak on ruszył w kierunku korytarza. Czworo zamkniętych drzwi, po dwoje po obu stronach. Ale on dziwnym trafem wybrał te do sypialni. Otworzył je cicho i zajrzał do środka.

Nie zauważyli go. Tak jak on wcześniej nie zauważył ich obecności. W małym mieszkaniu życie jego lokatorów ustawicznie ocierało się o siebie przez całe minuty, choć nie byli tego świadomi. I mogłoby się to tak ciągnąć dalej, gdyby coś nie dostarczyło okazji do tego zdarzenia.

Clea była naga, tylko jej nogi i biodra okrywało prześcieradło. Zamknęła oczy z wyrazem twarzy dobrze mu znanym. Martini, przekonany, że rozpoznaje samego siebie, skupił się na mężczyźnie, który leżał pod nią. A jednak był to ktoś inny. I ten widok nie miał z nim nic wspólnego.

Nie pamiętał nic więcej.

Clea powiedziała mu później, że usłyszała trzaśnięcie drzwiami. I że dopiero wtedy zrozumiała, co wydarzyło się przed chwilą.

Gdy po wielu godzinach wrócił do domu, miała na sobie długi biały sweter i za duże dresowe spodnie. Być może chciała ukryć swoje ciało, a wraz z nim swój grzech. Siedziała w fotelu, w którym on siedział rano, oglądając mecz. Kołysała się z kolanami uniesionymi do piersi. Wlepiała w niego nieobecne spojrzenie. Była rozczochrana i blada. Nawet nie próbowała się tłumaczyć.

– Wyjeżdżamy stąd – powiedziała. – Natychmiast, jutro.

Natomiast on, który w swej pielgrzymce bez celu po całym mieście szukał czegoś, co mógłby jej powiedzieć, ale nie znalazł odpowiednich słów, wymówił tylko jedno słowo:

– Dobrze.

Od tej chwili nie rozmawiali więcej o tej sprawie. Przeniesienie się do Avechot nastąpiło parę tygodni później. Ona zrezygnowała z pracy, którą bardzo lubiła, i z całej reszty tylko po to, żeby uzyskać milczące przebaczenie. I Martini zrozumiał wówczas, jak bardzo przeraziła ją myśl, że go utraci. Gdyby tylko potrafiła wyobrazić sobie, że on był przerażony dużo bardziej niż ona...

Najgorsze jednak było odkrycie, kim jest mężczyzna, z którym żona go zdradziła. Był jak ona adwokatem, miał możliwości i pieniądze, które pozwoliłyby jej na ucieczkę od nędznego życia, jakie oferował jej mąż.

Martini musiał przyjąć do wiadomości wstrząsającą prawdę. Że Clea zasługuje na coś lepszego. Koniec końców uciekli w góry, żeby więcej o tym nie

myśleć. Ale gorzkie ślady po zdradzie pozostały i powoli zżerały resztki miłości. Wyczuwał to. I zdawał sobie sprawę, że jest w tej sytuacji całkowicie bezradny.

Dlatego sobie przyrzekł. Nigdy więcej. Teraz, pod nietypowym słońcem styczniowego poranka, jeszcze raz wrócił myślą do tamtej sprawy, mając nadzieję, że robi to naprawdę po raz ostatni. Gdy w domu zadzwieczał telefon, rzucił młotek na wysuszoną mrozem trawę i poszedł do kuchni, żeby odebrać.

– Zgoda, przyjdę – powiedział tylko.

Potem otworzył lodówkę. W środku było tylko pomarszczone jabłko i czteropak piwa. Wyjął butelkę i wrócił do ogrodu. Otworzył ją śrubokrętem. Potem usiadł na zwiędłej trawie, opierając plecy o jedną z belek altanki. Zamknął oczy i zaczął spokojnie sączyć napój.

Opróżniwszy butelkę, utkwiał wzrok w dłoni, owiniętej ciągle od dnia zaginięcia Anny Lou Kastner. Odwinął bandaż i sprawdził ranę. Prawie się zagoiła.

Sięgnął znowu po śrubokręt, którym otwierał piwo, i zrobił to samo z przecięciem: otworzył je. Zagłębił czubek w ciele i rozciągnął krawędzie rany. Z jego ust nie dobył się żaden jęk. W przeszłości zachował się jak tchórz, więc miał świadomość, że zasłużył sobie na ten ból.

Krew trysnęła obficie, plamiąc mu ubranie i powoli spływając na gołą ziemię.

* * *

Ciepły słoneczny dzień był już tylko wspomnieniem. Wieczorem gęste i ciężkie chmury zawisły nad doliną, przynosząc obfity deszcz.

W oknie baru przy drodze krajowej wisiał wciąż migocący napis, który życzył Wesołych Świąt przejeżdżającym tędy kierowcom. Boże Narodzenie i sylwester minęły już dawno, ale nikt nie znalazł dość czasu, żeby go zdjąć. Ostatnio było zbyt wiele pracy.

O dziesiątej tego wieczoru lokal był jednak pusty.

Agent specjalny poprosił starego właściciela o zarezerwowanie mu sali na specjalne spotkanie. Choć Vogel nie twierdził, że nagły wzrost liczby klientów w ostatnich tygodniach to jego zasługa, staruszek sam doszedł do wniosku, że winien jest mu wdzięczność.

Oszklone drzwi wejściowe otworzyły się, wywołując reakcję brzęczyka. Martini tupnął parę razy o podłogę, żeby strząsnąć z kurtki krople deszczu, a potem zdjął czapkę z daszkiem i rozejrzał się po wnętrzu.

Było ciemno, paliła się tylko lampa oświetlająca jeden z pooddzielanych przepierzeniami stołów stojących przy ścianie. Vogel już tam siedział i czekał na niego. Martini ruszył w jego stronę; jego zmoczone clarki skrzypiały w zetknięciu z linoleum na podłodze. Usiadł po drugiej stronie stołu z niebieską okleiną, dokładnie naprzeciwko agenta specjalnego.

Vogel był jak zawsze elegancki, choć nie zdjął kaszmirowego płaszcza. Bębnił palcami w leżącą przed nim miękką biurową teczkę.

Spotykali się po raz pierwszy.

– Wierzy pan w przysłowia? – rozpoczął agent specjalny, nawet się nie przywitawszy.

– To znaczy? – spytał Martini.

– Zawsze fascynował mnie ten elementarny sposób na odróżnianie tego, co słuszne, od tego, co błędne... Natomiast przepisy prawa są zawsze takie skomplikowane. Powinny być spisane tak jak przysłowia.

– Uważa pan, że dobro i zło to proste sprawy?

– Nie, ale pocieszam się myślą, że ktoś przyjrzy się im w ten sposób.

– Myślę, że prawda nigdy nie jest prosta.

– Tak, być może – przytaknął Vogel.

Martini oparł obie ręce na stole. Był spokojny.

– Z jakiego powodu chciał pan, żebyśmy się tu spotkali?

– Żeby przynajmniej raz nie było kamer ani mikrofonów. Żadnego naprzykrzającego się reportera. Żadnych sztuczek. Tylko ja i pan... Chcę zaoferować panu możliwość przekonania mnie, że popełniłem błąd i że wmieszanie pana w tę sprawę jest tylko rezultatem dużego nieporozumienia.

Martini starał się okazać pewność siebie.

– Proszę bardzo – odparł. – Od czego zaczniemy?

– Nie ma pan alibi na dzień zaginięcia dziewczyny, a ponadto zranił się pan w rękę. – Vogel wskazał poplamiony krwią bandaż. Widzę, że rana jeszcze się nie zagoiła, być może wymaga szycia.

– Podobnie uważa moja żona – rzucił Martini, żeby dać mu do zrozumienia, że ma gdzieś jego fałszywą troskliwość. – To był wypadek – oświadczył po raz kolejny. – Poślizgnąłem się i odruchowo złapałem gałąź, żeby nie upaść.

Vogel spuścił wzrok na teczkę, ale jej nie otworzył.

– To dziwne, bo lekarz sądowy twierdzi, że krawędzie rany są gładkie... jakby zrobiono ją jakimś ostrzem.

Martini nie odpowiedział.

Agent specjalny nie zatrzymał się jednak dłużej przy tym szczególe.

– Te filmy Mattii, na których pojawia się pański samochód... Powie mi pan teraz, że to tylko przypadek, a w każdym razie, że nie widać na nich kierowcy. W gruncie rzeczy ta terenówka była do dyspozycji całej rodziny... À propos, czy pańska żona ma prawo jazdy?

– To ja nią jeździłem, niech pan zostawi w spokoju moją żonę. – Postępował wbrew wskazówkom Leviego, ale nie zwracał na to uwagi. Nie chciał, żeby wciągnięto w to Cleę, nawet gdyby miało to poprawić jego położenie.

– Zbadaliśmy wnętrze samochodu – ciągnął Vogel. – Nie znaleziono w nim

materiału zgodnego z DNA Anny Lou, ale, co nas bardzo zaskoczyło, znajdowała się w nim kocia sierść.

– My nie mamy kota – próbował bronić się nieco naiwnie Martini.

Agent specjalny pochylił się w jego stronę i odezwał się słodziutkim głosem:

– A co by pan powiedział, gdybyśmy właśnie dzięki temu zwierzątku zdołali potwierdzić pańską obecność w miejscu zaginięcia dziewczyny?

Martini nie bardzo rozumiał sens tych słów, ale w jego oczach można było dostrzec ciekawość połączoną ze strachem.

Vogel westchnął.

– Jest jedna rzecz, która uderzyła mnie już na samym początku... Dlaczego Anna Lou nie próbowała przeszkodzić uprowadzeniu? Dlaczego nie krzyczała? Nikt z sąsiedztwa niczego nie słyszał. Doszedłem do wniosku, że dziewczyna poszła za porywaczem z własnej woli... Ponieważ miała do niego zaufanie.

– W takim razie dobrze go znała, a to mnie całkowicie wyklucza. Choć uczęszczała do mojej szkoły, nie znajdziecie nikogo, kto byłby gotów zeznać, że widział nas gdzieś razem lub nawet rozmawiających ze sobą.

– Rzeczywiście – przyznał spokojnie Vogel. – Anna Lou nie znała porywacza... znała jego kota. – Vogel otworzył w końcu tekturową teczkę i podał mu powiększenie ujęcia, które tego samego ranka pokazał prokurator Mayer, żeby ją przekonać o konieczności aresztowania Martiniego. – Przeanalizowaliśmy nagrania monitoringu posesji sąsiadujących z domem dziewczyny. Niestety, żadna z kamer nie była skierowana na ulicę. Jak to się mówi? Każdy pilnuje swojego ogródka. Ale okazało się, że w dniach poprzedzających zaginięcie po okolicy wałęsał się bezpański kot.

Martini przyjrzał się zdjęciu. Widać było na nim dużego kota w rudo-brązowe pręgi przechodzącego przez starannie wypielegnowany trawnik.

Vogel pokazał coś palcem wskazującym.

– Widzi pan, co on ma na szyi?

Nauczyciel przyjrzał się kotu. Zobaczył bransoletkę z kolorowych paciorków.

Agent specjalny zsunął z nadgarstka bransoletkę podarowaną mu przez Marię Kastner i położył ją obok zdjęcia.

– Takie bransoletki robiła Anna Lou i dawała w prezencie osobom, które lubiła.

Martini wyglądał, jakby go zatkało, niezdolny do żadnej reakcji.

Vogel doszedł do wniosku, że nadszedł moment zadania decydującego ciosu.

– Porywacz użył kota jako przynęty. Zaniósł go tam kilka dni wcześniej, pozwalając mu pokręcić się swobodnie po dzielnicy, pewien, że Anna Lou, która kocha koty, ale nie mogła mieć własnego, prędzej czy później go zauważy... Ale ona nie tylko go zauważyła, wręcz go adoptowała, wkładając mu na szyję tę

bransoletkę. Dlatego od dzisiaj, drogi profesorze, nie będę już polował na pana. Jeżeli uda mi się znaleźć tego kota, będzie to pański koniec.

Minęło kilka chwil w milczeniu. Vogel wiedział, że przygwoździł Martiniego. Przypatrywał się mu, oczekując jakiejś reakcji, czegoś, co by mu odpowiedziało, że się nie myli. Ale nauczyciel nie odezwał się ani słowem. Wstał i spokojnie skierował do wyjścia, lecz przed przekroczeniem progu odwrócił się jeszcze w kierunku agenta specjalnego.

– À propos przysłów – odezwał się spokojnie. – Dawno temu ktoś powiedział, że najgłupszym grzechem diabła jest próżność. – Po czym wyszedł z lokalu, włączając brzęczyk na drzwiach.

Vogel pozostał na miejscu, napawając się spokojem tej chwili. Był przekonany, że zdobył ważny punkt w tej rozgrywce. Prokurator Mayer ciągle jednak stanowiła pewien problem. Musiał znaleźć sposób, żeby ją unieszkodliwić.

Najgłupszym grzechem diabła jest próżność.

Kto wie, co ten Martini chciał przez to powiedzieć. Można było te słowa zinterpretować jako obelgę. Ale Vogel nie był osobą, która się obraża. Dobrze wiedział, że czasami otrzymuje się ciosy, ale bardziej liczy się to, że się je oddaje. I że godziny nauczyciela są policzone.

Doszedł do wniosku, że przyszedł czas, żeby stąd wyjść. Ale podczas porządkowania zawartości teczek znieruchomiał nagle. Zauważył coś na stole. Pochylił się, żeby sprawdzić, co to takiego.

Na niebieskim blacie, w miejscu, w którym nauczyciel oparł obandażowaną dłoń, widać było małą plamkę świeżej krwi.

16 stycznia
Dwadzieścia cztery dni po zaginięciu

Mały Leo Blanc skończył pięć lat dokładnie tydzień przed swoim zaginięciem.

W tamtym okresie nie istniały wymyślne narzędzia śledcze, jakie dziś organy ścigania mają do dyspozycji. Jak to się wówczas mówiło, zadowalano się przeczesywaniem terenu. Sprawę powierzano doświadczonym policjantom znającym jak własną kieszeń miejsca i ludzi w swojej okolicy. Funkcjonariusze ci wiedzieli, skąd czerpać informacje, i nie potrzebowali zespołów technicznych ani DNA. Była to ciężka, codzienna praca, złożona z drobnych kroczków i skromnych wyników, które po zsumowaniu stanowiły kościec śledztwa. Przede wszystkim należało wykazać się cierpliwością.

Ta ostatnia cecha straciła na znaczeniu wraz z pojawieniem się mediów. Widzowie domagali się błyskawicznych odpowiedzi, inaczej zmieniali kanał, tak więc sieci telewizyjne wywierały presję na śledczych, czasami zmuszając ich do pośpiechu. W takich przypadkach łatwo było o jakiś błąd. Liczyło się jednak to, żeby ten telewizyjny show mógł trwać nieprzerwanie.

Leo Blanc, ze swą tragiczną historią oraz krótkim życiem, mógłby nieświadomie stanowić ważne przejście od tego, co było wcześniej, do sytuacji, jaka nastąpiła później.

Pewnego ranka jego matka, Laura Blanc, dwudziestopięcioletnia wdowa, która straciła towarzysza życia i zarazem ojca swego dziecka w wypadku drogowym, zjawiła się w komisariacie policji małego miasteczka na równinie. Była zrozpaczona. Utrzymywała, że ktoś wszedł do jej domu, żeby porwać małego Leonarda.

W tamtym czasie Vogel był zwykłym funkcjonariuszem, tuż po dyplomie w akademii policyjnej. Dlatego powierzano mu proste i nudne zadania, takie jak archiwizowanie raportów albo spisywanie na maszynie zgłoszeń pokrzywdzonych. Poza tym musiał tylko przyglądać się pracy starszych funkcjonariuszy. I oczywiście się od nich uczyć. Ale to właśnie on odebrał zeznanie Laury Blanc.

Kobieta twierdziła, że rano zauważyła brak kartonu z mlekiem kupionym poprzedniego wieczoru w małym markecie; przez nieuwagę zapomniała go zabrać z samochodu. Wyszła więc, żeby go przynieść, zanim syn się obudzi i zacznie domagać się śniadania. Zwykle parkowała na ulicy w odległości około pięćdziesięciu metrów od domu. Być może przez roztargnienie lub może dlatego, że wszyscy mieszkańcy miasteczka się znali i przeważnie nawet w nocy nie zamykali mieszkań na klucz, zostawiła drzwi tylko przymknięte. I teraz nie mogła

sobie tego darować.

Jak zwykle w takich przypadkach, Vogel natychmiast przekazał doniesienie funkcjonariuszowi, przy którym odbywał staż. Obaj udali się do mieszkania kobiety i choć nie znaleźli śladów włamania, stwierdzili, że pokój małego Leo jest wywrócony do góry nogami. Wyciągnęli wniosek, że dziecko obudziło się i przestraszone obecnością obcego człowieka próbowało opierać się zamiarom porywacza. Ale ten w końcu wziął nad nim górę.

Laura Blanc była zszokowana, mimo to zdołała w obecności policji odtworzyć krok po kroku dokładny przebieg zdarzeń. Od chwili, gdy wyszła z domu, do powrotu minęło zaledwie osiem minut, i w czasie tej krótkiej nieobecności zamieniła parę słów z sąsiadką. Tych kilka chwil wystarczyło jednak porywaczowi, żeby wejść do domu i zabrać dziecko.

Natychmiast rozpoczęło się polowanie na sprawcę. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby w tych dniach w okolicy nie zjawiała się ekipa telewizyjna, żeby zrealizować reportaż o ptakach wędrownych, które gromadnie zamieszkiwały pobliskie bagna. Pomysł przyszedł do głowy pewnemu porucznikowi. Poproszono dziennikarzy, żeby zarejestrowali apel matki do wszystkich, którzy mogli mieć jakieś informacje o jej dziecku.

Po nadaniu wiadomości natychmiast wybuchła wielka wrzawa.

Ludzie zaczęli zasypywać policję telefonami. Wielu było pewnych, że widziało małego Leo; podawali dokładne dane o miejscach i okolicznościach. Znalazł się ktoś, kto twierdził, że zauważył go w towarzystwie mężczyzny, który kupował mu lody, inny widział ich obu w pociągu, zgłosił się nawet ktoś, kto wymieniał imiona i nazwiska. Większość tych sygnałów okazała się wyssana z palca, mimo to policja nie była w stanie zweryfikować wszystkich. Masa informacji, jaka zwała się na głowę policjantom, w rzeczywistości uniemożliwiła prowadzenie śledztwa. Najbardziej zaskakująca była liczba osób, które dzwoniły tylko po to, żeby dowiedzieć się czegoś o przebiegu poszukiwań. Telefony tego rodzaju docierały masowo do stacji telewizyjnych, które postanowiły „pokryć wiadomość”, jak to się określało w żargonie dziennikarzy, wysyłając swoje ekipy i reporterów na miejsce.

Vogel zauważył, że wszystkie te wydarzenia zaszły w bardzo krótkim czasie. Będąc młodym i niedoświadczonym policjantem, nie od razu zrozumiał istotę rewolucji, jaka działała się na jego oczach. Wszystko to wydało mu się jedynie bardzo nierealne. Nawet zmanipulowana przez media prawda wydawała się odmienna od rzeczywistości. Laura Blanc stała się prędko smutną heroiną. Vogel znał ją jako skromną, niezbyt ładną młodą kobietę, ale nagle odmienił się także jej wygląd. Dzięki makijażowi i odpowiedniemu oświetleniu zaczęła otrzymywać listy od adoratorów. Wszystkie matki z miasteczka uznały jej synka za swoje wymaginowane dziecko. Zaledwie pięcioletni chłopiec stał się ikoną, ludzie

trzymali w domach jego zdjęcia, a wielu rodziców nadało jego imię swoim nowo narodzonym bobasom.

Gdy rozwiązanie tajemnicy wydawało się już jedynie mirażem, po nie wiadomo którym przeszukaniu w domu Laury Blanc, nagle pojawił się odcisk palca. Potrzeba było dwóch tygodni na przejrzanie archiwów w poszukiwaniu jego właściciela. W końcu go znaleziono.

Mężczyzna nazywał się Thomas Berninsky. Okazał się czterdziestoletnim pomocnikiem murarskim, którego już wcześniej oskarżano o czyny lubieżne z dziećmi, a w tym okresie pracował w firmie budującej w sąsiedztwie magazynu.

Polowanie na Berninsky'ego trwało bardzo krótko. Mężczyzna został aresztowany, a wśród jego rzeczy znaleziono zakrwawioną piżamkę małego Leo. Pedofil i morderca przyznał, że od dawna namierzał to dziecko, i zaprowadził śledczych na nieużywane wysypisko śmieci, gdzie zakopał małe ciało.

Odkrycie tak makabrycznej śmierci ofiary wstrząsnęło opinią publiczną. Ale parę osób z kierownictwa policji i mediów wyczuło, że coś się nagle zmieniło i że nie można już się cofnąć.

Zaczęła się nowa era.

Wymiar sprawiedliwości przestał być sprawą sądów, ale przeszedł na własność wszystkich, bez wyjątku. W tym nowym spojrzeniu na sprawy informacja zaczęła być źródłem dochodów, innymi słowy – zamieniła się w złoto.

Biznes ten rozpoczął swój żywot od śmierci biednego, niewinnego dziecka.

Vogel, młody policjant i idealista, nie wyobrażał sobie jeszcze, że stanie się trybikiem w tym perwersyjnym mechanizmie i oprze swoją świetną karierę na nieszczęściach innych. Ale już w tamtym okresie doszedł do zaskakującego wniosku... Laura Blanc opowiadała, że wyszła z domu, żeby zabrać z samochodu mleko kupione poprzedniego wieczoru. Jej mieszkanie było przetrząsane dziesiątki razy podczas policyjnych przeszukań, dopóki nie znaleziono odcisku palca Berninsky'ego.

W takim razie dlaczego nikt nie natknął się nigdy na ten karton z mlekiem?

W pełni dojrzały Vogel, mający za sobą lata doświadczeń, wciąż jeszcze zadawał sobie to pytanie. I ciągle możliwa odpowiedź przyprawiała go o dreszcz przerażenia. Laura Blanc prędko rozpoczęła nowe życie z mężczyzną, którego znała jeszcze przed tymi wypadkami, a który być może nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za dziecko innego mężczyzny. Hipotezę, że kobieta już jakiś czas wcześniej wyczuła intencje niepodejrzewającego podstępny Berninsky'ego i wręcz ułatwiła mu popełnienie zbrodni, byłoby trudno sprzedać mediom. W każdym razie Vogel był pewien, że Laura Blanc celowo oddaliła się z domu. Miał jednak świadomość, że istnieją tajemnice, które muszą nimi pozostać. Dlatego nigdy nie podzielił się z nikim swoim podejrzeniem. Zastanawiał się jednak nad tym od nowa za każdym razem, gdy dochodziło do śledztwa w jakiejś wyjątkowo

głośnej sprawie.

I właśnie tego ranka o świcie, gdy jechał służbową limuzyną obok Borghiego, przypomniał sobie przypadek Leo. Otrzymał wiadomość, która skłoniła go do zabrania młodego funkcjonariusza z hotelu w wielkim pośpiechu.

Prawdopodobnie nurkowie wydobyli z jakiegoś kanału ściekowego kolorowy plecak Anny Lou Kastner.

* * *

Czasami dom przyprawiał go o klaustrofobię i wtedy czuł, że musi z niego uciec. Martini świetnie radził sobie z wyprowadzaniem w pole dziennikarzy koczujących przed domem. Na przykład domyślił się, że godziny od piątej do siódmej rano, kiedy ekipy przygotowują się do pierwszych wydań swoich programów informacyjnych, są najlepsze, żeby wymknąć się cichaczem tylnym wyjściem.

Aby zostawić Avechot za plecami, zagłębiał się w sieć „bezpiecznych” uliczek. Potem zapuszczał się w zagajniki, samotnie kontemplując naturę, przekonany, że niebawem utraci przywilej wolności. Od spotkania z agentem specjalnym Voglem minęło pięć dni. Wyobrażał go sobie oddającego się polowaniu na kota w rudo-brązowe pręgi, co stawiało go w zdecydowanie śmiesznej sytuacji. Prawda polegała na tym, że nie bał się już tego, co jeszcze mogło mu się przydarzyć. Mimo że jego zaniedbany wygląd mówił zupełnie co innego, Loris Martini wciąż nie tracił ducha. Długa potargana broda i woń niemytego ciała stały się już czymś w rodzaju pancerza, dzięki któremu miał złudną nadzieję utrzymywać ludzi z dala od siebie. Clea miała by wiele uwag; była zawsze czujna i nieustannie upominała go co do jego wyglądu. Działo się tak od dnia, w którym włożył w uniwersyteckim kampusie granatowy garnitur i śmieszna muszkę, żeby zaprosić ją na kolację. Jego żona wysoko ceniła wygląd zewnętrzny i prezencję.

Martini odczuwał brak Clei i Moniki, ale zdawał sobie sprawę, że musi zachować siły również dla nich. Nie miał z nimi żadnego kontaktu od ich wyjazdu, nawet telefonicznego. Prawdę mówiąc, on też nie próbował do nich dzwonić. Chciał je chronić. Chronić przed samym sobą.

Poranna mgła sphywała powoli z liści i sprawiało mu przyjemność muskać je ręką i czuć świeżą chłodną wilgoć na wnętrzu dłoni. Krocząc przed siebie, rozkładał ręce na boki i zamykał oczy, aby cieszyć się tymi okruciami szczęścia. Potem oddychał pełną piersią, wciągając do płuc powietrze przesycone zapachami. Jego umysł wypełniał się zielenią, podczas gdy noc zaczynała już usuwać się na bok, żeby przywitać dzień. Leśne zwierzęta wychodziły ze swoich kryjówek, ptaki śpiewały zadowolone, że wyszły z mroku.

Gdy elektroniczny zegarek, który miał na nadgarstku, zaczął wydawać

krótkie, rytmiczne dźwięki, Martini wiedział, że minęły dwie godziny wolności od mediów i nadszedł czas powrotu. Kiedy tego dnia wracał do domu, na drodze prowadzącej do Avechot zauważył postać podążającą w jego stronę. Choć szła po drugiej stronie jezdni, wolałby uniknąć spotkania, ale nie było ścieżki, w którą mógłby skręcić; ze wszystkich stron otaczały go pola. Był zmuszony iść przed siebie, lecz opuścił wzrok i mocniej naciągnął czapkę na głowę, tak że daszek zasłaniał mu większą część twarzy. Trzymał ręce w kieszeniach i z lekko pochylonymi plecami podążał przed siebie, starając się wiernie trzymać linii prostej. Ale pokusa, żeby zerknąć na twarz tajemniczego pieszego, wzięła w nim górę. Gdy zorientował się, kto to jest, aż go zatkało.

Bruno Kastner rozpoznał go kilka sekund później. On również poczuł się niepewnie; zwolnił kroku.

Obaj byli o włos od zatrzymania się, ale wyglądało to tak, jakby czekali, aż zrobi to ten drugi. Ojciec zaginionej dziewczyny miał nieodgadnioną, ale spokojną minę. Martini nie myślał o jego prawdopodobnej reakcji, o tym, jak mógłby się zachować na widok domniemanego potwora, który porwał mu córkę. Co dziwne, pomyślał o tym, co sam by zrobił na miejscu tamtego. I to go przeraziło.

Ich kroki na asfalcie zły się, stukanie jednych ginęło w odgłosach tych drugich. Pozostały do przebycia dystans zdawał się nie kończyć. Gdy w końcu się zrównali, ich ramiona dzieliło zaledwie parę metrów. Ale żaden nie spojrział na drugiego. Martini zatrzymał się jako pierwszy, spodziewając się jakiejś reakcji.

Ojciec Anny Lou nie przystanął jednak. Przeciwnie, przyspieszył nieco kroku i znikł mu z oczu.

Martini nie był w stanie się poruszyć. Czuł tylko bicie serca, które waliło mu w piersi. Nadal wyczuwał obecność Bruno Kastnera za plecami. Przez chwilę pragnął nawet, żeby tamten zawrócił i napadł na niego. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Kiedy się odwrócił, wysoki, potężny mężczyzna był już tylko dalekim punkcikiem na krawędzi lasu.

Martini wiedział, że nie zapomni tego przeżycia. I w tym momencie podjął decyzję.

* * *

Mały kolorowy plecak Anny Lou Kastner leżał na stole sekcyjnym w małej kostnicy w Avechot. Umieszczono go tu wobec braku zwłok, ale Vogłowi wydawało się, że i tak widzi piegowatą dziewczynę z rudymi włosami. Wyprostowaną, nagą, zimną i nieruchomą w świetle mocnej lampy oświetlającej ją od góry, podczas gdy cała reszta tonęła w półmroku.

Czasami zdarzają się szczęśliwe zdarzenia, rozmyślał agent specjalny. Ktokolwiek wrzucił ten plecak do kanału ściekowego, zadbał przedtem, żeby wyjąć z niego wszystkie rzeczy dziewczyny, a potem wypełnić ciężkimi kamieniami. Ale

to nie wystarczyło. Przezorność sprawcy nabrała znaczenia decydującego dowodu. Teraz istnienie potwora nie było już tylko śledczą hipotezą. Stało się faktem.

W tym momencie plecak zastępował Annę Lou. Wyglądało to tak, jakby dziewczyna otworzyła oczy i odwróciła głowę w kierunku Vogla, który przebywał tu samotnie od co najmniej pół godziny, zastanawiając się nad możliwymi implikacjami wynikającymi z tego znaleziska. Na jej czoło opadł pukiel rudych włosów i jej usta poruszyły się, bezgłośnie wymawiając zdanie. Przesłanie skierowane wyłącznie do agenta specjalnego.

Ciągle tu jestem.

Vogel wrócił myślą do swojej pierwszej wizyty w domu Kastnerów, w dzień Bożego Narodzenia. Przypomniał sobie ubraną choinkę z lampkami, które, według matki dziewczyny, miały się palić aż do powrotu córki do domu – niczym latarnia morska w mrokach nocy. Przypomniał sobie obwiązaną czerwoną kokardką paczuszkę z prezentem, która czekała na rozpakowanie. Teraz ta paczuszka miała się znaleźć w białej trumnie.

– Nigdy cię nie odnajdziemy – powiedział cichym głosem. I natychmiast to przekonanie głęboko się w nim zakorzeniło.

Najgłupszym grzechem diabła jest próżność.

Dlatego nadszedł moment, żeby podjąć działania. I nie dopuścić do tego, żeby zdarzyło się to znowu.

* * *

Okolo dziewiątej rano Loris Martini wszedł pod prysznic. Ciepła woda usunęła nagromadzone zmęczenie. Niedługo potem, stojąc nago przed lustrem, spojrzał na odbicie swej twarzy, którego skrupulatnie unikał w ostatnich dniach. I zaczął się golić.

Stanąwszy przed otwartą szafą, wybrał spośród niewielu ubrań, jakie posiadał, to, które najlepiej reprezentowało stan jego ducha. Welwetową beżową marynarkę, ciemne sztruksowe spodnie i koszulę w niebiesko-brązową kratkę, do której zamierzał dodać krawat w kolorze sinoróżowym. Kiedy dokończył wiązania sznurowadeł w clarkach, wciągnął kurtkę i włożył na ramię nylonową torbę. A potem wyszedł z domu.

Widząc, że pojawia się na progu, kamerzyści i reporterzy popadli w popłoch. Obiektywy przeniosły się natychmiast na niego, choć on nie zwrócił na nie uwagi. Ruszył alejką w stronę ulicy, minął po drodze barierki i spokojnie poszedł dalej ulicami Avechot.

Przeszedł wzdłuż głównej ulicy, podczas gdy ludzie zatrzymywali się, nie wierząc własnym oczom, i wskazywali go palcami. Klienci wychodzili ze sklepów, żeby nie stracić nic z tego widoku. Nikt się jednak nie odzywał ani nie podejmował żadnych działań. Martini unikał spojrzeń przechodniów, ale czuł je na sobie.

Gdy dotarł przed budynek szkolny, za jego plecami zgromadził się nieduży tłumek. Stwierdził, że oprócz sali gimnastycznej zarekwirowanej na centrum operacyjne policji, wszystko pozostało bez zmian.

Wszedł na schody prowadzące do wejścia, pewien, że stojący za nim, gotowi go rozszarpać ludzie zatrzymają się przed tą granicą. Tak też się stało. Znalazłszy się w środku, usłyszał znajomy dźwięk dzwonka. Według planu lekcji, o dziesiątej była literatura. Skierował się więc do swojej klasy, podczas gdy koledzy nauczyciele i uczniowie stojący na korytarzu przyglądali się, jak defiluje przed nimi.

* * *

Między ławkami panowało zamieszanie typowe dla końca każdej przerwy. Niebawem miał się zjawić wyznaczony przez kierownika szkoły nauczyciel na zastępstwo, ale na razie uczniowie korzystali z tego, że się spóźnia, żeby się śmiać i żartować.

Priscilla miała na sobie stare ubrania. Znowu mocno podmalowała sobie oczy i ozdobiła uszy kolorowymi ćwiekami.

– Pojadę, żeby zrobić próbne zdjęcia do reality show – opowiadała podekscytowana swoim koleżankom.

– A twoja matka się zgadza? Nie ma nic przeciwko? – spytała jedna z nich.

– Gdyby nawet coś mówiła, to kto by się tym przejmował. Zdecydowałam już, jak chcę żyć, i ona musi się z tym pogodzić – odparła dziewczyna, zamykając sprawę wzruszeniem ramion. – Być może będę musiała znaleźć sobie jakiegoś agenta.

Lucas, buntownik z wytatuowaną trupią czaszką, odwrócił się do któregoś z kolegów w głębi sali.

– Ej, matołku, a tobie nic nie zaproponowali?

Pytanie zostało skwitowane ogólnym wybuchem śmiechu, ale Mattia udał, że go nie słyszy, i nadal coś tam gryzmolił w swoim zeszycie.

Drzwi się otworzyły. Nie wszyscy odwrócili się od razu. Zrobiło to tylko kilkoro i umilkło. Ale kiedy Martini podszedł do biurka i położył na blacie torbę, zapadła kompletna cisza.

– Witam was, kochani – zwrócił się do klasy z uśmiechem.

Nikt nie odpowiedział, byli zbyt oszołomieni, łącznie z Mattią, który wydawał się wręcz przerażony. Upłynęło kilka sekund, w czasie których nauczyciel przyjrzał się wszystkim po kolei, ciągle stojąc. Potem jakby nigdy nic powiedział:

– Podczas naszej ostatniej lekcji mówiłem wam o technice narracyjnej powieści. Wyjaśniłem, że wszyscy autorzy, również ci najwięksi, rozpoczynają, czerpiąc początkową zachętę z tego, co zostało napisane przed nimi. I że pierwszą

regułą jest „kopiowanie”, pamiętacie? – Nikt się nie odezwał. To dobrze, pomyślał Martini. W gruncie rzeczy młodzież nigdy nie słuchała go zbyt uważnie.

Drzwi sali otworzyły się znowu. Uczniowie jak na komendę odwrócili się w ich stronę. Wszedł Vogel i na widok Martiniego uniósł rękę niemal przeproszającym gestem, dając do zrozumienia uczniom, że wszystko w porządku. A potem, zajmując miejsce w pustej ławce, spojrzał na nauczyciela, jakby chciał go zachęcić, żeby kontynuował lekcję.

Martini podjął swoje wywody z niewzruszonym spokojem:

– Powiedziałem wam, że prawdziwym motorem każdej opowieści jest zło: bohaterowie i ich ofiary są tylko narzędziami, ponieważ czytelników nie interesuje zwykłe życie, mają już swoje. Chcą konfliktów, zatargów, sprzeczności, gdyż tylko w ten sposób potrafią wyrwać się z własnej pospolitości. – W tym momencie celowo wbił wzrok w agenta specjalnego. – Zapamiętajcie: to złoczyńca sprawia, że przeciętność staje się bardziej do przyjęcia, to on tworzy akcję powieści.

Ni stąd, ni zowąd Vogel zaczął bić brawo. Robił to z przekonaniem, uderzając energicznie dłońmi i kiwając z zadowoleniem głową. Potem odwrócił się do klasy, zachęcając uczniów, żeby się do niego przyłączyli. Z początku uczniowie spoglądali po sobie, nie wiedząc, jak się zachować. Potem któryś nieśmiało poszedł w jego ślady. Sytuacja była absurdalna, paradoksalna. Agent specjalny podniósł się ze swego miejsca i ruszył w kierunku tablicy, ciągle klaszcząc. Znalazłszy się naprzeciwko Martiniego, kilka centymetrów od jego twarzy, przestał.

– Piękna lekcja. – Przysunął usta do ucha Martiniego i szepnął: – Znaleźliśmy plecak Anny Lou. Na razie jeszcze nie ciało, ale nie jest nam potrzebne... Ponieważ na plecaku była pańska krew.

Martini nie zareagował.

Agent specjalny wyjął z kieszeni kaszmirowego płaszcza kajdanki.

– Ale teraz, niestety, musimy stąd wyjść.

23 lutego
Sześćdziesiąt dwa dni po zaginięciu

Nocą, podczas której wszystko zmieniło się na zawsze, z okna ambulatorium doktora Floresa widać było tylko infrastrukturę spółki wydobywczej w Avechot. Na szczytach wież służących napowietrzaniu kopalni zainstalowane były czerwone migające światła, podobne do małych czujnych oczu. Straż we mgle.

– Ma pan rodzinę, panie agencie specjalny?

Nie wiadomo dlaczego Vogel przyglądał się paznokciom prawej dłoni. Jakiś czas temu zamilkł. Dlatego nie od razu zareagował na pytanie psychiatry.

– Rodzinę? – powtórzył. – Nigdy nie miałem czasu.

– Za to ja jestem żonaty od czterdziestu lat – oświadczył Flores, chociaż tamten go o to nie pytał. – Sophia wychowała troje naszych wspaniałych dzieci, a teraz poświęca się całkowicie wnuczkom. Cudowna kobieta, nie wiem, co bym zrobił bez niej.

– Co ma do roboty psychiatra w takim Avechot? – spytał z zaciekawieniem Vogel. – To ostatnia osoba, jakiej można by się spodziewać w małym miasteczku.

– Samobójstwa – odparł z poważną miną Flores. – W tej okolicy osiągają najwyższy procent w skali krajowej w stosunku do liczby mieszkańców. Każda rodzina miałaby do opowiedzenia jakąś historię... ojcowie, matki, bracia, siostry. Czasami syn.

– A powody?

– Nie istnieją. Ktoś, kto przyjeżdża z zewnątrz, zazdrości nam. Myśli, że w tak spokojnym miejscu jak to, bezpiecznie ukrytym w górach, życie jest zawsze spokojne. Ale może właśnie to zbyt wielkie zadowolenie jest prawdziwą chorobą ludzi. Nie wystarcza, żeby czuć się szczęśliwym, a przeciwnie, staje się więzieniem. Żeby się z niego wyzwolić, odbierają sobie życie, coraz bardziej krwawymi sposobami. Nie wystarcza im zażyć kilka opakowań proszków lub przeciąć sobie żyły na nadgarstkach, zadają sobie coraz większy ból, jakby chcieli się ukarać.

– I uratował pan wielu z nich?

Flores zaśmiał się.

– Być może moi pacjenci bardziej niż lekarstwa potrzebują kogoś, przed kim mogliby się wyzalić.

– Założę się, że potrafi pan zachęcić ich do mówienia, używając właściwych słów, prawdopodobnie dlatego, że zna ich pan od zawsze i łatwiej im jest otworzyć się przed panem.

Vogel miał słuszość. Flores świetnie radził sobie z badaniem osób

z pewnością dlatego, że umiał słuchać i nie narzucał się. Na przykład, nigdy nie tracił cierpliwości, nie podnosił głosu w trakcie dyskusji, nawet wtedy, gdy chciał skarcić własnych synów. Z przyjemnością konstatował, że uważa się go za człowieka zrównoważonego, bardzo też lubił określać siebie mianem lekarza górskiego, niczym owi dawni lekarze, którzy zajmowali się przede wszystkim duszami swoich pacjentów, i dzięki temu leczyli ich ze wszystkich nieszczęść.

– Być może nie są tak po prostu nieszczęśliwi – powiedział Vogel. – Nie pomyślał pan o tym, że ta zbytnia pogoda ducha może odbierać im strach przed śmiercią?

– To możliwe – przyznał lekarz. – A czy pan odczuwał kiedykolwiek strach przed śmiercią? – W pytaniu kryła się prowokacja. Flores chciał, żeby policjant spojrział w bardziej trzeźwy sposób na swoje pobrudzone krwią ubrania, a także na powód, dla którego wrócił tu, w góry.

– Kiedy wokół nas śmierć dopada tylu innych ludzi, nie ma sposobu, żeby myśleć o własnej – odparł gorzko agent specjalny. – A pan często o niej myśli?

– Codziennie, od trzydziestu lat. – Flores wskazał swoją klatkę piersiową. – Trzy bajpasy.

– Zawał? W tak młodym wieku?

– Byłem już wtedy ojcem rodziny. Wiem, że to bez znaczenia, ale młodość jest tylko drobiazgiem, kiedy ma się na karku tak poważne obowiązki. Dzięki Bogu, przeżyłem trudną operację, która trwała dwanaście godzin, i teraz muszę tylko pamiętać o zażywaniu pigułek i od czasu do czasu udać się na kontrolę. – Flores zawsze miał skłonność do bagatelizowania tego momentu swojej przeszłości, ponieważ być może nie chciał przyznać, że wyszedł z tego głęboko naznaczony. Ale noc, w trakcie której wszystko zmieniło się na zawsze, miała zepchnąć wszelkie wydarzenia z jego przeszłego życia na drugi plan, nawet to.

Ktoś zapukał do drzwi. Psychiatra nie zaprosił pukającego, kimkolwiek mógł być, do środka. Wstał z miejsca i wyszedł z pokoju. Był to umówiony sygnał. Wydawało się jednak, że Vogel nie zwrócił uwagi na ten szczegół.

* * *

Niespokojna prokurator Mayer spacerowała tam i z powrotem po korytarzu.

– I co? – zapytała na widok lekarza.

– Momenty umysłowej jasności przeplatają się z chwilami, w których wydaje się nieobecny – zabrzmiała pierwsza diagnoza.

– Ale udaje czy nie?

– To nie takie proste – odparł Flores. – Rozpoczął długą opowieść o losach Anny Lou Kastner, a ja pozwałam mu mówić, ponieważ myślę, że w końcu dotrzemy do wypadku drogowego z dzisiejszej nocy. – Ta opowieść bardziej przypominała spowiedź. Ale to już psychiatra zachował dla siebie.

– Niech pan uważa, ten Vogel to manipulator.
– Nie potrzebuje mną manipulować, jeśli mówi prawdę. Jak dotąd nie odniosłem wrażenia, że kłamie.

Jednak pani prokurator nie była o tym do końca przekonana.

– Czy Vogel wie, że trzy dni temu Maria Kastner odebrała sobie życie?
– Nie wspomniał o tym i nie mam pojęcia, czy ta sprawa jest mu znana.
– Powinien pan rzucić mu tę informację w twarz. W gruncie rzeczy fakt, że do tego doszło, jest przede wszystkim jego winą.

Flores domyślił się, że kobieta mogła nie wytrzymać napięcia. Ale w żaden sposób nie umiał jej pomóc. Po samobójstwie Marii bractwo odcięło się od niej i napiętnowało ją za ów świętokradczy czyn. Wręcz odmówiono jej religijnego pogrzebu.

– Nie wiem, czy w tym momencie rozsądnie byłoby wyjeżdżać z tą historią. Przeciwnie, myślę, że byłoby to wręcz zgubne.

Prokurator przysunęła się do lekarza na odległość kilku centymetrów. Chciała spojrzeć mu prosto w oczy.

– Niech pan nie pozwoli mu się omamić, bardzo proszę. Ja popełniłam ten błąd tylko jeden raz i ciągle nie mogę go sobie wybaczyć.

Flores przytaknął.

– Proszę być spokojną. Jeśli to tylko gra, wyciągniemy z niego wszystko, co trzeba.

* * *

Kiedy lekarz wrócił do pokoju z dwiema filiżankami parującej kawy, Vogel nie siedział już w fotelu. Wstał z niego, żeby przyjrzeć się z bliska zasuszonemu okazowi pstrąga tęczowego, który niedawno tak go zaniepokoił.

– Przyniosłem coś na wzmocnienie – powiedział Flores z uśmiechem, stawiając jedną z filiżanek na stole.

Vogel nawet się nie obejrzał.

– Wie pan, dlaczego nigdy nie możemy przypomnieć sobie nazwisk ofiar?

– Słucham, przepraszam? – Flores siadał właśnie za biurkiem i nie rozumiał pytania.

– Ted Bundy, Jeffrey Dahmer, Andriej Czikatilo... Wszyscy pamiętamy nazwiska tych bestii, ale nikt nie jest w stanie przypomnieć sobie nazwisk ofiar. Zadał pan sobie kiedyś pytanie, dlaczego tak się dzieje? A przecież powinno być odwrotnie. Zapewniamy, że odczuwamy litość, współczucie, ale potem zapominamy o nich. Niech pan sobie wyobrazi...

– A pan zna powód?

– Ludzie powiedzą panu, że w gruncie rzeczy jest to wina mediów, ponieważ bombardują nas nazwiskiem mordercy aż do znudzenia. To media są źródłem

wszelkiego zła, nie wiedział pan o tym? – powiedział drwiącym tonem Vogel. – Ale w zasadzie mogą też być nieszkodliwe, jeśli je zneutralizujemy, naciskając guzik na pilocie... Tylko że nikt tego nie robi. Wszyscy jesteśmy zbyt ciekawi.

– Być może tak naprawdę leży nam na sercu sprawiedliwość, a nie tamte bestie.

– Neeee – odparł agent specjalny, usuwając tę możliwość ruchem ręki na bok, jakby to była oczywista naiwność. – Sprawiedliwości nikomu się nie narzuca, mój przyjacielu. Sprawiedliwość nikogo nie interesuje.

– Nawet pana?

Przygwożdżony pytaniem Vogel nie odpowiedział.

– Wiedziałem, że nauczyciel jest winny... – odezwał się po chwili. – Są rzeczy, których policjant nie może wyjaśnić. Na przykład instynkt.

– I to dlatego tak go pan prześladował, kompletnie rujnując mu życie? – Flores wyczuł, że dotarli do punktu zwrotnego.

– Kiedy zobaczyłem ten kolorowy plecak Anny Lou na stole sekcyjnym, coś we mnie pękło... Prokurator Mayer gotowa była obalić wszelkie oskarżenia – odparł, a potem dodał przyciszonym głosem: – Nie mogłem do tego dopuścić.

– Co pan próbuje mi powiedzieć, agencie Vogel?

Tamten podniósł na niego wzrok.

– Nie mogło być mowy o powtórzeniu przypadku Derga. Obcinacz Palców w końcu wykręcił się sianem i wysłuchał przeprosin wszystkich, a do tego skasował milionową nagrodę pod pozorem odszkodowania za niesłuszne aresztowanie.

Flores czuł się jak sparaliżowany, ale nie chciał zbyt mocno naciskać.

– W wieczór naszego pierwszego prawdziwego spotkania, w barze przy drodze krajowej, Martini miał obandażowaną rękę. Ten głupek nie chciał, żeby mu założono szwy, i rana ciągle jeszcze krwawiła... – Vogel wyraźnie pamiętał moment, w którym podczas porządkowania zdjęć w tekturowej teczce zauważył czerwoną plamkę na niebieskim blacie stołu.

– Krew na tym plecaku – powiedział z niedowierzaniem Flores. – A więc to prawda... Sfałszował pan dowód.

17 stycznia
Dwadzieścia pięć dni po zaginięciu

Po północy szary nieoznakowany samochód wjechał w masywną więzienną bramę. Zatrzymał się na wąskim sześciobocznym dziedzińcu otoczonym wysokim szarym murem, wyglądającym przez to jak studnia.

Tylnymi drzwiami wysiedli dwaj funkcjonariusze po cywilnemu i pomogli wyjść z wnętrza aresztowanemu. Ponieważ Martini miał ręce spięte kajdankami, trudno mu było to zrobić bez pomocy. Postawiwszy nogę na asfalcie, najpierw spojrział w górę.

Rozgwieżdżone niebo zamknięte było w ponurej, klaustrofobicznej przestrzeni.

Borghi siedział z przodu; tym razem nie on prowadził. Na kolanach miał teczkę z nakazem aresztowania podpisanym przez prokurator Mayer i protokół przesłuchania, które odbyło się po południu w obecności prokurator. Martini uparcie zaprzeczał wszelkim oskarżeniom, ale dowody i poszlaki przeciwko niemu były bardzo mocne.

Borghi poprowadził nauczyciela i eskortujących go dwóch agentów do Bloku C. Wręczył dokumentację szefowi strażników, oddając zatrzymanego pod ich opiekę.

– Loris Martini – powiedział, przedstawiając więźnia. – Oskarżenie dotyczy porwania i zamordowania niepełnoletniej, z okolicznością obciążającą polegającą na ukryciu zwłok.

Oczywiście, szef strażników wiedział, kto to jest i dlaczego się tu znalazł, ale takie były przepisy. Ograniczył się więc do podpisania formularzy poświadczających osadzenie w więzieniu.

Dopełniwszy formalności, Borghi odwrócił się po raz ostatni do Martiniego, który wydawał się zakłopotany i oszołomiony. Nauczyciel spojrział na niego błagalnie z miną kogoś, kto chce się domyślić, co go czeka. Młody funkcjonariusz nie odezwał się ani słowem, zwrócił się natomiast do towarzyszących mu policjantów.

– Idziemy – rzucił.

Martini odprowadził ich wzrokiem. Chwilę potem dwie ręce chwyciły go za łokcie i pociągnęły do środka. Dwaj strażnicy zaprowadzili go do małej sali z plamami wilgoci na ścianach. Stał tu tylko niski żelazny stołek, a pośrodku pochyłej posadzki widać było kratkę odpływu.

– Proszę się rozebrać – rozkazał jeden z nich, zdjawszy mu kajdanki.

Aresztowany spełnił polecenie. Gdy stanął całkiem nago, kazali mu usiąść na

stołku, a potem odkręcili znajdujący się pionowo nad nim prysznic, którego wcześniej nie zauważył, i podali mu małe mydło. Kiedy Martini próbował się podnieść, żeby dokładniej się umyć, zabronili mu tego. Regulamin tego nie przewidywał. Woda była ciepława i pachniała chlorem. W końcu podali mu biały, za mały ręcznik, który prawie natychmiast nasiąknął wodą.

– Proszę się podnieść i oprzeć obiema dłońmi o ścianę, a potem pochylić jak najniżej do przodu – powiedział strażnik.

Martini trząsał się z zimna, ale również ze strachu. Nie widział, co dzieje się za jego plecami, ale domyślił się tego, gdy przeszedł go dreszcz od zetknięcia z lateksową rękawiczką. Inspekcja cielesna trwała kilka sekund, podczas których zamknął oczy, żeby nie odczuwać upokorzenia. Po sprawdzeniu, że nie ukrywa niczego w odbycie, poprosili go znowu, żeby usiadł na stołku.

Minęło kilka minut w kompletnym milczeniu. Nikt go o niczym nie uprzedzał, toteż musiał czekać na rozwój wypadków. Potem odgłos kroków poprzedził wejście lekarza w białym kitlu, który niósł tekturową teczkę.

– Cierpi pan na choroby przewlekłe? – zapytał, nie przedstawivszy się.

– Nie – odparł przyciszonym głosem Martini.

– Jest pan zmuszony zażywać stale jakieś leki?

– Nie.

– Cierpi pan obecnie lub chorował pan w przeszłości na choroby weneryczne?

– Nie.

– Bierze pan środki odurzające?

– Nie.

Lekarz więzienny odnotował ostatnią odpowiedź w teczce, po czym odszedł, nie odzywając się więcej. Strażnicy znowu chwycili Martiniego za ręce, zmuszając go do powstania. Jeden z nich podał mu więzienny strój z szorstkiego płótna w kolorze bladoniebieskim i parę plastikowych chodaków o dwa numery za małych.

– Niech się pan ubierze – polecił.

Potem poprowadzili go zakutego w kajdanki korytarzem, który zdawał się nie mieć końca. Po drodze trzeba było otwierać i zamykać szereg krat.

Chociaż była noc, więzienie nigdy nie zapadało w sen.

Z jednej z cel dobiegły niskie i rytmiczne odgłosy, które prędko przeniosły się również na inne cele. Dźwięki te towarzyszyły jego krokom pod eskortą strażników, niczym fanfara poprzedzająca skazanego na śmierć. Spoza okratowanych drzwi dochodziły posępne szepty.

– Sukinsyn.

– Twoje dni są policzone, skończymy z tobą.

– Witamy w piekle.

Było to powitanie zarezerwowane dla winnych straszliwych zbrodni przeciwko nieletnim. Według honorowego kodeksu więźniów, sprawców tego rodzaju przestępstw uznawano za niegodnych nawet pozostawiania za kratkami. Osadzeni nie zadawali się z mordercami dzieci. Dla tych przewidziana była dodatkowa kara. W ramach swojego wyroku musieli odsiedzieć jeszcze jeden. Byli to ludzie naznaczeni, żywe trupy.

Martini szedł z pochyloną głową, więzienne ubranie było na niego za duże i opadało mu z bioder, ale z kajdankami na nadgarstkach trudno mu było je podtrzymywać.

Dotarli do potężnych żelaznych drzwi. Jeden ze strażników otworzył je i popchnął go do środka. Wnętrze było zbyt ciasne dla jednej osoby, a co dopiero dla trzech. Stało w nim łóżko, w rogu widać było stalowy sedes i umywalkę umocowaną do ściany. Z małego okienka w górze sączyło się światło księżyca wraz ze strumieniem lodowatego powietrza.

Próg przekroczyła czwarta osoba. Był to mocno zbudowany mężczyzna około pięćdziesiątki. Jego bicepsy napinały materiał więziennego uniformu.

– Nazywam się Alvis – przedstawił się. – Jestem szefem sekcji izolatek.

Martini przypuszczał, że usłyszy krótką instrukcję, choćby nawet przedstawioną w surowy sposób, jak wyglądają tu różne sprawy. Ale tamten włożył mu tylko w ręce wełniany brązowy koc, menażkę i silikonową łyżkę, żeby nie mógł robić nią sobie ani nikomu innemu krzywdy.

– Te przedmioty, a także materac na łóżku są własnością więzienia. Otrzymuje je pan w całości, a za ich zgubienie albo zniszczenie zostanie pan obciążony – wyrecytował niczym dobrze wyuczoną lekcję, a potem dodał: – Proszę podpisać tu ich odbiór.

Podał mu kartkę i Martini umieścił swoje nazwisko pod krótkim wykazem, zadając sobie pytanie, jaką wartość mogą przedstawiać sobą te przedmioty, żeby żądać podobnego zabezpieczenia. W tym momencie zrozumiał, że najgorsza ze wszystkiego jest w więzieniu właśnie obsesja na punkcie biurokracji. Wszystko, co dzieje się za kratami, nawet najmniej znaczące sprawy, regulują normy i rozporządzenia. Każda decyzja jest już podjęta przez kogoś innego. Żeby ograniczyć do minimum mieszanie się ludzi do różnych działań, wszelkie czynności zostały już przewidziane w ustalonych wcześniej standardach. I odczłowieczone. W tej sytuacji nie ma tu miejsca na reakcje emocjonalne, współczucie lub empatię.

Tu jest się samotnym, ma się tylko siebie i swoją winę.

Strażnicy i szef Alvis odwrócili się, żeby opuścić celę, Martini zaś pozostał na stojąco, trzymając w rękach brązowy koc i menażkę z łyżką. Ciężkie żelazne drzwi zamknęły się i dało się słyszeć obracanie kluczy w zamku.

Żywy trup, mruknął, podczas gdy w celi zapadała cisza.

* * *

Vogel wydał oświadczenie dopiero po dwudziestu czterech godzinach. Chciał, żeby najpierw trochę ucichła wrzawa z powodu aresztowania nauczyciela. Chciał mieć całą scenę tylko dla siebie.

Dla policjanta, któremu udało się oskarżyć mordercę, mimo że nie znaleziono ciała jego ofiary.

W tym momencie agent specjalny skupiał na sobie uwagę mediów, stojąc przed lasem mikrofonów i kamer telewizyjnych w sali gimnastycznej, która jeszcze przez krótki czas miała służyć za centrum operacyjne. Aby dobrze zaprezentować się dziennikarzom, wybrał nowy garnitur. Ciemną marynarkę z gładkiego aksamitu, szare spodnie, krawat w ukośne paski. W mankietach białej koszuli błyszczała para spinek z białego złota w kształcie gwiazdek. Miał ciągle na nadgarstku bransoletkę z paciorków Anny Lou i zamierzał pochwalić się nią niczym trofeum.

– Koniec końców staranna i cicha praca policji przyniosła rezultat, jakiego wszyscy oczekiwaliśmy. Jak widzicie, wytrwałość i cierpliwość są zawsze nagradzane. Na nasze działania nie wpłynęły naciski ze strony mediów i opinii publicznej. Pracowaliśmy w ukryciu i przy zgaszonych reflektorach, koncentrując się na celu, jaki ustaliliśmy na samym początku: dojść do prawdy w śledztwie dotyczącym zaginięcia Anny Lou Kastner.

Zdumiewające, jak zgrabnie udało mu się przekręcić fakty i nie okazać przy tym najmniejszego zakłopotania, pomyślał Borghi, przyglądając się tej scenie z boku. I chociaż prawda, o której mówił Vogel, nie zawierała odpowiedzi, jaki los spotkał rudowłosą, piegowatą dziewczynę, to w każdym razie udało mu się przekonać obecnych o sprawach, o których teraz mówił. Ponieważ tak naprawdę był o nich przekonany przede wszystkim on sam.

– Na tym kończy się nasza praca w Avechot. Ustupujemy pola wymiarowi sprawiedliwości, pewni, że pani prokurator Mayer będzie umiała zrobić dobry użytek z cennych i niedwuznacznych wyników śledztwa.

Mayer, która stała obok niego, odwróciła nieco spojrzenie od wycelowanych w nią obiektywów. Był to drobny, ale wymowny gest skierowany do Borghiego. Nie była w stanie okłamywać siebie tak jak Vogel.

– Jak państwo Kastner przyjęli wiadomość o aresztowaniu? – spytał jeden z reporterów.

– O ile mi wiadomo, wczoraj dowiedzieli się o tym z telewizji – odparł agent specjalny. – Wolałem nie zakłócać ich cierpienia w tych godzinach. Ale udam się do nich, gdy tylko będę mógł, i wyjaśnię im, co już się wydarzyło i co wydarzy się wkrótce.

– Czy to oznacza, że zaprzestaniecie poszukiwań Anny Lou? – Tym razem

pytanie zadała Stella Honer.

Vogel, który spodziewał się tego pytania, nie odpowiedział jej bezpośrednio, ale zwrócił się do wszystkich obecnych.

– Oczywiście, że nie – uspokoił ich. – Nie spoczniemy, dopóki nie uzupełnimy śledztwa o ten ostatni brakujący szczegół. Los tej nieszczęsnej dziewczyny był zawsze naszym priorytetem.

Zwrotem „nieszczęsnej dziewczyny” potwierdził jednak oficjalnie koniec jakichkolwiek nadziei na jej znalezienie, zauważył Borghi. Były to drobne dialektyczne skrótory, które mimo wszystko pozwoliłyby im wyjść cało w razie klęski. Skądinąd, wraz z pogaszeniem reflektorów mediów środki na poszukiwania musiały zostać wyraźnie ograniczone. Oznaczało to koniec udziału laboratorium kryminalistycznego, grupy psów gończych i zespołu nurków. Wśród górskich szczytów nie będzie już latał helikopter. Ochotnicy zaczną stopniowo wracać do domu. Ale jako pierwsi z Avechot wyjadą dziennikarze. Za parę dni ten cyrk zwinie swoje namioty. Na jego miejscu pozostanie goły plac wypełniony makulaturą. Ekipy ulotnią się stąd, skazując dolinę i jej mieszkańców na ponowne zapadnięcie w nieuchronny letarg. Wróci dawne życie, wyłonią się na nowo nierówności między tymi, którzy mieli szczęście posiadać ziemię kryjącą żyłę fluorytu, i tymi, którzy z powodu kopalni zbiednieli. Hotele i restauracje, które otwarto na nowo, stopniowo utracą klientelę, turyści poszukujący mocnych przeżyć zwrócą się gdzie indziej, ku innym krwawym zbrodniom, żeby je śledzić podczas niedzielnych wycieczek z rodzinami. Być może bar przy drodze krajowej o jakiś rok odłoży likwidację działalności, ale w końcu jego właściciel również pogodzi się z sytuacją i zrozumie, że najlepszym wyjściem będzie zamknięcie podwojów.

Avechot zakończy krótki sezon nieoczekiwanej i czasami męczącej popularności. Ale nikt nigdy nie zapomni tej zimy.

Vogel zamierzał pożegnać już swoich słuchaczy, ponieważ musiał czym prędzej wracać do miasta, gdzie czekał na niego udział w znanym wieczornym programie talk-show, gdy Stella Honer uniosła rękę.

– Agencie specjalny Vogel, ostatnie pytanie – powiedziała, choć on nie upoważnił jej do zabrania głosu. – Czy po tym doniosłym sukcesie możemy stwierdzić z całą pewnością, że sprawa Derga była tylko niefortunnym incydentem w pańskiej karierze?

Nie cierpiał zwierzęcej niemal zręczności, z jaką ta kobieta potrafiła rozdrapywać otwarte rany. Uśmiechnął się z przymusem.

– Widzi pani, pani redaktor, wiem, że zarówno pani, jak i pani kolegom raczej łatwo przychodzi odróżnić sukces od porażki, ale my, policjanci, dostrzegamy tu pewne odcienie. Obcinacz Palców, jak nazwaliście go wy sami, ludzie mediów, nie uderzył więcej. Być może pewnego dnia zrobi to znowu lub może nie. Ale z przyjemnością myślę, że napędziliśmy mu potężnego stracha

i teraz będzie się bardzo długo zastanawiał, zanim umieści następny ładunek wybuchowy. – Trafił w sedno, nadszedł właściwy moment, żeby się wycofać. Oddalił się od mikrofonów, zanim ktokolwiek spośród obecnych zdążył go przytrzymać następnym niewygodnym pytaniem.

Podczas gdy główny bohater tego widowiska opuszczał konferencję w blasku migających fleszów, Borghi oderwał się od ściany w głębi sali, żeby go dogonić. Z jednej strony był zadowolony, że to się wreszcie skończyło, ale z drugiej nurtowała go bardzo drobna, ale uparta myśl, niepozwalająca mu pogodzić się z takim epilogiem. Przez krótki czas naprawdę uważał, że bierze udział w spektakularnym wydarzeniu, w czymś w rodzaju bitwy dobra ze złem. Ale po aresztowaniu nauczyciela nie doświadczył najmniejszej satysfakcji. W zasadzie śledztwo zostało zakończone dzięki szczęśliwemu trafowi. Pozytywnym aspektem sprawy było to, że teraz mógł wrócić do Caroline, żeby razem z nią oczekiwać narodzin dziecka. Czuł jednak, że będzie mu brakować zajęcia. A konkretnie Avechot.

Dopędził Vogla już poza salą gimnastyczną.

– Chce pan, żebym odwiózł pana do hotelu? – spytał.

Agent specjalny spojrzał w niebo.

– Nie, dziękuję. Skorzystam z pięknego dnia, żeby trochę się przejść. – Po czym wyjął kieszeni płaszczą swój czarny notatnik.

Borghi widział dziesiątki razy, jak jego zwierzchnik wykonywał ten gest w trakcie śledztwa. Był ciekaw, co też Vogel tak skrupulatnie notuje. Z pewnością z jego notatek można się było wiele nauczyć.

– A więc, panie Borghi, musimy się pożegnać. – Agent specjalny położył rękę na ramieniu podwładnego ojcowskim gestem, który nie był w jego stylu. – W następnej sprawie, jaka się napatoczy, poproszę o wyznaczenie pana do mojego zespołu. – Mówiąc to, pomyślał, że tym razem sprawy potoczyły się jak najlepiej i nie trzeba było przerzucać odpowiedzialności za porażkę na kogoś z podwładnych. Borghi mógł jednak okazać się użyteczny: ten chłopak był wystarczająco niedojrzały, żeby kupować wszystko, co mu się mówiło.

– To był dla mnie prawdziwy zaszczyt pracować dla pana – zapewnił z przekonaniem młody policjant. – Wiele się nauczyłem.

Vogel w to wątpił. Jego technika śledcza polegała na połączeniu taktyki z oportunistycznym. Nie można było łatwo się jej nauczyć, a on nie miał ochoty dzielić się sekretem.

– Dobrze, niech to panu służy – powiedział z uśmiechem. Zamierzał już odejść, lecz Borghi znowu przywołał jego uwagę.

– Przepraszam pana, ale zastanawia mnie ciągle pewna sprawa...

– Proszę pytać.

– Czy nigdy nie zadał pan sobie pytania, z jakiego powodu ten Martini

miałby porwać, zamordować i ukryć ciało Anny Lou? Tak, reasumując... Jakie, pana zdaniem, miał motyw?

Vogel udał, że bierze to pytanie pod poważną rozważkę.

– Ludzie są pełni nienawiści, panie Borghi. Nienawiść jest czymś nieuchwytnym, trudnym do udowodnienia. I nie pozostawia dowodów, które można okazać przed sądem, lecz istnieje, niestety.

– Przepraszam, ale nie rozumiem: dlaczego Martini miałby nienawidzić Anny Lou?

– Nie jej w szczególności, ale całego świata. Prowadził w zasadzie skromne życie, w którym brak mu było satysfakcji. Żona zdradziła go z innym, ryzykował utratę rodziny i pozostanie w samotności, do czego koniec końców doszło. Złość gromadzona przez dłuższy czas musi znaleźć jakieś ujście. Uważam, że Martini żywił pragnienie zemsty na innych ludziach... A Anna Lou, ze swą naiwnością, czystością i niewinnością nastolatki, nadawała się doskonale, żeby ukarać wszystkich.

Borghi nie był jednak do końca przekonany.

– To dziwne, bo w akademii uczono nas, że nienawiść nie należy do głównych motywów zbrodni.

Vogel uśmiechnął się znowu.

– Dam panu radę, której nigdy więcej nie usłyszysz pan od żadnego policjanta... Niech się pan nauczy traktować każdy przypadek indywidualnie i odrzuci wszystko to, czego się pan nauczył, bo inaczej nie zdoła pan nigdy rozwinąć w sobie instynktu łowcy.

Borghi przyglądał się kaszmirowemu płaszczowi agenta specjalnego, gdy ten się oddalał. Instynkt łowcy, pomyślał. Tak jakby był on przeciwieństwem instynktu zabijania.

* * *

Nienawiść nie jest głównym motywem popychającym do zbrodni, powtórzył w myśli Vogel, wracając do hotelowego pokoju. Co ten smarkacz może wiedzieć o zbrodniarzach? I jak śmiał podać w wątpliwość słowa swojego zwierzchnika? Ale on nie pozwoli, żeby wściekłość przesłoniła poczucie zadowolenia, jakie towarzyszyło mu przez cały dzień. Ten Borghi nie ma przed sobą przyszłości, to pewne.

Na łóżku leżały już ubrania, które przez wszystkie te dni wisały w szafie. Każde w osobnym pokrowcu. Podobnie jak buty, które zostały już wsunięte w odpowiednie bawełniane woreczki. Poza tym były jeszcze krawaty, koszule i bielizna. Wszystko to zajmowało całą powierzchnię łóżka i składało się na doskonałą i nienagannie uporządkowaną mozaikę ułożoną według kolorów. Niebawem Vogel miał przełożyć to wszystko do walizki. Gdy jednak zbliżył się do

łóżka, zauważył coś, czego przedtem nie było.

Na stoliku, obok telewizora, leżała paczuszka.

Podszedł do niej podejrzliwie. Ktoś z hotelowej obsługi musiał ją tu położyć podczas jego nieobecności. Ale paczuszce nie towarzyszył żaden bilecik. Wydało mu się to dziwne. Po chwili wahania postanowił jednak odwinąć prezent.

Otworzywszy tekturowe pudełko, zobaczył stary notebook, podrapany i obtłuczony.

Co to za dziwny żart, pomyślał. Uniósł pokrywę z monitorem i zobaczył, że na klawiaturze leży kartonik z wykaligrafowanym zdaniem.

On jest niewinny.

Pod tymi słowami widniał niczym podpis numer telefonu komórkowego. Ten sam, z którego otrzymał dwa anonimowe SMS-y, ale je usunął, sądząc, że pochodzą od dziennikarza poszukującego sensacyjnej wiadomości.

Muszę z panem porozmawiać. Niech pan do mnie zadzwoni pod ten numer.

Vogel był poirytowany. Nie cierpiał wdzierania się innych w jego sferę prywatną. Ale jednocześnie musiał przyznać przed samym sobą, że ciekawi go niezmiernie, co też może zawierać ten komputer. Rozsądek podpowiadał mu, żeby dać sobie z tym spokój, ale w zasadzie zweryfikowanie jego zawartości nic nie kosztowało.

Wyciągnął rękę i nacisnął guzik uruchamiający urządzenie.

Notebook potrzebował chwilę, żeby ożyć. Czarny ekran zmienił barwę na niebieską. W jego środku widniała tylko jedna ikona, uruchamiająca internetową wyszukiwarkę. Vogel zamierzał ją otworzyć, ale połączenie z siecią nastąpiło automatycznie. Niebawem ukazała się strona internetowa z ubogą i prymitywną grafiką. Agent specjalny pomyślał natychmiast o starym folderze znajdującym się w sieci od lat, do którego nikt już nie zaglądał, ale który nadal unosił się jak śmieć na powierzchni Sieci.

Strona miała też nazwę.

Człowiek z mgły.

Poniżej tego tytułu widniało sześć dziewczęcych, bardzo do siebie podobnych twarzy. Rude włosy i piegi. Ale przede wszystkim były bardzo podobne do Anny Lou Kastner.

* * *

Telefon po drugiej stronie odpowiedział dopiero po wielu sygnałach. Odezwał się ochryply żeński głos.

– Lepiej późno niż wcale, panie agencie specjalny.

– Z kim mam przyjemność i co chciałaby mi pani zademonstrować za pomocą tej strony? – zaatakował z miejsca Vogel.

Kobieta zachowała jednak spokój.

– Widzę, że w końcu przyciągnęłam pańską uwagę. – Po wygłoszeniu tych słów przez chwilę kaszłała. – Nazywam się Beatrice Leman, jestem dziennikarką. Lub raczej byłam.

– Nie wygłoszę żadnego oświadczenia na temat tego, co właśnie obejrzałem, cokolwiek by to było. Dlatego proszę się nie łudzić: ta historia nie przyniesie pani popularności.

– Nie zamierzam prosić pana o udzielenie mi wywiadu – odparła. – Ale jest pewna rzecz, którą chciałabym panu pokazać.

Vogel zastanawiał się przez chwilę. Nadal był wściekły, ale było też coś, co mu mówiło, żeby wysłuchał, co ma do powiedzenia ta dziwna kobieta.

– Dobrze, w takim razie spotkajmy się – zaproponował.

– Będzie pan musiał przyjechać do mnie.

Roześmiał się z poirytowaniem.

– A to niby dlaczego?

– Sam pan zobaczy.

Kobieta rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć.

21 stycznia
Dwadzieścia dziewięć dni po zaginięciu

Beatrice Leman poruszała się na wózku inwalidzkim.

Voglowi zajęło cztery dni podjęcie decyzji, czy ją odwiedzić, a tymczasem zbierał dyskretnie informacje na jej temat. Jako dziennikarka zajmowała się przede wszystkim wydarzeniami lokalnymi, ale swoimi artykułami wiele razy wprawiała w zakłopotanie polityków i coraz to innych wpływowych ludzi. Była osobą twardą, ale jej czas się skończył. Nie napelniała już nikogo strachem.

W pierwszej chwili postanowił zignorować majaczenia starej, szukającej chwały reporterki, która najpewniej pragnęła znów zabłysnąć. Ale potem przyszło mu na myśl, że mogłaby się na przykład skontaktować ze Stellą Honer. Specjalna wysłanniczka nie straciłaby z pewnością okazji do przydania rumieńców sprawie Anny Lou Kastner, proponując publiczności apetyczną, alternatywną wersję prawdy, odmienną od tej, którą on ustalił w swoim śledztwie. Gdyby ktoś uwierzył w podobne brednie, byłaby to prawdziwa katastrofa, zwłaszcza że on sam sfalszował dowód, żeby pogrążyć Martiniego. Vogel nie chciał, żeby ktokolwiek wtykał swój nos do sprawy, więc w końcu postanowił spotkać się z tą kobietą.

Pani Leman mieszkała w górskim domku w pobliżu Avechot. Nigdy nie wyszła za mąż i towarzystwa dotrzymywało jej tylko stado kotów przebywających wraz z nią w czymś w rodzaju gabinetu. Kiedy przywitała go u siebie, Vogel ujrzał przed sobą kobietę zgorzkniałą i zawiedzioną, z twarzą pooraną głębokimi ciemnymi bruzdami; siwe włosy miała zebrane na karku w kok. Była w ubrudzonym popiołem z papierosów włochatym szlafroku, a popielniczki pełne niedopałków porozstawiała po całym mieszkaniu. W domu czuło się natrętny, zatęchły zapach nikotyny zmieszany z ostrą wonią kociego moczu, którego, z racji przyzwyczajenia, pani Leman już nie czuła. Wszędzie rozrzucone były papiery i stare gazety, nagromadzone nawet na podłodze.

– Witam, panie agencie specjalny – powiedziała, zapraszając go do środka. W ogólnym nieładzie rysowało się coś w rodzaju ścieżki, którą pani Leman poruszała się nawet dość swobodnie na swoim wózku.

Vogel owinął się szczelniej kaszmirowym płaszczem, ponieważ nie chciał niczego dotykać, bojąc się kurzu, a przede wszystkim zarazków, które mogły się zagnieździć w tym wnętrzu.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, po co przyszedłem – zauważył na wstępie.

Wiekowa dziennikarka roześmiała się.

– Jeśli o mnie chodzi, liczy się to, że pan tu jest. – Potem wjechała za biurko i dała znak swemu gościowi, żeby usiadł na stojącym przed nim krześle.

Vogel zrobił to, choć raczej niechętnie.

– Widzę, że nie przyniósł mi pan z powrotem notebooka, którego panu posłałam. Nie mam innego i bardzo bym chciała go odzyskać.

– Sądziłem, że to prezent dla mnie – odparł z lekką kpina w głosie. – W każdym razie dopilnuję, że otrzymała go pani jak najprędzej.

Pani Leman zapaliła papierosa.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytał Vogel.

– Od urodzenia cierpię na paraplegię z powodu błędu położnej, toteż mam w nosie wszystko, co może szkodzić innym – odparła niezbyt uprzejmie.

– Dobrze, ale przejdźmy do rzeczy, bo wolałbym nie stracić zbyt wiele czasu.

– Założyłam małą lokalną gazetę i prowadziłam ją przez czterdzieści lat. Wszystko robiłam samodzielnie, od kroniki po nekrologi. Pojawienie się internetu sprawiło, że nie pomogły żadne wysiłki i musiałam zwinąć interes z powodu braku czytelników... Obecnie wiemy na bieżąco, co wydarzyło się na drugim końcu świata, ale nie mamy pojęcia, co się dzieje za rogiem twojego domu. – Po tym krótkim wstępie zdjęła z regału gruby plik, wywołując małą lawinę papierów i gazet. Położyła go na kolanach, nie otwierając. – W swojej karierze dziennikarz zajmuje się setkami spraw i wydarzeń – podjęła. – Jednak wśród nich zdarzają się zawsze takie, które przyczepią się do człowieka, i nie ma sposobu, żeby zapomnieć nazwiska i twarze ofiar, więc nosi się to w środku niczym coś w rodzaju pasożyta żywiącego się naszym poczuciem winy... Być może dotyczy to również was, policjantów.

– Czasami – przyznał Vogel, byle tylko przyspieszyć jej opowieść.

– No cóż, mój robał zaczął drążyć sobie norę po zaginięciu Katyi Hilmann. – Uniosła plik i opuściła go z głośnym plaśnięciem na blat biurka. – Ona była pierwsza.

Głuchy odgłos odbił się krótkim echem w ciasnym pokoju. Vogel przyglądał się w milczeniu obszernemu dossier, które miał przed sobą. Wiedział, że jeśli zgodzi się wejść do tej sprawy, będzie mu potem trudno się z niej wydostać. Ale nie miał wyboru. Uniósł okładkę teczki i zaczął ją przeglądać.

Natychmiast natknął się na starą fotografię Katyi Hilmann. Widział ją już na stronie internetowej, ale teraz przyjrzał się jej lepiej. Dziewczyna ubrana była w granatowy fartuszek, w jakim dzieci chodzą do szkoły. Uśmiechała się, zwrócona w stronę obiektywu. Miała zielone, szczere oczy. Po niej następowały następne zdjęcia nastolatka z rudymi włosami i piegami. Vogel przyglądał się im po kolei. Wydawało się, że to siostry. W wyrazie ich twarzy była ta sama niewinność. Predestynowane do roli ofiar, pomyślał. Spadło na nie przekleństwo niewinności.

Podczas gdy agent specjalny przeglądał dokumenty, stara dziennikarka

obserwowała go, paląc w milczeniu papierosa. Trzymała go czubkami palców i zaciągała się powoli i głęboko, a tymczasem na jego koniuszku zbierał się w chwiejnej równowadze popiół.

W uzupełnieniu danych osobistych domniemanych ofiar Vogel znalazł w teczce liczne artykuły napisane właśnie przez panią Leman oraz związane raporty policyjne.

– Wszystkie te dziewczyny miały trudną sytuację rodzinną – przerwała milczenie Beatrice. – Agresywni ojcowie i matki, które znosiły złe traktowanie i ich nie oskarżały. Być może dlatego policja z Avechot i okolicznych miejscowości nigdy nie wnikała zbyt głęboko w sprawy tych zaginięć, ponieważ było rzeczą prawie normalną, że dziewczyny uciekały z tych domowych piekieł.

– Za to pani połączyła te przypadki i postawiła hipotezę, że wszystkie one padły ofiarą przemocy ze strony jakiegoś maniaka.

– Wiek między piętnastym i szesnastym rokiem życia, rude włosy, piegi: są to elementy wskazujące na obsesję, to oczywiste... Lecz nikt mi nie uwierzył.

– Ale ostatnie zaginięcie miało miejsce trzydzieści lat temu – zwrócił jej uwagę Vogel, odczytując datę jednego z raportów.

– Dokładnie tak – przytaknęła Beatrice. – W tamtym okresie pański Martini nie mieszkał w Avechot, a przede wszystkim, był jeszcze dzieckiem.

Tak, pomyślał Vogel, ta historia bardzo by się spodobała Stelli Honer. Mimo że zdradzała dość nikłą zbieżność ze sprawą Anny Lou, nie mógł stąd wyjść, wruszając po prostu ramionami. Najpierw musiał usunąć z głowy pani Leman pomysł, że między tamtymi dawnymi przypadkami i losem niedawnej ofiary może istnieć jakiś związek. Ale żeby to zrobić, musiał dowiedzieć się więcej.

– Jak to możliwe, że po zaginięciu Anny Lou nikt w tej dolinie oprócz pani nie sięgnął do tej sprawy?

– Ponieważ ludzie prędko zapominają, nie wiedział pan o tym? Wiele lat temu stworzyłam stronę internetową, którą panu pokazałam, mając nadzieję, że zdołam utrzymać żywą pamięć o tamtych wypadkach, ale nikogo już nie interesuje, jaki los spotkał te biedne dziewczyny.

– A skąd ten „człowiek z mgły”?

Głos kobiety, i tak już głęboki z powodu zbyt wielu papierosów wypalonych w całym życiu, zamienił się w chrapliwy szept.

– Ludzie znikają we mgle: wiemy, że tam są, ale nie możemy ich dojrzeć... Te dziewczyny są ciągle wśród nas, panie Vogel, nawet jeśli przydarzyło się im coś złego, nawet jeśli nie żyją. Z jakiegoś mrocznego powodu zabrał je ten „człowiek z mgły”; widać w tym jedną i tę samą rękę, jestem tego pewna. A ponieważ nie ulega wątpliwości, że sprawcą nie mógł być ten pański nauczyciel, założę się, że ów człowiek wciąż jest gdzieś w okolicy i szuka nowej ofiary.

– To się nie trzyma kupy – zaproponował Vogel. – Dlaczego miałyby robić

trzydziestoletnią przerwę?

– Być może przez jakiś czas mieszkał gdzie indziej i teraz wrócił. Mógł atakować w innych miejscach, ale my o tym nie wiemy. Wystarczy poszukać zaginionych dziewczyn o tych samych cechach.

Vogel pokręcił głową.

– Przykro mi, ale ja w to nie wierzę: przy całej tej wrzawie wokół sprawy Anny Lou Kastner ktoś zwróciłby uwagę policji albo mediów na podobne przypadki.

Pani Leman zaczęła już odpowiadać, ale przerwał jej atak kaszlu.

– Chciałam panu pokazać nie tylko ten plik – zdołała wykrztusić, a potem otworzyła szufladę biurka i podała Voglowi przesyłkę pocztową. – Dotarło to do mnie jakiś czas temu, ale jeżeli przeczyta pan datę wysłania na stemplu, zauważy pan, że jest to dzień zaginięcia Anny Lou.

Agent specjalny sięgnął po paczuszkę.

– Jak pan widzi, jest zaadresowana do pana, tyle że na mój adres – ciągnęła dziennikarka. – Ale ponieważ pan nie odpowiadał na moje wiadomości, kilka dni temu ją otworzyłam.

Vogel rozerwał brzeg przesyłki i zajrzał do wnętrza. Potem wsunął do środka rękę i wyjął różową książeczkę z obrazkami małych kotów.

Prawdziwy dziennik Anny Lou, pomyślał od razu.

Ten, który ukrywała przed matką i którego nie znaleziono. Prawdopodobnie nosiła go w plecaku, odnalezionym w studziencie ściekowej.

Vogel przyjrzał się małej kłódce w kształcie serca, na którą był zamknięty.

Starł się racjonalnie ocenić sytuację. Jeśli ktoś wysłał dziennik na adres pani Leman, zrobił to dlatego, że chciał na nowo skierować uwagę na sprawę Człowieka z Mgły. Że jest to nowy wyczyn tamtej bestii. W takim razie jaką rolę w tej historii odegrał Martini? W Voglu zrodziło się przeczucie, że pomylił się co do nauczyciela. Podobnie było z Dergiem. Także wtedy przekonanie, że ma do czynienia z Obcinaczem Palców, popchnęło go do sfalszowania dowodów. Tylko że w przypadku księgowego nie popełnił żadnego błędu. To on był zamachowcem, który później powstrzymał się od następnych ataków.

– Co spodziewa się pani otrzymać w zamian? – spytał kobietę, wymachując dziennikiem. Próbował być człowiekiem praktycznym.

– Prawdę – odparła bez wahania pani Leman.

– Chce pani wzbudzić sensację?

– Pan jest zbyt niebezpieczny, mój przyjacielu. A ja jestem prostą kobietą.

Najgłupszym grzechem diabła jest próżność, powiedział sobie w duchu Vogel, zastanawiając się znowu nad słowami Martiniego i własną sytuacją w tym momencie. Być może zgrzeszył próżnością i teraz zostanie za to ukarany.

– Gdybym chciała tego, co mi pan teraz oferuje, zwróciłabym się do jakiegś

sieci i sprzedalabym ten dziennik za furę pieniędzy.

Miała rację. Co za głupotą było nie pomyśleć o tym! Ale jeśli ta dziennikarka nie pragnie rozgłosu ani nie chce pieniędzy, to na czym tak naprawdę jej zależy?

– Obiecuję pani, że jeśli jest tu coś, co pozwoli otworzyć na nowo śledztwo i objąć nim również zaginięcie tamtych sześciu dziewczyn, nie będę się wahał ani chwili. – Zadbał o to, żeby zabrzmiało to jak uroczyste przyrzeczenie.

– To jest ostatnia okazja, żeby złapać Człowieka z Mgły – odparła pani Leman. – Jestem pewna, że jej pan nie zmarnuje.

Mogło się wydawać, że trafiła w sedno.

* * *

W więziennej rozmównicy zarówno stalowe stoły, jak i stojące wokół nich krzesła przytwierdzono na stałe do podłogi. Niski sufit sprawiał, że głosy huczały tu irytująco, niemal zupełnie uniemożliwiając rozmowę. Ale w tym momencie oprócz czterech milczących strażników, którzy przyglądali się z oddalenia, obecni byli tylko Martini i adwokat Levi.

Mimo że minęło dopiero kilka dni od uwięzienia, nauczyciel wyglądał na zmęczonego.

– Jestem tu bardzo popularny. Trzymają mnie w izolatce, ale w nocy i tak słyszę innych więźniów, którzy mi grożą ze swoich cel. Nie mogąc dopaść mnie osobiście, robią więc wszystko, żebym nie mógł zasnąć.

– Porozmawiam z dyrektorem, przeniesiemy pana.

– Lepiej nie, nie chciałbym robić sobie następnych wrogów. Już i tak trudno mi jest odgrywać rolę gwiazdora. – Roześmiał się gorzko. – Jeden ze strażników dał mi do zrozumienia, że lepiej będzie, jeżeli nie będę dotykał jedzenia pochodzącego z więziennej kuchni. Myślę, że strażnicy też mną gardzą i że on powiedział to tylko po to, żebym się bał jeszcze bardziej. I osiągnął swój cel, ponieważ od tamtej pory zaspokajam głód krakersami i słodkimi bułeczkami.

Levi starał się dodać odwagi swemu klientowi, ale wydawał się poważnie zaniepokojony jego losem.

– W ten sposób nie zajdzie pan daleko, musi pan jeść, żeby mieć siłę. Inaczej nigdy nie wytrzyma pan napięć procesu.

– Wie pan, kiedy może się rozpocząć?

– Mówią o miesiącu, może trochę dłużej. Prokuratura dysponuje wystarczającymi dowodami, ale my też się szykujemy, żeby oddawać cios za cios.

– Jak ja dam sobie radę, nie mając pieniędzy? – Martini nie miał złudzeń.

Levi mówił półgłosem, żeby nie słyszeli go strażnicy.

– Właśnie z myślą o tym zorganizowałem spotkanie ze Stellą Honer. Odrzucenie jej oferty było naprawdę głupim posunięciem z pana strony.

- A więc rezygnuje pan z obrony, panie mecenasie?
- Niech pan nie gada głupstw. Myślę, że tak czy owak mamy szansę: tylko wyniki testu DNA podtrzymują obciążające pana poszlaki, więc jeżeli obalimy ten dowód, zawali się wszystko. Znalazłem już genetyka, który powtórzy wszystkie testy zgodności z profilem otrzymanym z plamy krwi na plecaku dziewczyny.
- Martini nie pokładał w tym wielkich nadziei.
- Słyszałem, że wystąpił pan w telewizji, żeby mówić o mnie i o mojej sprawie.
- Zabrzmiało to jak oskarżenie, ale Levi chyba się tym nie przejmował.
- Trzeba, żeby ludzie zapoznali się również z pana wersją. A że pan nie może być przy tym obecny, muszę to zrobić ja.
- Martini nie miał nic przeciwko temu, w gruncie rzeczy wynagrodzeniem jego prawnika była bezpłatna reklama.
- Kontaktował się pan z moją rodziną? – spytał. – Jak czują się moja żona i córka?
- Dobrze, ale dopóki pozostaje pan w odosobnieniu, nie mogą przyjechać i pana odwiedzić.
- Nie przyjechałyby tak czy owak, pomyślał Martini.
- Zobacz pan, kiedy rozpocznie się proces, obalimy oskarżenia i prawda wyjdzie na jaw.

* * *

Wyszedłszy z domu Beatrice Leman, Vogel kręcił się samochodem przez prawie całe popołudnie, jeżdżąc tylko bocznymi drogami wśród gór. Musiał się zastanowić, rozjaśnić myśli. Zamierzał wyjechać z Avechot już wiele dni temu, a tymczasem ciągle był tutaj, zmuszony zrobić coś, czego nie robił nigdy, i nie był pewien, czy da sobie radę.

Przeprowadzić dochodzenie.

Człowiek z Mgły pokrzyżował mu plany. A teraz być może go obserwował, kryjąc się bezpiecznie w mlecznym całunie. I śmiał się z niego.

Domniemany dziennik Anny Lou leżał na siedzeniu obok niego. Vogel jeszcze go nie otworzył, ponieważ nie był przekonany, czy będzie to właściwe posunięcie. Musiał najpierw ocenić wszystkie za i przeciw. Być może najlepszym rozwiązaniem byłoby go wyrzucić, a jeszcze lepiej spalić, nie zostawiając śladów, i zapomnieć o wszystkim. Może Człowiek z Mgły wcale nie zamierzał się pokazać, a jedynie chciał napędzić mu strachu? Może. Ale czy to by go usatysfakcjonowało? Prawdopodobnie przewidział również taką reakcję, pomyślał agent specjalny. Dlatego jeszcze nie zniszczył dowodu, który mógł uwolnić Martiniego. Przemknął mu też przez głowę pomysł, żeby wykorzystać ten pamiętnik i przypisać sobie zasługę wypuszczenia nauczyciela z więzienia, ale wówczas ktoś mógłby zadać

pytanie, czy przypadkiem nie sfałszował wyników śledztwa, tak jak to zrobił w przypadku Derga. Takie podejrzenie mogłoby położyć kres jego karierze. Nie dopuszczał nawet myśli o tym, że być może w więzieniu siedzi niewinny człowiek. Nie była to jego sprawa, już nie. Jeśli naprawdę czegoś się bał, to tego, że Człowiek z Mgły rzeczywiście po trzydziestu latach postanowił wrócić do działania. W takim przypadku same wydarzenia podważyłyby wyniki śledztwa Vogla, ponieważ po Annie Lou z pewnością przysłaby kolej na jakąś inną dziewczynę. Piegowatą i rudowłosą. Czyjąś córkę. Ale w oczach agenta specjalnego również to nie miało znaczenia. Musiał myśleć przede wszystkim o sobie. Nie chodziło o cynizm, ale o instynkt samozachowawczy.

Słońce nieuchronnie zaczęło zniżać się ku zachodowi.

Po prawie trzech godzinach jazdy kontrolka paliwa zmusiła Vogla do zatrzymania się. Zaparkował samochód na placu przed kopalnianymi zbiornikami dekantacyjnymi. Kiedy wysiadł, od razu poczuł w nosie pył, który wciągnął, biorąc głęboki wdech. Stał przed hałdami fluorytu. W zapadającym mroku minerał ten zaczynał wydawać zielonkawe odblaski, podobne do zorzy polarnej. Naokoło nie było żywej duszy. Zrobił kilka kroków, rozpiął rozporek i zaczął sikać w tej czarodziejskiej scenerii. W trakcie opróżniania pęcherza poczuł coś przypominającego lekkie klepięcie w ramię. Był to tylko owoc wyobraźni, mimo to odniósł wrażenie, że ktoś próbuje przyciągnąć jego uwagę.

Jakby z siedzenia samochodu przywoływał go leżący tam pamiętnik. Zdawał się mówić: Nie możesz mnie ignorować.

Zaspokoiwszy fizjologiczną potrzebę, wrócił do samochodu. Usiadł za kierownicą i sięgnął po książeczkę. Przyjrzał się jej z czcią, jakby była relikwią. Potem, pchnięty nagłym impulsem, chwycił małą kłódkę w kształcie serca i pociągnął, żeby ją wyrwać. Poczuł wzburzenie i napływające falami zimno i gorąco.

Otworzył dziennik na chybił trafił i natychmiast rozpoznał pismo Anny Lou Kastner.

– Ja pieprzę – mruknął. A potem zaczął czytać. Miał nadzieję, że znajdzie coś, co poprowadzi go znowu do Lorisa Martiniego. Cokolwiek, coś, co dowodziłoby, że to on, a nie Człowiek z Mgły jest zabójcą zaginionej dziewczyny. Oczywiście, nie do przyjęcia była myśl, że to nauczyciel mógł przesłać pamiętnik na adres Beatrice Leman. Wysłano go jednak w dniu zaginięcia, więc ktokolwiek to zrobił, nie zamierzał uwolnić od zarzutów Martiniego, który w tamtym okresie nie był nawet podejrzany. Nie, ta przesyłka musiała mieć inne znaczenie.

To był podpis.

Dlatego właśnie Vogel nie znalazł w nim nic, co łączyłoby Annę Lou z człowiekiem, który obecnie siedział w więzieniu. Sekret, którego dziewczyna starała się zazdrośnie strzec w swym pamiętniku, dotyczył czegoś innego.

Jedenasty sierpnia: spotkałam nad morzem bardzo przystojnego chłopca. Rozmawiałam z nim tylko kilka razy, ale myślę, że miał ochotę mnie pocałować. Nie doszło do tego jednak. Kto wie, czy zobaczymy się w przyszłym roku... Nazywa się Oliver, podoba mi się to imię. Postanowiłam pisać sobie codziennie długopisem jego pierwszą literę na lewej ręce, tej bliższej sercu. I będę to robić przez całą zimę, dopóki nie zobaczę się z nim w przyszłym roku. Będzie to moja tajemnica, zaklęcie, dzięki któremu spotkamy się znowu.

Vogel szybko przejrzał pozostałe kartki. Znalazł inne wpisy odnoszące się do tajemniczego Olivera, obiektu nieszkodliwych fantazji i pragnień, które już nigdy się nie urzeczywistnią.

„Oliver”, mruknął pod nosem, mając na myśli inicjał, który był teraz odciśnięty na ręce zwłok Anny Lou Kastner. Małe „O” napisane długopisem, ulegające unicestwieniu razem z nią, którego nikt nigdy już nie odkryje.

Jej tajemnica umarła razem z nią.

Ale w dzienniku było też coś innego. Vogel nie od razu zauważył złożoną karteczkę, która wysunęła się spomiędzy stron. Dopiero po chwili podniósł ją z dywanika pod siedzeniem. Rozprostował ją i spojrzawszy, domyślił się natychmiast, że to nie dziewczyna wsunęła ją do środka.

Nowym tropem w polowaniu na zabójcę była mapka.

22 stycznia
Trzydzieści dni po zaginięciu

Spędził bezsenną noc.

Położył mapkę na szafce nocnej koło łóżka i podciągnawszy puchową koldrę pod samą brodę, leżał nieruchomo, wpatrując się w sufit. Pytania i wątpliwości, które wypełniały mu głowę, nie pozwalały racjonalnie myśleć. Rozpoczęła się nowa rozgrywka, od udziału w której nie mógł się uchylić. Nie pozwoliłby mu na to Człowiek z Mgły. Dlatego pozostało mu do zrobienia tylko jedno.

Iść naprzód.

Vogel musiał przyjąć wyzwanie, chociaż obawiał się, że finał, który zaplanował zabójca, nie będzie dla niego przyjemny. Po raz pierwszy w swej karierze poczuł strach przed prawdą.

Okolo piątej nad ranem doszedł do wniosku, że ma dość hotelowego pokoju. Przyszedł moment na podjęcie działania. Jeśli chce się uratować, będzie to możliwe tylko wtedy, gdy uprzedzi wypadki. Tak więc odrzucił kokon z pościeli, w której się zaszył, i wstał z łóżka. Przed ubraniem się sprawdził służbowy pistolet, który już od lat nosił przy sobie wyłącznie na pokaz. W rzeczywistości nigdy nie oddał żadnego strzału, oprócz ćwiczeń na strzelnicy, i wątpił, czy udałoby mu się kogokolwiek trafić. Nie miał też pojęcia o konserwowaniu broni, żeby zapewnić jej skuteczne działanie; zazwyczaj powierzał to zadanie komuś z podwładnych. Wziął do ręki berettę, która wydała mu się nagle cięższa, co oczywiście było tylko złudzeniem wywołanym emocjami. Drżącą ręką sprawdził, czy magazynek jest załadowany i czy zamek przesuwają się swobodnie. Spokój, mruknął do siebie. Ubrał się, ale nie w elegancki garnitur, jak zwykle. Zdecydował się na gruby ciemny sweter oraz byle jakie spodnie, żeby czuć się swobodnie, i najwygodniejsze buty, jakie miał. Potem włożył płaszcz i wyszedł.

Prawie wszyscy dziennikarze opuścili Avechot. Pozostało tylko kilka ekip, żeby relacjonować ostatnie wydarzenia ze śledztwa, jednak nazwiska specjalnych wysłanników się zmieniły. Gwiazdorzy telewizyjnych ekranów wyjechali. Mimo to Vogel obawiał się, że jakiś poszukujący sensacji stażysta mógłby go zauważyć odjeżdżającego. Dlatego zachował wielką ostrożność. Bezustannie spoglądał w lustro wsteczne, żeby mieć pewność, że nikt za nim nie jedzie. Nie wypuszczał mapki z ręki, starając się poruszać we właściwym kierunku.

Miejsce, do którego zmierzał, zaznaczone było w samym środku mapki za pomocą czerwonej litery X. Były też inne wskazówki, więc poprzedniego wieczoru kupił nawet kompas w sklepie turystycznym. Starał się nie myśleć o tym, co zastanie u celu podróży. Był on położony na północny zachód od miasteczka,

w niezbyt nieprzystępnym rejonie, który został już kilka razy przeczesany przez ekipy poszukiwawcze, również w ostatnich dniach. Czemu więc niczego nie zauważono? Vogel doszedł do wniosku, że zadanie zostało źle wykonane. Tak naprawdę nikomu nie zależało na odnalezieniu Anny Lou Kastner. Winę za to ponosił tylko on, ponieważ powinien osobiście nadzorować wszelkie operacje, a tymczasem powierzył wszystkie ważne decyzje młodemu i niedoświadczonemu Borghiemu, żeby mieć wolny czas na zajmowanie się mediami.

Smugi czerwonego brzasku pokonały szczyty gór i zaczęły spływać w dolinę niczym rzeki krwi. Vogel dotarł w pobliże oznaczonego miejsca, na skraj lasu. Musiał zostawić samochód i iść dalej pieszo, przyświecając sobie latarką. Teren był lekko nachylony, dlatego agent ślizgał się na warstwie pokrywających ziemię liści. Chwytał się gałęzi, żeby nie upaść. Gdy przedzierał się przez zbity gąszcz zarośli, pęd jeżyny zadrapał mu lekko skroń. Vogel nawet tego nie zauważył. Co jakiś czas przystawał, żeby sprawdzić mapkę i wskazania kompasu. Musiał się spieszyć, zanim wzejdzie słońce. Niepokoiło go, że ktoś mógłby zauważyć jego obecność.

Wyszedł na małą polanę. Według mapy, dotarł w pobliże miejsca zaznaczonego czerwonym X. Gdyby w grę nie wchodziła jego kariera, a nawet życie, wziąłby to wszystko za jakiś żart. Ale przecież tak właśnie było. Człowiek z Mgły drwił sobie z niego. Dobrze, zobaczmy, co mi tu przygotowałeś, dupku.

Omiótł światłem latarki okolicę, ale nie znalazł nic niezwykłego. Zauważył coś dopiero wtedy, gdy poświecił w górę. Ktoś umieścił na gałęzi paczkę biszkoptów. Sprawa Derga, pomyślał natychmiast. Najwyraźniej Człowiek z Mgły dobrze znał jego słabe punkty. Vogel zdołał nawet pojąć ironię aluzji do Obcinacza Palców i do sfabrykowanego dowodu.

Co więcej, domyślił się, gdzie powinien kopać.

Uklęknął u stóp drzewa, włożył lateksowe rękawiczki i oczyścił teren z martwych liści. Potem zaczął usuwać wilgotną ziemię, nie zważając na to, że ubrudzi sobie ubranie. Nie zamierzał kopać zbyt głęboko, bo jeśli pod powierzchnią znajdowało się ciało Anny Lou Kastner, nie chciał go oglądać. Potrzebował tylko potwierdzenia. Jednak zagłębiwszy się w ziemię zaledwie na kilka centymetrów, wyczuł coś palcami. Jego oczom ukazał się kawałek nieprzezroczystej folii. Vogel wahał się przez chwilę, a potem chwycił go i pociągnął z całej siły.

Wydobył na powierzchnię pakunek dokładnie oklejony taśmą izolującą, tak by zawartość nie uległa zniszczeniu.

Obrócił go w rękach, próbując domyślić się, co może kryć. Potrząsnął nim koło ucha i usłyszał odgłos, przypominający dziecięcą grzechotkę. Bez względu na to, co dał mu w prezencie Człowiek z Mgły, to coś nie wydawało się częścią ludzkiego ciała. Skończmy z tym, mruknął ze złością, która teraz wzięła górę nad

strachem. Postanowił odwinąć paczkę. Trochę czasu zajęło mu usunięcie folii, ponieważ była bardzo starannie zaklejona. Gdy w końcu rozpoznał przedmiot, najgorsze obawy przybrały postać guli, która utknęła mu w gardle. I nie było w tym żadnej ironii.

Człowiek z Mgły zapragnął przekazać Voglowi – policjantowi z telewizji – prezent w postaci kasety wideo.

* * *

Odizolowanie wyostreza zmysły. Odkrył to w dniach tej wymuszonej samotności. Odmówiono mu możliwości czytania gazet czy oglądania telewizji, strażnicy zabrali mu nawet zegarek. Jednak po zapachu dochodzącym z kuchni był w stanie wyczuć, kiedy zaczynają przygotowywać posiłki, dzięki czemu wiedział, że zbliża się pora śniadania, obiadu lub kolacji. Cella przypominała rodzaj pułapki, wszystko, co do niej wchodziło, zostawało uwięzione – tak jak on. Rozpoznawał już także odgłosy więzienne. Dzwonienie pęku kluczy przydzielonych strażnikowi przy kracie w korytarzu komunikowało, że nocny dyżur się skończył i odbywa się przekazywanie obowiązków koledze z dyżuru porannego. Musiało być więc koło szóstej.

Ciężkie żelazne drzwi całkowicie zasłaniały świat poza celą, ale światło sącające się ze szpary nad progiem informowało go o wielu rzeczach. Gdy dostrzegł cienie poruszające się w jasnym tle, domyślił się, że niebawem ktoś wejdzie do celi. Podniósł się i czekał, aż klucz obróci się w zamku. Potem drzwi otworzyły się i w prostokącie światła ukazały się dwie postacie.

Byli to dwaj nieznani mu klawisze.

– Zabieraj swoje rzeczy – powiedział jeden z nich.

– Jak to, dokąd idziemy?

Nie otrzymał odpowiedzi. Zrobił, co mu polecono – zabrał koc, menażkę i łyżkę, które mu przydzielono, a także mydło, szampon i gąbkę, które kupił w kantynie – teraz był to cały jego majątek – po czym ruszył za strażnikami.

Przypuszczał, że chcą go po prostu przenieść do innej celi, tymczasem przeszli cały korytarz oddziału izolatek, aż do strzeżonej kraty. I tu – pierwsza dziwna rzecz – nie było żadnego wartownika. Przemierzyli kilka następnych korytarzy, potem wsiedli do windy i zjechali parę pięter w dół. Przez całą drogę nie napotkali żywej duszy – druga dziwna sprawa. Niemożliwością było, żeby wszyscy strażnicy jednocześnie opuścili swoje posterunki. Ponadto w celach panowała dziwna cisza. Zazwyczaj o tej godzinie więźniowie byli już na nogach i robili wielki hałas, domagając się śniadania. Martini pomyślał o minionej nocy. Nikt się nie starał wrzaskami i groźbami zakłócić mu snu. Trzecia dziwna okoliczność.

Dotarli do wyjścia bezpieczeństwa i tu, ujrzawszy na ścianie tabliczkę z napisem Blok F, Martini domyślił się, że wchodzi do części dla zwykłych

więźniów, i ogarnął go niepokój.

– Chwileczkę – powiedział. – Ja jestem więźniem specjalnym, muszę pozostawać w izolacji. Taki jest nakaz sędziego.

Strażnicy zignorowali jego słowa i popchnęli go do środka.

Przeraził się.

– Zrozumieliście, co powiedziałem? Nie możecie umieścić mnie z innymi. – Głos mu drżał. Jednak strażników nie interesowały jego protesty. Chwycili go energicznie za ręce.

Dotarli przed drzwi jakiejś celi. Jeden z klawiszy otworzył ją, podczas gdy drugi odwrócił się do więźnia.

– Zostanie pan tu przez jakiś czas, a my potem wrócimy po pana.

Martini zrobił niepewny krok do przodu. Za progiem było ciemno i nie widział, co albo kogo zastanie w środku.

– Dalej, wchodź – ponaglił go klawisz. Ton jego głosu był jednak uspokajający.

Przez głowę Martiniego przeleciała ulotna myśl. Był przekonany, że ci dwaj go nienawidzą, jak zresztą wszyscy w więzieniu. Ale dlaczego mieliby wyrządzać mu krzywdę? W odróżnieniu od więźniów, zobowiązani byli do przestrzegania prawa. Postanowił więc im zaufać i wszedł. Drzwi zamknęły się za jego plecami, on zaś stanął bez ruchu, czekając, aż jego wzrok przyzwyczai się do mroku. Wokół siebie słyszał jednak dziwne odgłosy – jakieś ciche szmery i szelesty.

Odizolowanie wyostrza zmysły. Domyślił się, że nie jest sam.

Kiedy otrzymał pierwszy cios w twarz, od razu stracił równowagę. Rzeczy, które trzymał w rękach, upadły na podłogę razem z nim. Potem spadła na niego seria ciosów i kopniaków dochodzących ze wszystkich stron. Próbował osłonić się rękami, ale nie był w stanie uniknąć kolejnych ciosów. Poczł smak krwi i pieczenie ran na twarzy. Miał połamane żebra i brakowało mu tchu. Ale po krótkim czasie przestał już czuć cokolwiek. Stał się bezkształtną masą leżącą bezwładnie na podłodze.

Żywym trupem.

Nie czuł już bólu, tylko zmęczenie. Umysł poddał się wcześniej niż ciało i zapadł w coś w rodzaju odrętwienia. Tylko ręce nadal wytrwale stawiały daremny opór. Oczy zaszły mu mgłą. Kiedy wszystko zaczęło znikać, w jego pole widzenia wdarło się pochodzące gdzieś z tyłu światło. Poczł, że chwytają go mocno i wyciągają na zewnątrz, poza próg celi. Był uratowany, ale tylko tymczasowo. Gdyż tak naprawdę nie było już dla niego ratunku.

Potem stracił przytomność.

* * *

Zaszył się w szkolnym magazynku, gdzie trzymano odtwarzacze wideo ze

starego szkolnego monitoringu. Mrok rozjaśniał tylko blask monitora, który odbijał się na twarzy Vogla, tworząc cienistą maskę.

Agent specjalny wsunął kasetę w szczelinę odtwarzacza, która połknęła ją pod lekkim naciskiem. Przez chwilę przysłuchiwał się dźwiękom wydawanym przez mechanizm, który zazębiał się z kółkami taśmy i zaczynał napinać ją na szpulach. Potem zaczął się film.

Z początku na ekranie widać było tylko szary pył ładunków statycznych wytwarzających głośny i nieprzyjemny szum. Vogel przyciszył odtwarzacz, ponieważ nie chciał, żeby ktokolwiek na zewnątrz coś usłyszał. Minęło kilka sekund, potem obraz nagle się zmienił.

Wąski strumień światła przesunął się po matowej powierzchni. Widać było brudne i poszczerbione kafelki. W tle odezwało się stukanie w mikrofon kamery. Filmujący starał się jak najlepiej ustawić urządzenie. Potem obraz przesunął się po ścianie i zatrzymał na lustrze. Ostro zaślniła lampka umieszczona nad obiektywem. W jej blasku pokazała się tylko dłoń operatora w czarnej rękawiczce. Po chwili usunęła się na bok, aby odsłonić jego twarz. Miał na głowie kominiarkę. Jediną ludzką rzeczą były jego oczy – dalekie, nieprzeniknione. Puste.

Człowiek z Mgły, pomyślał Vogel. Oczekiwał, że osobnik ten powie coś lub zrobi, ale on po prostu tam tkwił. Bez najmniejszego ruchu. Słysząc było tylko jego spokojny i regularny oddech, który ginął w echu rozchodzącym się po małej łazience, w której się znajdował. Co to mogło być za miejsce? I dlaczego postanowił mu je pokazać? Agent specjalny pochylił się w kierunku ekranu, żeby lepiej widzieć, i zauważył za plecami osobnika wiszący na haczyku wytarty ręcznik.

A na nim dwa małe zielone trójkąty, nachodzące na siebie.

Vogel próbował rozszyfrować sens tego symbolu, kiedy człowiek na ekranie uniósł rękę, w której nie trzymał kamery wideo. I na palcach w rękawiczce odliczył kolejno:

Trzy... dwa... jeden...

Potem obiektyw przesunął się nagle w bok. Twarz w kominiarce znikła wraz z lustrem, a w jej miejsce ukazała się jasna plama na nieostrych tle. Operator potrzebował chwilę na wyostrenie obrazu.

W tym momencie Vogel ją zobaczył. I cofnął się gwałtownie na krześle.

Za progiem łazienki znajdowało się pomieszczenie – pokój opuszczonego hotelu. W jednym z jego rogów widać było drobną postać siedzącą w nogach wybrudzonego materaca. W świetle lampy umieszczonej na kamerze wyglądała tak, jakby spowijała ją jasna aura pośrodku mroku, który groźnie wisiał wokół niej. Siedziała z pochylonymi plecami i opuszczonymi rękami, w postawie mówiącej o pogodzeniu się z losem. Dziewczyna miała bardzo jasną cerę. Była tylko w zielonych majtkach i białym biustonoszu na niemal płaskiej klatce piersiowej.

Intymna bielizna dziewczyny. Obiektyw kamery skupił się na niej. Miała rude włosy; potargane loki opadały jej na twarz. Widać było tylko jej półotwarte usta i strużkę śliny sączącej się z jednego kącika. Za każdym razem, gdy brała oddech, szczupłe łopatki unosiły się i powoli opadały. Wychodzące z jej ust powietrze przy każdym oddechu z powodu zimna zamieniało się w parę, ale nie drżała. Sprawiała wrażenie, jakby niczego już nie czuła.

Anna Lou Kastner wydawała się prawie nieprzytomna, być może odurzona jakąś substancją. Vogel rozpoznał ją tylko po kółku narysowanym na lewym przedramieniu. Małym „O” oznaczającym Olivera, chłopaka spotkanego latem, kiedy odkryła miłość. Była to jej mała tajemnica, którą powierzyła tylko swojemu prawdziwemu dziennikowi.

Bezlitosna kamera wideo długo koncentrowała się na niej. Potem dziewczynka uniosła lekko głowę, jakby chciała coś powiedzieć. Agent specjalny czekał, ale bał się usłyszeć jej głos. W chwili gdy zaczęła krzyczeć, nagranie nagle się urwało.

* * *

Najpierw zniszczył kasetę wideo. Wrzucił ją do szkolnego kotła na olej opałowy i dopilnował, żeby taśma spaliła się całkowicie. Nie mógł narażać się na to, że ktoś ją u niego znajdzie. Vogel pogrążył się w paranoicznym strachu.

Miał się już pozbyć również dziennika Anny Lou, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Beatrice Lemman mogła zeznać, że mu go dała, zatem zniszczenie także tego dowodu nie było dobrym pomysłem. A zresztą, nie zawierał on informacji, które mogły go skompromitować. Postanowił go więc zatrzymać, ale ukrył w jednej z szafek w szatni, która ciągle służyła mu za biuro.

Następnie przystąpił do poszukiwań w internecie. Musiał ustalić porzucony hotel, w którym wykonano nagranie. Był pewien, że wideo miało go do tego zachęcić. Gdyby w oglądanym pomieszczeniu odnalazł ciało Anny Lou Kastner, mógł się postarać, by w miejscu zbrodni znalazło się coś, co obciążałoby nauczyciela.

Miał już pewność, że tego właśnie chciał Człowiek z Mgły.

Gdyby było inaczej, to dlaczego miałby go prowadzić do odkrycia prawdy? W jakim celu miałby demonstrować mu wideo z dziewczyną? Gdyby chciał po prostu przypisać sobie odpowiedzialność za porwanie, wysłałby je mediom, a nie jemu.

Wędrując po sieci, Vogel rozglądał się za starymi obiektami turystycznymi w Avechot, skupiając się przede wszystkim na tych, które przestały działać po uruchomieniu kopalni, co spowodowało odpływ turystów. Niektóre z nich miały jeszcze swoje strony w internecie. Nie dysponował wieloma szczegółami. Ale najważniejszym z nich były dwa małe połączone trójkąciki. I właśnie dzięki temu

symbolowi odnalazł dawny hotel.

* * *

Trójkąty przedstawiały dwie stylizowane sosny na prawie całkowicie zardzewiałym szyldzie.

Vogel dotarł przed bramę prowadzącą do parku otaczającego budynek. Minęła dziewiętnasta i w okolicy nie było nikogo, również dlatego, że hotel znajdował się w odizolowanym miejscu, daleko od Avechot.

Zauważył, że brama nie jest zamknięta, toteż popchnął jej skrzydła i wjechał na teren hotelu. Następnie wysiadł i przymknął bramę. Przejechał krótką alejkę ze zgaszonymi światłami i zaparkował pod portykiem, żeby ukryć auto przed wzrokiem jakichś postronnych osób.

Hotel miał cztery kondygnacje. Okna pokoi były zabite deskami, ale deski na drzwiach wejściowych zostały po części usunięte. Wślizgnął się do środka przez wąską szczelinę i dopiero wtedy zapalił latarkę.

Widok był przygnębiający. Mimo że hotel nie działał zaledwie od pięciu lat, wydawało się, minęło ich co najmniej pięćdziesiąt. Tak jakby przetoczył się tędy jakiś kataklizm zwiastujący zagładę ludzkości. Nie było prawie żadnego wyposażenia. W mroku sterczały zardzewiałe szkielety starych kanap. Ściany zaatakował grzyb, pokrywając je zielonkawą patyną, po której ściekały strumyki gęstej żółtawej wody. Podłoga była pokryta płatami tynku i zapleśniałego drewna. Nad wszystkim unosił się zapach zgnilizny. Vogel minął pozostałości recepcji, za którą znajdowała się tablica z kluczami, i znalazł się u stóp betonowych schodów, niegdyś pewnie przykrytych eleganckim dywanem. Jego bordowe strzępy pokrywały jeszcze kilka stopni.

Zaczął na nie wchodzić.

Dotarłszy na pierwsze piętro, znalazł się przed tabliczką informującą o numerach pokoi w korytarzach po prawej i lewej stronie – od 101 do 125 i od 126 do 150. Powinien zbadać cztery piętra, więc od razu pomyślał, że pokoi jest zbyt dużo, żeby natychmiast trafić na ten właściwy. Nie chciał jednak zatrzymywać się w tym miejscu dłużej, niż to było konieczne. W tym momencie przypomniał sobie inny szczegół nagrania, który aż dotąd nie przykuł jego uwagi. Przed pokazaniem Anny Lou Człowiek z Mgły pokazał na palcach coś w rodzaju wyliczanki w odwrotnym kierunku.

Trzy... dwa... jeden...

W rzeczywistości chodziło o coś innego. Nie była to teatralna sztuczka, jeszcze jeden żart maniaka. Ten typ w kominiarce wskazywał mu, gdzie znajduje się wraz z Anną Lou.

Pokój trzysta dwadzieścia jeden był na trzecim piętrze, w głębi korytarza po lewej stronie. Vogel stał bez ruchu na progu i świecił latarką do środka. Smuga

światła omiatała wnętrze i w końcu zatrzymała się w rogu, na podartym materacu, na którym na filmie siedziała Anna Lou.

W pokoju nie było jednak zwłok – ani nawet ich zapachu.

Nie było też śladów, że w ogóle ktoś tu wcześniej był. O co tutaj chodzi? – zadał sobie pytanie agent specjalny, a po chwili zauważył, że drzwi do łazienki są zamknięte. Podszedł bliżej i położył rękę na futrynie, jakby ten gest miał mu pozwolić coś wyczuć, być może energię śmierci i rozkładu. To za progiem tych drzwi porywacz ustawił kamerę, żeby nakręcić makabryczne wideo.

Chce, żebym je otworzył, mruknął do siebie Vogel. W jego głowie rozkazy wydawał już Człowiek z Mgły.

Agent specjalny ujął klamkę i zaczął powoli naciskać, aż usłyszał odgłos odskakującego zamka. A potem otworzył drzwi na oścież.

Zalało go oślepiające światło.

Przypominało to eksplozję, ale nie było żaru, tylko bardzo jasna fala uderzeniowa, który go odepchnęła.

– Masz go? Nie spuszcza go z oka – odezwał się żeński głos.

– Tak, mam go! – odpowiedział jej ktoś inny.

Vogel cofnął się jeszcze bardziej, unosząc rękę, żeby osłonić oczy. W ostrym blasku dostrzegł mężczyznę z kamerą telewizyjną, a za jego plecami drugą postać, która wyciągnęła rękę i podsunęła mu coś pod brodę.

Mikrofon.

– Panie agencie specjalny, jak wytłumaczy pan swoją obecność w tym miejscu? – spytała Stella Honer, nie dając mu wytchnąć.

Zmieszany, nadal się cofał.

Dziennikarka ponagliła go.

– Nasza sieć otrzymała nagranie, na którym widać Annę Lou z porywaczem. Wiedział pan, że dziewczyna przebywała w tym hotelu?

Vogel omal nie przewrócił się na brudny materac, ale zdołał utrzymać równowagę.

– Zostawcie mnie w spokoju! – wrzasnął.

– Jak pan natrafił na tę informację i dlaczego nie wspomniał pan o niej?

– Ja... ja... – zaczął się jąkać Vogel, próbując zyskać na czasie. Ale nic nie przyszło mu na myśl. Nawet to, żeby powołać się na swoją funkcję urzędnika publicznego i zadać im pytanie, co tu robią. – Zostawcie mnie w spokoju! – wrzasnął znowu, nie będąc w stanie uwierzyć, że słyszy własny głos, taki niepewny, skrzekliwy i drżący.

Dokładnie w tym samym momencie Vogel zrozumiał, że jego kariera nieodwołalnie się skończyła.

23 lutego
Sześćdziesiąt dwa dni po zaginięciu

W środku nocy, podczas której wszystko zmieniło się na zawsze, Flores przyglądał się Voglowi, który chodził po pokoju, przyglądając się po kolei wypreparowanym rybom na ścianach.

– Wie pan, doktorze, że wszystkie pańskie ryby są do siebie podobne?

Flores uśmiechnął się.

– W rzeczywistości to jedna i ta sama ryba – powiedział.

Vogel odwrócił się z niedowierzaniem w jego stronę.

– Ta sama?

– *Oncorhynchus mykiss* – powtórzył jeszcze raz psychiatra. – Są to wyłącznie okazy pstrąga tęczowego. Różnią się tylko odcieniem i kształtem.

– Ma pan na myśli to, że kolekcjonuje pan wyłącznie ten gatunek?

– Wiem, że to trochę dziwne.

Voglowi nie trafiało to do przekonania.

– Dlaczego?

– Mógłbym panu powiedzieć, że jest to gatunek fascynujący, trudny do złowienia... ale nie byłoby to zgodne z prawdą. Mówiłem już panu o moim zawale. No cóż, kiedy przydarzył mi się ten atak, byłem sam nad górskim jeziorem. Chwilę wcześniej coś połknęło haczyk i wyciągałem zdobycz, wkładając w to wszystkie siły. – Flores zilustrował to nawet odpowiednim gestem. – Wziąłem ostry ból w lewym ramieniu za skurcz spowodowany wysiłkiem, ale nie popuściłem. Kiedy ból rozszedł się po klatce piersiowej, aż do mostka, pojąłem, że dzieje się coś złego. Upadłem na plecy i niemal straciłem przytomność. Pamiętam tylko, że obok mnie, na trawie, leżała ta ogromna ryba, która wlepiła we mnie wzrok, z trudem łapiąc powietrze. Umieraliśmy, i ona, i ja. – Roześmiał się. – Nie sądzi pan, że to głupie? Byłem młody, miałem zaledwie trzydzieści dwa lata, ale także ta ryba była w pełni swych sił życiowych. Dzięki resztkom oddechu, jakie mi pozostały, zdołałem zawołać o pomoc. Na moje szczęście niedaleko przechodził właśnie strażnik leśny. – Flores wskazał miejsce na ścianie. – To jest tamten pstrąg.

– A jaki morał miałby wynikać z tej historii?

– Żaden – przyznał psychiatra. – Tylko że od tamtej pory, za każdym razem, gdy złowię pstrąga z gatunku *Oncorhynchus mykiss*, wędruje on na te ściany. Wypycham je osobiście. Mam w domu małą pracownię, na dole w suterenie.

Vogel wydawał się rozbawiony.

– Jeśli o mnie chodzi, to powinienem wypchać Stellę Honer. Ta wstrętna jędrza wystrychnęła mnie na dudka. Powinienem był się domyślić, że porywacz

Anny Lou wciągnął w sprawę nie tylko mnie...

Flores zrobił znowu poważną minę.

– Myślę, że pańska obecność tej nocy w Avechot nie jest przypadkowa. Przejadkowy jest tylko pański wypadek: uciekał pan przed czymś, no i wypadł pan z drogi.

– To bardzo interesująca hipoteza – przyznał Vogel. – Ale przed czym dokładnie miałbym uciekać?

Flores zagłębił się w fotelu.

– Nie jest prawdą, że jest pan w szoku. Nie jest także prawdą, że stracił pan pamięć... Pamięta pan wszystko, nie mylę się?

Vogel usiadł znowu i przeciągnął dłonią po kaszmirowym płaszczu, głaszcząc materiał, jakby chciał sprawdzić jego miękkość.

– Musiałem stracić wszystko, żeby narodziła się we mnie pewna głębsza myśl. Przynajmniej raz myślałem nie tylko o własnej korzyści.

– Cóż to za refleksja, że na zawsze zmieniła pański sposób odczuwania?

– Mała literka „O” narysowana długopisem na lewej ręce. – Vogel zilustrował to gestem. – Kiedy czytałem po raz pierwszy linijki, które o tym mówią na jednej ze stron dziennika Anny Lou, nie pomyślałem o biednym Oliverze. Przypomniał mi się później.

– O biednym Oliverze?

– Tak, ponieważ chłopak, któremu zabrakło odwagi, żeby pocałować ją tamtego lata, coś utracił. Również on, podobnie jak wszyscy inni, rodzina i ludzie, którzy znali tę dziewczynę. Ale w odróżnieniu od nich, on o tym nie wie i nigdy się nie dowie... Być może Anna Lou nie żyje, ale wraz z nią umarły też dzieci, których nie będzie miała, a także wnuki i wszystkie pokolenia, które nigdy nie będą istnieć. Wszystkie te uwięzione w nicości dusze zasługiwały na coś lepszego... przynajmniej na zemstę.

Flores wyczuł, że nadeszła chwila prawdy.

– Do kogo należy krew, która znajduje się na pańskich ubraniach, panie Vogel?

Agent specjalny uniósł głowę i uśmiechnął się w sposób niedwuznaczny.

– Wiem, kto to jest – powiedział z błyskiem w oku. – Dzisiejszej nocy zabiłem ludzką bestię.

31 stycznia
Trzydzieści dziewięć dni po zaginięciu

Uwolnienie z więzienia nie nastąpiło natychmiast.

Po sensacyjnych doniesieniach Stelli Honer Martini musiał odsiedzieć w więzieniu jeszcze dziesięć dni. Czas ten był potrzebny władzom na przeprowadzenie wszelkich niezbędnych czynności, dzięki którym ustalono, że sprawcą porwania, a prawdopodobnie również zamordowania Anny Lou Kastner jest seryjny zabójca zdradzający zamięłowanie do rudych dziewczynek, który wrócił na scenę po niewytłumaczalnej trzydziestoletniej przerwie.

Człowiek z Mgły.

Określenie przypisane mu przez Beatrice Leman natychmiast spodobało się mediom, które zaczęły je stosować po powrocie do sprawy na pierwsze strony gazet i programów informacyjnych. Ów punkt zwrotny odbił się szerokim echem, a publiczność wciąż była nienasycona.

Martini spędził te dziesięć dni w stanie prawie kompletnego zubożenia, w szpitalnym łóżku. Oficjalny pretekst, na podstawie którego jeszcze go nie uwolniono, związany był ze stanem jego zdrowia; w rzeczywistości – i on dobrze o tym wiedział – władze miały nadzieję, że ślady po pobiciu w więzieniu znikną, zanim nauczyciel pokaże się publicznie. Mógł zrozumieć ich argumenty, bo przecież Levi zagroził już przed kamerami telewizyjnymi, że oskarży dyrektora zakładu karnego i wciągnie do tej skandalicznej sprawy nawet ministra.

Kiedy powiedziano Martiniemu, żeby przygotował swoje rzeczy, ponieważ przybędą po niego członkowie rodziny, trudno mu było w to uwierzyć. Podniósł się z wysiłkiem i zaczął upychać powoli swój dobytek do otwartej torby leżącej na łóżku. Na prawym przedramieniu miał gips, nadal bolały go żebra i był ściśle opasany bandażami, toteż co jakiś czas brakowało mu powietrza i musiał odpocząć. Lewe oko otaczał fioletowy krwiak sięgający policzka, gdzie przybierał już żółtawe odcienie. Podobne sińce pokrywały mu całe ciało, ale większość z nich już zniknęła. Rozbita górna warga wymagała zszycia w kilku miejscach. Natomiast rana na lewej dłoni, którą zrobił sobie w dniu zaginięcia Anny Lou, zagoiła się całkowicie.

Około jedenastej powiedziano mu, że dyrektor podpisał już nakaz zwolnienia wydany przez prokurator Mayer, i w związku z tym może opuścić więzienie. Martini poruszał się, pomagając sobie kulą, więc jego torbę wziął strażnik i poprowadził go korytarzami aż do sali, w której więźniowie spotykali się z odwiedzającymi. Droga ciągnęła się w nieskończoność.

Kiedy otworzyły się drzwi, Martini zobaczył żonę i córkę, które trzęsły się z przejęcia. Ale uśmiechy wzruszenia na ich twarzach prędko ustąpiły konsternacji.

Obecny przy tym adwokat Levi próbował je wprowadzić uprzedzić, co zobaczą, lecz kiedy ujrzały Martiniego z bliska, okazało się, że wszystko wygląda inaczej. Nikt nie zdołałby przygotować ich na coś takiego. Nie chodziło tylko o widok kuli i tej siennej maski na jego twarzy, aby ich entuzjazm ulotnił się bez śladu, ale o uświadomienie sobie, że mają przed sobą innego człowieka od tego, jakiego znały. Człowieka, który stracił przeszło dwadzieścia kilogramów, miał zapadniętą twarz i obwisłą skórę pod brodą, chociaż starał się ukryć to pod rzadkim i szpeceniastym zarostem. Ten czterdziestotrzyletni mężczyzna wyglądał jak starzec.

Martini kuśtykał w ich kierunku, starając się przybrać swój najlepszy uśmiech. W końcu Clea i Monica wyszły wreszcie z szoku i pobięły mu naprzeciw. Obejmowali się długo, popłakując w milczeniu. Podczas gdy one chowały głowy na jego piersi, on całował obie swoje kobiety i głaskał ich włosy.

– Skończyło się – powiedział bardziej do siebie, ponieważ ciągle w to nie wierzył.

A potem Clea spojrzała mu w oczy i oboje poczuli się tak, jakby rozpoznawali się po długim czasie. Zrozumiał sens tego spojrzenia. Prosiła go o wybaczenie, że zostawiła go samego, że nie trwała przy nim w najgorszym momencie, a przede wszystkim, że w niego zwątpiła. Martini odpowiedział jej skinieniem głową i to wystarczyło, aby oboje uznali, że wszystko zostało wybaczone.

– Jedziemy do domu – powiedział.

* * *

Wsiedli do mercedesa Leviego. Adwokat zajął miejsce z przodu obok kierowcy, oni zaś całą trójką usiedli na tylnym siedzeniu. Udało się im uniknąć reporterów tłoczących się przed więzieniem, ponieważ wyjechali boczną bramą. Gdy jednak samochód z przyciemnionymi szybami dotarł do uliczki przed domem, napotkali tam mnóstwo mikrofonów i kamer telewizyjnych. Był też spory tłumek ciekawskich.

Martini dostrzegł na twarzach Clei i Moniki strach, że to obłędzenie przybierze takie same rozmiary jak przedtem, uniemożliwiając im normalne życie. Ale Levi uspokoił je, odwracając się w ich stronę.

– Od tej pory będzie inaczej. Popatrzcie...

I rzeczywiście, gdy tylko tłum zobaczył, że mercedes skręca w podjazd, rozległo się coraz głośniejsze klaskanie. Kilka osób wydało też głośne okrzyki dla dodania ducha.

Jako pierwszy wysiadł Levi i otworzył tylne drzwi, aby rodzina Martinich, w końcu połączona i szczęśliwa, mogła wystawić się na aparaty fotografów i kamerzystów. Jako druga wysiadła z samochodu Clea, potem przyszła kolej na

Monicę, a w końcu na Lorisa Martiniego. Wszyscy troje poczuli się zagubieni w rosnących brawach i okrzykach, ponieważ zupełnie się tego nie spodziewali.

Martini rozejrzył się. Podczas gdy flesze błyskały i gasły na jego wymęczonej twarzy, rozpoznawał licznych sąsiadów. Wykrzykiwali jego imię i pozdrawiali go. Byli też w komplecie państwo Odevisowie. Ojciec rodziny, który zaledwie kilka tygodni wcześniej oczernił go w telewizji, teraz starał się przyciągnąć jego uwagę, gotów powitać go jak najserdeczniej. Martini nie myślał o hipokryzji tego widowiska, wołał pokazać, że nie żywi urazy, i uniósł rękę, żeby podziękować obecnym.

Przekroczywszy próg domu, natychmiast skierował się w stronę kanapy. Był zmęczony, bolały go nogi i potrzebował usiąść. Monica podała mu rękę, podtrzymując go z boku. Pomogła mu się usadowić, potem podsunęła pod stopy ojca składane krzeselko i zdjęła mu buty. Był to gest zdradzający najwyższą czułość, jakiego nigdy by się po niej nie spodziewał.

– Masz ochotę na coś? Na herbatę, kanapkę?

Martini pogłaskał ją po policzku.

– Dziękuję, skarbie, niczego nie potrzebuję.

Natomiast Clea przyjęła bardziej władczą postawę.

– Zaraz przygotuję obiad. Zje pan z nami, prawda, panie mecenasie?

– Z przyjemnością – odparł Levi, który miał świadomość, że nie może odrzucić zaproszenia. Kobieta udała się do kuchni, on zaś odwrócił się do swojego klienta. – Po obiedzie my dwaj musimy omówić ważne rzeczy... – Mrugnął porozumiewawczo.

Martini wiedział już, na jaki temat adwokat zamierza wygłosić mu mówkę.

– Zgoda – odparł.

* * *

Od wielu już dni tkwił unieruchomiony w tym przeklętym pokoju hotelowym w Avechot. Musiał rozpakować bagaże i pozostać „do dyspozycji władz”. Formułka wybrana przez panią Mayer mogła oznaczać wszystko i nic. Nie mieli podstaw, żeby go aresztować, ponieważ śledztwo w jego sprawie jeszcze trwało, ale jednocześnie nie mógł stąd wyjechać, gdyż pani prokurator w każdej chwili mogła potrzebować jakiegoś wyjaśnienia albo zarządzić przesłuchanie go. Vogel nie obawiał się, że sytuacja ulegnie nagłemu pogorszeniu. Sfałszowanie dowodu, jakim obciążył nauczyciela, na razie było tylko hipotezą trudną do udowodnienia. Oficjalna wersja mówiła ogólnie o przypadkowym zanieczyszczeniu dowodów. Ale, w połączeniu ze sprawą Derga, epizod ten definitywnie kończył jego karierę w policji.

Chodząc nerwowo po małym pokoju tam i z powrotem między łazienką i łóżkiem, Vogel przyjął założenie, że go nie wyrzucą: powinni zachęcić go, żeby

sam złożył dymisję, również dla zatuszowania skandalu, jaki zwał się na policyjną górę. Jego wydalenie mogłoby się odbyć później bez rozgłosu, jako odejście z „powodów osobistych”. W tym sensie Człowiek z Mgły wyciągał do niego rękę. Uwaga mediów i opinii publicznej była już zwrócona tylko na niego, odsuwając resztę na dalszy plan. Agent specjalny musiał więc tylko okazać się dość sprytny i wynegocjować warunki swojego zejścia ze sceny.

Ale to mu nie wystarczało.

Nie mógł pogodzić się z tym, że pozbędą się go w taki sposób. Przez lata rozwiązywał kryminalne sprawy, które dziennikarze opatrywali w swych reportażach wielkimi tytułami, całymi latami jego zwierzchnicy odnosili korzyści z jego pracy. Pozowali obok niego do zdjęć na kończących śledztwa konferencjach prasowych, przywłaszczając sobie część zasług i posługując się nimi w robieniu kariery. Dupki. Gdzie się podziali teraz, kiedy potrzebował ich pomocy? Gdzie się pochowali, gdy trzeba było ratować mu tyłek?

Powodem jego wielkiego poirytowania była konferencja prasowa zwołana poprzedniego wieczoru przez prokurator Mayer, transmitowana przez wszystkie sieci telewizyjne.

– Od tej chwili działania śledcze będą prowadzone bardziej energicznie – powiedziała ta sama kobieta, która wcześniej unikała pokazywania się w telewizji. – Mamy nowy trop i oddamy sprawiedliwość także tamtym sześciu dziewczynom zaginionym przed laty – obiecała, wiedząc, że po trzech dekadach będzie to właściwie niemożliwe.

Gdy ktoś zapytał, czy policja ruszy teraz w pościg za Człowiekiem z Mgły, odpowiedział ten niewdzięcznik Borghi.

– Wy, dziennikarze, lubicie nadawać sugestywne imiona, żeby pobudzić fantazję publiczności. Ja wolę sobie wyobrazić, że ma on jakąś twarz, jakąś tożsamość i że nie wygląda po prostu jak potwór w ludzkiej skórze. Schwytamy go tylko dzięki takiemu podejściu. – Ten chłopak potrafił prędko się przystosować, przemknęło przez głowę Vogla. Być może go nie docenił. Potrzebujesz jeszcze, żeby mama wycierała ci nos, pomyślał. Nigdy nie zdołasz znieść tej presji.

Ale tym, co doprowadziło go do prawdziwej furii, była aura świętości, jaką teraz owiany był nauczyciel. Przejście od bestii do „ofiary systemu” nastąpiło niemal natychmiast. Również dlatego, że media miały wiele na sumieniu, istniało nawet ryzyko, że będą pozwane do sądu za szkody moralne i narażenie na szwank opinii Martiniego. Reporterzy, którzy tygodniami go linczowali, teraz mieli pretensje do Vogla. I właśnie dlatego agent specjalny nie mógł się ruszyć z tego przekłętego hotelowego pokoju. Na dworze czekała na niego horda dziennikarzy tylko po to, żeby go dręczyć.

Ale nie wyjdę z tej sprawy w milczeniu i z pochyloną głową, powiedział sobie. Zastanawiał się już nad jakimś innym wyjściem, bardziej honorowym,

a przede wszystkim bardziej dla niego korzystnym. Gdyby naprawdę miał to być jego koniec, w takim razie postanowił wykroić dla siebie jak najwięcej. A zarobione pieniądze zaspokoilyby przynajmniej częściowo frustrację i zaleczyły ranę zadaną jego godności. Tak, to jest dobry pomysł.

Musiał tylko odzyskać pewien mały przedmiot.

* * *

Po obiedzie Martini stwierdził, że czuje się bardzo zmęczony. Przeprosił więc Cleę, Monicę i Leviego i ruszył schodami na górę, żeby odpocząć. Spał prawie pięć godzin i po przebudzeniu miał nadzieję, że adwokat już sobie poszedł. Nie był jeszcze gotów do rozmowy, jaką tamten chciał z nim odbyć. Ale gdy zszedł do salonu, zobaczył, że prawnik ciągle tu jest. Na dworze było już od dawna ciemno, a Levi siedział na kanapie obok Clei. Oboje trzymali filiżanki parującej herbaty, rozmawiając. Gdy zobaczyli go u szczytu schodów, żona podniosła się, żeby podejść i mu pomóc. Podprowadziła go do fotela.

– Byłem pewien, że będzie pan spał do jutra rana – powiedział Levi, prezentując swój zwykły uśmiech.

– Pan nigdy nie daje za wygraną, prawda? – odparł Martini, który wyczuł jego grę.

– Na tym polega moja praca.

– Dobrze, w takim razie proszę podzielić się ze mną tym, co ma mi pan do powiedzenia, i zakończmy sprawę.

– Chciałbym, żeby obecna była przy tym cała rodzina, jeśli to możliwe – powiedział Levi.

– Dlaczego?

– Ponieważ wiem już, że trudno będzie zmusić pana do racjonalnego myślenia, a ja potrzebuję maksymalnego wsparcia.

Martini prychnął. Ale Clea ujęła go za rękę.

– Pójdę zawołać Monicę – rzuciła.

Niedługo potem wszyscy zebrali się w salonie.

– Dobrze – zaczął swoje wywody adwokat. – Teraz, kiedy obecni są wszyscy zainteresowani, mogę panu powiedzieć, że jest pan idiotą.

Zaskoczony Martini roześmiał się.

– Nie uważa pan, że już wystarczająco obrzucono mnie obelgami?

– Cóż, ujmijmy to tak: ta ostatnia z pewnością najbardziej odpowiada rzeczywistości.

– A czemuż to?

Levi założył nogę na nogę i odstawił filiżankę z herbatą na stolik.

– Tamci ludzie mają dług wobec pana – oświadczył, wskazując za okno. – Próbowali zrujnować panu życie i, jak widzę, prawie się im to udało.

– Co powinienem zrobić?

– Na początek podać do sądu więzienie za wyrządzone panu krzywdy. A także ministerstwo. A potem zażądać olbrzymiego odszkodowania za to, w jaki sposób policja prowadziła śledztwo przeciwko panu.

– W końcu uzyskałem jednak sprawiedliwość, prawda?

Levi nie słuchał go jednak i ciągnął:

– To jeszcze nie wszystko. Media ponoszą odpowiedzialność za to, co się wydarzyło, co najmniej w takim samym stopniu, jak policja. Przeprowadziły proces poza salą sądową, a co gorsza, wydały wyrok, nie dając panu możliwości obrony. One również muszą za to zapłacić.

– Ale w jaki sposób? – spytał sceptycznie nastawiony Martini. – Zasłonią się prawem prasowym i wyjdą z tego cało. To bez sensu.

– Ale muszą ratować twarz w oczach publiczności, bo inaczej narażą się na utratę wiarygodności. A w rezultacie na utratę widzów, słuchaczy i czytelników. Poza tym ludzie chcą usłyszeć pańską wersję, świętować razem z panem wyjście na wolność... A również przypochlebić się panu.

– Miałbym prosić o występ w telewizji, żeby naprawić swój wizerunek?

Levi pokręcił głową.

– Nie. Musi pan kazać im za to zapłacić, tylko w ten sposób zostanie pan naprawdę wynagrodzony.

– Musiałbym sprzedawać wywiady najlepszemu oferentowi... A jak by to o mnie świadczyło? – Głos Martiniego był przejęty grozą. – Już kiedyś powiedziałem Stelli Honer, że nie będę czerpał korzyści z tragedii państwa Kastnerów.

– Nie będzie to czerpanie korzyści z tragedii tej dziewczyny – odparł Levi. – Jeśli w ogóle, będzie pan czerpał korzyści z własnego dramatu.

– Wychodzi na jedno i to samo. A ja chcę tylko zapomnieć o tej historii. I żeby zapomniano o mnie.

Levi odwrócił wzrok do Clei i Moniki, które aż do tej chwili się nie odzywały.

– Wiem, że jesteś uczciwym człowiekiem – odezwała się łagodnym tonem żona. – I rozumiem twoje racje. Ale te dupki wyrządziły nam krzywdę. – Ostatnie słowa wymówiła z nieoczekiwaną złością.

Martini odwrócił się do Moniki.

– Ty też się z tym zgadzasz?

Dziewczyna kiwnęła głową; oczy miała pełne łez.

W tym momencie Levi sięgnął po swoją walizeczkę i wyjął z niej jakieś kartki.

– Tu jest umowa z pewnym wydawnictwem, proponują panu opisanie swojej historii w książce.

– W książce? – Martini był zaskoczony.

Levi uśmiechnął się.

– Jest pan przecież nauczycielem literatury, prawda? A kiedy książka się ukáže, posłuży za pretekst, żeby zapraszać pana do programów telewizyjnych albo przeprowadzać z panem wywiady dla gazet ukazujących się drukiem i w internecie... Coś w rodzaju „argumentu kulturalnego”, dzięki czemu rzecz stanie się bardziej szlachetna również z pańskiego punktu widzenia.

Rozbawiony Martini pokręcił głową.

– Postawiliście mnie pod ścianą – powiedział. Popatrzył jeszcze raz na żonę, potem na córkę i westchnął. – Dobrze, ale to nie będzie się mogło ciągnąć w nieskończoność. Chcę jak najprędzej skończyć z tym wszystkim, jasne?

* * *

O jedenastej wieczorem Borghi siedział jeszcze przy swoim stole w centrum dowodzenia na terenie szkoły. Wszyscy poszli już do domu i lampa, którą miał na stoliku, była jedynym źródłem światła w dużym pustym pomieszczeniu. Policjant badał ubogie raporty dotyczące sześciu dziewczyn zaginionych przed Anną Lou Kastner. Profile ofiar były zbieżne i w istocie można było przyjąć hipotezę istnienia seryjnego zbrojcy. Na potwierdzenie tych podobieństw człowiek w kominiarce z nagrania wideo w hotelu wrócił po trzydziestu latach, żeby zaatakować znowu, i tym razem wziąć na siebie odpowiedzialność za zbrodnię.

Ale dlaczego wrócił?

Właśnie w tym punkcie młody policjant nie mógł znaleźć żadnego wytłumaczenia. Dlaczego pozwolił, żeby minęło aż tyle czasu? Z pewnością istniała możliwość, że w czasie tej przerwy uderzał, ale gdzie indziej, lub jakaś siła wyższa przeszkodziła mu robić to tutaj. Na przykład, mógł odsiadywać długi wyrok za inne przestępstwo i podjął działania, gdy tylko wyszedł na wolność. Zmienił jednak swój *modus operandi*. W pierwszych sześciu przypadkach zachował anonimowość, w siódmym starał się przyciągnąć uwagę wszystkich. Lecz prawdą było, że trzydzieści lat wcześniej media nie były jeszcze gotowe do udostępnienia sceny potworom w ludzkiej skórze. Mimo to Borghiemu sprawa wydawała się dziwna.

Tego popołudnia ponownie odwiedził Beatrice Leman. Kobieta, która przez tak długi czas przechowywała dokumentację tamtych zaginięć, mając nadzieję, że ktoś zapuka do jej drzwi, żeby ją o nie zapytać, przyjęła go z niezwykłym chłodem. Podczas poprzednich wizyt Borghi odniósł wrażenie, że wiekowej dziennikarce bardzo zależy na współpracy z policją. Ale po ostatniej nie był już tego tak bardzo pewien.

– Powiedziałałam wam już wszystko, co wiem – zapewniła ostrym tonem na progu, nie odjeżdżając ani o centymetr swoim wózkiem, żeby go wpuścić do

środka. – Zostawcie mnie w spokoju.

Nie była to prawda, pani Leman coś przed nim zataiła. Borghi odkrył, że bezpośrednio po zaginięciu Anny Lou Kastner dziennikarka starała się wielokrotnie skontaktować z Voglem. W jakim celu? Kobieta oświadczyła, że chciała go tylko poprosić o wywiad, a agent specjalny zaprzeczył, że się z nią spotkał. Oboje kłamali. Tylko że Borghi rozumiał intencje swojego byłego przełożonego, który chciał uniknąć innych kłopotów, na przykład zarzutów, że prowadził śledztwo, nie informując przełożonych o jego przebiegu. Ale jaki powód do kłamstwa mogła mieć pani Leman? Ponadto dziennikarka jakiś czas wcześniej otrzymała przesyłkę. Okoliczność ta była dość wyjątkowa, ponieważ Beatrice nie odwiedzała już nikogo i nigdy nie otrzymywała listów. Co zawierała ta przesyłka? Czy miała jakiś związek z Voglem?

Tego popołudnia, zanim kobieta zamknęła mu drzwi przed nosem, Borghi zdążył zajrzeć do wnętrza mieszkania i natychmiast rzucił mu się w oczy pewien szczegół. W popielniczce, która znajdowała się koło wejścia, razem z licznymi niedopałkami papierosów, które Leman paliła bezustannie, znajdowały się też niedopałki innej marki. Pomyślał natychmiast, że była tu Stella Honer. Domyślił się, że pani Leman milczy z konkretnego powodu. Dała się kupić. Borghi nie potępił jej za to. Przez lata doświadczała obojętności i żyła w osamotnieniu. Zapomniano o niej i o bojach, jakie prowadziła na łamach swej lokalnej gazety. Teraz miała okazję, żeby się odegrać.

Podczas gdy z uwagą czytał zawiadomienie o zaginięciu pierwszej ofiary, Katyi Hilmann, usłyszał jakiś odgłos. Zaalarmowany Borghi rozejrzał się. Ale stojąca na stole lampa nie pozwalała mu dojrzeć czegokolwiek. Skierował więc jej światło na resztę sali, zataczając nim szeroki łuk. Nie udało mu się ustalić, skąd doszedł tamten hałas. Dostrzegł jednak przelotne błyski, które pojawiały się pod drzwiami szatni.

Wstał, żeby iść i sprawdzić, skąd pochodzą.

Powoli otworzył drzwi i zobaczył cień człowieka, który stał z latarką w ręce koło jednej z szafek. Borghi wyciągnął pistolet.

– Nie ruszać się – powiedział spokojnie, celując z broni.

Cień znieruchomiał. Potem człowiek uniósł ręce i zaczął się odwracać.

– Co pan tu robi? – spytał Borghi, gdy tylko go rozpoznał. – Nie wolno panu tu wchodzić.

Vogel posłał mu najbardziej fałszywy ze swoich uśmiechów.

– Przyglądałem ci się w telewizji, wiesz? Jesteś świetny, masz talent.

– Co pan tu robi? – powtórzył młody policjant.

– Nie obchodź się tak ostro ze swoim nauczycielem. – Vogel udał, że jest zagniewany. – Przyszedłem tu tylko po to, żeby zabrać coś, co należy do mnie.

– To nie jest już pańskie biuro i wszystko, co się znajduje w tym

pomieszczeniu, zostało zarekwirowane na potrzeby śledztwa, które dotyczy pana.

– Znam reguły, Borghi. Z tym, że czasami policjanci robią drobne przysługi swoim kolegom.

Słodki ton głosu Vogla zaczynał działać Borghiemu na nerwy.

– Proszę mi pokazać, co pan zabrał z tej szafki.

– To rzecz osobista.

Agent specjalny rzucał mu wyzwanie.

– Proszę natychmiast to pokazać – nie ustępował Borghi, starając się okazać zdecydowanie. Ciągle trzymał w ręce pistolet, choć już z niego nie celował.

Vogel opuścił powoli lewą rękę, żeby odpiąć płaszcz, potem z takim samym spokojem włożył prawą do wewnętrznej kieszeni i wyjął czarny notes, w którym zazwyczaj robił notatki.

– Proszę położyć to na stole – polecił mu Borghi. Vogel posłuchał. – A teraz muszę pana poprosić o opuszczenie budynku.

Podczas gdy Vogel oddalał się w kierunku wyjścia, młody policjant nie spuszczał go z oka, pewien, że tamten nie zrezygnuje z ostatniej odżywki. I nie mylił się.

– Mogliśmy byli utworzyć wspaniały zespół, ja i ty... – rzucił z pogardą agent specjalny. – Ale być może tak jest lepiej. Życzę ci szczęścia, chłopczyku.

Gdy tylko wyszedł, Borghi opuścił broń i odetchnął. Potem podszedł do stołu, na którym Vogel położył notes. Zawsze był bardzo ciekaw, co też agent specjalny ciągle w nim zapisuje. Fascynowała go ta metoda pracy; wydawało się, że nic nie umyka uwadze przełożonego. Ale gdy go otworzył, żeby sprawdzić zawartość, odkrył, że kolejne stroniczki wypełnione są jedynie obscenicznymi rysunkami wykonanymi srebrnym wiecznym piórem. Przedstawiały one sceny erotyczne, równie wulgarne jak infantylne. Potrząsnął z niedowierzaniem głową. Ten facet musi mieć bzika na tym punkcie, pomyślał.

* * *

Przemierzając pusty plac przed szkołą, Vogel pogratulował sobie przebiegłości, z jaką wmówił Borghiemu, że wrócił tam po swój notes. Nie zależało mu na tym, co pomyśli młody agent po odkryciu jego zawartości. Bardziej liczyło się to, co rzeczywiście zabrał z szafki.

Sięgnął po komórkę, wybrał numer i czekał na połączenie.

– Dwadzieścia pięć minut wcześniej niż inni – powiedział. – Ja zawsze dotrzymuję słowa.

– Czego chcesz? – spytała poirytowana Stella. – Nie masz już nic, co mógłbyś mi sprzedać.

– Jesteś tego pewna? – Vogel odruchowo sięgnął do kieszeni płaszcza. – Założę się, że Beatrice Lemman wspomniała ci o pewnym pamiętniku...

Stella Honer milczała. Dobrze, powiedział sobie w duchu Vogel: jest zainteresowana.

– Tak naprawdę nie zdradziła mi zbyt wiele – przyznała ostrożnie dziennikarka.

Trafił bez pudła: one rzeczywiście się spotkały.

– Szkoda.

– Ile chcesz? – spytała, nie owijając w bawełnę, Stella Honer.

– O szczegółach pogadamy w odpowiedniej chwili... Miałbym jednak pewną prośbę.

Roześmiała się.

– Nie jesteś już w sytuacji, żeby dyktować warunki.

– Ależ nie chodzi o nic wielkiego – odparł kpiąco agent specjalny. – Dowiedziałem się, że po tej sensacji, którą mnie zrujnowałaś, twoja stacja powierzyła ci program studyjny. Gratulacje, w końcu nie będziesz musiała więcej narażać pupci na odmrożenie podczas relacji w charakterze specjalnej wysłanniczki.

– Nie mogę w to uwierzyć: prosisz mnie, żebym cię zaprosiła do udziału w programie?

– Chciałbym też, żeby oprócz mnie obecny był również ktoś inny.

– Kto?

– Martini.

22 lutego
Sześćdziesiąt jeden dni po zaginięciu

Siedział w fotelu przed lustrem otoczonym jasnymi, białymi lampami. Pod kołnierzyk koszuli miał wsunięte chusteczki higieniczne, żeby go nie pobrudzić. Charakteryzatorka rozprowadzała mu podkład na policzkach miękkim pędzelkiem i Vogel rozkoszował się tą pieszczotą z zamkniętymi oczami. Parę metrów za jego plecami garderobiana prasowała jego marynarkę. Na tę okazję wybrał granatowy garnitur z cienkiej wełny, do małej kieszonki na piersi włożył żółtą jedwabną chusteczkę, pod szyję zawiązał szaroniebieski krawat z drobnymi kwiatowymi motywami, a mankiety zapiął na owalne spinki z różowego złota.

Do garderoby wpadła bez pukania Stella Honer, a za nią wszedł pięćdziesięcioletni dystyngowany mężczyzna, trzymając w ręce teczkę na dokumenty.

– Możemy zacząć – oświadczyła dziennikarka, ubrana już w ciemny żakiet, w którym miała wystąpić na antenie. Wyciągnęła rękę. – Gdzie jest ten dziennik?

Vogel nie odwrócił się, nie otworzył nawet oczu.

– Wszystko w swoim czasie, moja droga.
– Dotrzyłam umowy, teraz kolej na ciebie.
– Bądź spokojna, ja też dotrzymam słowa.
– Nie, wcale nie jestem spokojna – odparła. – Kto da mi gwarancję, że nie zamierzasz wystrychnąć mnie na dudka?

– Twoja redakcja otrzymała jedną stronicę, sprawdziliście jej autentyczność.

– To była tylko fotokopia, teraz chcę mieć resztę.

Vogel uniósł leniwie powieki, szukając odbicia Stelli w lustrze. Była podenerwowana, ze zrozumiałych powodów.

– Ale zgadzało się pismo Anny Lou Kastner.
– Powiedz mi przynajmniej, co znajduje się w tym przeklętym dzienniku.
– Sekrety, których nie można zawierzyć nikomu – odparł z zamierzoną emfazą Vogel, żeby rozzłościć ją jeszcze bardziej.

– Czy Anna Lou utrzymywała znajomość z jakimś starszym od niej mężczyzną? – zaryzykowała dziennikarka, mając nadzieję, że wychwyci wahanie, które potwierdziłoby tę bardzo podejrzaną hipotezę.

– Za każdym razem, jak rozmawiamy przez telefon albo się widzimy, starasz się coś ze mnie wyciągnąć. Ale nie uda ci się zmusić mnie, żebym powiedział choć słowo, zanim zobaczę czerwone światelko, które się zapali na kamerze.

– Ja to muszę wiedzieć. Nie mogę pozwolić ci, żebyś prowadził tę grę na

swoich zasadach. To jest mój program, nie ma mowy, żebym pozostała niedoinformowana w związku z tematem, o którym będziemy rozmawiać. Dlaczego chciałeś, żeby był przy tym także Martini? Co on ma wspólnego z dziennikiem Anny Lou?

Nie miał nic wspólnego, ale Vogel nie zamierzał jej tego wyjawiać. Dziennik był tylko pretekstem, żeby spotkać się z nim twarzą w twarz. Wiedział już, co zrobi, gdy rozpocznie się transmisja. Przeprósi Martiniego w imieniu policji i przyzna się do własnego błędu, wywołując tym zakłopotanie swoich przełożonych – tych samych gnojków, którzy opuścili go w potrzebie. Być może po tym nauczyciel przebaczy mu publicznie. Prześladowca i prześladowany mogliby się objąć ze łzami w oczach – ludzie cenią podobne wzruszające sceny pojednania. A gwoździem wieczoru byłby dziennik Anny Lou. Vogel zamierzał przeczytać fragment poświęcony Oliverowi i pierwszej literze jego imienia, którą wypisywała sobie na przedramieniu jako symbol miłości. Kto wie, może redakcja Stelli zdołałaby odszukać tajemniczego młodzieńca jeszcze w czasie trwania programu. Jego słowa w bezpośredniej rozmowie telefonicznej mogły stać się punktem kulminacyjnym wieczoru.

Ale Honer, która nie знаła jego planów, najwyraźniej się niecierpliwiła.

– Mogę w każdej chwili odwołać program – zagroziła. – Nie będzie transmisji ani Martiniego... I zwałę winę na ciebie.

Vogel roześmiał się.

– Zgodził się od razu – przypomniał jej, mając na myśli nauczyciela. – Jestem tym zaskoczony.

– Myślę, że to zrobił, ponieważ nie może się doczekać okazji, żeby ci przywalić w programie na żywo. – Zadowolona z siebie Stella uśmiechnęła się.

– Postawił jakieś warunki?

– Nie twoja sprawa.

Vogel uniósł ręce na znak, że się nie upiera.

– Przepraszam, wycofuję moje pytanie.

Stella odwróciła się do mężczyzny z aktówką i dała mu znak, żeby podszedł bliżej.

– Chcę ci przedstawić adwokata, który zajmuje się interesami stacji.

– Coś takiego! – zakpił agent specjalny.

Mężczyzna wyjął z aktówki formularze i położył je na blacie przed Voglem.

– Poprosimy pana teraz o podpisanie oświadczenia, że dziennik jest autentyczny i że zwalnia nas pan od jakiegokolwiek odpowiedzialności prawnej.

– Tyle wielkich słów, żeby powiedzieć coś tak bardzo, bardzo prostego.

– Ja dotrzymałam słowa – warknęła Stella. – Niełatwo było przekonać Martiniego, zapewniam cię o tym.

Vogla ucieszyła ta okoliczność. Nauczyciel wciąż się go bał.

– Słyszałem, że pisze książkę o tym, co go spotkało. Wiesz już, jaką przypisał ci rolę? Jesteś napadającą ludzi wysłanniczką specjalną czy dziennikarką bez skrupułów?

Stella obeszła fotel, żeby znaleźć się przed nim i móc patrzeć mu prosto w oczy.

– Uważaj. Nie życzę sobie kpin.

– Wydaje się, że wyjście na wolność robi bardzo dobrze słynnym więźniom. Byłbym bardzo ciekaw, ile z tej sprawy wyciągnął Levi...

– Ten temat nie będzie przedmiotem rozmowy, więc nawet nie próbuj po niego sięgać.

Głos zabrał znowu adwokat:

– Abyśmy mieli pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z ustaleniami, transmisja będzie nadawana z opóźnieniem pięciu sekund, tak żebyśmy zdążyli zdjąć was z wizji.

Vogel udał przestraszonego. Popatrzył na Stellę.

– Nie masz do mnie zaufania? – zapytał drwiącym tonem.

– Nigdy go nie miałam – odparła dziennikarka i wyszła z garderoby.

* * *

Po około dziesięciu minutach zjawiła się asystentka realizatora, żeby zaprowadzić Vogla do studia. Agent specjalny włożył marynarkę i po raz ostatni spojrzął w lustro. Naprzód, stary, mruknął do siebie. Pokaż im, co potrafisz.

Asystentka z zestawem słuchawkowym na uszach i kartonową teczką w ręce, poprowadziła go korytarzem. Potem popchnęła drzwi przeciwpożarowe i oboje weszli do obszernego, mrocznego pomieszczenia. Studio zarezerwowane dla programu Stelli było olbrzymie. Vogel i asystentka mijali odstawione na bok dekoracje. Ona ciągle szła przodem i co jakiś czas mówiła coś do mikrofonu przy słuchawkach.

– Nasz gość już idzie – powiadomiła reżyserkę.

W czasie drogi Vogel słyszał hałasującą publiczność. Stella zapewniła go, że widzowie zostali dobrani pod kątem kwalifikacji i dokładnie podzieleni na zwolenników jednej i drugiej strony, żeby uniknąć przeważającej klaki na jego korzyść albo na korzyść nauczyciela. Vogel dobrze przyjął to zapewnienie, chociaż nie przywiązywał do tej sprawy żadnej wagi: niebawem on i Martini znajdą się po tej samej stronie.

Dotarli do miejsca przeznaczonego dla zaproszonych gości i asystentka powierzyła go technikowi, który umocował mu mikrofon do krawata. Kiedy przesunął przewód pod marynarką, odezwał się:

– Mimo że nie jesteśmy jeszcze na antenie, od tej chwili w reżyserce będą słyszeć każde pańskie słowo.

Vogel kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Było to rutynowe ostrzeżenie, ponieważ zdarzało się często, że niektórzy goście pozwalali sobie na komentarze albo zwierzenia. Jednak agent specjalny był zbyt doświadczony i nie naraziłby się na takie ryzyko.

– A więc, panowie i panie, niebawem rozpoczynamy – powiedział animator rozgrzewający publiczność w studiu. Jego głos był wzmocniony. Zabrzmiały oklaski i kilka okrzyków.

Mimo że tematem programu był dziennik nieżyjącej dziewczyny, publiczność była podekscytowana. Myśl o znalezieniu się na wizji zmienia ludzi, pomyślał Vogel. Wiedzieli, że nie staną się sławni ani bogaci, ale i tak ich życie miało się zmienić. Mogliby się chwalić, że wzięli udział w telewizyjnym widowisku, choć w nic nieznaczącej roli. Zrobiliby wszystko, byle tylko pojawić się na tym przeklętym ekranie.

– Przypominamy, żebyście nie wygłaszali głośnych komentarzy na temat tego, co się będzie działo, i klaskali wyłącznie na znak dany przez naszych asystentów – dokończył animator. Nowe oklaski.

Podczas gdy charakteryzatorka robiła Voglowi ostatnie poprawki podkładu, obejrzał się w roztargnieniu w stronę przejścia między dekoracjami, którym wprowadzano gości do studia. Wyglądało to tak, jakby światło reflektorów zatrzymało się na tej granicy. Za kulisami panował przyjemny półcień.

W tej strefie między światłem i mrokiem stał Martini.

Nie zauważył Vogla i z dziecinną ciekawością zerkał na to, co się działo po drugiej stronie. Chociaż stał kilka metrów od niego, agent specjalny stwierdził, że doprowadził się niemal całkowicie do porządku. Sińce na twarzy zniknęły lub może była to świetna robota charakteryzatorki. Zdjęto mu już także gips z prawej ręki. Potrzebował wciąż laski, żeby się poruszać, ale odzyskał wagę i nie przypominał już szkieletu.

Jednakże jego wygląd zmienił się radykalnie w stosunku do dawnego.

Zaczął inaczej się ubierać. Żadnych sztruksowych marynarek i bawełnianych spodni, pożegnał się też w końcu z parą starych zniszczonych clarków. Teraz był w ciemnoszarym garniturze, z pewnością szytym na miarę. Miał też elegancki czerwony krawat. Vogel ocenił, że jest mu w nim bardzo dobrze. Fakt, że w końcu nauczyciel upodabniał się do niego, napełnił go dumą. Zaznajomiłem cię z mroczną stroną światła. Ponieważ światło także ma taką stronę. Nie wszyscy są w stanie ją dostrzec. Vogel zbudował swoją karierę właśnie na zdolności dostrzegania jej. Zauważył też drogi zegarek na lewym nadgarstku Martiniego. Twoje życie się zmieniło, mój przyjacielu, powinieneś mi podziękować za to, że na ciebie polowałem.

Właśnie w tym momencie nauczyciel wykonał drobny, niemal niezauważalny gest. Poprawił sobie mankiet koszuli, ponieważ być może nie był

przyzwyczajony do noszenia spinek. Wykonując go, podciągnął o parę centymetrów rękaw marynarki, odsłaniając częściowo przedramię.

W tej samej chwili Vogel zauważył szczegół, który z początku trudno mu było zinterpretować. Coś sekretne, co mogli znać tylko on i Anna Lou. Ponieważ dziewczyna napisała o tym w swoim pamiętniku, a Vogel go czytał.

W takim razie co robił ten okrągły znak na ręce Martiniego?

Mała, wypisana długopisem litera „O” symbolizująca Olivera.

23 grudnia
Dzień zaginięcia

Chciała zostać w domu, żeby ubrać choinkę.

Ale w poniedziałek o piątej piętnaście była religia dla dzieci, a ona zobowiązała się, że będzie się opiekować grupką najmłodszych. Jej bracia byli już na tyle duzi, że nie uczestniczyli w tych zajęciach, mogli więc spędzić popołudnie na wieszaniu kolorowych bombek i srebrnych łańcuchów na gałązkach drzewka. Zwłaszcza że w tym roku Annie Lou zależało na nim szczególnie. Również dlatego, że – jak podejrzewała – miało być ostatnie. Jej matka zaczęła już wygłaszać dziwne komentarze na ten temat. Mawiała rzeczy w rodzaju: „Jezus nie miał bożonarodzeniowego drzewka”.

Kiedy to robiła, można się było zawsze spodziewać zmiany w ich domowych przyzwyczajeniach.

Jak w postnym dniu, kiedy rodzina przez dwadzieścia cztery godziny nie dotykała jedzenia, piła tylko wodę. Poza tym był też dzień milczenia – „post słowny”, jak go nazywała Maria Kastner. Co jakiś czas dodawała jakąś nową regułę albo ustalała, że tę czy inną rzecz należy robić inaczej. Poza tym matka mówiła o tych sprawach w sali zgromadzeń i próbowała przekonać innych rodziców, żeby przyznali jej słuszność. Annie Lou podobało się bractwo, ale nie rozumiała, dlaczego pewne zachowania uznawano tam za błędne. Na przykład, nie widziała nic złego w ubieraniu się do kościoła na czerwono albo w picciu coca-coli. Nie przypominała sobie, żeby czytała coś na ten temat w Piśmie Świętym. Mimo to wydawało się, że wszyscy inni uważają za rzecz naprawdę ważną postępować w określony sposób, tak jakby Pan Bóg oceniał ich bezustannie i po cichu wyciągał wnioski z najdrobniejszych spraw, żeby decydować, czy naprawdę godni są tego, by uważać się za jego dzieci.

Anna Lou była pewna, że sprawa choinki zakończy się w taki sam sposób. Na szczęście wtrącił się jej ojciec, który powiedział, że „dzieci potrzebują jeszcze pewnych rzeczy”. Zazwyczaj był uległy i w końcu ustąpiłby również w tej sprawie. Ale w tym roku obstawał przy swoim zdaniu. I Anna Lou była szczęśliwa, że przynajmniej ten zwyczaj z jej dzieciństwa został chwilowo uratowany.

– Pospiesz się skarbie, bo się spóźnisz! – krzyknęła do niej Maria od stóp schodów.

Anna Lou przyspieszyła przygotowania, ponieważ matka nie lubiła, gdy Jezus musiał czekać. Włożyła już szare dresy i adidas, brakowało tylko białej puchowej kurtki. Na zapakowanie czekał też plecak. Włożyła do niego książki do religii, Biblię i sekretny pamiętnik. Pomyślała, że od jakiegoś czasu o niczym

w nim nie pisała. Odkąd odkryła, że matka lubi potajemnie grzebać w jej rzeczach, postanowiła prowadzić dwa. Nie po to, żeby do tego drugiego wpisywać jakieś kłamstwa, zawsze notowała w nim prawdę. Unikała tylko zwierzenia się w nim ze swoich przeżyć. Traktowała uczucia jak sprawy, o których można opowiadać tylko samemu sobie. Poza tym pragnęła chronić matkę, która zawsze martwiła się bardzo o swoje dzieci. Nie chciała, by mama myślała, że jest jej smutno, ani nawet, że czuje się przesadnie szczęśliwa. Ponieważ w ich domu odmierzano również szczęście. Jeśli było go za dużo, zachodziła obawa, że prawdopodobnie wmieszał się w to diabeł. „Bo jeśli nie, to dlaczego Szatan jest zawsze uśmiechnięty?” – mawiała matka. I w istocie, Jezus, Matka Boska i święci przedstawiani na świętych obrazkach nigdy się nie uśmiechali.

– Anno Lou!

– Już schodzę! – Włożyła do uszu słuchawki odtwarzacza mp3, który podarowała jej babcia ma urodziny, a potem pędem zbiegła ze schodów.

Piętro niżej czekała na nią Maria. Jedną rękę trzymała na poręczy, a drugą zgięła w łokciu, opierając ją na biodrze, przez co przypominała imbryk.

– Jakiej muzyki słuchasz, skarbie?

Anna Lou spodziewała się tego pytania i podała jej słuchawkę.

– To taka wyliczanka, którą znalazłam ostatnio i chciałam, żeby się jej nauczyli ci najmłodszy. Mówi o dziewczynkach i małych kotkach.

– Nie wydaje mi się, żeby miała wiele wspólnego z Ewangelią – zauważyła Maria.

Jej córka uśmiechnęła się.

– Chcę, żeby nauczyły się Psalmów na pamięć, ale jej ćwiczenie muszę rozpocząć od prostych rzeczy.

Matka spojrzała na nią z powątpiewaniem, ponieważ nie miała pod ręką gotowej odpowiedzi. Potrząsnęła za to nadgarstkiem, żeby zadzwonić bransoletką z paciorków, którą zrobiła jej Anna Lou. Był to gest wyrażający czułość, oznaczał, że są sobie bliskie.

– Okryj się dobrze, na dworze jest zimno.

Anna Lou wycisnęła jej całusa na policzku i wyszła z domu.

* * *

Kiedy zamknęła drzwi, przeszedł ją dreszcz. Matka miała rację, było naprawdę zimno. Kto wie, może na Boże Narodzenie spadnie śnieg; zrobiłoby się ładnie. Podciągnęła suwak kurtki i ruszyła dróżką do ulicy, a potem chodnikiem w kierunku kościoła. Miała ochotę się wypowiedzieć. Od czasu, jak pokłóciła się z Priscillą z powodu Mattii, czuła się trochę winna. Skasowała nawet w komórce numer jej telefonu. Pomyślała, że powinna pogodzić się z przyjaciółką, ale ciągle nie mogła jej wybaczyć, że tak źle potraktowała tego biednego chłopaka.

W gruncie rzeczy, czy on robił coś złego? Domyśliła się, że być może się w niej zakochał, choć go do tego nie zachęcała, ale przecież nie mogła okazywać mu lekceważenia. Priscilla tego nie rozumiała, według niej chłopcy myśleli tylko o jednym. Chciałaby opowiedzieć jej o Oliverze, o tym, co do niego czuła, choć zaledwie się poznali, ale nie była pewna, czy ona by to pojęła. Może wyśmiałyby to dziecinne uczucie. Ale ono było Annie Lou potrzebne. Dzięki niemu przeżywała sny z otwartymi oczami. Dlatego wypisała sobie na przedramieniu pierwszą literę jego imienia. Nie chciała utracić czegoś, co należało tylko do niej.

Gdy tylko skręciła za róg przy najbliższej przecznicy, zwolniła kroku.

Na skraju drogi kilka kroków przed nią stał samochód. W pierwszej chwili nie zdołała się zorientować, co się dzieje. Dlaczego ten pan ma w ręku transporter na zwierzęta? I czego szuka w tej okolicy? Potem mężczyzna się odwrócił i wydało się jej, że go rozpoznaje. Widziała go w szkole, jest nauczycielem. Ale nie w jej klasie. Nazywa się... Martini... tak, uczy literatury.

– Cześć. – On też ją zobaczył i przywitał z uśmiechem. – Czy przypadkiem nie zauważyłaś w okolicy bezpańskiego kota?

– Jak wygląda? – spytała Anna Lou, trzymając się na dystans.

– Mniej więcej takiej wielkości. – Mężczyzna pokazał rękami jego rozmiary.

– W rudo-brązowe pręgi.

– Tak, widziałam go. Od kilku dni wałęsa się tutaj. – Dała mu nawet jeść i założyła na szyję jedną ze swoich bransoletek. Ale nie chciała jeszcze nadawać mu imienia, ponieważ obawiała się, że w każdej chwili może się zjawić jego właściciel, żeby go zabrać. Kot był za bardzo zadbany, żeby mógł po prostu być bezpański.

– Pomogłabyś mi go znaleźć?

– Naprawdę muszę już iść: mam spotkanie w kościele.

– Proszę cię – nalegał mężczyzna. – To kot mojej córki, jest zrozpaczona.

Miała ochotę powiedzieć mu, że matka zabrania jej zadawania się poza domem z osobami nienależącymi do bractwa, ponieważ uznaje to za coś niestosownego. Anna Lou uważała, że – w odróżnieniu od innych zakazów – to zalecenie ma sens. Ale ten mężczyzna miał córkę, być może jeszcze małą, która od kilku dni płacze, ponieważ utraciła swego najlepszego przyjaciela. Dlatego pomyślała, że może mu zaufać.

– Jak ten kot ma na imię?

– Derg – odparł bez namysłu mężczyzna.

Jakie dziwne imię, pomyślała. Mimo to podeszła bliżej.

– Dziękuję za pomoc. Jak masz na imię?

– Anna Lou.

– A więc, Anno Lou, ja spróbuję go zawołać, a tymczasem ty potrzymaj to – poprosił mężczyzna, podając jej transporter. – Jak tylko się pokaże, zmuszę go,

żeby podszedł do ciebie, a ty zamkniesz go w środku.

Nie wiedziała, co zrobić z transporterem.

– Wydawał mi się łagodny, może łatwiej będzie go złapać gołymi rękami – zauważyła.

– Derg nie cierpi jazdy samochodem, więc gdybym nie zamknął go w transporterze, nie wiedziałbym, jak go zawieźć do domu.

Anna Lou wzięła transporter z rąk mężczyzny i odwróciła się.

– Widziałam go w ogrodzie sąsiadów – powiedziała, wskazując kierunek. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, była dłoń, która zakryła jej chusteczką usta. Nie krzyknęła, ponieważ nie miała pojęcia, co się dzieje. Nagłe zatkanie ust zmusiło ją do instynktownego wzięcia głębokiego oddechu. Powietrze było gorzkie, pachniało jakimś lekarstwem. Zamgliły się jej oczy, ale nie mogła nic na to poradzić.

* * *

– Chcę być wobec ciebie uczciwy... Przynajmniej w tej sprawie.

Skąd dochodzi głos tego człowieka? Czy ja go znam? Wydaje się dobiegać z daleka. A to małe światełko? Podobne do tego, jakim świeci mała latarka... tata ma taką w garażu.

– Wiem, że zadajesz sobie pytanie, gdzie jesteś i co się dzieje. Rozpocznijmy od pierwszej odpowiedzi: jesteśmy w starym nieczynnym hotelu. Natomiast druga jest trochę bardziej skomplikowana...

Jestem rozebrana. Dlaczego? Przedtem siedziałam, teraz leżę. Jest mi niewygodnie. Gdzie jest góra, a gdzie dół? Straciłam rozeznanie. Wydaje mi się, że patrzę w jakiś kryształ. I co to za cień, który tańczy wokół mnie?

– Derg, to nie jest imię kota. A ten kot nie żyje. Jego zwłoki znajdują się w moim samochodzie. Wierz mi, nie chcę cię przestraszyć, ale powinnaś o tym wiedzieć. Musiałem go zabić, żeby nikt go nigdy nie znalazł. Znajdą jego sierść i jego DNA, kiedy będą sprawdzać mój samochód. Chodzi o to, żeby podejrzewali mnie aż do końca, bo w przeciwnym razie mój plan nie będzie mógł się urzeczywistnić... A więc, wracając do tego, o czym mówiłem: ten Derg nie jest kotem, tylko pewnym człowiekiem. A kiedy wiele miesięcy temu odkryłem jego historię, zrozumiałem, że w gruncie rzeczy ten człowiek miał szczęście. Owszem, zapłacił za nie pewną cenę. Naraził się na zawał, ale w sumie zyskał w zamian nowe życie... I w ten sposób przyszedł mi na myśl pewien pomysł.

Cień zatrzymał się w końcu, to dobrze. Zakłada mi górę dresu. Może myśli, że jest mi zimno. Bo to prawda.

– Zawsze powtarzam moim uczniom, że pierwszą zasadą dobrego

powieściopisarza jest naśladowanie. W ten sposób doszedłem do wniosku, że muszę znaleźć kogoś, kto mi podpowie, jak mam zrobić coś, co nigdy nie przyszło mi nawet na myśl i nie przypuszczałem, że kiedykolwiek to zrobię. Że zabiję. Przesiedziałem całe popołudnia w bibliotece i przed komputerem, szukając w internecie czegoś, co było mi potrzebne. Aż wreszcie pewnego dnia to znalazłem... Był to blog pewnej dziennikarki, niejkiej Beatrice Leman. Nie sądzę, żeby od dłuższego czasu ktoś do niego zajrzał. Ale na tych stronach opisana była historia, jakiej potrzebowałem. Trzydzieści lat temu w Avechot i w najbliższej okolicy zaginęło sześć dziewczyn w twoim wieku. Nie jednocześnie, ale w mniej więcej regularnych odstępach czasu. Wyróżniały się tym, że wszystkie miały rude włosy, tak jak ty. Nikt nie przejął się zbyt ich losem, choć pani Leman utrzymywała, że zostały porwane przez tę samą osobę. Ustaliła, że zrobił to potwór w ludzkiej skórze, i nawet go nazwała: Człowiek z Mgły. Wręcz doskonały. Musiałbym tylko skopiować to, co w żargonie zwie się *modus operandi*, żeby wina za to, co zamierzam zrobić, została później przypisana jemu, nawet po tak długim czasie. Bo jeśli wszystko pójdzie tak, jak powinno, będzie to moje alibi, klucz, który uwolni mnie z więzienia...

Wkłada mi spodnie od dresu. Czuję, jak przesuwają się po moich nogach, wywołując delikatne łaskotanie. Ale nie wiem, czy ono jest przyjemne.

– Jak mówiłem, konieczne jest jednak, żeby skierowali swoje podejrzenia na mnie. Dlatego zostawię w okolicy ślady. Już nawet zacząłem to rzeczywiście robić, z pomocą Mattii. To właśnie on naprowadził mnie na ciebie. Bo musisz wiedzieć, że niełatwo było znaleźć piegowatą dziewczynę z rudymi włosami. Wreszcie pewnego dnia, kiedy moja klasa poszła do sali gimnastycznej na lekcję WF, zacząłem kręcić się między ławkami, szykując się do lekcji o poetach romantycznych, którą poprowadziłem zaraz potem. Podchodząc do miejsca Mattii, zauważyłem kamerę wideo. Zapomniał ją zabrać, więc ją uruchomiłem i odkryłem dziewczynę, która była bohaterką jego krótkich filmów... Ciebie... Więc wystarczyło mi ustalić, gdzie on się zaczyna. On śledził ciebie, a ja jego. W ten sposób odkryłem, że lubisz koty. Zadbalem, żeby na jego nagraniach pojawiła się moja terenówka, i zrobiłem to tak, żeby Mattia mnie zauważył. Mam nadzieję, że policja je obejrzy i zwróci uwagę właśnie na mnie. Kiedy im opowiem, że dziś byłem samotnie w górach, a przede wszystkim, gdy zobaczą przecięcie na mojej dłoni, zaczną mnie podejrzewać. Zabrałem nóż i myślę, że będzie to dość bolesne, kiedy będę się ranił, ale bądź spokojna: nie będzie cię przy tym...

To jest odgłos błyskawicznego zamka kurtki podciąganego do góry. Ale nie ja to robię. Robi to cień, który do mnie mówi. A teraz wkłada mi na stopy moje buty. I zawiązuje sznurowadła.

– Mam wielką nadzieję, że przyślą tu pewnego policjanta. Nazywa się Vogel i jest świetny w organizowaniu dochodzeń. Zawsze jest w stanie przekonać wszystkich, że ma rację. Na przykład z panem Dergiem to mu się udało. On zniszczy mi życie, wiem o tym już teraz. Ale konieczne jest, żebym utracił wszystko, bo inaczej moje wysiłki nie zdadzą się na nic. Wszyscy muszą we mnie zważyć, nawet moja rodzina. Wczoraj twoja koleżanka Priscilla dała mi swój numer telefonu. Myślę, że zadzwonię do niej albo prześlę jej wiadomość, potem ona trafi do telewizji i wmówi wszystkim, że próbowałem ją zwabić. I zacznę się zamieniać w coraz bardziej potworną bestię, której publiczność tak bardzo potrzebuje...

Tu, w środku, pachnie wilgocią. Chociaż jestem ubrana, jest mi ciągle zimno, ale nie mogę się poruszyć. Jestem pijana, jak wtedy, gdy miałam sześć lat i napiłam się w tajemnicy likieru porzeczkowego babci. Do tej pory moi bracia na pewno dokończyli już ubieranie bożonarodzeniowej choinki. Jestem pewna, że będzie bardzo ładna.

– Oprócz instynktownych podejrzeń Vogel będzie miał przeciwko mnie jedynie całą górę poszlak. I żadnego dowodu. Muszę doprowadzić go do tego, by uwierzył, że naciągając lekko prawdę, będzie mógł mnie aresztować. Pokażę mu zranioną dłoń, ale będę musiał zadbać, żeby się nie zabiła. Gdy tylko się spotkamy, niby to w roztargnieniu zostawię kroplę krwi. Z góry wiem, że poczuje pokusę, żeby się nią posłużyć, ale żeby to zrobić, będzie musiał być naprawdę zdesperowany. Jestem pewien, że kiedy odnajdą w kanale ściekowym twój mały plecak, postąpi tak, jak to zrobił w przypadku Derga: nagnie prawdę dla swoich celów... Ale żeby do tego doszło, konieczne jest, żeby uruchomiony przeze mnie mechanizm zadziałał z najwyższą precyzją, jak w zegarku. Każda rzecz w swoim czasie...

Proszę cię, bez względu na to, jaki popełniłam błąd, więcej go nie zrobię. Wybacz mi. Pozwól mi wrócić do domu.

– Znajdę się w więzieniu. Ciężko mi będzie pozostawać z dala od rodziny. Być może będę się też obawiał, że nigdy już stamtąd nie wyjdę, ale będę musiał mocno się trzymać. Bo tymczasem poza murami więzienia tryby będą się kręcić same... Wiesz, jako małe dziecko byłem świetny w poszukiwaniu skarbów. Bawiło mnie tworzenie problemów i zagadek oraz zostawianie naokoło wskazówek, które należało odkryć. Dlatego wyślę coś twojego do tej pani Lemman, ale na paczce będzie też nazwisko Vogla. W twoim plecaku znalazłem dziennik i wybrałem go, żeby obudzić jego ciekawość... Niedawno nakręciliśmy wideowiadomość, ty nawet tego nie zauważyłaś. Wiem już, gdzie ukryję tę kasetę. Ale jej kopię wyślę też do mediów... Bo żeby wszystko doskonale się udało, Vogel musi upaść. Tylko

wtedy, gdy on zostanie starty na proch, ja będę mógł podnieść się na nowo... I wtedy wyjdzie na jaw historia z Człowiekiem z Mgły, który być może już nawet umarł w ciągu tych trzydziestu lat. Ale ożyje na nowo i będą go szukać, żeby oddać ci sprawiedliwość. Za to ja będę wolny.

Ta mgła już tu jest, widzę ją. Otacza mnie ze wszystkich stron. Jest chłodna i lekka.

– Teraz przychodzi kolej na najtrudniejszą odpowiedź. Być może pytasz mnie, dlaczego robię to wszystko?

Nie, nie... nie sądzę, żebym chciała to wiedzieć.

– Ponieważ kocham moją rodzinę. Chcę, żeby miała wszystko to, na co zasługuje. I nie chcę już narażać się na to, że stracę żonę. Mam świadomość, że nie wiesz, o czym mówię, ale tamta sprawa to był dla nas zły czas. Czułem się nieodpowiednim człowiekiem: skromny nauczyciel licealny... Za to niebawem Clea i Monica będą ze mnie dumne. Ponieważ nie sprzedam się od razu, będę udawał twardziela. Pokażę, że jestem człowiekiem uczciwym. Ale nie ma co ukrywać: każdy ma swoją cenę, zaprzeczanie temu nie zda się na nic.

Ja też kocham moją rodzinę. Oni również mnie kochają. Czemu nie chcesz tego zrozumieć?

– Właściwie to już wszystko. Przykro mi, że cię w to wciągnąłem, ale wygląda to tak, jak w powieściach: to ten zły tworzy całą akcję; czytelników nie interesowałyby opowieści, których bohaterami byłiby tylko dobrzy ludzie. Ale ty nie odgrywasz bynajmniej drugoplanowej roli. Kto wie, być może pewnego dnia ktoś naprawdę znajdzie tego Człowieka z Mgły i wtedy sześć dziewcząt, o których wszyscy zapomnieli, doczeka się sprawiedliwości. Stanie się to tylko dzięki tobie, Anno Lou...

Po co opowiadasz mi tę historię? Ona mnie nie interesuje, nie podoba mi się. Chcę zobaczyć moją mamę, mojego tatę, moich braci. Chcę ich ujrzyć jeszcze raz, proszę cię – tylko jeden raz. Muszę ich uścisnąć, nawet jeśli nie mam na to wielkiej ochoty. Będzie mi ich brakowało.

– Wybacz mi, ale widzę, że eter przestaje działać. Pospieszę się z tym, nie poczujesz prawie nic.

Coś kłuje mnie w rękę. Uchylam odrobinę powieki, teraz już mogę to zrobić. On nakłuwa mi skórę igłą, a jednocześnie patrzy na „O”, które poświęciłam Oliverowi. Zadaje sobie pytanie, co to jest. Ale to tajemnica.

– Żegnaj, Anno Lou, jesteś bardzo piękna.

Zimno mi. Mamo, gdzie jesteś? Mamo...

23 lutego
Sześćdziesiąt dwa dni po zaginięciu

Nocą, podczas której wszystko zmieniło się na zawsze, wydawało się, że mgła zdołała w końcu pokonać okno i wypełniła pokój delikatnym przyprawiającym o dreszcz oparem.

Dokończywszy swej długiej opowieści, Vogel zamilkł na dłuższą chwilę.

– Wiedział pan o tym, że głównym motywem zbrodni nie jest wcale nienawiść? – odezwał się w końcu. – Próbował mi to powiedzieć Borghi, ale ja go nie słuchałem. Gdybym to zrobił, być może zrozumiałbym wszystko w porę... Pierwszy spośród motywów zbrodni to pieniądze.

– Nie, nie wiedziałem – przyznał Flores.

– Cały mechanizm kręcił się wokół prostego i równie banalnego pomysłu... Nikt nie miał znaleźć ciała Anny Lou, przenigdy. Całe oszustwo opierało się właśnie na tym. Wobec braku zwłok nie byłoby dowodu zbrodni. Dlatego udało mu się wyjść z tego bezkarnie.

– A ten inicjał na przedramieniu? Dlaczego naraził się na ryzyko, że może zostać wykryty? Nie rozumiem...

– Zabójca popełnia średnio dwadzieścia błędów. Nieco mniej niż połowa to błędy, z których zdaje sobie sprawę. Natomiast większa ich część jest skutkiem nieudolności albo nieostrożności. Ale istnieje pewnego rodzaju błąd, który ze względu na jego szczególnie charakter można uznać za „umyślny”. Jest niczym podpis. Każdy zabójca nieświadomie pragnie, żeby spotkała go sprawiedliwość za jego czyn – wyjaśnił agent specjalny, a potem dodał, cytując słowa nauczyciela: – Najgłępszym grzechem diabła jest próżność... Ale koniec końców, jaką przyjemność można mieć z tego, że się jest diabłem, jeżeli nie można o tym nikomu powiedzieć.

Psychiatra zaczął pojmować kolejne epizody tego, co się wydarzyło.

– Po telewizyjnym programie pojechał pan za Martinim aż do Avechot... I zabił go pan.

Vogel złączył dłonie oparte na kolanach.

– Nigdy go nie znajdziecie. On też zniknął we mgle.

Chwilę potem Flores podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku. Wybrał numer.

– Tak, to ja. Możecie już przyjść. – Po czym się rozłączył.

Obaj czekali w milczeniu. Potem drzwi ambulatorium się otworzyły. Do pokoju weszli dwaj umundurowani funkcjonariusze i stanęli obok Vogla.

– Wędkarz, który łowi ciągle tę samą rybę. – Agent specjalny roześmiał się,

wygłaszając tę myśl. – Doktorze Flores, było mi naprawdę przyjemnie rozmawiać z panem.

* * *

Kiedy wrócił do domu, dochodziła szósta rano. Niebawem miał nadejść świt, ale na razie królował jeszcze mrok i panowała cisza. W domu ze spadzistym dachem ogrzewanie działało już od jakiegoś czasu i wraz z ciepłem wewnątrz wypełniało się przyjemnym, usypiającym spokojem. W pokoju na piętrze Sophia pogrążona była w pogodnym śnie. Flores pomyślał, żeby wsunąć się pod kołdrę, wyciągnąć obok niej i spróbować choć trochę odpocząć. Ale zmienił zamiar. Nie był już pewien, czy udałoby mu się zasnąć. Zwłaszcza po nocy takiej jak ta. Starając się nie robić hałasu, zszedł więc do sutereny.

Na dole znajdowała się pracownia, w której preparował te swoje ryby z gatunku *Oncorhynchus mykiss*. Pomieszczenie było małe i miało tylko jedno wąskie okno. Flores uniósł rękę i pociągnął za sznurek służący do zapalania lampy, która zaczęła kołysać się powoli nad jego głową, a wraz z nią w spokojny taniec ruszyły cienie różnych przedmiotów. Na wprost niego stał stary drewniany warsztat ze wszystkim, czego potrzebował. Były tu flakony z amoniakiem i formaldehydem, powstrzymującymi proces rozkładu. Przezroczyste lakiery służące podkreślaniu naturalnych kolorów. Czysty spirytus w sprayu. Słoik z pędzelkami i wodnym roztworem żywicy. Małe nożyki ułożone porządnie na specjalnej kratce. Pudełko ze szpilkami. Szczoteczki do mycia butelek i dryłownica z wydrążonym czubkiem. Boraks w proszku i kwas salicylowy. Lampa grzewcza.

Już niebawem Flores miał przejść na emeryturę i to pomieszczenie stałoby się jego nową kryjówką. Trzymał w nim także większą część wędkarskiego sprzętu i właśnie tutaj musiałby przenieść okazy, które przechowywał w gabinecie lekarskim. Smutno byłoby porzucać pracę wykonywaną przez całe życie, ale oczami wyobraźni widział już siebie w tym miejscu, z dala od stresów i zmartwień, poświęcającego się cierpliwie swemu hobby. Od czasu do czasu przyprowadzałyby też wnuki, żeby im pokazać, czym zajmuje się dziadek. Nie sprawiłoby mu najmniejszej przykrości przeniesienie na nich tej pasji. Tu, na dole, traciłby poczucie czasu i w środku poranka rozpoznawałby kroki Sophii na schodach, niosącej tacę z kanapką i szklanką chłodnej herbaty. Tak, byłby to piękny sposób na spędzenie starości.

Flores oparł obie ręce na stole i rozluźnił ramiona. Wziął głęboki oddech. Potem pochylił się i uklęknął. Pod warsztatem znajdowało się mnóstwo ustawionych porządnie pudełek, w których przechowywał haczyki do wędek. W każde Boże Narodzenie lub z okazji urodzin jego najbliżsi obdarowywali go jakimś nowym, ponieważ wiedzieli, że nie byłby zadowolony z innego prezentu. Niektóre z nich naprawdę kosztowały fortunę. Ale prawie na samym spodzie stała

też stara metalowa kasetka z kłódką. Flores wyjął ją i postawił na blacie. Kluczyk do jej otwierania nosił zawsze przy sobie, przy pęku kluczy. Odszukał go między kluczami od domu, samochodu i gabinetu. Potem włożył go do małej kłódki i uniósł pokrywkę.

Znajdowało się tu ciągle sześć pukli rudych włosów.

Przypominały mu okres w jego życiu, w którym, ogólnie biorąc, czuł się szczęśliwy. Był już mężem Sophii, która wydała na świat dwóch z jego trzech synów. Nikt nie wiedział, co robił czasami, zamiast łowić ryby. Widzieli, że wraca jak zwykle do domu, nie domyślając się, że radość na jego twarzy miała swe źródło w czymś zupełnie innym.

Wędkarz, który od trzydziestu lat łowił zawsze ryby tego samego gatunku – pstrąga tęczowego – wcześniej poświęcał się łowieniu tego samego rodzaju dziewczynek. Rudowłosych i piegowatych.

A teraz wszyscy zadawali sobie pytanie, gdzie zniknął Człowiek z Mgły. Powiedziałby im chętnie, że co jakiś czas kusilo go jeszcze, żeby wyjść z domu i puścić się w pogoń za nową ofiarą, jednak po zawale, który omal go nie zabił, gdy miał zaledwie trzydzieści dwa lata, złożył uroczyste przyrzeczenie.

Koniec z piegowatymi dziewczynkami o rudych włosach.

Na długi czas ludzie zapomnieli o nim. Ale teraz, z powodu Martiniego, Człowiek z Mgły wrócił i na nowo wypełnił ich myśli. Nigdy jednak nie dotrą do mnie, powiedział sobie w duchu. Dzięki opatrnościowym działaniom podjętym tej nocy przez Vogla wszystkie sprawy wróciły na swoje miejsce. Znowu dojdą do wniosku, że potwór w ludzkiej skórze nie żyje.

Jeszcze przez chwilę Flores przyglądał się metalowej kasetce. Być może powinien się jej pozbyć. Nie chodziło o obawę, że te włosy mogłyby posłużyć za dowód, który wciągnąłby go w tarapaty. Często natomiast dumiał nad tym, że gdyby dostał kolejnego zawału, tym razem śmiertelnego, jego rodzina – osoby, które kochał ponad wszystko w świecie – znalazłyby tę jego sekretną kolekcję. I z pewnością niczego by nie zrozumiały, więc prawdopodobnie zmieniłyby wyobrażenia na jego temat. Nie chciał, żeby odkryły tę jego stronę. Pragnął być kochany.

Mimo to jeszcze raz postanowił, że nie zniszczy zawartości kasetki, ponieważ trudno mu było zapomnieć o pewnych namiętnościach. A tych sześć dziewczynek zaginionych we mgle w gruncie rzeczy było już jego własnością, one należały do niego. Zajmował się nimi od trzydziestu lat w swych tajemnych myślach. Zamknął więc pokrywkę i przekręcił kluczyk w kłódce. A potem ustawił kasetkę na miejscu pod warsztatem. Z okienka sutereny błysnął słaby promyczek słońca.

Noc, podczas której wszystko zmieniło się na zawsze, dobiegła końca.

Podziękowania

Oto osoby, którym należą się wyrazy mojej wdzięczności:

Stefano Mauri, wydawca i przyjaciel. A wraz z nim, wszyscy wydawcy z całego świata, którzy publikują moje książki.

Fabrizio Cocco, moja podpora. Giuseppe Strazzeri, Raffaella Roncato, Elena Pavanetto, Giuseppe Somenzi, Graziella Cerutti, Alessia Ugolotti, Tommaso Gobbi. Za wspieranie mnie w tym wyzwaniu do ostatniej kropli krwi.

Cristina Foschini, która swoją łagodnością ratuje mi życie.

Andrew Nurnberg, Sarah Nundy, Giulia Bernabè i wszyscy pracujący z pasją w agencji w Londynie.

Tiffany Gassouk, Anais Bakobza, Ailah Ahmed.

Alessandro Usai i Maurizio Totti.

Gianni Antonangeli.

Michele, Ottavio i Vito, moi najlepsi przyjaciele. Achille.

Antonio i Fiettina, moi rodzice.

Chiara, moja siostra.

Oraz cała moja wielka rodzina. Bez was nie znalazłbym się tu, gdzie jestem.

